

MIESIĘCZNIK LITERACKI

# AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 8(73) Rok VI sierpień 2003 cena 4,00 zł (VAT 0)

www.akant.telvnet.pl ✉ e-mail: akant@akant.telvnet.pl

w numerze:

Piotr Baranowski • Jolanta Baziak • Urszula Małgorzata Benka • Emil Biela • Magdalena Błachut • Katarzyna Bohdanowicz  
Marek Oktawian Bulanowski • Kazimierz Burnat • Stanisława Deluga • Stanisław Chyczyński • Halina Dobrucka • Zdzisław Drzewiecki  
Sławomir Stefan Czarnecki • Ludwik Filip Czech • Marek Czuku • Paweł Dymek • Anna Filipiak  
Zbigniew Włodzimierz Fronczek • Paweł Bogdan Gąsiorowski • Waław Grabkowski • Arkadiusz Irek • Teresa Januchta  
Jaan Kaplinski • Jakub Kawatek • Teresa Kowalska • Leszek Kozik • Zbigniew Krajnik • Zbigniew Kresowaty • Romuald Kulik  
Anetta Kuś • Alicja Leśniak • Tadeusz Lira-Śliwa • Henryk Liszkiewicz • Krzysztof Lutowski • Zdzisław Tadeusz Łączkowski  
Leszek Łęgowski • Marek Manuszewski • Marta Ewa Matuszek • Adam Mazurkiewicz • Joanna Mioduchowska • Magdalena Morawska  
Ariana Nagórska • Eryk Ostrowski • Justyna Paluch • Piotr Paschke • Stefan Pastuszewski • Kalikst Piechocki • Edmund Pietryk  
Katarzyna Pilarczyk • Zygmunt Jan Prusiński • Jerzy Przybyszewski • Piotr Rakowski • Joachim Ringlentalz • Józef Jacek Rojek  
Ewa Rudkiewicz • Katarzyna Sarnowska • Antoni Siemianowski • Andrzej Sikorski • Marcin Smoliński • Wojciech Sobecki  
Alfons Soczyńskicja • Małgorzata Szatkowska • Eugeniusz Szulborski • Zbigniew Szwaja • Jacek Tabisz • Jan Tomaszkiwicz  
Mariusz Trynkiewicz • Stanisław Truchan • Alina Tsvetkova • Barbara Maria Tylman • Wojciech Wiercioch • František Všetická  
Anna Zabacka • Tadeusz Zubiński • Lucjan Zuzia • Bożena Zyś • Iwona Żmijewska • Marcin Żurek

Eryk Ostrowski

Caritas discreta

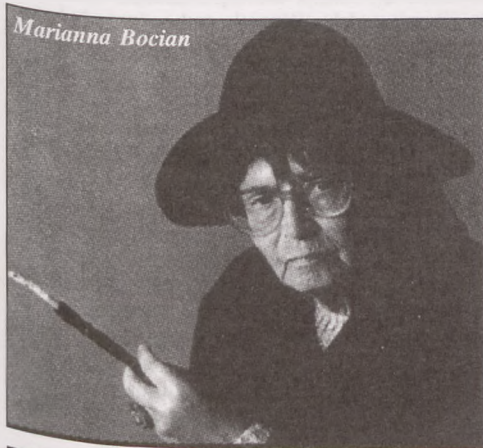
Joanna Salamon zetknęła się z Marianną Bocian jeszcze u schyłku lat 60. Chciał poznać je ze sobą profesor Kapuściński. Ale wówczas, jak wspomniła wiele lat później w jednym z listów do mnie Marianna, obie panie „nie przypadły sobie do gustu”. Ponowne ich spotkanie nastąpiło w późnych latach 80., kiedy to Joanna Salamon pracowała nad swą książką *Latarka Gombrowicza albo Zurawie i kolibry. U źródeł ukrytego nurtu w literaturze polskiej*, i szukała kogoś podobnie myślącego, kto pomógłby Jej książkę zredagować. Po ogłoszeniu *Latarki* (do której Marianna napisała też postowie), Marianna Bocian zajęła się promocją książki, objeżdżając z nią niemal cały kraj; Joanna Salamon przebywała w tym czasie jesz-

cze na emigracji, w Holandii, skąd powróciła dopiero w 1997 roku. Od tego czasu datuje się niezwykła przyjaźń obu poetek, realizująca się głównie w kontaktach listownych i telefonicznych, wzajemnym przesyłaniu sobie „obowiązkowych” lektur, opierająca się na obopólnym bezgranicznym zaufaniu, szczególnie widocznym ze strony Joanny Salamon, która powierzała Mariannie Bocian adiustację tekstów, kolejno przygotowywanych do druku prac eseistycznych. Z całą pewnością mogę dziś powiedzieć, że spośród „literackich” przyjaźni Joanny Salamon, dla Niej samej ta właśnie była najważniejsza. Z niczyją opinią tak nie liczyła się, jak z opinią Marianny Bocian. To Marianna namówiła, w ostatnich miesiącach życia, terminalnie chorą poetkę do udzielenia wywiadu-rzeki, gdzie poddała analizie Dzieło Czesława Miłosza, a w szczególności ogłoszony pod koniec listopada 2001 r. *Traktat teologiczny*, który tak wzburzył Joannę. Przyjaciółka zdecydowała się, a wiedząc, że nie ujrzy już tej publikacji i nie zdoła autoryzować tekstu, zaznaczyła, że zrobi to tylko pod tym warunkiem, iż ten swoisty testament zostanie zredagowany przez Mariannę Bocian i wzbogacony przez Nią o pełne wypowiedzi-komentarze, gdyż „TYLKO ona rozumie Jej intencje”; (w tamtym okresie nie było możliwe z przyczyn technicznych przeprowadzenie tego dialogu na żywo).

Myślę, iż to wyjaśnienie należy się w tym miejscu ode mnie, jako współautora tej kontrowersyjnej książki (jedynej, który pozostał jeszcze do „odstrzału”), bo doszły mnie już pomówienia ze strony tych „życzliwych przyjaciół” Joanny Salamon, których oburzyła ta książka, nazywana „atakami” na Czesława Miłosza. W lutym tego roku dawna przyjaciółka Joanna Salamon, Ewa Lipska, kiedy dawałem jej egzemplarz, powiedziała mi, że słyszała, iż „lepsza byłaby ta książka BEZ TEJ BOCIAN”. Należy więc podać do informacji publicznej, jaka była ostatnia wola termi-

nalnie chorej Poetki. Książka ta jest, zresztą próbą dotarcia do prawdy i zrealizowana została ta próba możliwie obiektywnie, bowiem w oparciu o t w ó r c z o ś ć Czesława Miłosza, wybyta owych „ataków” personalnych. Nie należy się jednak dziwić, że taka uczciwa postawa i prawość, jaką reprezentują zarówno Joanna Salamon, jak i Marianna Bocian, nie przypadła do gustu tym wszystkim „przyjaciółom”, którzy na odsłonięciu pewnych faktów z twórczości Noblisty mogą wiele stracić, skoro dotąd wszakże zyskiwali.

Nagrań wywiadu dokonałem w dniach 28 – 30 listopada 2001 r., w mieszkaniu Joanny. Już po zakończeniu tej pracy, na kilka dni do Krakowa przyjechała Marianna Bocian, jak zawsze ob-



Marianna Bocian



Joanna Salamon

dokończenie ze str. 1

ładowana książkami; Joasi przywiozła słoik leśnego miodu. Zapamiętałem ich powitanie, gdy Marianna weszła do pokoju, w którym umierała Joasia, z wyciągniętymi ramionami i okrzykiem: „Mój ty ptaku! Ty jesteś silniejsza ode mnie, tylko ciało ci wysiadło!” Nie widziały się wiele, może kilkanaście lat. Rozmawiały długo w samotności, zamknięte w pokoju, ale z tego, co powiedziała mi później Mariana - wyłącznie o ostatecznym kształcie planowanej książki, także o dalszej realizacji dorobku Joanny, pozostawionych do wydania książkach, bowiem decyzją Joasi było, abyśmy wspólnie z Marianną stali się jedynymi spadkobiercami Jej spuścizny literackiej. Tak też się stało. Mariana zatrzymała się w mnie. Dnie spędzaliśmy w większości u Joanny, gdzie tak troskliwie opiekowała się nami wszystkimi ukochna siostra Joasi - Oleńka (na stałe mieszkająca w Szwecji, a podczas długiej choroby Jo. przez ponad rok w Polsce). Do mojego domu dosłownie wpadaliśmy. Rozpoczęliśmy również spisywanie nagranych tekstów z taśm - tę pracę wykonywaliśmy nocami, nieraz długo rozmawiając w przerwach, wypalając dziesiątki papierosów w pokoju, w którym spała Marianna. Choć otwierało się okno na zimową noc, było tam szaro od dymu. Któregoś wieczora wpadła moja przyjaciółka Violetta Zygmunt, dyrektor krakowskiego Teatru Stygmat, w którego książkowym wydawnictwie złożyłem do druku pierwszy, po ponad dwudziestoletniej przerwie, tomik Joanny, *Anioł czasu krągłego*. Zdołałem przekonać Jo., że warto, by powróciła jako poetka z nowymi wierszami. Po długich namowach zgodziła się. Potem chodziło już tylko o to, aby Joasia dożyła wydania książki. Jej stan był wtedy bardzo różny. Zrobiłem sondaż, ale żadne wydawnictwo nie podjęło się wydania tomiku w tak krótkim czasie (tzn. w ciągu jednego miesiąca), powoli zaczynał się „gorący okres” w drukarniach, zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Jedyną osobą, która nie odmówiła była Violetta Zygmunt, której od tego czasu przekazałem pierwszeństwo na wydawanie poetyckich książek Joanny Salamon. Oddałem Violi dyskietkę i po dwóch tygodniach Joasia otrzymała piękne egzemplarze swej „niebieskiej książeczki”. Był koniec października i Viola przesunęła planowany wcześniej spektakl na późniejszy termin, wpisując w jego miejsce, na ostatni poniedziałek miesiąca w Jamie Michalikowej, monodram złożony z najnowszych wierszy Joanny, który wykonała Zofia Kalińska. Joasia nie wzięła już udziału w tym projekcie, ale promocja książki została utrwalona kamerą, więc na drugi dzień mogła już ją sobie obejrzeć u siebie w domu. O książce zaczęło być głośno, w czasie gdy kandydowała do nagrody Krakowskiej Książki Miesiąca. Otrzymała ją zresztą, lecz organizatorzy nagrodę postanowili odebrać, ponieważ tuż przed jej wręczeniem Joanna umarła (żyła jeszcze, gdy przyznano Jej nagrodę). Ot, wystarczyło, że Joasi ubyło, a „przyjaciele” Jej zaraz pokazali swą prawdziwą naturę. Był już gotowy do druku wybór wierszy Joanny Salamon, *Nazbierałam w wieczorze światła*. Wtedy to, gdy przysłała do mnie Viola, która wiedziała już, że goszczę u siebie Mariannę, pamiętam, że powiedziałem jej w drzwiach: „No, to poznasz Legendę”. Ale „legenda” uprzedziła moją prezentację, „wparowując” do przedpokoju, rzucając „dzień dobry” i poganiając nas do pokoju, gdzie mieliśmy kolejny pracowity wieczór, gdyż robiliśmy makietę wyboru wierszy Joasi dla drukarni i wybieraliśmy ostateczną wersję okładki. Pomoc Marianny, wieloletniego redaktora w różnych wydawnictwach, była przy tej pracy nieoceniona. Tym bardziej, iż cechowała ją niezwykła zdolność maksymalnego skupienia przez długi czas nad jedną pracą, bez odrywania się, przerywana jedynie zapaleniem kolejnego papierosa. Dziś wspominając tamten wieczór i wszystkie pozostałe, myślę, że to był magiczny czas. Samo obcowanie z Marianną Bocian, możliwość słuchania jej pięknego, kojącego głosu, z charakterystycznym wschodnim zaśpiewem (a to najlepiej

było odczuwalne, gdy poprosiłem ją o to, by przeczytała mi kilka swoich wierszy, bo nigdy nie słyszałem Jej czytającej wiersze; Marianna spełniła moją prośbę i jakżeś niecodziennie, zabrzała mi wiersze *Stała dziewczyna w czerwonej sukience*, czy *Nigdy nie widziałam morza*, przy którym nie omieszkała zaznaczyć, że... naprawdę nigdy nie widziała morza, odmówiła natomiast przeczytania mi wiersza *Czekanie z matką* z tomu *Actus hominis*). I chlōnięcie tych niezwykłych, wcale nie oczywistych prawd - także o sobie samym! Wiedziałem już wiele o Niej i od Niej, znając treść ostatniego wywiadu *Afirmacja życia czy głęboka medytacja* („*Metafora*” nr 47-50, 2001-2002), znając piękne *Poezje wybrane*, które mi przysłała za pośrednictwem Joanny (domagając się, bym i sam zrewanżował się jej swoimi tomikami; potem oceniła je wysoko, ujmując to w słowach: „*bo pan się dobrze, prawidłowo zakorzeni!*”), a w szczególności - *Bliskie i konieczne*. O tym, jak niezwykłą moc posiada ten zbiór wierszy, że naprawdę jest „*bliski i konieczny*” niech świadczy fakt, iż była to ostatnia książka, którą Joanna czytała, do samej śmierci. Nie rozstawała się z nią, tom Marianni leżał stale na szafce przy łóżku, obładowanej tylko lekarstwami. Ten egzemplarz, gdy wziąłem go jako szczególną pamiątkę po Jo. potem długo jeszcze nosił piętno zapachu, jaki jest w pomieszczeniu, w którym przebywa osoba obłożnie chora. Ręką Joasi, ołówkiem zaznaczone są na okładce trzy tytuły z podaniem stron, na których wiersze się znajdują: *W domu umarłej*, wiersz poświęcony ś.p. Annie Kosińskiej, która wspólnie z Marianną Bocian była redaktorem *Latarki Gombrowicza*, *Zawołanie*, wiersz o koniu ciągnącym pług, oraz wiersz szczególny, wiersz-modlitwa *Chorym na raka*. Ta modlitwa Marianny Bocian okazała się szczególnie b l i s k a i k o n i e c z n a Joannie Salamon, więc zacytuję ją tutaj w całości:

#### Chorym na raka

Święć się życie twoje bolesne w ciszy poranka,  
nie zakłóconej czczymi słowami pocieszenia.

Święć się pragnienie twoje  
powrotu do zdrowia w porze południa,  
gdy jeszcze z trudem sprzątasz dom,  
oczekując na powrót najbliższych z pracy.

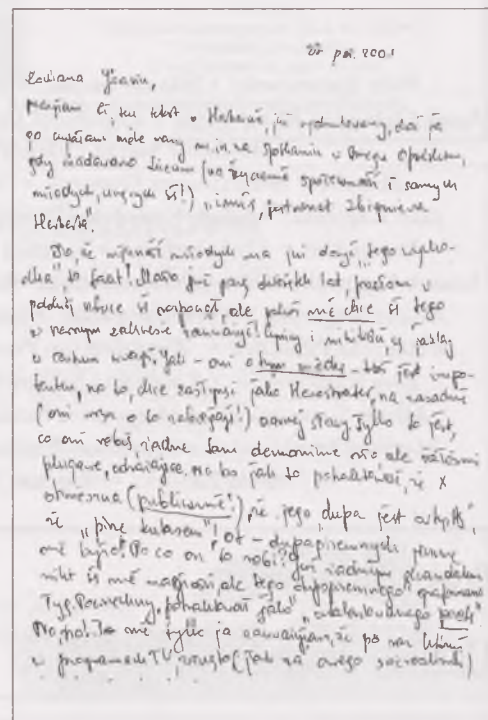
Święć się życie twoje w narastającej fali bólu  
w przejrzytym powietrzu pełnym słońca  
coraz pełniejszego wiekuiętego czasu.

Pomyśl - nie zabierze nas w pełni życia Ziemia  
nie przywróci w cielesności również Niebo.  
...święć się życie do ostatniego oddechu  
bo taka była wola Stwórcy Życia i Wszczęściwa,  
i twoja, i moja, i najbliższych...

Mariana wyjechała 5 grudnia. Miejsce gdzie ją zęgnalem, gdy wsiadała do pociągu, stało się kolejnym z tych szczególnych miejsc. Kiedy tamtędy chodzę, nie mogę nie myśleć o Niej, bo to przecież były nasze codzienne krakowskie szlaki, a niemal wszystkie - w pobliżu mego domu. Nie spotkałyśmy się już więcej, choć tak nie miało być. Kolejna rzecz odłożona na nigdy. Po prostu wciąż Marianna odkładała swój przyjazd do Krakowa, a gdy w końcu ją zaproponowałem, że sam przyjadę, odparła, iż tak nie można, że nie jest przygotowana, że to trzeba by było zorganizować mi we Wrocławiu wieczór autorski. Choć zupełnie nie o to przecież chodziło, ale taka była Marianna. Były natomiast częste telefony, wielokrotnie osobiste, czasami - tragiczne, jak ten, którego zapis, właściwie monolog samej Marianny zawarłem w wierszu *Asparges me*, (wierszu, który nigdy nie miał ujrzeć światła dziennego, ale - teraz okoliczności zmieniły się, i może powinien, choć to wbrew woli Marianny), a częstokroć związane z naszą pracą nad książką *Ostatnia rozmowa z Joanną Salamon*, której Marianna poświęciła cały ostatni rok swego życia, odkładając na później wydanie swego nowego tomu poezji *Ciągła odstona*, przez co nigdy już tej książki nie zobaczy.

Podczas tej pracy wiem, że nie dojadła, nie spała po nocach. Ale tego mi nie mówiła, to wiem od Jej przyjaciół. Marianna nigdy nie narzekała. Czasem tylko w bólu krzyczała, że ma 705 zł renty, po chorobie nowotworowej. W ostatnim czasie odebrano Jej dodatek pielęgnacyjny. Taka jest prawda i trzeba to raz wreszcie powiedzieć, że najwybitniejsza polska poetka żyła w skrajnym ubóstwie! Książka *O ukrytych nurtach w polskiej literaturze. Ostatnia rozmowa z Joanną Salamon*, sygnowana naszymi nazwiskami, która ostatecznie ukazała się w styczniu 2003 roku, stała się nieoczekiwane - ostatnią książką napisaną przez Mariannę Bocian, także Jej testamentem. Zbiegły się wypełniona przyjaźń z ostatnią wolą dwóch najbliższych sobie Przyjaciółek.

W ciągu jednego roku Marianna napisała do mnie 27 listów. I nigdy nie były to listy zdawkowe. Były takie, jak te, adresowane do Joanny, ważne, ostre, ale - w swej żarliwości piękne, walczące z obłudą i kłamstwem, które są karmą wszystkich układów, a w szczególności środowiska literackiego, walczące ze złem na Ziemi. Listy krzepiące, podnoszące na duchu. W ostatnim



(datowanym na 23 II 2003) pisała: „Ciężko mi się żyje, choruję - nie mogę wyjść z grypy, jutro mam komisję lekarską (już 4 i jeszcze nie ostatnia - pędzą chorych jak psów z przetrąconymi kregostupami!). Po tym, mam zamiar jechać na wieś, by opiekować się Mamą, która z trudem podnosi się z łóżka, a brat jest sam, i nie daje sobie rady z „tym wszystkim”. Nie wiem, ale Ciągła odstona chyba ukaże się jesienią. Od 3 lat nie mogę doprowadzić do wydania powieści dla dzieci *Przebudzeni do życia* (II część jest już ukończona w 1993 r.). Koszmar... bo natrafiłam na „zycielowego” który... obiecał mi pomóc wydać... no i po 3 latach zrobiona jest tzn. nie do końca... korekta! Wszystko wskazuje, że będę musiała sama dać jeszcze raz do składu, i sama szukać wydawcy, bo... to, mord na książce, której I część cieszyła się uznaniem u czytelników. Bez dotacji nikt nie chce wydać, mimo, że książka się podoba. Wszystko wskazuje, że będę musiała wyjechać gdzieś trochę pieniędzy na wydanie, dla mnie, to w tej chwili najważniejszej książki życia.”

Miała jechać na wieś na dłużej, a po powrocie przyjechać do mnie. Planowała wracać 7 kwietnia. 7 kwietnia był jej pogrzeb. Te 27 listów to teraz jest moje WSZYSTKO. Nie ma Marianny. Trudno to pojąć, ale NIE MA Jej. Nie wróci z Bełczącą. Myślę, że może tak nie należy mówić o Niej, bo przecież, jeśli wierzyć Jej słowom, to ona jest nadal, tylko inaczej. W promieniach słońca, które każe mrużyć oczy. W ziemi, którą należy gładzić i dotykać, by ją zrozumieć. Marianna jest więc wszędzie. W tych, najtrudniejszych chwilach zwątpienia, można wiele zrobić, by nie tłuc

głową o mur. Słusznie nazywana przez krytyków „Norwidem w spódnicy” potrzebuje teraz, jak niegdyś Norwid, swoich „Miriamów”. Mam u Niej wielki dług do spłacenia. Może wystarczy czasu i życia, by to zrobić.

Poniżej oddaję czytelnikom i wielbicielom Dzieła Marianny Bocian trzy niezwykle listy, trzy ostatnie listy jakie Marianna Bocian wysłała Joannie Salamon przed Jej przedwczesną śmiercią, przed ostatnim spotkaniem. Podobną w treści i przesłanie korespondencję otrzymywałem później i ja. W jednym z tych listów Marianna powiedziała mi, że Joanna poleciła Jej „czuwać nade mną”. Nie przypuszczałem, że nasza przyjaźń jest tak silna. Marianna nie zdawała sobie chyba sprawy, jak bardzo pozwoliła się kochać. Czasami wydawała się surowa, wielkiej klasy był Jej dystans do rzeczywistości. Ale to była czułość, owa najwyższa ceniona przez Nią miłość, która w eseju *Na marginesie historii Marsjasza i Apolla* określiła – *caritas discreta*. To ona sprawia, że mówienie o Mariannie Bocian w czasie przeszłym wydaje się być bezzasadne – ta miłość nie kończy

wiemy zło, niech m o ż e m Dobro”. Zło jest z małej litery, dobro wersalikami (to co jest nie do pokonania). Jest wystarczy uważnie czytać St. i N. Testament, by to pojąć) pewien rodzaj „rozgrzeszenia”, który utwierdza, bądź przedłuża zło. Po – tak myślę! – Chrystusie jest to już wykluczone (jeszcze mamy podany przepis jak przewycięza się owo kuszenie szatana, które każdy doznawał w mniejszym lub silniejszym nasileniu). Ba, szatan w Edenie, też nie obiecywał ludziom, że staną się bogami, on obiecał symulację: „Będziecie żyć JAKO bogowie”. Ja pokazałam w *Bliskie i konieczne* owych „współczesnych bogów”. Nie pamiętam, czy ja Ci wysłałam ten tomik, w którym zamieszczałam niby-modlitwę *Chorem na raka*. Chodzi mi cały czas po głowie, by ją jakoś jeszcze „przepracować”.

Joasiu, *Czas Herberta* jest niezwykłą pracą, sposobem analizy utworów, jaką dziś już żaden filolog nie jest w stanie uprawiać. Jestem przekonana, że jednak **przetem** nie tylko w badaniach lit. w tym nieszczęsnym kraju nastąpi, żeby legion szatanów, niedouków i nihilistów tupał i wył. Prawa karmy nikt nie zawiesi! Destrukcyjność w swym przeroście (Satanes w pierwotnym znaczeniu, to „przeciwnik życia”) zatrząskuje się i eliminuje swoje źródło (to jest owa zagadkowość upadku wszelkich zbrodniczych imperii. Przecież wyraźnie – Joasiu! – nastąpił odchyl od ewolucji

—> ku Duchowemu rozwojowi

! / \  
—> ku niszczylikiemu przestrajaniu planety Ziemi! Nawet w naukach „materię” błędnie określono, a Sedlak ukazał, że w naukach (to fakt!) nikt nie próbował nawet określić życia, znoblowany Monod, podał kretyńską definicję „Życie jest chorobą materii” – zesrała się jeszcze jedna bieda umysłowa!

Jeśli chodzi o Miłozsa, to się już ujawniło w pełni (bo tego nie sposób zataić!), że w cynizmie uprawiając posiew zła, on nie tylko jest antypolski, Litwę też ma w pogardzie! Wszak mógł pojechać do Wilna i podnosić tam wykładając na U. kulturę duchową. A po co? Intrygować, siać jeszcze raz „ziarna nienawiści” między jakże okaleczonymi narodami: żydowskim, polskim i litewskim! W tej chwili w „*Miniaturze*” będzie wznowiony tom *Bliskie i konieczne* w którym przywróciłam pierwotny tytuł „*gnomu*” nie licząc tam, że ktoś się „domyśli o kogo chodzi”, więc ten gnomo będzie taki miał tytuł

#### Manicheizm Cz. Miłozsa

psychiczne upojenie okrucieństwem walki  
dobra ze złem  
wyzwalanie nieludzkich namiętności walki ze złem  
projektowanie zła pod pretekstem walki ze złem

Doprawdy wiadano, że grzech, występki przeciwko Duchowi Św. jest nie do rozgrzeszenia, że jest śmiertelny. Nie wiem dlaczego (w którym wieku to uczyniono?) dlaczego z kanonu Ewangelii, wycyfano Ew. Św. Tomasza, wpisując to w apokryfy. Wszystko, co tam ujęte zgadza się z resztą przekazu, prócz tego wersetu, tej oto myśli Chrystusa: „Jeśli ktoś urąga Ojcu w niebieś będzie mu wybaczone. Kto urąga mnie, będzie mu wybaczone, ale kto urąga Duchowi Świętemu TU i TAM, nie będzie mu wybaczone”. Otóż, to!

Myślę, że to Duch Św., albo za Jego to sprawą, wybierani są ludzie do wykonania pewnych prac, do owych „wyprostowań ścieżek”. Gdybyś spojrzała wstecz, myślę, że byś to dojrzała (choć „pewne sprawy” z tym związane – ja sama to czyniłam! – mogą być opacznie pojmwane do pewnego czasu!). Tu nie chodzi o jakąś głupio pojętą sławę (baniek, kopniaków – tośmy sporo doznali za żywota!), ale Twojego dokonania – to jest kwestia czasu, nie da się już długo ani celowo przemiłczać, ani „metodycznie pomijać”. Te chore układy umrą wraz z ich uprawiaczami! Prywatny „folwark M. Janion” już się sypie, naprawdę ludzie mają już dosyć bycia Jej lokajami (ze

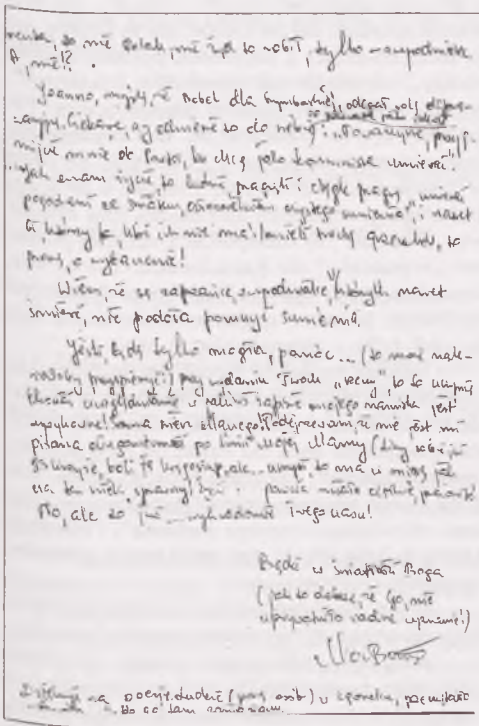
stopniami naukowymi!)

Dzwoniłam wczoraj do Deglera (ten od Witkacego), który z sympatją (ale było to dla niego autentycznym szokiem) potraktował *Latarkę*! Myślę, że miał rację, że te Twoje obserwacje należy porządnie w badaniach sprawdzić, a są sposoby! Właśnie, inaczej odczytać, wedle Twego przepisu teksty pieśni i fr. Kochanowskiego. Nikt, tego wszak nie podjął się. Nie tylko. Jakby pojawił się prof. x, który by nazlecał w tym kierunku prac magist. i doktorskich, sam pisząc (robiąc zawrotną karierę) o tym, to te dokonania Twoje, błyskawicznie by zaistniały! Jest bardzo ciekawym *Czasem Herberta*, obawia się, czy będzie tę książkę można nabyć w którejś księgarni we Wrocławiu! Mojego egz. mu nie dam! tylko pokażę! Pewna jestem, że „rozbębni”, że taka „bomba” się ukazała, a jak wiesz, że nie będzie to „nudna cegła” ani obojętna! No... klakierzy Miłozsa, chyba dostaną białe gorączki, wpadną w delirium, o co posądzano Herberta, w którego utworach panuje taki spokój, że aż dech zapiera! A mnie to śmieszy! Nie pisałam Ci, nie mówiłam, bo to może, wtedy byłoby to dla Ciebie przykre! ale mnie za tę notę na okładce\*\*, aprobację, też „odpłacono”, jak jeden „badacz” rzekł „A na co tyś liczyła, że aprobując *Latarkę*, w której autorka Miłozsa określa faszystą?” Ano – odrzekłam – na uczciwe odczytywanie tekstów literatury polskiej, na rzetelność poznawczą! Popatrzyli i odrzekł: „fajrak”. Tak jakoś myślę „profesorowie filologii polskiej, których jeszcze opiniowało KW, którzy „wiedzą” (bez czytania tekstów”) co mają napisać o...! Jak powiedziałam, że St. Barańczak robił karierę w partii, że w „zasadzie jest poetą jednego tomiku *Jednym tchem*, a reszta to siermiężna grafomania, że jest „nie mniej fałszermem jeśli chodzi o poezję współczesną”, część młodych było wyraźnie zadowolonych, ale taki „życzliwy” później mi to rzekł: „Czy ty jesteś obliczalna (sic!), czy wiesz z kim zadzierasza”. Z kłamstwem i podłością! a mnie gównie obchodzi kto z kim, i za ile! No i co? Ano na całej linii „Krakowskiej i Michnikowskiej” moje nazwisko nie ma prawa się pokazać! Pomyśleć, że to czynią ci, którzy tak „walczyli” z cenzurą, o wolność słowa! – Ja się od tego sama uwolniłam, wręcz sama nie zadaję się z tymi ludźmi, bo mam co innego do roboty, a mój czas bytowania ziemskiego, też się skrócił. To coś „posiał” to zbierzesz ty, twoje potomstwo i naród, to co my, każdy czyni nie jest li tylko jego osobistą sprawą, bo to, wszak wywołuje zawsze skutki, często jak już wiesz – o przerażającym zasięgu niszczyliściwa, lub, zdumiewającej „wieczności dobra”. Tak, moja naprawdę pracowita, rzetelna Rodzina, sporo doznała krzywd i w czasie okupacji, i po wojnie, ja również, ale gdy spojrzę na „losy innych” czy mam prawo do narzekań? Mam poczucie, że jakaś jednak „wyższa siła” prowadziła, dając mi parę razy „kopniaków opatrnościowych” bom się ze dwa razy zawzięła, że nie będę pisać, ani linijki, bo z tego same tylko kłopoty! zajmę się czymś innym! I co? I sru... taki dobrze płatny etat odpłynął z prędkością ponadświetlną! To dziwne... zaczęłam mieć (jakby jakaś nawa to sprawiła) nawet znośne honoraria za publikacje i mniej kłopotów. Nie tylko to! Joasiu, ja jestem parszywym realistą, i bestialskim, bezwzględnym samoobserwatorem siebie samej, swych doznań! Później już osiągnęłam samoświadomość swego przeznaczenia, od którego nie ma ucieczki! Realizuję to teraz ze spokojem, wiedząc, że to co robię, nie może być nadużyte przeciwko życiu (w jakiegokolwiek formie!), najwyżej może być to przez nihilistów oplute, wysmiane, ale to ich sprawa!

Joanko pozostani w Świątłości Boga  
z siostrzaną miłością  
Marianna

\* J. Salamon *Latarka Gombrowicza albo Żurawie i kolibry*, Wrocław 1991 (wszystkie przypisy: E. Ostrowski)

\*\* Marianna Bocian mówi tu o swym posłowie do książki J. Salamon *Latarka Gombrowicza*



się nigdy, trwa poprzez wypełnianie jej posłannictwa. Narasta.

Eryk Ostrowski, czerwiec 2003

### Marianna Bocian Trzy ostatnie listy do Joanny Salamon do druku podał Eryk Ostrowski

25 paźdz. 2001

Moja dzielna, wspaniała duchem Joanko, Wiedziałam od zawsze (nie oznacza to, że byłam inteligentna, wręcz odwrotnie, mój rozwój rozumu dokonywał się z trudnościami i powoli, jeśli chodzi o tzw. myślenie refleksyjne!) że to co nie ujmuje żywym istotom cierpienia, jest bez znaczenia! Życie, przeżycia własne (bo na czym w końcu mam się oprzeć?) to potwierdziły. Nie obchodziło mnie to, że moje zapisane spostrzeżenia, jawiły się komuś herezją! Jeśli chodzi o naukę Chrystusa, a głównie o pozostawioną modlitwę „Ojciec nasz...”, to stała się ona dla mnie ową „wytętną” zrozumienia Reszty, a więc, że nie ma człowieka żadnych „wyjść”, czy innych rozwiązań, ode złego należy odstąpić, i nie liczyć na jakiegokolwiek „rozgrzeszenia”! Chyba podobnie to pojął Norwid, gdy pisał (w *Nieskończony*): „Niech nie

\*\*\*

27 paź. 2001

Kochana Joasiu,

przesyłam Ci, ten tekst o Herbercie, już wydrukowany, choć ja go czytałam wiele razy m.in. na spotkaniu w Brzegu Opolskim, gdy nadawano Liceum (na życzenie społeczności i samych młodych, uczących się!) „imię, patronat Zbigniewa Herberta”.

To, że większość młodych ma już dosyć „tego wychodka”, to fakt! Mało już parę dziesiątek lat, przełom w polskiej sztuce się rozpoczął, ale jakoś nie chce się tego w szerszym zakresie zauważyć! Cynicy i nihilisci, są jakby w centrum uwagi. Jak – oni o tym wiedzą – ktoś jest impotentem, no to, chce zasłynąć jako Herostrater, na zasadzie (oni wręcz o to zabiegają!) czarnej sławy. Tylko to jest, co oni robią, żadne tam demoniczne zło, ale żałośnie plugawe, odrażające. No bo jak to potraktować, że x obwieszcza (publicznie!), że jego „dupa jest artystką”, „pisze kutasem”! Ot – dupopisemnych jeszcze nie było! Po co on to robi? Już żadnym skandalem nikt się nie nagłośni, ale tego „dupopisemnego” grafomana Tyg. Powszechny, potraktował jako „utalentowanego poetę”. No, no! To nie tylko ja zauważyłam, że po raz któryś w programach TV, zaczęto (jak za owego socrealizmu) ośmieszać, zozydzać samo miano poety społeczeństwu, bo jak to pojąć, że pojawiali się osobnicy (ze Świetlickim na czele) pijani, zataczający się, coś bełkoczący! Czy autorzy tychże „spotkań” z polskimi, młodymi poetami, nie mogli poczekać, aż wytrzeźwieją! No to, kto to jest ten „młody polski poeta”? – Ano, pijak, narkoman, coś bełkoczący bezsensownie! Jeśli „takie” coś (włącznie z brulionem) było promowane, to... część uległa zdumieniu, że...! Sataniści od razu wywachali tu okazję, by „wierszować” – bluźnić, wulgaryzować co się tylko da! I co? We Wrocławiu, nic, nikogo nie zainteresuje (z małolatom i włącznie) skandalizowanie, bo tu już, mogą być tylko powtórzenia, a skandal, ma to do siebie, że budzi emocje gdy jest jednorazowy! Nic, nawet tego się nie odnotuje, gdy facet spuści portki na spotkaniu, i powie „Wszystko jest poezją, z moją dupą włącznie”. Ludzie ani się śmieją, ani oburzają, podnoszą się i wychodzą, bo jest wiadomy im cel – facet chce nagłośnić swoje nazwisko, nadużywając tylko, albo pretekstem do tego, jest rzekome uprawianie czego – może poezji, czy sztuk plastycznych? Już nikt nie dorobi „z teoretyków” (no!) uzasadnień tego typu głupoty!

Twórcy – jak świadczy historia (włącznie z takimi „rzeźniami” jak czas hitlerizmu i stalinizmu), i tak (zawsze jest ich kilku – owych Trzech), z jakim wysiłkiem i poświęceniem, ocalają owo „duchowe miano sztuki i twórcy”. Wszak chodziło od zawsze o owe „sztuki piękne”. Piękna nie sposób zastąpić gównem! nawet pod karą śmierci, owa rozwersowana propaganda w twórczości Szymborskiej, Różewicza, Jastruna, Brauna, mogła być okrzyknięta „poezją” tylko umysł w chwili obcowania odrzucał to po wewnętrznej stronie! Ale... co najmniej 2 pokoleniom Polaków, zozydzone (jak się sama przekonałam), samo pojęcie: poezja i poeta! To było świadomie i cynicznie robione! Zleceniodawcy, dobrze wiedzieli, że to, nie jest poezją! a „moskale” mieli dużo czasu, by dogłębnie poznać funkcje i rolę, jaką spełniała od zarania w naszej kulturze – POEZJA. Myślę, że nie tylko w polskiej! Czy Tyś nie zauważyła, skąd jakiś nawrót, (chyba w Europie całej) wręcz nienawiści do poezji, i odmawiania jej jakiegokolwiek marzenia? Ba, skoro pracownik, dr filologii polskiej, zajmująca się lit. Współczesną „objawia” coś takiego, zwracając się do poetów (z różnych kultur) w pogardliwym tonie: „Po co państwo piszecie (już nawet nie używa słowa „twórcy”) wiersze, skoro poezja jest w dobie... TV i internetu (zesrała się bida umysłowa) jest niko-

mu niepotrzebna? Tak myśli nie tylko p. Pyszny! Ktoś krzyknął: „Po to, żeby pani miała zarobek”! Ach... dostała manto! Tu się nic od Homera nie zmieniło, i nie zmieni: „Duch nie zstąpi bez Pieśni” tak, tylko, wówczas, „pieśni” była synonimem owej najdoskonalszej formy. Grecy nazywali ją zamiennie „boską formę”! która co innego (oni byli bardziej pobożni niż myniemy a „pokorni” wobec Ducha Św.) oznaczała, aniżeli „Boże formy stworzenia” (tzn. człowiek ich ustawodawcą nie był, i nie będzie!).

Ja nie ustąpię z tego głoszenia, że nie biologia, owo ciało, jest powodem ciągłego upadku człowieka! Nie! Człowiek (to KTOŚ inny o tym przesądził!) był, jest i będzie: JEDNIĄ bio-psycho-duchową! Tragedią było... jego rozplatanie! i jest ciągle! Ja napisałam wierszyk, który zaczyna się tak

*Nigdyś ty ciało, grzechem tu nie było,  
ani pomyłką Przedwiecznego Boga.*

Posyłam Ci (dla samej ciekawości) inny rodzaj przemysłu! Sprawa jednak dotyczy „Drzewa wiadomości Dobrego i Złego”. Koniec! gadactwa!

Być może – nie jest to zarzut – nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak „istotną odkryłaś mechanikę zła”! Nie ma nieskończoności zła! Tego to się już nie da „opluć, wyśmiać”, że to „bez metody” [tyż mi problem!], albo utaić! Jest to odkrycie – tak myślę – wymagające dopełnień. Co ciągle jest ową zarodzią zbrodni, co ciągle wykrwawia całe narody, a więc, Rodzaj Ludzki? – Nie, nie. Słowackiemu z Norwidem, myślę, że i Krasieńskiemu, który pozornie „stał z boku”, w tej walce z Mic. nie chodziło o jakoweś „rzędy dusz”, a Słowackiemu, najmniej o sławę (tyż mi problem)! Co może Chrystusowi chodziło o „sławę”? No, nie! Ja się dopatrzyłam, że Chrystus był świetlistym racjonalistą, np. gdy uzmysławiał „Jeśliś pomyślał, żeś zabił, toś zabił”! Ponoć to jest niedokładnie przetłumaczone tzn. tu chodzi o to „zamyślane zabijanie, projektowanie go w samym umyśle”, a cóż dopiero o przekazach zewnętrznych! namowach!

Więc... Jedną z głównych (i najbardziej skutecznych) zasad (wiedzieli o tym doskonale już starożytni, pewne, że idealnie wiedział o tym Mojżesz!) owej mechaniki zła jest nicowanie myśli, idei, prawdy! Grecy mieli rację, że kłamstwo musi [by mogło zaistnieć] pozostawić cień prawdy, tzn. kłamstwo rzuca cień prawdy, i dlatego jest szybki lub późno, wykrywalny! Przenicowywanie związane jest ze zmianą funkcji – to co spełniało funkcje ocalające życie, w przenicowaniu (po to się go uprawia) jest niszczyielskie! I tu mamy taki w następstwie proceder – UPRAWDOPODOBNIENIE, które jest często blokadą dojsca owej prawdy! Jak można (Kolakowski był wykrzywieniem i pozostał w owym badaniu marksizmu do końca!) nie widzieć, że Marks **przenicował** religię starożydną! Ureligijniał ideologię komunistyczną. Zrobił to inteligentnie! Jakże po takiej hekatombie, nie chce się ciągle wiedzieć, że wielkie inteligencje mogą być „szatańskie”, a więc niszczyielskie! Nie pamiętam, ale gdzieś czytałam, że szatan (pierwotne znaczenie „przeciwnik zła”, „niszczyiciel życia” – to też się zapomniało!) kusi wyjątkowe tylko postacie, wielkie talenty, ludzi o wysokiej inteligencji! A nie? Zważ że sam Chrystus był kuszony! Ba – a po co On się udał na te 40 dni „samotni” i rozważań? Czy, aby nie po [to], aby otworzyć w sobie owe drzwi do stanu duchowego, a więc, przekształcić całobycie bio-psycho... i oprzeć swe życie na trzecim (On nie odrzucił ani ciała, ani psychiki!) członie jedni – owej „naturze duchowej” i tu go kusiciel chciał cofnąć! Wszak tu jest ów „przepis”, nie tylko kierunku w rozwoju każdego z nas, ale jak pokonuje się owe „pokuszenia”! Co teolodzy, „narobili”? Co to znaczy, że „odkupił grzechy świata” (skąd to znane? – Koziół ofiarny, ale Chrystus nim nie był!), co, anihilował je? A jest ktoś władny to uczynić? Czy aby Chrystus nie zamknął owych „wierzchołków do Zła”? od którego (innych wyjść nie było i nie ma!) możemy (mamy siłę): **musimy odstąpić!** po

takim rozświetleniu, objawieniu, przecież wprost ujętym w „Ojcie nasz”, co wg mnie, nie wymaga już żadnych teologicznych interpretacji. Jaśniej już nie można chyba mówić, tak wtedy, gdy to na żywo mówił Chrystus, jak i teraz. Na Boga, nażyliśmy się, napatrzyliśmy się i doznaliśmy same, same na owym garbie, zrozumienie drugiego człowieka, innych stworzeń, nie jest uzależnione od posiadania „ogromu wiedzy”, czy owej „wysokiej inteligencji”, ale... od naszej, człowieczej, **dobrej woli zrozumienia!** Przecież, toż to oczywistość, istnieje zła wola wysłuchania drugiego człowieka i zrozumienia! A co to oznaczała „cnota” czy „poczciwość” (to u Reja, to samo znaczy), która miała być Polaków kompasem, jak nie kierunkiem ode złego?! Norwid, to wprost określił (tzn. ukonkretnił) „Nie znajmy zła, możemy Dobro”.

Myślę, że tak dotkliwie zostały okaleczone narody: żydowski, polski, litewski, że Miłosz (co on tu chciał zyskać?) jest mało, że nieobliczalny, ale jest zwyrodniałcem, siejąc jawnie nienawiść! Tym razem, nikt się na to, nie dał nabrac (może, jakiś zwyrodnialec, posłużyć się!), Mił. książka o 20-leciu międzywojennym, - zważ! – nie wywołała aplauzu! ani na Litwie, ani w Izraelu, ani (a może dwakroć) u stareńkich, polskich Żydów, którzy... no, studiowali przed 39 r. i „zaliczali”, reszta... a to w Kazachstanie (trzymając się z Polakami!), a to na Workucie, itd. tam dopiero, płacząc z rozrzewnienia, że w Polsce żyło się jakby w bramie raj! – dosłownie! Przecież u prof. Kapuścińskiego słyszałam to! Przecież Elza Erlickowa, „zaliczała” w transporcie z dziećmi polskimi: „wycieczkę” do Kazachstanu! Toż to tam, słyszałam te oto słowa: „Tego, czego dopuszczał się Ważyk, Jastrun + reszta, to nie Polak, nie Żyd to robił, tylko – zwyrodnialec. A, nie!?”

Joanno, myślę, że Nobel dla Szymborskiej odegrał rolę deprawacyjną. Ciekawe, czy odnieś się to do siebie, co polecała jako ideał: „Towarzysze, przyjmijcie mnie do Partii, bo chcę jako komunista umierać”. Jak znam życie, to ludzie, pragnęli i ciągle pragną „umierać pogodzeni ze światem, człowiekiem czystego sumienia”, i nawet ci, którzy (a, któż ich nie ma!) mieli trochę grzechów, to proszą, o wybaczenie!

Wiem, że są zaprzające, zwyrodnialce, w których nawet śmierć nie podola poruszyć sumienia. Jeśli, będę tylko mogła, pomóc... (to może należałoby przyspieszyć!) przy wydaniu Twoich „rzeczy”, to to uczynię. Chociaż uwzględnianie w jakimś zapisie mojego nazwiska jest ryzykowne! Sama wiesz, dłaczego! Podejrzewam, że nie jest mi pisana długowieczność po linii mojej Mamy (liczy sobie już 93 krzyże, boli ją kręgosłup, ale... umysł, to ma w miarę jak na ten wiek, sprawny! Życie od powicia miała ciężkie, pracowite! No, ale to już... wykradanie Twego czasu!

*Bądź w światłości Boga  
(jak to dobrze, że Go, nie uprzywatniło żadne  
wyznanie!)*  
Marianna Bocian

Dziękuję za poezję. Ludzie (parę osób) w Zgorzelcu, przeczytało *Aniota...*, bo go tam zawiozłam.

\*\*\*

śp. Zbigniewowi Herbertowi

a, Ty Książę spowinowacony z Królem-Duchem-Kreatorem

obmyśliłeś oręż duchowe, tę siłę świetlistą tworzącą

kszałty przemian w historii skażonej ludobójstwem

prawdą złączoną z pięknem

wyzwoliłeś umysły ze zdrady duchowej

przyjm choć już pozagrobnie

wdzięczności uklon – odchodzę od tego co  
zwią grobem

wzywa mnie codzienna powinność  
i odczytany wspólnotą testament

Człowieku, któryś w trudzie i odwadze od-  
rodziłeś miano poety

przypomniałeś odwieczne prawdy, że znie-  
prawiony w człowieku duch

znieprawia wszystko: słowo, myśl, działa-  
nie, przynosząc

drogą zdrady pogromy w wielu narodach  
zwyrodniając rzesze ludzkie

nie pomyliłeś się poeto, że Jeden w pełni du-  
chem sprawiedliwy

może przewyciężyć czasy hańby powszech-  
nej

będąc człowiekiem rzetelnego rozumu, sło-  
wa i honoru

takich Królów-Ducha-Kreatorów szatan nie  
mógł pokonać

ani ten lokajski czerep rubaszny,  
który usiłował Ci urągać za nędzny ochlap  
szmalu

- odsłonił w tym samego siebie będąc od  
zasze

posiewem nienawistnej ciemnoty i zła!

Twoje księstwo Sztuki jest promieniste

Druk „*Almanach Prezentacje*”, Zgorzelec 2001,  
s. 8, wyd. na X Nadnyskie międzynarodowe spo-  
tkania literackie, Zgorzelec, 26 – 27 paźdz. 2001\*\*

\*J. Salamon, *Anioł czasu krąglego*, Klub Ar-  
tystyczno-Literacki Teatr Stygmator, Kraków  
2001

\*\* dopisek M. Bocian pod załączonym ma-  
szynopisem wiersza. Wiersz M. Bocian poświę-  
cony Zbigniewowi Herbertowi został napisany  
przez Poetkę na prośbę J. Salamon, którą do głębi  
wstrząsnął i oburzył wiersz Cz. Miłosza *O poezji*,  
z powodu telefonów po śmierci Herberta. Zwróciła  
się więc z prośbą do M. Bocian, by ta zareagowa-  
ła. Rezultatem był przytoczony powyżej utwór.

\*\*\*

18 listopada 2001

Kochana Joanko,

Dziękuję Ci, że jeszcze motasz jak nicią,  
przyjaźń między ludźmi, którzy by – żyjąc, nie  
wszak o sobie, mogli by nie wiedzieć.

Przesyłam Panu Erykowi, bo prosił, wybór  
wierszy! Wiem, że nie miałam czasu, na zapozna-  
nie się z moim „urobkiem”, i chyba wszak, nie  
musiałaś. Bardzo Cię też proszę, byś sobie, już  
nie zwracała tym głowy. Dla samej ciekawości,  
chcę Ci tylko donieść, że wiedziałam „co było grane  
z Kochanowskim”, wiedziałam, że Koch. Był ostro  
też cenzurowany po 1945 r. W okolicach 70 roku,  
napisałam i udało mi się to opublikować –

Umarłych śmiercią podwójną trzeba wstrzą-  
snąć mową codzienną aż od Czarnolasu.

Ani „cisi”, bierni na zło i kłamstwo, nie po-  
siadają jutra (jest to na str. 45\*). Wiesz, jak Mic.[kie-  
wicz] też przeniósł to określenie „cisi i pokor-  
nego serca”?! – Otóż to! – Najkrócej – Twoje do-  
konania są przełomowe, one znajdują się, znajdują w  
centrum uwagi, chyba nie tylko polonistów, ale  
(jeśli chodzi o tych ostatnich!) dopiero gdy pry-  
watny folwark M. Janion, przestanie istnieć! Sło-  
wem – musi się znów odbyć – Wielkie Czytanie,  
tego co jest wewnątrz dzieł p. literatury, a nie (toż  
to kompromitacja) opieranie się na tym, co, kto

napisał (a wszak wiesz już „co nawypisywano”  
za czasów cenzury **zaborców**, a później po 45 r.).

Tak, największą tragedią (która doprowa-  
dziła do ludobójstwa) było rozplatanie JEDNI  
człowieka (a ta jest bio-psycho-duchowa) we  
wszystkich działaniach kulturowych prócz... po-  
ezji! albo może najdłużej w dojrzałych utworach  
mamy doczynienia z ową Jednią, lub... tęsknotą  
za jej odzyskaniem, odrodzeniem w samym czło-  
wieku (bo to jest stan), który by odnowił ją w języku  
po zewnętrznej stronie. Ty już WIESZ, że w po-  
ezji nie chodziło o kretyńskie „robieenie kariery”,  
ani o sławę, ale tu rozgrywano fundamentalne  
sprawy, dotyczące człowieka, narodów, Rodzaju  
Ludz. I całej Ziemi. Rzeczywista poezja (chyba,  
że owa antypoezja, lub rozwersowana propagan-  
da!) nie wyradza się w umyśle w zło. Poezji nie  
można nadużyć przeciwko życiu, Duchowi Św.  
Dlaczego już w XIX w. zaczęto podważać poezję  
w całym układzie kultury zachodu, wręcz odma-  
wiając jej „zasadności” istnienia? – Jak (jaki to  
był koszt!) zozydono poezję i miano poety nie  
tylko w owym stalinizmie społeczeństwu! Jak-  
by ta „poezja” nie miała znaczenia, to chyba by  
takich nakładów sił nie uruchamiano! O żeby to  
sami „pisarczykowie” wiedzieli co znaczy ten  
werset Homera

„Duch nie zstąpi bez pieśni”

ale w an. Gr. wprost (są, są zachowane do  
dziś te przekazy i w j. polskim!) pisano, że owa  
„pieśń” to „boska forma”! Tak, tylko „boska for-  
ma” do czego innego się odnosiła, ma inny źró-  
dłosłów, aniżeli to określenie „Boże formy życia”.  
Mieli, mieli takie coś w umysłach jak „Najwyższy  
Stwórca”, a ów Zeus, był awatarami! Kochanow-  
ski, pisząc o Bogu „Kośćciół Cię nie obejmie / Wszę-  
dy pełno Ciebie” wszak mówi, że żadna religia,  
nie obejmuje Boga! Myślny zresztą nie mieli Go  
poznawczo (szpiclując?) obejmować, ale spajac  
się życiem! Ta bzdura, że Bóg odtrącił człowieka,  
że ponoć opuścił (wycofał się) stworzony wszech-  
świat i Ziemię, i wszystko co stworzył! No bzdury!  
To człowiek zrywa tę więź po wewnętrznej  
stronie!

Joasiu, Robolu Pańskiej Winnicy! Krzew winy  
zasadziłaś, i on będzie, się **powoli** rozrastał.  
Dla mnie jest wstrząsające (ale w tym ozdrowień-  
czym znaczeniu!), że Słowacki, Norwid, Herbert  
nie dali się porazić wątpieniem! Byli pewni (wol-  
ni od pychy!), owego „pośmiertnego zwycięstwa”  
(tzn. tego, że rzeczywistość, to co stworzyli, po-  
twierdził!)

Ja sobie Joasiu nie wyspekulowałam tego,  
co jest na str. 132! Ale nie zamierzam, ani two-  
rzyć dowodu, ani podawać faktów, a to dlatego,  
żeby ograniczyć profanację. Po co pisać pół km  
traktatów, skoro wystarczy wejrzeć w samego sie-  
bie (nożna też drugą osobę zapytać!) – czy chcesz  
być poznana, czy na pewnym etapie człowiek nie  
dostrzega, że jest pewien rodzaj „poznania”, wy-  
radzający się w specyficzny rodzaj szpiclowa-  
nia, poznania w celu zdobycia wiedzy „jak  
sprawniej mordować”. Czy umiłowana? Wszak  
chodziło o funkcje nadawane poznaniu!

Czytałam Twoje utwory (tzn. one są w to-  
miku) w Tyg.P.\*\*\* *Byłam w Brzegu Op.* Na spo-  
tkaniach, Herbertianach – przyjechała z całej Pol-  
ski (parę osób) młodzież ze szkół im. Herberta!  
Szkoda, bo można było zrobić promocję Twojej  
książki\*\*\*\*. Była promocja książki Łukasiewicza.  
Jaka, to zapewne wiesz – piasek, atomizacja. Ale,  
wzłam ci ja na podium, i otrąbiłam, pokazując,  
że „Nareszcie ukazała się fenomenalna, przełomowa  
w badaniach nie tylko literackich, praca...”. Sporo  
osób pytało, gdzie ją kupić! Poradziłam, by się  
skontaktowali, głównie dyrektorzy tychże szkół,  
z wydawcą – przepisali adresy! O to chodzi, by  
ta książka dotarła nie tylko do tych folwarków –  
filologów, ale młodzieży i studentów! To nie jest  
tak, jak się pokazuje w TV, że młodzież tylko  
cpa, chla, i się dziubcia, (to margines). Młodzież  
szcbyć rozumie (jeśli tylko zada sobie trud prze-  
czytania) to, co jest ujęte w tekstach, niż profeso-  
rowie uniwersyteccy, którzy wypaczają wręcz  
odbiór **teoretyzmami!** które nie mają zwrotności  
ku człowiekowi. To horror, oni teoretyzują bez

uwzględniania dzieł liter., których nie czytają! a  
jak lit. się z tymi ich wycopinami rozmija, to mó-  
wią, że tym gorzej z nią! No, no! Tego lenistwa,  
nie da się usprawiedliwić rzekomo niskimi pen-  
sjami! Deprawują studentów, narzucając im pra-  
ce magisterskie o głupich tematach, bądź... prace  
(stadnie!) o paru pisarzach! I to minie! Co rocz-  
nik, to jest parę owych orłów, umysłów otwar-  
tych, niezależnych. Tu nie będzie cudów – sama  
wiesz! – trzeba ponieść zwielokrotniony wysiłek  
by wypracować pozytywny w kulturze przełom,  
zaczynając od owej zapowiedzianej przez Jaśnie  
Gombra „rewizji”.

Ja myślę, (trzeba tu dobrze pogłórkować,  
jeśli chodzi o „wydębienie” trochę grosików!), że  
nieodzowne jest wzniesienie *Latarki*, z paroma  
wypowiedziami, objaśniającymi, dlaczego to jest  
praca przełomowa, wymagająca kontynuacji!  
Poeci ostre dyskusje wypisali wewnątrz swych  
dokonań. A broń Boże, nie czynię Ci zarzutu, ale  
co „jest” u Leśmiana, i później u T. Gluzińskiego  
w *Bóg, Trąba i Ojczyzna?* E. Morawiec, pisała, że  
ta (to wg mnie czcza grafomania) książka „kwa-  
lifkuje się do sądu o obronę fundamentów god-  
ności narodowej”. L. Szaruga w recenzji *Kto tu  
kogo robi w trąbę*, orzekł, że to nie tędy droga, i tak  
„strugnął” Barańczaka, nie bał się, że za nim stoi  
Miłosz, + Reszta! Szaruga, podkreślił, że „polska  
kultura to nie śmietnik, na który można wyrzu-  
cać zużyte odpadki cywilizacji zachodniej”. Bar-  
rańczak w cynizmie przerósł lżenie zaborców! Ależ  
tak! – cała nasza lit. od zarania pisana w j. pol-  
skim – wg. Barańczaka – to nonsens! Nas – jakby  
ktoś nie wiedział, to Stasiu to twierdzi! – zgubił  
język polski! To co, mieliśmy się zruszczyć, zger-  
manizować, lub władać może... litewskim? To nie  
tylko Miłosz, czy Barańczak, nie mogą ujrzeć, że  
zaistnieli jako pisarze (nie dlatego, że znali j. an-  
gielski) dzięki i w oparciu o kulturę polską, i ję-  
zyk polski! L. Szaruga, w sposób uczciwy i spra-  
wiedliwy, ukazał, że Barańczaka „myślenie” an-  
tynarodowe jest „wytrawione w truciznie cywili-  
zacji konsumpcyjnej” (jest zresztą plagiatowa-  
niem nie tylko Kurta Vonneguta – który w do-  
słowności opluwał wszelkie narodeowe wartości,  
włącznie z opluwaniem flagi i godła); on zresztą  
nie miał żadnych własnych poglądów politycz-  
nych, był papugą! Przecież Ty dobrze wiesz, jak  
Miłosz usiłował zdyskredytować Norwida (dzi-  
wował się, że ktoś jeszcze upatruje w tej poezji  
mądrości, której się nie dopatrzył), twierdząc,  
że – dosłownie – jest „za lechicki”, tzn. za polski!  
Tyż mi zarzut, powtórzony za zaborcami! Jaki to  
jest cyniczny gracz, później się z tego (na odczep-  
ne, i dla zmyłki polonistów) wycofał w *Roku  
m.[yśliwego]*. Jaki on jest wtórny do Norwida!  
Dobiorą się i do Miłosza, badacze, i wszak chodzi  
o to, jak on odsłonił samego Człowieka! Tyż mi  
„ideal” (jeszcze to wypisano, na ironię, na Krzy-  
żach) „poeta pamięta”, a tam winno być wykute  
albo zdanie-przesłanie Kochanowskiego „Cnota  
jest moim kompasem” albo ta myśl Norwida: „Nie  
znajmy zła, możemy Dobro”!

Tak uczciwie, nie czytając już moich tekstów,  
a to dlatego, że abyś ze siebie, będąc w stanie  
„*homo patiens*” (człowiek cierpiący) mogłaś ema-  
nować tym dobrem, wyrastającym... z całobytu  
owej Jedni, a ta, zawiera ową potencję Ducha!

Ufam, że Bóg sprawi, że się spotkamy, jesz-  
cze w tych cielesnych ubrankach! Ja parę słów  
skreślę do Pana Eryka!

Catuję Cię

Marianna

\* M. Bocian, *Poezje wybrane, Towarzystwo  
Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1998.*

\*\* M. Bocian mówi tu o kilku gnomach zazna-  
czonych otówkiem w przesłanym egzemplarzu swych  
*Poezji wybranych.*

\*\*\* J. Salamon, cykl *Ból*, [w:] „Tygodnik Po-  
wszechny” nr 46 / 2001

\*\*\*\* M. Bocian mówi o książce J. Salamon *Czas  
Herberta albo na dom w Czarnolesie, Volumen, War-  
szawa 2001.*

Krzysztof Bilski

## Historia pewnej karykatury



Ilekoć kończyłem pracę, miałem ochotę na kawę. Małą, czarną, mocną kawę. Wstępowałem więc do pierwszej, po drodze do domu, kawiarzki. Było to pomieszczenie, w którym ledwo mieściły się cztery stoliki. Mógłbym powiedzieć – zaadaptowane ze smakiem ale nie, w ogóle nie było zaadaptowane.

Białe, zaszle kurzem ściany, a na jednej z nich wisiał kalendarz sprzed trzech lat. Chyba dlatego go nie zdjęli, bo był bardzo, hmm... kobiecy. Przyciągał wzrok, że ho, ho, czy, że tak powiem za Salingerem – klękajcie narody!

Choćby dlatego kalendarz chciało się tam wracać. To i wracałem, średnio dwa, trzy razy w tygodniu. Zamawiałem tylko małą, czarną, mocną kawę. Była smaczna, więc i dla niej wracałem. W ogóle było mi po drodze. Zresztą nie to jest istotne. Z tym koniec. Teraz od innej strony.

Za wysokim, sięgającym mi prawie do szyi barem, stały dwie kobiety. Jedna była wiekowo podeszła, druga zaś młodzieńka, ledwo jej bluzeczka odstawała od piersi. Ilekoć składałem zamówienie, spoglądały na siebie ukradkiem, potem wracały do swoich obowiązków z uśmiechem na twarzy.

Z początku był on lekki, ledwo skurcz, jednak w miarę jak pokazywałem się tam częściej, wzbierał na siłę, przechodząc w – z trudem duszony – rechot. Trzeba zaznaczyć, że nie był to uśmiech z serii tych miłutkich, mających na celu zaskarbić sobie względy klienta. Był subtelny w zarysie, ale w znaczeniu szyderczy. To się nie tylko czuło. Było też widać. Choćby te opiłki rozbawionego wzroku, rzucane na moją osobę, i tak zresztą tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Na początku niby nic. Potem zaczęło mnie to drażnić i krępować. Co jest do diaska – myślałem – chyba nie jestem taki śmieszny? Owszem, byłem gruby, niski, czaszkę miałem w trzech czwartych ogołoconą, no, ale zaraz, zaraz! Przecież, że się tak wyrażę, parafrazując Terencjusza: nic co ludzkie nie jest mi śmieszne! Poza tym, kiedy nie byłem jeszcze taki, powiedzmy obskurny, to widząc podobnych do mnie, nie miałem ochoty na śmiech. Nawet gdyby, to i tak nie odważyłbym uśmiechnąć, zaśmiać się z tego kogoś w jego obecności, prosto w oczy! Wytrzymałbym, zdusił, ukrył się w zaciszu swojego mieszkania i wtedy, ewentualnie, ale nie za długo. Z umiarem. Boków ze śmiechu bym nie zrywał.

Przecież, jeśli człowiek ma karykaturalną fizjonomię, to raczej należałoby współczuć, a nie naigrywać się szyderczym uśmiechem. Gdzie tu miejsce na szacunek dla innego? Nie chcę jednak moralizować. Idźmy dalej.

Za każdym razem ich uśmiechy wzmagaly się. Za piątym czy szóstym nie były już takie ukradkowe. Krępowało mnie to straszliwie. Zamawiając kawę, czerwieniłem się, niczym młodzieniaszek; a czy zrobiłem co złego, żeby narażać się na takie... takie, że tak powiem dosadnie, chamstwo?!

Oczywiście, mogłem się tam więcej nie pokazywać, ale zaraz, zaraz. Czy ja zrobiłem co złego?! Dlaczego mam uciekać, chować się, chodzić bocznymi uliczkami?! Nie! Stanowczo nie! Za duży jestem na takie zabawy. Pójdę tam i zapytam. Wprost zapytam – z czego się panie śmiejecie?! No! Słucham! Zapytam, a jakże, i stukając palcami o blat, będąc czekał na odpowiedź.

Już słyszałem ją w myślach, wyrzucaną w kawałkach, wystraszone głośnie.

- Nie, nie... my tak tylko, ten tego... tak sobie...

Zakrzyknę wtedy, ile sił.

- Dość!!! Prawdy chcę!!! Prawdy!!! – przesyłabizuję.

I nie przestanę stukać palcami o blat, wzma-

gając nerwową atmosferę. Co mi tam. Chodźmy więc. Wejźmy do środka.

\*

Na sali nie było ani jednego klienta. Dobra okazja, żeby odegrać tę scenkę. Tylko ja i one, wijące się pod moim rozwścieczonym spojrzeniem. Błagające o litość.

- Na miłość boską! Niech pan przestanie! – będą krzyczeć, jedna przez drugą.

- Powiemy! Powiemy! Tylko niech pan przestanie! Zamknij oczy! Odwróć wzrok!

Podszedłem do baru wolnym, spacerowym krokiem i już wiedziałem, że scenka z palcami stukającymi o blat nie wypali. Bar był wysoki, a ja miałem za krótkie ręce. Co prawda, mogłem je wyciągnąć i położyć, ale jak by to wyglądało – komicznie, a tego, najmniej było mi potrzeba w tej sytuacji.

- Więc, hmmm, tego, no... kawę proszę! – powiedziałem, wyrwijając głowę, żeby móc spojrzeć kobietom w oczy. Aż mnie szyja rozboleła.

One wychylały się zza baru i uśmiechały się.

- Coś jeszcze? Zapytała ta z sześciodekadowa.

- Nie, nie... to znaczy ja jeszcze, jakby... – do cholery, nie tak miało być – nie! Nic już!

- Proszę poczekać! Zaraz przyniosę! – odezwała się szczylica, nadymając policzki, by nie wybuchnąć śmiechem.

Odszedłem do stolika w najciemniejszym kącie. Byłem spocony i rozdygotany. Nie przyjdę tu już nigdy więcej. Nigdy. Nie będę się narażał. Na co mi to, a przede wszystkim, za co?!

Szczylica przyniosła kawę. Nie miałem odwagi spojrzeć jej w oczy. Czerwony jak burak, zerkałem na nią ukradkiem. Uśmiechała się. Diablica uśmiechała się nieznośnie. Nie! Nie wytrzymam!

Wypiłem kawę najszybciej jak mogłem, z głową schowaną między ramionami, byle nie widziały mojej tysej, płonącej wstydem czaszki. Wyszłem stamtąd jak złodziej. Po ścianie. Nie patrząc im w oczy.

\*

Pół nocy stawiłem na rozmyślanie całej sytuacji. Gdzieś koło trzeciej, upewniłem się co do jednego. Byłem na swój sposób karykaturalny. Przyznaję, że konkluzja ta nie powaliła mnie na kolana, i nie dlatego, że leżałem, ale dlatego, że byłem człowiekiem starym i zdążyłem się do siebie przyzwyczaić na tyle, że mnie to, nie grzało, ni ziębiło.

Moje życie straciło z rozpędu koło pięćdziesiątki, kiedy zrozumiałem, że nie uda mi się przygarnąć śliczniutkiej białogłowy, która byłaby mi żoną i matką moich dzieci. Wtedy podpadłem na ducha, uświadomiwszy sobie, że nie będę mógł pouczać, karać, rozpieszczać, całować, pieścić, komplementować... Ogarnęła mnie panika i poczucie pustki, w której przyjdzie mi żyć. Samotnik. Cóż taki może? Jeśli jest nieułatwowany, to tylko przyjąć z pracy, zamknąć się w swoim eremie, i puszcząć baki przed telewizorem. Żebym chociaż był twórczy. Malować, pisać, czy ja wiem, a tak... urzędnik. Urzędnicy muszą się żenić. Nie zna życia ten, kto nie był mężem i ojcem. Po to jest małżeństwo. Tak to widzę.

Teraz myślę o tym, bez emocji – może to dobry moment, żeby wykoncytować jakąś filozofię? Lepiej przecież mówi się o czymś wzniosłym z wyrównanym oddechem. Nie. Nie. Jestem urzędnikiem. *Homo cyferusem*. Zresztą i tak mi się nie chce. Przyznam, że z zazdrością patrzę na tych nadętych młodzieniaszków z urzędu. Chodzą wystrojeni, a w ich lakierkach można się

przeglądać. Roznoszą zapachy pachnidel i chodzą, byle tylko z uniesioną głową przejść obok petentów. Niby idą do toalety, cha! Już ja znam tę ich toaletę. Wchodzą tam, owszem, ale nie żeby pozbawić się zbędnego balastu. Idą postać chwilę, przyczesać fryzurkę i wychodzą, byle przejść obok petentów. Sam tak nie potrafię, no nie mogę. Jak usiądę za biurkiem, tak siedzę. Czasami czuję się, jak kawał wysuszonego kłosa, gdzieś na dwa kubiki. Dlatego, o ile szczylica i sześciodekadowa rozwścieczyły mnie szyderczymi uśmiechami, o tyle wybudziły z otepienia, marazmu, zagłuszającego człowieczeństwo. Zaczęłem przeżywać. Teraz tak to widzę. Wtedy tylko się wściekałem, prowadząc taki tok myślowy: skoro śmiały się ze mnie, znaczy, że coś je do tego śmiechu pobudzało. Dalej. Gdybym był mniej więcej normalny, nie było by powodu do śmiechu, a więc...

Tak. Tak. To wiele wyjaśnia. Na przykład – dlaczego żadna kobieta nie chciała mnie za męża? Byłem karykaturą, a która chciałaby za męża karykaturę? Chyba inna karykatura, ale takim nie proponowałem małżeństwa. Kręciłem się wokół bóstw, ale te patrzyły na mnie pobłażliwym wzrokiem, uśmiechały się półksiężycowo i mówiły, że mają inne plany na dziś, jutro, za tydzień, miesiąc, rok, dwa, pięć!

Na takich podchodach zeszło mi kilkadziesiąt lat. Gdybym wtedy trafił na sześciodekadową i szczylicę, z miejsca uklęknąłbym przed jakąś karykaturą i poprosił o rękę. Tak myśląc i wzdychając, zarzuciłem ręce pod głowę. Czaszka!!! – pomyślałem nagle, koło czwartej w nocy.

Zerwałem się z łóżka, zapaliłem światło i, pochylivszy się przed wysokim lustrem w staromodnej komodzie, niczym byk przez torreadorem, wychylałem wzrok, żeby dojrzeć odbicie swojej czaszki. Pomyślałem, że mam coś na niej, jakąś skazę, rys, brud czy coś jeszcze, i to właśnie bawi sześciodekadową i szczylicę.

Kiedy tak się gimnastykowałem, do pokoju weszła matka, ale tak cicho, że dopóki milczała, nie zdawałem sobie sprawy z jej obecności.

- Feliks! Co z tobą?! Syneczku! Złoto moje! – odezwała się wystraszone głośnie.

- Nic mamusi! Nic! – powiedziałem z kłopotem.

To jej nie uspokoiło. Usiadła na brzegu łóżka i zapłakała.

- Feliks! Ty wariujesz! – stwierdziła szlochając. – Tobie trzeba się ożenić! Feliksie, ty musisz kogoś mieć! Ja ciebie proszę, Feliksie, zainteresuj się! Posłuchaj mamusi!

- Ależ nie! Mamusi... – usiłowałem wyjaśnić.

- Feliks!! – powstrzymała mnie. – Ty wariujesz!!! – powtórzyła diagnozę stanowczym głosem. – Nikt o zdrowych zmysłach nie chce ubóstwa lustra..., a co dopiero o czwartej w nocy!! Feliks połóż się!! Posiedź przy tobie!!

nie było odwrotu. Skoro matka coś postanowiła, tak musiało być. Ja przynajmniej nie byłem w stanie tego zmienić. Kiedy leżałem w łóżku, głaskała mnie po głowie i powtarzała szepetem:

- Już dobrze. Już dobrze. Mamusia jest przy tobie. Śpij syneczku. I usnąłem.

\*

Obudziłem się koło południa. Była sobota, więc mogłem sobie pozwolić na taką rozpustę, tym bardziej że położyłem się spać bardzo późno. Przeciagając się w łóżku, usłyszałem głos matki.

- Taaak! Może tak być, że też o tym nie pomyślałam, hmmm...

Zaraz potem drugi, męski.

- Nooo, droga pani – mówił nadęty aprobatą matki – Typowe! Takie, że się tak wyrażę – przypadki, rozpoznaję w ciemno!

Otworzyłem drzwi i wyszedłem do łazienki. W połowie drogi zatrzymał mnie stanowczy głos matki.

- Feliks! Pozwól tutaj!

Pozwoliłem.

W kuchni siedział staruszek w garniturze w jodełkę. Włosy miał siwe, długie, czesane na bok. Na nosie wążki okulary w pozłacanych oprawkach, znad których patrzył na mnie czujnym, badawczym wzrokiem.

- To jest pan Tycjan Picuś! Doktor Tycjan Picuś! – przedstawiła go matka – biopsych... – tu przerwała niepewna.

- Psychobio! – poprawił ją doktor.

Tak! Tak! Psychobioelektro... – znowu stała.

- Energo! Psy-cho-bio-energo, energoterapeuta!! – przesyłabizował poddenerwowanym głosem.

- Tak! Tak! Psychobioenergoterapeuta! – powtórzyła ostrożnie. – Proszę mi wybaczyć!

Skinął głową na znak, że wybacza. Matka, uspokojona tym gestem, mówiła dalej.

- Pozwoliłam sobie zaprosić pana doktora, żeby... – zawałała się – żeby cię obejrzał!

- Ależ mam... – usiłowałam protestować, ale bez przekonania.

- Siadaj! – rozkazała, wskazując stojący na środku podłogi taboret, po czym odeszła w głąb kuchni. Nie usiadłem jednak.

Doktor podniósł się, ręce splótł za plecami i odkasłując w zewnętrzną stronę prawej dłoni, obchodził mnie do koła. Ruchy miał sztywne; przeintelektualizowane. Zajrzał mi w lewe ucho, potem głęboko w oczy. Przynajmniej się bliźutko, zrażony fetorem z moich ust, odsunął się, z grymasem odkasłując. Zajrzał w moje prawe ucho i poprosił, żebym usiadł. Usiadłem.

Wtedy, wraz z moją matką, schowali się za moimi plecami. Nie odwracałem się, gdyż nikt mnie o to nie prosił. Nagle usłyszałem krótki, zbliżający się w moją stronę, zagęszczony tupot i poczułem silne, zadane z rozmachu uderzenie wewnętrzną stroną dłoni w moją łysą czaszkę. I ten sam, tym razem oddalający się tupot. To Picuś wyrzucił mi zniemacka i po zadaniu ciosu odbiegł. Bolało mnie i to bardzo. Chciałem coś zrobić, żeby złożyć ból. Pomyślałem jednak, że w sytuacji bycia oglądanym, nie należy wykonywać żadnych ruchów. Ograniczyłem się do mocnego zaciśnięcia zębów i stłamszenia bólu w sobie.

- Widzi pani?! Widzi pani?! – krzyknął zachwyconym głosem.

- Mhmmmm... – zamruczała matka – ta-aaak – rozwlekła – miał pan rację.

- Cha, bo to dla mnie nie pierwszyna!! Rzekłbym nawet – chleb codzienny!! Takich miałem u siebie dziesiątki!! Nie!! Nie!! Co ja mówię dziesiątki!! Setki!! Setki!!, droga pani!!

- Więc jak, w końcu... jak to się nazywa?! – zapytała matka, najwyraźniej przejęta.

- Trąbullus ignorantius!! – wyjaśnił doktor. – Chłopina jest do niczego!! Pusty aksjologicznie, że tak pozwolę sobie się wyrazić!! Widziała pani!! Ja go lu!, a on co?! – zawiesił głos pytająco – Nic!! – odpowiedział zaraz. – Najpierw spojrzal w prawo, potem w lewo, i nic więcej!! Tylko tyle!! O, o, proszę spojrzeć!! Jak usiadł, tak siedzi!! Zachowuje się, jak ta przysłowiowa trąba!!

Siedziałem bez ruchu. Owszem, ale dlatego, żeby nie utrudniać obserwacji. Nie wiem dlaczego, ale Picuś przypominał rozszalonego artystę malarza, którego najmniejszy ruch modelu doprowadza do szału.

Przez chwilę chciałem wyjaśnić to nieporozumienie, ale ostatecznie dałem spokój, zobaczywszy, zaraz po tym, jak matka dotknęła mojej głowy, pozwalając odejść, jak Picuś namiętym głosem – podkreślonym zamazystą gęstokulacją – monologował matce na temat schorzenia, które u mnie wykrył, bądź co bądź – doświadczał. Oboje nie zwracali uwagi na to, co robię. Wyniosłem się z kuchni mówiąc, że idę się umyć.

Goląc się, jak echo dopadły mnie słowa – *trąbullus ignorantius, trąbullus ignorantius...* Jeśli

Picuś ma rację? – Myślałem. – Jeśli ze mnie rzeczywiście jest taka trąba, co wrzucona do rzeki życia płynie i płynie z jej prądem, ani razu nie zamachnąwszy rękoma?

- Nieeee!!! – krzyknąłem, gwałtownie zatapiając maszynkę w misce pełnej wody. Trzeba z tym skończyć – dodałem w myślach. Ledwo otarłem twarz, wyszedłem z łazienki, podniecony powziętą decyzją. Matka i doktor Picuś ucichli; i niby to nie, ale widziałem, że przyglądają mi się podejrzliwie, bąkając bez ładu i skladu, byle sprawić wrażenie, że rozmawiają.

- No tak, tak... cha, cha... oczywiście... – rzucił Picuś.

- Nie, skąd... chociaż... – zastępowało go matka.

Nie zważałem na nich. Owszem, wiedziałem że mnie obserwują, ale byłem tak zdeterminowany powziętym zamiarem, że mało mnie to obchodziło. Na dobrą sprawę mogliby wystawić sobie taborety na korytarz i obserwować mnie do woli. Tego nie zrobili. Zostali w progu i patrzyli, jak wspinam się na drabinę, otwieram szafkę i wyciągam dykciańską walizkę.

- Feliksie! – zagadnęła matka. – A po co ci, synuniu, walizeczka? – zapytała przesłodzonym głosem, siłąc się na uśmiech, który miał mnie upewnić, iż każdą odpowiedzią się zadowoli, przyjmie na równi; a w ogóle, że pyta tak tylko.

- Na co ci, synuniu, walizeczka, he?

Walizeczka, cha, dobre sobie. Waliza, że można by w niej pół szafy upchnąć, a ona mówi – walizeczka. Nie odpowiedziałem. Mogłem tylko zmyślić, ale nic nie przyszło mi do głowy. Bąkałem tylko, że tak sobie, nic ważnego i poszedłem do swojego pokoju.

- Synuniu, a zrobić ci herbatki z cytrynką?! – zapytała zza drzwi, przytulona do szyby. Znowu tym głosem. Och! Jak mnie to drażniło. Nie miałem ochoty na herbatkę, ale co tam, niech ma przyjemność.

- Tak! Proszę!

Słychać było, jak się uwija i szepce z doktorem. Ja w tym czasie ubrałem się. Za chwilę weszła ze szklanką, bynajmniej nie gorącej herbaty. Była chłodna.

- Wypij synekczku! Wypij! – nalegała. Picuś wkładał głowę do pokoju, stojąc za progiem. Zaczynało mnie to denerwować. Musiałem wyjść jak najszybciej. Najpierw jednak wyszli oni; ale nie poszli do kuchni. Stanęli za drzwiami, przykładając uszy do szyby. Podśluhiwali. Dlaczego? Wyjaśniło się, kiedy sięgnąłem po herbatę. Pływały w niej okruszyny jakichś tabletek. Pewnie Picuś nagadał matce o jakimś ataku, czy coś takiego. Herbatę rozlałem do doniczek z kwiatami. Chcąc uspokoić matkę, zacząłem głośno siorbać, udając, że piję. Cienie ich głów potakiwały. Zadowoleni, uściskali sobie dłonie.

- Czas wyjść na spacer! – powiedziałem głośno, niby do siebie ale naprawdę chodziło mi o to, żeby odeszli od drzwi. Nie chciałem ich zaskoczyć. Udało się. Wyszedłem z walizką w rękę. Oni stali obok drzwi.

- Zuch chłopak! – krzyknął staruszek, poklepując mnie po ramieniu. – Zuch! Wypił całą herbatkę! Zuch! Zuch!

Na sali siedziało kilka osób. Staruszek o kępkowatych, kręconych włosach, który wyrwał działkami kęsy kanapki, głośno ciamiać. kobiety wydawały się bardzo poddenerwowane; jedynie obecność nowego klienta, powstrzymała je od zwrócenia uwagi staruszkowi. W rogu mizdrzyła się do siebie jakaś parka. Chłopak oczy wypluwał, patrząc, jak dziewczyna natrasza w śmiechu dużymi piersiami. Wiercił się, co chwila rzucał jakieś werbalne ornamentyki, komplementując jej wygląd. Ona kwitowała je głośnym śmiechem. Sześciodekadowa i szczylica zerkały w stronę parki, to na staruszką. Usiłowały poskromić ich spojrzeniem.

Podszedłem do baru i rzuciłem walizkę. Plasnęło i huknęło tak, że na chwilę zrobiło się bardzo cicho. Wszedłem na walizkę i w jednej

chwili urosłem o jakieś 40–50 centymetrów. Pierwsze, co zaobserwowałem, to zdziwienie i jakby szczyptę strachu.

- Słucham! – odezwała się szczylica z dystansu. Sześciodekadowa wyszła na zaplecze. Nie odezwałem się i jeszcze długo nie miałem tego zrobić.

- Słucham! Co podać?! – zapytała, zaniepokojona milczeniem. Ja nic. Stałem na walizce i z posagowym wyrazem twarzy patrzyłem prociusięro w jej oczy. Sześciodekadowa wyszła z zaplecza, zaintrygowana truchlejącym głosem szczylicy.

Ledwo weszła, błyskawicznie, niczym zabójca, przerzucający luźną pistoletu na pojawiającą się nagle osobę, przerzuciłem na nią wzrok. Kątem oka dostrzegłem, jak szczylica ściera pot z czoła. Sześciodekadowa wydała się równie – jeśli nie bardziej – przerażona moim zachowaniem.

Skrzywiłem usta w delikatnym, ledwo co, uśmiechu. Długo trzymałem ten uśmiech. Potem, nie otwierając ust, wykrzywiłem je jeszcze bardziej.

- Co... podać?! – zapytała sześciodekadowa, siłąc się na stanowczy ton. Był mi niepepuś wszystkiego. Powolutku. Spokojnie. Etapami.

Otworzyłem usta. Kobietom ukazał się niezbyt piękny widok żółkłych zębów.

- Kkkkaa...wę... podać?! – zapytała szczylica, przełykając wezbraną ślinę. Ja długo nic. Potem kilka razy skinąłem twierdząco głową, nie przestając wyszczerzać zębów w głupawym, ale przerażającym je, uśmiechu. Szczylicę praktycznie miałem już z głowy. Jedynie sześciodekadowa stawiała jeszcze opór, ale bez przekonania. Zmuszała się najwyraźniej.

W pewnym momencie, zdecydowanym krokiem, wyszła z za futryny, podeszła do baru i równiutką, nabrzmiałą linią głosu zapytała, co podać. Mimo woli, nie przemyślawszy tego wcześniej, uniosłem brwi najwyżej, jak tylko mogłem. Wargi wyciągnąłem do przodu, niczym zasapani bokser. Natychmiast zdjęła dłoń z blatu i bezsensownie jakoś spłotła na brzuchu.

Skutecznie zbitem ją z tropu. Właściwie mogłem poprzestać na tym. Ich ciała mówiły, jak się sprawy mają, ale ten rodzaj mowy jest nieświadomy. Dlatego, jeśli bym wyszedł, to one doszłyby do siebie, i następnym razem zaczęłyby się naśmiewać, jak gdyby nigdy nic. Chciałem, żeby zachowały się w taki sposób, że ilekroć ktoś napomknie o mnie, to nie będą miały odwagi mówić dużo, będą się rozmijać wzrokiem i usilnie szukać pretekstu do zmiany tematu. Tymczasem, to nie było to...

\*

Szczylica przyniosła kawę. Położyła przede mną drżącymi rękoma.

- Kkkawa... awa proszę pana, może zanieść do stolika? – zapytała sześciodekadowa, chcąc się mnie pozbyć. Ja nic. Stałem nad nimi wyższy o jakieś 40–50 centymetrów z rękoma szeroko rozstawionymi na barze.

Patrzyłem im w oczy, raz jednej, raz drugiej i uśmiechałem się szyderczo. Pociągnąłem łyk niesłodzonej kawy. Zwykle słodziłem, ale tym razem dałem spokój, obawiając się, że popełnię jakiś błąd.

- Tu będę pił! – powiedziałem z naciskiem na TU. Przytaknęły z zakłopotaniem, wykoślawionym uśmiechem.

Wypiłem kawę i z hałasem odsunąłem filiżankę. Szczylica zabrała ją natychmiast. Usta miałem suche, ale otarłem je dłonią, tak na niby, bulgocąc wezbraną śliną.

- Ccccoś jeszcze podać? – zapytała szczylica. Rozwlekłem, kilkakrotnie powtarzanym gestem głowy, zaprzeczyłem. Rozchyliłem wargi w szerokim uśmiechu i periodycznie wyrzucałem z siebie krótkie cha!, cha!, cha!, co raczej brzmiało jak kha!, kha!, kha!, kha! Po chwili śmiałem się już głośnie i głośnie...

Dokończenie ze str. 7

One przestępowały z nogi na nogę, z miejsca na miejsce, jakby rozgrzewały się przed biegiem. Mój śmiech wzbierał na sile. Już nie był periodyczny, ale permanentny. Nie widziałem, co się działo ze mną, ale słysząc jakiś szmer podejrzewałem, że jesteśmy w centrum uwagi. Szczylica uciekła. Na placu boju pozostałem tylko ja i sześciodekadowa.

Śmiałem się głośno i przeciągle. Tak jak tylko byłem w stanie robić to, bez powodu do śmiechu. Już mi sił nie starczało. Krzesalem ich resztki. Ta wciąż stała nerwowo, przestępując z nogi na nogę, z miejsca na miejsca. Wreszcie coś więcej. Zatkąła dłońmi uszy. Teraz nie śmiałem się. Już nie mogłem. Zacząłem krzyczeć na spokoj, który przy zatkanych uszach mógł przypominać śmiech. Nagle podbiegła do mnie i próbując zamknąć usta, krzyczała, żebym przestał, że jakim prawem, a w ogóle, żebym się wynosił. Odrzuciłem głowę i gwałtownie dosunąłem usta, udając że chcę ugryźć. Odskokczyła i zatykając

uszy, wybiegła do pomieszczenia za barem. Szybko zorientowała się, że jest zajęta.

Wróciła i chaotycznie rozglądała się w poszukiwaniu kryjówki. Wiła się w miejscu, mrużąc coś pod nosem. Obręcała się dokoła własnej osi w szaleńczym, zwirowanym tańcu. Słabłem. W oczach mi się mieniło. Prawie, że mdlałem. Ledwo słyszałem sam siebie. Sześciodekadową widziałem jak we mgle. Walczyłem jednak. Ja, Feliks Potoczny, TRĄBULLUS IGNORANTTIUS walczyłem. Do pełnego zwycięstwa potrzebna mi była jeszcze minuta, może dwie.

- Trzymaj się Feliksie! – usłyszałem głos matki.

- Zuch chłopak! Zuch! – i doktora Picusia. Wreszcie sześciodekadowa powiedziała PAS! Wskoczyła do kąta i siedła skulona, niczym kłębek, zatykając uszy.

Długo patrzyłem na nią beznamiętnie, łapczywie chwytając powietrze, potem wyrównując oddech. Nie cieszyłem się. Jeszcze nie teraz. Nie miałem sił. Dopiero po kilku minutach uśmiechnąłem się usatysfakcjonowany.

Bieżąc zawiadamiałem więc dział informatyki oraz dodatkowo dział księgowości i rachuby płac. Panie, z kierowniczką Bernadeta Należyta na czele, z troską odnosiły się do przebiegu strajku, obawiając się powtórzenia tragedii z 1970 roku. Nieczynna była centrala telefoniczna oraz zakładowy radiowęzeł. Na bramie wejściowej do zakładu zmieniono strażników. Nikt z pracowników, którzy zadeklarowali przystąpienie do strajku nie był wypuszczany z zakładu, a jedynie w przypadkach losowych prezydium ZKS zezwalało na opuszczenie ZUO „Famor”.

Na świetlicę przybył jeden z byłych pracowników, już emeryt, solidaryzujący się ze strajkiem. Przyniósł chleb, masło i pęto kielbasy. W sklepiu zakładowym wykupiona została żywność.

Załoga przespała noc na swoim stanowisku pracy. Spałem na dwóch krzesłach. Dla starszych osób było to dość kłopotliwe, natomiast młodzież potraktowała to jako atrakcję, nie do końca zdając sobie sprawę z powagi sytuacji. Bieżący kontakt z dyrekcją utrzymywał Jan Perejczuk.

Rano w piątek 29 sierpnia pod bramę zakładu nadjechał samochód dostawczy „Nysa”. Wysiadający mężczyzna oświadczył, że jest pracownikiem Bydgoskiej Fabryki Sklejek i przyjechał z kilkoma pracownikami do obrony przed stłumieniem strajku przez milicję. Komitet Strajkowy Bydgoskiej Fabryki Sklejek otrzymał bowiem informację, że w ZUO „Famor” milicja tłumi strajk. Odpowiedziałem, że jest to nieprawda. Ktoś celowo podał im zmyśloną informację.

Niespodziewanie przybyła też do zakładu delegacja z „Towimoru”. Byli już bardziej doświadczeni. Strajkowali od 19 sierpnia, jako pierwsi w naszym rejonie. Z Polskiego Radia przyszły dwie reporterki – ciekawe jakie postulaty wysuwa załoga. Na pytania odpowiadali: Jan Perejczuk oraz Zygmunt Banach.

W południe wrócili z Gdańska nasi delegaci. Delegacja nasza była 626, która zgłosiła się do Stoczni Gdańskiej im. Włodzimierza Lenina. Polecono wracać i czekać na zakończenie rozmów z delegacją rządową.

Po zdaniu relacji delegacji z pobytu w Gdańsku nastąpiła reorganizacja Zakładowego Komitetu Strajkowego. W skład prezydium weszli: przewodniczący JAN PEREJCZUK, członkowie: ZYGMUNT BANACH, BOLESŁAW MAGIEROWSKI, BOGDAN ŚWIERCZYŃSKI, WINCENTY RAUCHUT, WINCENTY CABAŃSKI i EDWARD ZIELIŃSKI. Powołano sekcję informacyjną w składzie: HENRYK SOBIESIERSKI, ANDRZEJ WYSZYŃSKI, RYSZARD GROCHOWSKI i KALIKST PIECHOCKI. Zalecono wysłać delegację do „Towimoru” w osobach: EDWARD ZIELIŃSKI, MAREK WOHLFEILER, BOLESŁAW MAGIEROWSKI, celem podzielenia się informacjami, przywiezionymi z Gdańska. Uruchomiony został radiowęzeł. Komunikaty ZKS przekazywał HENRYK SOBIESIERSKI. Wydawane były informacje z przebiegu rozmów delegacji rządowej ze strajkującymi stoczniowcami na Wybrzeżu i w Szczecinie. Członkowie ZKS otrzymali przepustki wyjścia z zakładu dla pracowników, którzy przedstawili konieczność odwiedzenia rodziny.

W południe dyrektor Paweł Prus polecił wydać posiłek regeneracyjny dla całej załogi. 29 sierpnia po południu wszystkie kobiety zostały zwolnione do domu.

30 sierpnia 1980 roku (sobota) z nasłuchu radiowego dowiedzieliśmy się, że w Stoczni Szczecińskiej delegacja rządowa skłonna jest podpisać porozumienie i zakończyć strajk, natomiast w Stoczni Gdańskiej podpisane zostanie porozumienie 31 sierpnia 1980 roku ze zgodą na 21 postulatów, wysuniętych przez stoczniowców oraz powołanie Samorządowego Związku Zawodowego „Solidarność”.

O godzinie 11.00 postanowiono więc zakończyć strajk. Przewodniczący Jan Perejczuk poprosił kierownictwo ZUO „Famor” do świetlicy, gdzie wobec ZKS-u i licznie zebranych pracowników poinformował o tym dyrekcję. Nastąpiła obopólna, spontaniczna radość i zadowolenie.

## Kaliks Piechocki

### Gorący sierpień 1980

Ogłosy strajku stoczniowców na Wybrzeżu i w Szczecinie zaczęły budzić solidarność wśród załogi Zakładów Urządzeń Okrętowych „Famor” w Bydgoszczy.

27 sierpnia 1980 roku Przewodniczący Rady Zakładowej – BOGUSŁAW JEDLIŃSKI zwołał naradę, wydając polecenie Oddziałowym Radom Związkowym, aby przedstawiły dyrekcji postulaty załogi. W czasie narady powstała myśl, aby Komitet Zakładowy PZPR przejął inicjatywę ogłoszenia strajku w ZUO „Famor”. Misji tej podjęli się: Marek Wohlfeiler i Bernard Karwecki. Zaproponowano, aby wysłać list do Stoczni Gdańskiej następującej treści: „ZUO FAMOR solidaryzuje się z postulatami stoczniowców, lecz nadal pracuje, aby po strajku stocznia mogła szybko nadrobić straty powstałe na skutek strajku”. Komitet Zakładowy PZPR nie zajął w tej sprawie żadnego stanowiska.

28 sierpnia 1980 roku większość załogi spóźniła się do pracy – zastrajkowali pracownicy komunikacji miejskiej. Nastąpiło rozluźnienie dyscypliny.

W świetlicy o godzinie 11.00 rozpoczęło się zebranie, którego przedmiotem było ustosunkowanie się dyrekcji do przedstawionych postulatów Oddziałowych Rad Związkowych z 26 sierpnia. Zebranie prowadził dyrektor naczelny – mgr inż. Paweł Prus. Towarzyszyli jemu zastępcy: inż. Tadeusz Borowicz, mgr Jerzy Radzymiński, Edward Drzyzga, Hilary Lewandowski. Obecni byli sekretarze KZ PZPR Zygmunt Janicki i Bogusław Jedliński.

W czasie zebrania słychać było głosy, że nie po to tu przyszliśmy. Odezwał się ZYGMUNT

BANACH oznajmiając, że na świetlicy są delegaci z poszczególnych wydziałów wybrani przez pracowników, upoważnieni do ogłoszenia strajku. Na mównicę zaczęli wchodzić delegaci z wydziałów produkcyjnych i pomocniczych: WINCENTY CABAŃSKI, EDWARD ZIELIŃSKI, BOLESŁAW MAGIEROWSKI, WINCENTY RAUCHUT, JAN PEREJCZUK.

Głos zabrał delegat z narzędziowni, który zgłosił akces przyłączenia się do strajku oraz osobisty wniosek: - Zwolnić dyrektora! Głosy z sali natychmiast odrzuciły ten wniosek. Drugi delegat oświadczył, że przedmówca nie miał upoważnienia do zabierania głosu w imieniu narzędziowni. Zażądano, aby osoba, która podszyła się pod delegata, opuściła świetlicę, co natychmiast nastąpiło. Dyrektor Paweł Prus oświadczył, że w takiej sytuacji przekazuje władzę delegatom i całe kierownictwo opuściło świetlicę.

Przewodniczącym Komitetu Strajkowego wybrano inż. JANA PEREJCZUKA, konstruktora, który również opowiedział się za ogłoszeniem strajku. Z pozostałych delegatów utworzył się Zakładowy Komitet Strajkowy w liczbie 21 osób, w tym 7 wybrano do prezydium: JAN PEREJCZUK, ZYGMUNT BANACH, WINCENTY RAUCHUT, BOGDAN ŚWIERCZYŃSKI, EDWARD ZIELIŃSKI, BOLESŁAW MAGIEROWSKI i HENRYK SOBIESIERSKI.

Obrodowano, jakiego charakteru ma być strajk – okupacyjny, czy tylko protestacyjny? Przeważał głos EDWARDA ZIELIŃSKIEGO za strajkiem okupacyjnym, uzasadniając, że gdy pracownicy opuszczą zakład pracy, to milicja w nocy przejmie władzę i żadnego pracownika nie wpuści do przedsiębiorstwa.

Zakładowy Komitet Strajkowy przyczynił się do współpracy robotników z pracownikami umysłowymi. Zanikły dotychczasowe uprzedzenia. Zarządzono podział pracy.

Mnie przypadł nadzór nad pisemnymi oświadczeniami poszczególnych pracowników, że przystępują do strajku. Wincenty Cabański, Edward Zieliński i Bolesław Magierowski zostali wyznaczeni jako delegaci do Stoczni Gdańskiej. W godzinach popołudniowych opuścili zakład, przeskakując płot przy ulicy Świeckiej i udali się na dworzec PKP. Wszyscy członkowie ZKS otrzymali opaski koloru niebieskiego, które założyli na rękawy.

Ochroną zakładu zajął się Bogdan Świerczyński z działu wojskowego. Powołano straż pożarną. Wszystkie zarządzenia, polecenia z narad, członkowie byli zobowiązani podać do wiadomości oddziałów, z których zostali delegowani.

## Bydgoska Spółdzielnia Spożywców

ul. Gdańska 47, 85-950 Bydgoszcz

**BSS było już przed zachodnimi marketami:**

- ✓ jest wszędzie tam, gdzie innym nie optaca się być
- ✓ kupując w BSS popieracie rodzimy biznes
- ✓ kapitał polski i bydgoski



Jakub Kawalek

## Jeszcze jedna starsza pani, której ucięto obie nogi

Każdy gdzieś idzie. Dlaczego więc, umysł mój, spośród całego tego tłumu, spośród tej nieprzeliczonej masy ludzkich istnień, podążających w tę lub w tamtą stronę, wyłowił właśnie jego?

Właśnie jego, choć krok, a właściwie półtrucht, którego używał do przemieszczania masy swojego ciała w przestrzeni, był najwykleszym, banalnym wręcz półtruchtem, nie odznaczającym się ni pięknością ni szpetnością formy.

Być może to właśnie absolutna szarość owego półtruchtu była elementem decydującym. Być może umysł mój, w jakiś podstępny, ukryty dla mnie sposób, uczynił z niego symbol i jako taki, w tej drugiej pętli odbierania rzeczywistości, kiedy podświadomość przekłada się na język zrozumiały dla świadomości, stał się dla mnie absorbującym.

Jakim jednak symbolem mógł być ów półtrucht fatalny? Żadnym lub zgoła, równie jak on sam, banalnym.

Jeśli więc nie symbol, to może wspomnienie? Wspomnienie czyjegoś, podobnie pozbawionego wyrazu, kroku. Kogoś, kto kiedyś był dla mnie ważny, ale odszedł, odpółtruchtał ode mnie?

Absurd. Zupełnie nie potrafię sobie kogoś takiego przypomnieć, choć przecież, co zresztą czasami wydaje się być moim przekleństwem, pamiętam absolutnie wszystko.

Skąd więc, pytam, ta ciekawość, ten upór z jakim wpatrywałem się w jego postać, gdy nikał, tam na końcu ulicy, by w chwilę później bezpowrotnie skryć się za rogami?

Czy nie był to pozór, zwód? Czy tam, poza polem mojego widzenia, nie przeszedł metamorfozy, zmieniając półtrucht w lot lub przynajmniej w galop, starannie, i z niewiadomego powodu, przedtem przede mną ukryty?

Ach, dlaczego nie znalazłem w sobie dość siły, by podążyć za nim. Wtedy miałbym przynajmniej pewność, czy półtrucht ten był półtruchtem szczerym, czy też kłamliwym, zdradzieckim półtruchtem, mającym na celu odwrócenie mojej uwagi od typowego sposobu poruszania się jego właściciela.

Podczas gdy on sam, szybując gdzieś w przestworzach, patrzył na mnie, niezdolnego do ruchu, obserwującego krawędź kurtyny, za którą rozegrała się ta cudowna przemiana, śmiejąc się ze mnie? Z mojej niemożności stanięcia oko w oko z prawdą. Ze mnie, który wołał przez resztę życia pozostawać w niepewności, aby tylko nie doznać rozczarowania, gdyby półtrucht ów pozostał nadal zwykłym półtruchtem.

Czy można jednak mieć mu to za złe? Czy ja, odkrywszy tajemnicę lotu, nie śmiałym się, patrząc na przykute do ziemi istoty?

Raz oderwać się! Spojrzeć na to wszystko z góry, z odpowiedniego dystansu i widzieć to obiektywnie, realnie, tam, samotnie wśród obłoków.

Stop! Jeżeli ten półtrucht nie był oszustwem? Jeżeli on był jak ptak, jak albatros, majestatyczny w swym locie, a niezdatny, gdy stąpa po ziemi? W takim razie to nie śmiech, lecz płacz rozbrzmiewa w przestworzach, kiedy widzi nas, biedne istoty niezdolne do tego, by przyłączyć się do jego lotu.

On sam, nie mogący żyć na ziemi, samotny w swym powietrznym królestwie, jakże nieszczęśliwą musi być istotą. A przecież każdy gdzieś idzie.

Dokąd więc półtruchtałeś, gdy raczyłeś dotknąć swymi stopami ziemi? Dokąd? Dokąd...?\*

## III Ogólnopolski Konkurs Literacki Ziemi Lubelskiej im. Józefa Łobodowskiego

Konkurs ma charakter otwarty i odbywa się co dwa lata. Mogą w nim brać udział autorzy zrzeszeni i nie zrzeszeni w związkach twórczych, bez względu na miejsce zamieszkania.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie zestawu pięciu wierszy (w czterech egzemplarzach) o treści dowolnej. Szczególnie promowane będą utwory podejmujące problematykę wschodniego pogranicza kultur. Wiersze nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane na innych konkursach.

Zestaw utworów powinien być opatrzony godłem. Do tekstów należy dołączyć zaklejoną kopertę podpisaną tym samym godłem, a zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres i telefon autora.

Wiersze należy nadsyłać do 18 września 2003 roku pod adresem: Związek Literatów Polskich Oddział w Lublinie, 20-010 Lublin 1, ul. Dolna Panny Marii 3, skr. pocztowa nr 229.

## SPECJALISTYCZNA PRAKTYKA LEKARSKA

lek. med. Marek Mackiewicz  
specjalista chirurgii dziecięcej  
Bydgoszcz

certyfi kat European Board of Paediatric Surgery

porady, zabiegi „chirurgii jednego dnia”  
- kontrakt z Kasą Chorych,  
wizyty domowe

kontakt (052) 321 54 69, kom. 601 84 16 29  
www.marek@mackiewicz.com.pl



## Stół z literatami i literatkami

15 lipca 2003 roku w ramach Święta Ulicy Gdańskiej w Bydgoszczy wystawiono pod patronatem „Akantu” i „Gazety Wyborczej” autonomiczny „Stół z literatami i literatkami”. Tych ostatnich oczywiście zabrakło, bo panie piszące w ramach emancypacji włączyły się do podzbioru „literatów”, a proste szklanceczki do wódki zwane przez robotników „literatkami” podobno wyszły już z

mody. Mimo, że nie pito, to jednak od czasu do czasu wołano co najmniej dwuznacznie: „Literacie do literatek!” oraz na karykaturach autorstwa Marka Rony bazgrano autografy, wręczane tylko tym Czytelnikom, którzy w zamian za to złożyli autograf w księdze pamiątkowej. Pozostali musieli kupić książki co raczej zdarzało się rzadko. Niemniej pogoda była piękna...

Na zdjęciach od lewej: Stanisława Deluga, Edward Kaczmarek, Beata Anna Pokorska, Alicja Leśniak (gospodyni Stołu), Mieczysław Wojtasik, Andrzej Baszkowski, (Alicja Leśniak, Mieczysław Wojtasik, Beata Anna Pokorska, - wtórnice i w tle), Leszek Łęgowski.

Poza zdjęciami, ale na Ulicy byli też: Wojciech Banach, Jolanta Baziak, Ryszard Częstochowski, Grzegorz Grzmot-Bilski, Jarosław Stanisław Jankiewicz, Wojciech Kowalczyk, Danuta Krupecka, Irena Mówińska-Lipińska, Grzegorz Misiewicz, Maciej Obremski, Stefan Pastuszewski, Katarzyna Pilarczyk, Zdzisław Pruss, Zygfryd Szukaj, Lucja Warmbier, Zbigniew Wróbel.\*

## **Sławomir Stefan Czarnecki**

### **Trzy razy**

był nie ubrany, w swoim ciepłym futerku  
leżał przy Żuławskim w Gdańsku,  
pod drzewem na mokrej ziemi, dwa razy  
minąłem myśląc o zdarzeniu, ładny siwy kot.

po zakupach w Samie, było już po drugiej,  
pomyślałem o czymś słodkim w Gdańsku  
na Partyzantów, ktoś powie raczej Wrzeszcz

- dziewczyna, leżała ubrana w swoim ciepłym  
futerku  
tak, że nie mogłem przejść, i po co ten worek  
niebieski

## **Anetta Kuś**

### **Ułuda**

cywilizacja jest uludą

nie ma ciągu  
przyczynowoskutkowego

liczydło którym odmierza się  
kolejne epoki pochodzi z

pierwszych dni świata

nie umieramy inaczej niż ci pierwsi  
nie rodzimy się inaczej niż ci pierwsi

trywialność naszych spostrzeżeń  
nie zaskakuje ponieważ zapomnieliśmy

nie zapominamy inaczej niż ci pierwsi

Bydgoszcz, 26 sierpnia 2001

## **Magdalena Błachut**

### **Miłość**

Miłość – jest ciepłym dniem  
I mroźną nocą.  
Marzeniem o życiu i radości.

Miłość daje Ci moc  
Dzięki niej możesz mnie  
Nawet nie kochać!

## **Krzysztof Lutowski**

\*

Sięgnąłem po coś,  
co było  
do osiągnięcia.

Przypląciłem to  
i jeszcze przyplączę.

Zapłaciłem pieniędzmi,  
w naturze więcej pląciłem  
i zaplączę.

Czy mnie coś jeszcze czeka?  
Może czas się tylko odwleka?

Może czas się tylko odwleka?  
Może papieros, który dymi mi w oczy, nigdy się nie spali?

## **Iwona Żmijewska**

### **Cisza po burzy**

W ciszy można dużo odzyskać  
z tego co stracone.  
Znaleźć siebie na nowo –  
swoją nową stronę.  
Gdy burza wszystko zniszczy –  
cisza to naprawi.  
Jak "złota rączka" w kuchni –  
z niczego wszystko zrobi.  
Pozwolisz jej na to czy nie –  
to twoja wyłącznie sprawa.  
Chcę, abyś wiedział, że  
cisza zawsze mi pomaga.

## **Małgorzata Szatkowska**

### **W parku na ławce**

na parkowej ławce  
stara radość siedzi  
podparta laską  
zapatrzona w przeszłość  
w poszarzałych oczach  
dawne dni zapalają ogniki  
a Anioł czuwa  
wspierając ramieniem  
zmęczone ramiona  
ciepłe promienie  
łaskoczą pobrużdżoną skórę  
zwracając młodość  
czas cofnął wskazówki  
wyrozumiałe  
.....  
robi się późno

## **Kazimierz Burnat**

### **Przystań**

Fale załamują mój cień  
ziarnkami piasku  
przeprawiają sekundy życia  
na prawy brzeg

zostało jeszcze kilka łopat  
parę garści

nie zabiegam o świętą pamięć

wiatr  
może zdążyć utrwalić ślad

## **Magdalena Morawska**

### **Moja norka**

Obok mojego łóżka jest norka snów,  
Przychodzą do mnie co noc,  
Nawiedzają mnie,  
A ja jestem bezradna.

Obok mojego biurka jest norka pomysłów,  
Jednego dnia jest ich dużo,  
Innym razem nie ma ich w ogóle  
A ja nie wiem, kiedy nadchodzą.

Gdzieś dalej jest moja norka,  
Chowam się w niej,  
Gdy myślę o twojej oczy,  
Gdy wiem, że jestem jednym wielkim  
kłamstwem.

## **Marek Manuszewski**

### **Chabry wycieczki sprzed lat**

jasnokremowa sukienka  
której zazdrościłem prężącego się ciała

pojąłem

stanowi o tobie  
to co ukryte...

## **Stanisława Deluga**

Krystynie Żak-Gołęckiej

### **Z różą**

idę śladem pokoleń które  
szły do ciebie przez wieki  
Matko Pięknej Miłości  
ukryta w gotyckim chłodzie Fary  
gdzie ściany pachnące kadzidłem  
święte od westchnień

otwieram okno obrazu na którym  
nad Twoimi ramionami  
unoszą się motyle aniołów  
wzlatujących w lazur nieba  
trzymasz Dzieciątko  
i płonąca różę  
w stygmatycznej ciszy  
słyszę szelest róży  
odwracanej na drugą stronę istnienia

Matko sprzyjająca gniazdom ludzkim  
pozwól odnaleźć słowa w których  
prośby będą dziękczynieniem  
za trudną miłość wobec  
błądzących  
raniących  
obojętnych na dary serca

Matko o wąskich dłoniach  
czyż udźwigną one zgiełk świata  
i ciszę otchłani

śladem pokoleń  
szukam schronienia  
pod wzniesionymi ramionami gotyku

## **Wacław Grabkowski**

### **Moje dzieci**

Moje dzieci patrzą przed siebie  
zapomniły co do nich mówiłem kiedy nie  
umiały mówić  
i gdy pokazywałem kiedy nie umiały patrzeć  
i to jest normalne  
tylko że  
za trzydzieści lat wszystko sobie przypomną

mojego ojca dawno już nie ma  
wciąż go szukam  
on też mówił i pokazywał

jest mi go żal  
jestem starszy od niego  
on moim dzieckiem  
chciałbym go wziąć za rękę

**Wacław Grabkowski****Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt trzy**

Od urodzenia byłem głuchy na Polskę praca dla wszystkich  
radio gazeta telewizja a nawet książka były mi obce  
nie uczyłem się bo nie słyszałem  
jakaż w tym mądrość?

milczałem  
zataczałem jednak kręgi aby połączyć Polskę z Polską  
wiem że moja zasługa  
bo gdyby nią była byłbym mędrce

nie wiedziałem  
teraz wdzięczność temu kto objął ciszą

nic nie zostało zerwane ani okaleczone  
niezwykła głuchota pustelnią  
na miarę ocalenia

**Marek Manuszewski****Pochwała Glocka**

-Stary przyjacielu, nigdy nie zawiodłeś...  
chłód lufy  
jakże koi myśli

przymykam oczy w ostatniej przyjemności

na zabraną miłość  
nie zareaguję  
(poza piesszczotą cyngla)

po wszystkim ma być tak:  
wierna dziewiątka tli się długo u skroni  
jak Twój papieros  
mój uśmiech miłośnie pogodny  
strużka krwi niczym – wilgotny płatek róży

**Barbara Maria Tylman****Nazywam się kobietą**

Pytasz o moje nazwisko  
właściwie  
nie mam swojego

pierwsze miałam po ojcu  
z wielkiej miłości do matki

drugie dostałam od męża  
w postaci ślubnego prezentu

naprawdę  
nazywam się kobietą

**Marek Czuku****Nie mów wiele**

Poeta - bezkarny błazen  
przelewający puste słowa  
w próżną egzystencję.

Gdy wołasz, przychodzę  
niosąc bukiet słów.  
Gdy milczysz, odchodzę  
zabierając zwiędłe kartki.

Kupiła tomik wierszy,  
przetkała słowa nicią  
i uszyła z nich sukienkę.  
Taki miała kaprys.

Nie jestem kreatorem,  
ale moje odbicie  
nie jest fałszywe.

Kiedyś, gdy zbuduję swój dom,  
otworzę wszystkie okna.  
Jeśli zasłużą na to.

Dzień pęczniący jak kasza  
przeżyć  
i zasnąć w pustym garnku.

Słuchasz podwójnego  
bicia serca.  
Słuchaj uważnie.

Pośród znaków zapytania  
urodził się znak innego kalibru.  
Człowiek.

Kołyszę dziecko.  
Jest to praktycznie bez znaczenia  
dla rozwoju społeczeństw.

Pozdrowienie chorego  
to zastrzyk kosmosu  
w tabletkę snu.

Obląkani i paralitycy,  
dotknięci trądem,  
chorzy na raka i wrzody,  
pozbawieni kończyn  
i po trzech zawałach  
wierzą.

Pytasz, dlaczego powstał las.  
Bo wiały wiatry.  
Bo nikt tego nie widział.

Ktoś powiedział:  
Rodzimy się w śmierci;  
całe życie jest umieraniem.

Nie wierz mu.  
Daję ci na to zaklęcie  
ludzi ubogich i chorych.

Drzewo powalone wichurą  
nie skarży się.  
Tak i ty nie miej pretensji  
do Stwórcy.

Pokażę ci wieczny niezachwiany spokój.

To dąb rosnący za szybą autokaru.  
To pszczoła lecąca przez tomik wierszy.  
To człowiek wyciągający ręce  
na krzyżu wieżowca.

Ludzie są głusi  
na nasz krzyk.  
Ale czy drzewa go słyszą?

Poczekaj.  
On nie przyjdzie.  
Bądź cierpliwy.

Śnieg.  
Cieszymy się.  
I usuńmy.

Nie mów wiele.  
Znajdź się ktoś,  
kto mówi mniej.

1984-1986

**Poecie – Papieżowi – Poeci**

25 rocznica pontyfikatu Papieża Jana Pawła II – Poety, Polaka – to wyjątkowa okazja do pielgrzymowania. W dniach 13–23 października 2003 roku odbędzie się pielgrzymka poetów. Plan tej pielgrzymki obejmuje m.in. audiencję u Ojca Świętego Jana Pawła II, beatyfikację Matki Teresy z Kalkuty, odwiedzin w San Giovanni Rotondo oraz zwiedzanie Asyżu, Monte Cassino, Lanciano, loreto, Wenecji... Przewidywany koszt: 1190 złotych + 100 euro. Zgłoszenia można kierować pod adres: ks. Stanisław Buryła, ul. Polna 2, 56-320 Krośnice, tel. (071) 38 46 501 lub ewent. 38 46 185.

Prosiłbym także – jako organizator – o nadsyłanie wierszy o Papieżu lub dedykowanych Papieżowi. Myślę, że sensowne i dobre byłoby stworzenie okolicznościowej Antologii, która byłaby naszym skromnym hołdem złożonym temu wybitnemu Człowiekowi. Nie wszyscy poeci będą mogli wziąć udział w tym pielgrzymowaniu, ale wszyscy mogą przesłać wiersze do wspomnianej Antologii. Liczę na szybkie nadesłanie tekstów, gdyż czasu na zrealizowanie naszych zamierzeń nie ma zbyt wiele. Ewentualne zamówienia wyżej wzmiankowanej Antologii można kierować na podany wyżej adres.

Jerzy Przybyszewski

## Ciepło nasze kochane

Część druga

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy na mocy zarządzenia nr 47/70 z 7 grudnia 1970 r. przejęło MPEC i na bazie miejskiego przedsiębiorstwa utworzyło pierwsze w kraju Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej, obejmujące swoim zasięgiem obszar całego województwa z takimi miastami jak: Toruń, Grudziądz i Włocławek.

Przez następne pięć lat trwało postępujące ujednolicenie działalności ciepłowniczej w obrębie całego województwa. Osiągnięcie tego celu umożliwiło wspólne planowanie oraz szkolenie zawodowe prowadzone na podstawie zunifikowanych programów szkoleniowych. Znacznie podniósł się standard usług ciepłowniczych świadczonych przez przedsiębiorstwo.

Wzrósł poziom bezpieczeństwa zaopatrzenia w ciepło. Rozbudowano laboratoria chemiczne badające jakość węgla. Powstały stacje uzdatniania wody mające niebagatelny wpływ na dłuższą żywotność i bezawaryjną pracę urządzeń. Zamontowano instalacje chroniące przed zanieczyszczeniem pyłami i związkami węgla. W miarę rozwoju sieci ciepłej likwidowano kolejne lokalne kotłownie. Zainicjowane zostały działania mające na celu ochronę środowiska.

W roku 1975 w związku z nowym podziałem administracyjnym kraju, ze struktur WPEC wydzielone zostały samodzielne wojewódzkie przedsiębiorstwa w Toruniu i we Włocławku. Pod skrzydłami bydgoskiego WPEC jeszcze przez najbliższe 15 lat pozostawały m.in. takie miasta, jak: Inowrocław, Chojnice, Mogilno, Barcin Żnin, Pakość, Kcynia, Strzelno, Kruszwica, Gniewkowo, Tuchola, Sępólno Krajeńskie, Czersk, Koronowo, Kamień Krajeński, Więcbork, Świecie n/Wisłą, Nowe n/Wisłą, Nakło n/Notecią, Solec Kujawski, Szubin i wiele innych miasteczek.

WPEC nadal stanowił dla małych zakładów w tych miastach opokę i panaceum na wszelkie kłopoty. Dzięki niemu większość z nich uniknęła kłopotów z ciepłownictwem aż do roku 1991, czyli do likwidacji przedsiębiorstwa i następnie jego komunalizacji.

Pozostałmy jeszcze chwilę na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W krajowym i bydgoskim ciepłownictwie, a zwłaszcza w budownictwie, jest to czas nawarstwiania się niekorzystnych zjawisk, których ujemne ekonomiczne efekty odczuwają mieszkańcy miasta dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych.

## Prawo do pracy, nauki... i ciepła

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ciepło nie jest jeszcze towarem, którego cenę

zauważa się w czynszu. Spółdzielczość mieszkaniowa korzysta z dotacji do ciepła, które w skrajnych przypadkach w kraju sięgają nawet 70 %. W Bydgoszczy cena ciepła jest tak niska, że spółdzielcy „nie zaopatują się” na dotacje państwowe do ceny ciepła. WPEC to przecież przodujące w kraju przedsiębiorstwo. Nieprzypadkowo Bydgoszcz za swoją siedzibę obiera Krajowy Związek Zawodowy Ciepłowników. Liderowanie krajowemu ciepłownictwu i niskie ceny srodze się zemszczą na bydgoskim WPEC. Ale to dopiero nastąpi w krzywym zwierciadlele wdrażanej gospodarki rynkowej.

Póki co nikt nie oszczędza ciepła, bo nie ma jak i w zasadzie po co? Ciepło, jak wiele innych dóbr jest dawane przez władzę. Nie sprzyja oszczędzaniu także fatalna jakość krajowej armatury, izolacji i urządzeń. W rurach produkowanych przez krajowe huty, dziury wykwitają już w magazynie, jeszcze przed ułożeniem ich w ziemi. Równocześnie rosną całe dzielnice wyposażonych w wadliwą stolarzkę okienną budynków o coraz cięższych ścianach. Te perforowane, przewiewne budynki, to jeszcze jedna przyczyna wysokich rachunków za ciepło, które dzisiaj obciążają nasze domowe budżety. Ale na razie, gdy jest nam za gorąco – otwieramy okna. Zaworami przygrzejnikowymi lepiej nie kręcić. Mogą nie przetrwać tej operacji.

Rezultatem niskiej jakości armatury jest fakt, że przedsiębiorstwo ciepłownicze ogrzewa nie tylko nasze mieszkania, ale i powietrze wokół naszych budynków.

Także w przedsiębiorstwach przemysłowych nikt jeszcze na poważnie nie liczy kosztów energii ciepłej. Przedsiębiorstwa te nie konkurują na wolnym rynku, więc nie muszą liczyć kosztów działalności. Ich obowiązkiem jest wyprodukowanie określonej w planie ilości towarów i zapewnienie bytu załodze. Ogrzewane są puste hale. Także we wszystkie wolne dni, których władza pod presją społeczną udziela coraz więcej. To wszystko wyjaśnia, dlaczego ciepła wciąż brakuje, dlaczego planuje się budowę kolejnych bloków energetycznych.

O tym, że Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Bydgoszczy należy do przodujących przedsiębiorstw ciepłowniczych w kraju zdecydował głównie wysoki poziom kadry technicznej i jej otwarcie na postęp. Już w roku 1984 powstały załączki telemetrii. Początkowo jej zadaniem było monitorowanie pracy systemu ciepłowniczego. Powstała nowoczesna centralna dyspozycja mocy. Kosztem wielu wysiłków i kombinacji sprowadzane są z zachodu nowinki technologiczne. Dzięki sporym nakładom na szkolenie wzrasta poziom wiedzy fachowej załogi. Wszystkie te inwestycje dokonane przez WPEC już wkrótce prze-

mie w spadku z całym dobrodziejstwem inwentarza jego następcą - dzisiejszy KPEC

Rok 1984 to rok, w którym firma o zasięgu wojewódzkim, pamiętając o swoich miejskich korzeniach obchodzi 20 - lecie. Jest uroczysta akademie, sztandar, order, medale, kwiaty.

Koniec lat osiemdziesiątych dla bydgoskiej firmy ciepłowniczej jest szczególnie ciężki. Zapewnienie nieprzerwanej dostawy ciepła mieszkańcom miast, przy ogromnych brakach materiałowych na rynku jest zadaniem niezwykle trudnym. Sytuację ratuje w dużej mierze produkcja armatury siłami własnego warsztatu, własny transport i zapasy w magazynie poczynione przez zapobiegliwych poprzedników. Ciekawostką jest fakt, że to, co było plusem w gospodarce niedoborów, stanie się lada dzień kulą u nogi w gospodarce rynkowej.

Pod koniec lat osiemdziesiątych, u progu transformacji ustrojowej i gospodarczej WPEC jest ogromnym preżnie działającym organizmem gospodarczym odpowiadającym za całokształt zagadnień ciepłownictwa w województwie i posiadającym swoje agendy na całym jego terenie.

Przedsiębiorstwo dysponuje łączną mocą 1.634.403 MW. W systemie ciepłowniczym pracuje 191 kotłowni, w tym 20 ciepłowni. Łączna długość sieci ciepłej przekracza 400 km, w tym jest 122,4 km sieci magistralnych. Łączna powierzchnia ogrzewanych obiektów wynosi 7.486,5 tys. m<sup>2</sup> zaś kubatura ogrzewanych obiektów wynosi 52.086,2 tys m<sup>3</sup>. Załoga liczy 2.539 pracowników. Globalna sprzedaż osiąga poziom 15.323 mln zł.

## Nowa firma, nowe problemy

Wreszcie znajdujemy się we własnym domu. Powstała w grudniu 1991 r. po likwidacji WPEC komunalna spółka gmin: Bydgoszczy, Solca Kujawskiego, Nakła n/Notecią, Koronowa oraz Szubina nazywa się adekwatnie do samorządowego charakteru posiadanej własności, czyli: Komunalne Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej. Jest to oczywiście spółka z ograniczoną odpowiedzialnością utworzona na gruncie Kodeksu handlowego.

Poszczególne gminy - udziałowcy tej spółki, wnoszą aportem na jej kapitał zakładowy majątek po byłym WPEC otrzymany od Wojewody z podziału tegoż WPEC. Nikt nie wnosi kapitału finansowego, z tej prostej przyczyny, że nikt go nie ma. Bilans otwarcia spółki równa się bilansowi zamknięcia WPEC z uwzględnieniem podziału przedsiębiorstwa.

KPEC zatrudnia 1010 pracowników, eksploatuje liczącą ponad 420 km sieć ciepłą w Bydgoszczy i sąsiednich gminach - udziałowcach spółki. Obsługuje 4197 węzłów ciepłych, 24 centrale ciepłe, 806 rozdzielni, 105 węzłów grupowych, 10 stacji podmieszania i 6 przepompowni.

Firma ustala po raz pierwszy samodzielnie ceny ciepła. Dotychczas były to ceny zatwierdzane przez Izby Skarbowe. Ustalone w warunkach wolnej gry rynkowej ceny są niskie, tworzone z uwzględnieniem stopnia zubożenia odbiorców. Wspólnicy - samorządy gminne wychodzą z założenia, że w warunkach wolnego rynku ceny zawsze przecież będzie można podnieść. Są jednak, jak już wspominałem, zbyt niskie by spółdzielczość mieszkaniowa Bydgoszczy mogła otrzymać dotacje do ciepła. Kondycja finansowa spółdzielczości pogarsza się z dnia na dzień.

Rosną zatory płatnicze odbiorców KPEC utrudniają mu terminowe rozliczanie się z Zespołem Elektrociepłowni Bydgoszcz S.A. Nasz partner to dzisiaj jednoosobowa spółka Skarbu Państwa. Rozpoczyna się serial upadłości dużych odbiorców przemysłowych (BKBD „Wschód”, „KOBRA”, „ELTRA”). Pozostałe przy życiu przedsiębiorstwa przemysłowe na gwałt zakręcają zawory, odcinając od ciepła pustoszące hale. Spadek sprzedaży powoduje zdecydowane pogorszenie sytuacji finansowej KPEC.

## Wolny rynek... ministra finansów

W obliczu narastających strat i zatorów płatniczych starając się uniknąć drogiego kredytu władze spółki postanawiają podnieść cenę ciepła. Niestety bezskutecznie, bo już w październiku 1991 r. ówczesny minister finansów wprowadził indeksację cen ciepła poprzez ustalenie obligatoryjnego „wskaźnika maksymalnego wzrostu cen ciepła”.

Z tą chwilą firmy ciepłownicze w kraju, które na początku ustaliły wysoką cenę ciepła wraz z każ-



Budynek Zarządu - obecnie

Fot. Archiwum



Dyspozycja mocy

Fot. Archiwum

dym nowym wskaźnikiem, automatycznie ją waloryzującym, osiągają nieuzasadnione zyski.

Z kolei firmy, które ustaliły niską cenę ciepła, z każdym wskaźnikiem ponoszą coraz większą stratę, gdyż rosnące koszty nie znajdują pokrycia w cenie. Wskaźnik ustalony przez ministerstwo nie obejmuje wszystkich ponoszonych przez spółkę kosztów.

Dla bydgoskiego KPEC rozpoczęło się końcowe odliczanie. Jedną ostrzejszą zimą 1996 r. pozwala jeszcze przedłużyć nadzieje. Ale na krótko. Spadek sprzedaży uderza także w Zespół Elektrociepłowni S.A. Wysokość mocy zamówionej staje się w połowie lat dziewięćdziesiątych zarzewiem sporu pomiędzy firmami, których losy połączył na trwałe, zbudowany w latach sześćdziesiątych miejski system ciepłowniczy.

Korzyść z tych niesnasek odnieśli mieszkańcy miasta. KPEC chcąc udowodnić partnerowi rzeczywistą wysokość zużycia energii cieplnej podjął decyzję o wyposażeniu wszystkich odbiorców w liczniki ciepła w 1997 r. W języku ciepłowników nazywa się to „opomiarowaniem” odbiorców. Dzięki temu KPEC wyprzedził wprowadzony dopiero przez prawo energetyczne obowiązek opomiarowania, o ponad dwa lata. Korzystne efekty zainstalowania liczników ciepła pojawiają się jednak tylko u odbiorców ciepła, którzy płacą jako pierwsi w kraju za ciepło faktycznie zużyte, a nie od metra powierzchni zajmowanego lokalu. W niczym to jednak nie poprawia, a wręcz pogarsza sytuację firmy.

Sprzedaż ciepła w odczuwalnym stopniu maleje. Sytuacja spółki pogarsza się z dnia na dzień.

#### Pod rządami nowego Prawa energetycznego – Ciepło jest towarem!

Ustawa z dnia 10 kwietnia 1997 r. - Prawo energetyczne - była aktem prawnym najbardziej wyciekliwym przez komunalną firmę ciepłowniczą. W niej bowiem upatrywała szansę zrównania pozycji swojej firmy z pozycją energetyki zawodowej. Szczególnie wiele sobie obiecywano po wprowadzeniu opłaty stałej i nowej taryfy. Na to niestety trzeba jeszcze poczekać. Przepisy wykonawcze do ustawy wydane zostały dopiero w październiku 1998 r. Wdrożona wreszcie w połowie 1999 r. „Taryfa dla ciepła” nie jest już w stanie zrekompensować ogromnych strat poniesionych w latach poprzednich. Niezbędna staje się restrukturyzacja firmy.

Restrukturyzacja KPEC przebiega w atmosferze narastającego konfliktu z partnerem – Zespołem Elektrociepłowni Bydgoszcz SA, w którego „kieszeni” skanalizował się praktycznie cały ogrom strat poniesionych przez KPEC. W listopadzie 1999 r. Zespół Elektrociepłowni grozi wstrzymaniem dostaw ciepła do miasta. Stawia ultimatum: pieniądze, albo cięcie!

Dzięki drastycznemu ograniczeniu kosztów następuje stopniowa sanacja przedsiębiorstwa. W krótkim czasie Spółka odzyskuje zaufanie banku kredytującego. Pozwala to na częściowe zaspokojenie roszczeń partnera, i realizację głębokiej restrukturyzacji zatrudnienia, która przebiega na przełomie lat 1999/2000. Dzięki niej już w roku 1999 udaje się pomniejszyć stratę, zaś rok 2000 zostaje zamknięty zyskiem.

Spółka zajmuje wysokie 5 miejsce w rankingu „Orły Rzeczypospolitej” pod względem wykorzystania kapitału ludzkiego, rzeczowego i finansowego. Zrestrukturyzowana firma wzbudza zainteresowanie inwestorów zagranicznych. Po trwających ponad rok negocjacjach w dniu 17 października 2001 r. zostaje zawarta nowa Umowa Wspólników z udziałem partnera zagranicznego MVV ESCO Polska S.A. Spółki – córki firmy MVV Energie AG z Mannheim, partnerskiego miasta Bydgoszczy. Będzie to pierwszy Wspólnik, który wnieśli do Spółki kapitał finansowy.

Przeznaczenie tych pieniędzy jest z góry wiadome – rekonstrukcja systemu ciepłowniczego. Co prawda, zdaniem nowego partnera jest on wyjątkowo starannie utrzymany i zadbane, ale w dużej części jest przestarzały i nie spełnia warunków, które stawia przed ciepłownictwem nowoczesność.

Wszyscy chcemy oszczędzać energię. Przestarzała infrastruktura nie wszędzie na to pozwala. Ciepło stało się towarem, nie można więc dziwić się reakcji odbiorców, którzy chcą otrzymywać go w najlepszej jakości i po umiarkowanych cenach.

#### Bydgoski system ciepłowniczy

Bydgoski system ciepłowniczy jest obecnie siódmym w kraju pod względem wielkości. System zasilany jest przez dwie elektrociepłownie zawodowe EC I i EC II, trzy ciepłownie wodne - „Białe Błota”, „Błonie” i „Osowa Góra” oraz 23 kotłownie lokalne. Na koniec roku 2002 w KPEC zatrudnionych było 528 pracowników.

Nasz przodek, MPEC w 1970 r. zatrudniał 479 pracowników. Z tą wszakże różnicą, że długość ówczesnej miejskiej sieci cieplnej wynosiła 72 km., czyli o prawie 350 km mniej niż obecnie.

Funkcjonowanie miejskiego systemu ciepłowniczego monitorowane jest przez ponad 80 stacji telemetrycznych. Bieżąca informacja o wielkości i parametrach zakupionej, wyprodukowanej i przesyłanej energii cieplnej ma teraz podstawowe znaczenie dla przedsiębiorstwa dystrybucyjnego. W czerwcu 1999 r. spółka uroczysto świętuje wdrożenie zintegrowanego systemu informatycznego wspomagającego zarządzanie. System grupuje bazy danych sieci ciepłowniczej, ewidencję kosztów według standardów określonych wymogami nowego prawa energetycznego oraz system rozliczeń z odbiorcami. Powstał na rok przed terminem określonym przez to prawo.

I tak wkraczamy w dzień dzisiejszy ciepłownictwa bydgoskiego.

#### Dzień dzisiejszy

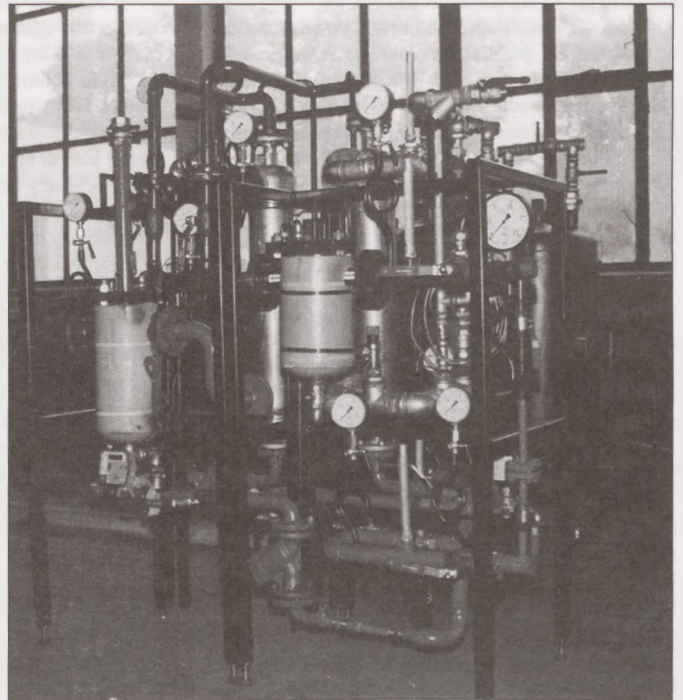
KPEC kontynuuje dobre tradycje i wieloletnie doświadczenia zbierane przez bydgoskie ciepłownictwo od początku lat sześćdziesiątych. Ostatnie lata działalności firmy upłynęły pod znakiem gigantycznego procesu restrukturyzacyjnego. Władze spółki doskonale zdają sobie sprawę, jaką pozycję w naszych domowych budżetach zajmują opłaty za ogrzewanie. Tymczasem wielu mieszkańców miasta wciąż jeszcze postrzega firmę ciepłowniczą jako przedsiębiorstwo użyteczności publicznej. Urynkowanie cen energii cieplnej jest dla nich szokiem.

Radykalne zmniejszenie kosztów działalności firmy, sprawiło, że sytuacja w Bydgoszczy, w porównaniu do innych aglomeracji wypada zdecydowanie na korzyść bydgoskich odbiorców ciepła. Zrestrukturyzowane przedsiębiorstwo szybko odzyskało pozycję w czołówce krajowego ciepłownictwa. Redukcja kosztów KPEC ma poważny wpływ na spowolnienie tempa wzrostu cen ciepła w mieście. Należy jednak pamiętać, że na cenę ciepła składa się w blisko 70 % koszt energii cieplnej wytwarzanej przez Zespół Elektrociepłowni Bydgoszcz SA.

Ogromną wagę przykładają się do wdrażania nowoczesnych rozwiązań technologicznych, a zwłaszcza do komputeryzacji. Skonstruowano inteligentne systemy nadzoru i zdalnego sterowania pracą sieci i węzłów cieplnych, umożliwiające całodobowe nadzorowanie pracy miejskiej sieci cieplnej. Sieci cieplne budowane są przy zastosowaniu nowoczesnej technologii rur preizolowanych. Spięcie podsystemów zasilanych przez EC I i EC II pozwoliło na spektakularne ograniczenie letnich przerw w dostawie ciepłej wody.

Ważne miejsce w działalności firmy zajmuje dbałość o środowisko naturalne. Spółka eliminuje zagrożenia ekologiczne ze swej działalności i stosuje korzystne rozwiązania dla środowiska. Również wiele działań dla ochrony środowiska zrealizował Zespół Elektrociepłowni Bydgoszcz S.A. uzyskując niedawno stosowny certyfikat od Ministra Ochrony Środowiska.

Na przestrzeni ostatnich lat zlikwidowano kilkadziesiąt małych uciążliwych dla środowiska kotłowni węglowych i koksowych poprzez podłączenie ich do



Nowoczesny węzeł cieplny „kompaktowy”

Fot. Archiwum

miejskiej sieci ciepłowniczej, co jest rozwiązaniem najbardziej ekologicznym i ekonomicznym, jeśli wziąć pod uwagę skokowy wzrost cen do niedawna konkurencyjnych wobec węgla nośników energii, takich jak olej opałowy i gaz ziemny.

Ogrzewanie sieciowe w Bydgoszczy oparte na pracy dwóch elektrociepłowni zawodowych wytwarzających energię cieplną w skojarzeniu z produkcją energii elektrycznej jest najtańszym i najbardziej sprzyjającym środowisku sposobem zaopatrzenia w ciepło mieszkańców.

Pozyskanie inwestora strategicznego zapewniła spółce stabilizację finansową i know-how, załodze pewność zatrudnienia, a mieszkańcom miasta europejskie standardy zaopatrzenia w ciepło.

## Ironia i paradoksy Augusto „Tito” Monterroso (1921-2003)

Według kontrowersyjnej, choć może z grubszą prawdziwej tezy, katastrofalny kryzys argentyński sprzed półtora roku wziął się z typowej dla Latynosów pasji do fantazjowania, która zahipnotyzowała Argentyńczyków urokami ekonomii, wspartej raczej na nieszczęsnej odmianie realizmu magicznego, niż racjonalnym rachunku.

Przedstawianie świata w jego fantastycznych, wyimaginowanych refleksach, to ważny pierwiastek literatury iberoamerykańskiej. Fantazja służyła czasem abstrakcyjnym i bezinteresownym, choć nierzadko imponującym erudycją, etiudom wyobraźni – jak u Bioy Casaresa, Borgesa czy Cortazara (może to nie przypadek, że wszyscy trzej to Argentyńczycy?) lub przynosiła olśniewające uroki narracji, jak u Marqueza.

Ale służyła też czemuś więcej, jak u Gwatemalczyka Augusto Monterroso. Jego literacka abstrakcyjność nie wyczerpywała się w samospelniającym się przedsięwzięciu literackim, będąc raczej diagnozą i obrazem „ludzkiej kondycji”.

### ABSTRAKCYJNA I POLITYKA

Augusto Monterroso urodził się w 1921 r. w Tegucigalpie, stolicy Hondurasu. Jego rodzina pochodziła z Gwatemali i także on sam uważał się za Gwatemalczyka. W 1944 r., zmuszony okolicznościami natury politycznej, opuścił jednak Gwatemalę i przeniósł się do stolicy Meksyku, gdzie spędził resztę życia, i gdzie zmarł w lutym b.r. Meksyk stał się jego drugą ojczyzną, podobnie jak dla Kolumbijczyków Garcii Marqueza i Alvaro Mutisa, czy pochodzącej z Francji Eleny Poniatowskiej. Przed kilkoma miesiącami wszyscy oni żegnali w nim nie tylko jednego z najbardziej oryginalnych pisarzy latynoamerykańskich, ale także jednego z najbliższych przyjaciół.

Monterroso debiutował na początku lat 1940. w Gwatemali, publikując kilka opowiadań w piśmie *Acento*, ale prawdziwy początek jego pisarskiej kariery nastąpił w 1959 r., kiedy ukazały się jego „*Dzieła zebrane (i inne opowiadania)*”. Najbardziej znane z jego książek to „*La Oveja negra*”, „*Movimiento perpetuo*” czy „*Lo demas es silencio*”. Prócz krótkich opowiadań, Monterroso pisywał też eseje literackie, nie mniejsze, zyskujące mu uznanie, niż jego *fabulas*.

Wbrew pobieżnemu wrażeniu, jakie może budzić abstrakcyjna aura jego alegorycznych, uniwersalnych przypowieści, Monterroso nie był obojętny na politykę i kwestie społeczne. Mówi Elena Poniatowska: „*Podziwiałam jego ducha i charakter; Tito zawsze wyznawał poglądy lewicowe i wspierał najważniejsze sprawy polityki Ameryki Łacińskiej*”.

Sam Monterroso uważał, być może, że jego literatura zbyt była oddalona od namacalnej rzeczywistości. Powiadał bowiem, że zawsze chciał być dziennikarzem, ale kiedy zaczynał pisać o aktualnych wydarzeniach, zbyt długo je analizował i kończył, kiedy były już historią. Ale przesadą byłoby mówić, że niepowodzenia dziennikarskie próbował kompensować literaturą zabarwioną politycznie, bo jego polityczne zaangażowanie zaowocowało jednym tylko i to najkrótszym w światowej literaturze opowiadaniem. Jego polityczny charakter nie od razu jest zresztą oczywisty:

### „Dinozaur”

*Kiedy się obudził, dinozaur wciąż tam był.*

Polityczna ironia tego „opowiadania” jasna jest jednak dla każdego, kto wie, czym były 71-letnie absolutne rządy meksykańskiej Partii Rewolucyjno-Institucjonalnej. Meksykanie budzili się przez większą część stulecia, z poczuciem, że choć zmieniał się świat, Meksyk zmieniał się po to tylko, by wszystko pozostawało po starym. Dinozaur PRI stał się z czasem tak elementarnym

składnikiem, synonimem wręcz życia publicznego i powszechnie stosowaną metaforą, że Monterroso wystarczyło jedno krótkie zdanie, by oddać statyczną beznadziejność meksykańskiej polityki.

### DRUGIE DNO

Ostatni bodaj telewizyjny wywiad, jakiego „Tito” Monterroso udzielił, zakończył się akcentem na pozór bez znaczenia, który jednak wiernie wyrażał ducha jego opowiadań i odkrywał jego własny temperament, wrażliwość i poczucie humoru. Oto, wyciągnął spod swego fotela białą drewnianą krówe z gigantycznymi skrzydłami i z uśmiechem najwyższego ukontentowania zaczął zastanawiać się nad jej symbolicznymi związkami z „*realizmem magicznym*”.

Monterroso, pisarz czerpiący inspirację z nonsensownych rekwizytów, ze zwykłej, na pozór „*zabawki*”, nie ograniczał się jednak do igrania ze zmutowanymi jego imaginacją, zwierzętami czy absurdalnymi skojarzeniami – służyły one w rzeczywistości raczej refleksji, niż abstrakcyjnej kreacji. Dziecięcy uśmiech, dzierzążącego latającą krówe, Monterroso był zarazem odbiciem tych pokładów jego wrażliwości, z których wiodła się cała nieomal jego twórczość i które nadały jej swoista estetykę.

Opowiadania, alegorie, „*fabulas*” Monterroso, pełne są stworzeń nierealnych, zwierząt, trapiących ludzkimi ambicjami i trawionych ludzkimi pasjami. Ale *fabulas* nie są jedynie żartami, lecz ironiczną lub satyryczną, zawsze alegorycznie powiązaną intuicją na temat ludzkiej kondycji, pełną surrealistycznego humoru, i nasyconą klimatem właściwego mu poczucia paradoksu.

Nie bez racji Carlos Fuentes pisał, że Monterroso to „*fantastyczne bestiariusz Borgesa pijące herbatę z Alicją*” – ale fantazja Monterroso nigdy nie była celem samym w sobie. Odzwierciedlała ten rodzaj sceptycznej mądrości, która wyraża się w pasji ironicznego postrzegania świata nie przez kanon symboli kultury, odwiecznych prawd o świecie czy norm psychologii, lecz skrywając się za nimi paradoksy, tajemnice i niespodzianki. Prawdy relatywnej sceptyka nie sposób ująć w bezdyskusyjne formuły „*Prawdy Ostatecznej*” – dlatego wolał Monterroso zadowolić się ulotnym urokiem nieba, niż absolutem Nieba i wątpli w moralny absolutyzm:

### „Niedoskonały raj”

*„To prawda – mechanicznie powiedział pewnego zimowego wieczoru mężczyzna, nie odrywając wzroku od płonących w kominku szczap – Raj to przyjaciele, muzyka, książki. Jediną wadą Nieba jest fakt, że nie widać z niego nieba.*

### „Monolog Dobra”

*„Sprawy nie są takie proste – rozmyślał pewnego popołudnia Dobra – jak wydaje się niektórym dzieciom i większości dorosłych”.*

*„Wszyscy wiedzą, że w pewnych sytuacjach skrywam się za plecami Zła, na przykład, kiedy ktoś czuje się źle i rezygnuje z podróży samolotem, który się później rozbija, a z katastrofy nie ratuje się nawet Pan Bóg; a czasami jest wręcz przeciwnie – Zło skrywa się za mną, jak wtedy, gdy hipokryta Abel pozwolił się zabić swemu bratu Kainowi po to, by tamtego zniechęcił cały świat i żeby nie mógł się z tego podnieść już nigdy”.*

*„Sprawy nie są takie proste”.*

### „Monolog Zła”

*Pewnego dnia Zło spotkało się twarzą w twarz z Dobrem i już miało je pożreć, by skończyć raz na zawsze ich śmieszne spory, ale na widok jego niewielkich rozmiarów pomyślało: „To musi być pułapka; jeśli połknę Dobra, które wygląda tak słabowicie, lu-*

*dzie pomyślą, że uczyniłem źle i skurczę się ze wstydu tak bardzo, że Dobra nie omieszkają skorzystać z okazji i pożre mnie; tylko że wtedy ludzie pomyślą, że zrobiło dobrze, trudno jest bowiem odwieść ich od utartego przekonania, że to, co robi Zło jest złe, a to, co robi Dobra jest dobre”.*

*I tak oto Dobra uratowało się po raz kolejny.*

### CZARNA OWCA

Wszystkie cytowane tutaj, *fabulas* pochodzą z najśliczniejszego zbioru miniatur Monterroso „*La Oveja negra*” („*Czarna owca*”). To książka pełna sceptycznego humoru, wolnego wprawdzie od okrucieństwa, lecz niekoniecznie od złośliwości. Sceptycyzm Monterroso to także przekonanie, że literatura nie uratuje świata, choć może go uczynić mniej pompatycznym i wolnym od jansenistycznej gorliwości i fanatyzmu – i że może go uczynić „*ludzkim*”.

„*Czarna owca*” to również humorystyczne i ironiczne komentarze do kanonicznych symboli kultury europejskiej, jak w „*komentarzach*” do słynnych dialektycznych paradoksów Zenona z Elei i „*Metamorfozy*” Franza Kafki.

Carlos Monsiváis, jeden z największych współczesnych pisarzy meksykańskich, tak mówił o „*Czarnej owcy*”: „*To najlepszy zbiór miniatur, jaki kiedykolwiek powstał w Ameryce Łacińskiej. Jego mądrość jest niewyczerpana; odnawia się i wzrasta z każdą lekturą*”.

### „Wiara i góry”

*Na początku Wiara przenosiła góry jedynie w razie absolutnej konieczności, dzięki czemu krajobraz pozostawał niezmiennym przez tysiąclecia.*

*Ale kiedy Wiara zaczęła się rozprzestrzeniać, a ludziom zaczęła się wydawać zabawną idea przenoszenia gór, bezustannie zmieniały one położenie i coraz trudniej było je znaleźć w miejscu, w którym widziały je poprzedniego dnia, co oczywiście raczej przysparzało kłopotów, niż je rozwiązywało.*

*Dobrzy ludzie zdecydowali wówczas porzucić Wiarę i dziś góry pozostają zwykle na swoim miejscu.*

*Kiedy na autostradzie dochodzi do obsunięcia się ziemi, w którym giną podróżni, oznacza to, że ktoś doznał delikatnego przypiływu Wiary.*

### „Pozostałych sześciu”

*Powiada legenda, że w pewnej dalekiej krainie żyła sobie przed laty Sowa, która, medytując, rozmyślając, tłumacząc, udzielając konferencji, pisząc wiersze, opowiadania, biografie, recenzje filmowe, przemówienia, eseje literackie i różne inne rzeczy, posiadała wszelką wiedzę we wszystkich dziedzinach ludzkiego poznania w stopniu tak wybitnym, że współcześni jej entuzjaści wkrótce mianowali ją jednym z Siedmiu Mędrców Narodowych, choć nie ustalono jeszcze, kim było pozostałych sześciu.*

### „Czarna owca”

*W pewnym odległym kraju żyła przed wielu laty czarna Owca. Została rozstrzelana.*

*Sto lat później skruszone stado wystawiło jej pomnik, który znakomicie prezentował się w parku.*

*Od tamtej pory każda kolejna czarna owca była natychmiast rozstrzeliwana, po to, by także przyszłe pokolenia owiec pospolitych i zwyczajnych mogły ćwiczyć się w sztuce rzeźbiarskiej.*

### „Zółt i Achilles”

*Doniesiono depezą, że w ubiegłym tygodniu Zółt dotarł w końcu do mety. Na konferencji prasowej skromnie wyznał, że zawsze obawiał się porażki, jako że jego rywal bezustannie deptał mu po piętach. I rzeczywiście, w dziesięciotrylionową część sekundy za żółtciem, przeklinając Zenona z Elei, jak strzała przecięła metę Achillesa.*

### „Śniący Karaluch”

*Był sobie pewnego razu Karaluch zwany Gregor Samsa, któremu śniło się, że jest Karaluchem o nazwisku Franz Kafka, któremu śniło się, że jest literatem piszącym o pewnym urzędniku zwanym Gregor Samsa, któremu śniło się, że jest Karaluchem. ■*

## Polemiki

Jacek Tabisz

## Radość wątpliwości

Artykuł Beaty Anny Pokorskiej „Agonia wątpliwości” („Akant” 2003, nr 3, s. 18-19) poruszył temat, który wciąż do mnie wraca – w różnych lekturach, rozmowach z ludźmi i zdarzeniach. Na ile należy łączyć temat egzystencji z tematem Boga? Bo przecież tylko w ten sposób wątpliwości natury religijnej mają w sobie coś z agonii. Ja słysząc słowo „wątpliwości” uśmiecham się i, o ile mam czas, popadam w stan przyjemnych rozmyślań. Nijak się ma ten mój stan z agonią, która dla osoby nie mającej skłonności masochistycznych, z całą pewnością miła nie jest.

„Agonia wątpliwości” zaczyna się od cytatu z dzieła Miguela de Unamuno „Agonia chrześcijaństwa”. „Czemu chcę wiedzieć, skąd przychodzi i dokąd zmierza wszystko, co mnie otacza, i co to wszystko znaczy? Nie chcę bowiem wszystkim umrzeć i chcę wiedzieć, czy muszę umrzeć ostatecznie, czy nie. A jeśli nie umieram – to co ze mną będzie? Jeśli zaś umieram – wszystko traci sens. Istnieją trzy możliwości: a) albo wiem, że wszystkim umrę, a wtedy nieuleczalna rozpacz, albo b) wiem, że nie wszystkim umrę, a wówczas rezygnacja i zgoda, albo c) nie mogę wiedzieć ani jednego ani drugiego, a wówczas rezygnacja w rozpacz lub rozpacz w rezygnacji lub zrezygnowana rozpacz i walka”. Beata Anna Pokorska stwierdza, zapewne nie bez racji, że Unamuno wybrał wariant c – 3. Podczas długiej i fascynującej teologicznej podróży, której początkiem jest powyższy cytat, autorka eseju potwierdza wartość agonii wątpliwości, którą wybrał dla siebie Unamuno, życząc nam wszystkim – czyli także mnie – niezgubienia jej nigdy. Kluczowym dla mnie punktem teologicznej podróży Pokorskiej jest przywołanie poglądu Schelera, który uznał, że wszyscy ze swej natury podlegamy aktom religijnym. Samo w sobie twierdzenie Schelera ma na tyle ogólną naturę, że ciężko mu zarzucić nieprawdziwość. Po prostu zależy od tego, co uznaje za akt religijny. Jednak pogląd Schelera jest wsparty cytatem – „Agnostyk nie jest de facto niewierzącym, lecz jest kimś wierzącym w nicłość, jest metafizycznym nihilistą”. To zdanie jest prawdziwe jedynie wtedy, gdy mamy do czynienia z niewierzącym chrześcijaninem. Osobą, która nadal czuje moc obietnicy Zmartwychwstania, ale nie wierzy już w osobę Autora tej obietnicy. Niewierzący chrześcijanin zastępuje więc swoje miłosne uwielbienie, jakie żywił dla Chrystusa, miłosnym uwielbieniem dla braku Jezusa, czyli chrześcijańskiej nicości. Jest to chrześcijańska nicość, gdyż dla osoby prawdziwie nie będącej chrześcijaninem, brak Jezusa jest pozbawiony znaczenia. Tak samo dla chrześcijan brak wiary w duchy zwierząt nie oznacza nicości, choć dla szamana jest to pewien problem, choć również nie oznaczający nicości. Na upartego można odnieść zdanie Schelera do szerzej pojętego teizmu, jednak tylko wtedy, gdy teistyczny Bóg obiecuje istnienie wieczne. Dla muzułmanina zdanie Schelera nadal pozostaje słuszne, ale już dla Izraelity z czasów Mojżesza takim by ono nie było. Jahwe, Bóg Izraela obiecywał bowiem życie dobre i prawe. Izraelita, stawiając w domu figurkę Baala nie zniknął, ale narażał się na gniew Boży – co oznaczało plagę, najazd Babilończyków i inne niemiłe rzeczy. Nie dręczyła go zatem agonia wątpliwości, ale – jeśli już wierzył Biblii, agonia mogła po prostu przyjść znad Eufratu. Dla wszystkich uczciwych deistów, ateistów, panteistów, holozoistów i politeistów, zdanie Schelera i, zwłaszcza, końcowy wniosek Pokorskiej są nietrafne, świadczą też o pewnej dyskryminacji.

Unamuno w powyższym cytacie pisze – „Jeśli zaś umieram, wszystko traci sens”. Tu nawiąże króciutko do artykułu Stefana Pastuszewskiego „To nie są imiona Boga”, („Akant” 2003, nr 3, s. 35), w którym autor pisze o pelzającym, horyzontalnym myśleniu osób opanowanych przez kulturę konsumpcyjną (*szmal – sukces – seks*) i przeciwstawia im wyznawców Boga, jako tych myślących wertykalnie, myślących lepiej. Na ile Unamuno w swym stwierdzeniu jest wertykalny? Przecież w zdaniu – „jeśli zaś umieram, wszystko traci sens”, sens traci Bóg, jaki by nie był. Pragnienie, w tym przypadku raczej „chuć” istnienia, przesłania Miguelowi de Unamuno wszystkie wartości. Czy młodzież konsumpcyjna nie jest jednak trochę bardziej oderwana od Ziemi? Przynajmniej jest w stanie cieszyć się po swojemu światem bezwarunkowo, co zakładając jego Stwórcę, może mu być miłe. Dlaczego wojownik, jakim jest Miguel de Unamuno, będąc teistą, nie cieszy się Bogiem i jego dziełem? Czy gdyby, Bóg powiedział mu – „daję ci 70 lat życia, w pięknym świecie, zrób z nim co chcesz – to wszystko” – Unamuno nie przyjąłby tego daru? Cóż jest wertykalnego w chuci istnienia, przesłaniającej, być może, prawdziwe dzieło stworzenia i jego Autora? Czy życie, czy piękno świata, czy bliskie osoby, czy sztuka nie są darem, za który należy dziękować Bogu, o ile ten istnieje? Owszem – świat jest pełen cierpienia – ale kto je tworzy? Czy nie ludzie pokroju Unamuno dla których świat nie jest Darem, ale areną walki? Śmierć jest naturalna, choroby też – czy dzielenie się, bezbożną być może, chucią wiecznego istnienia pomaga upośledzonym przez los? Czy nie bardziej pomogłaby troska o ten, być może jedyny, świat? Zgadza się z Pastuszewskim, że triada *szmal – sukces – seks* nie czyni świata bardziej dla ludzi gościnnym. Ale czy wartością proponowaną w zamian „młodym wilkom” ma być przydrożny krzyż? Z pewnością nie, jeśli zawiera w sobie wartości bliskie Unamuno. Cóż powiedziałby im Miguel – „(jeśli) wiem, że wszystkim umrę, (to) wtedy nieuleczalna rozpacz”? „A co robisz teraz, o czym teraz wiesz, czego teraz pragniesz?” – zagadnęłaby może pusta dziewczyna wylaniając się z polyskliwego Mercedesa, w który waliłoby dum – dum – dum, jako rozgrzewka przed bardzo zmysłowo zwierzącą nocą. A jej pusty partner, dbając o szmal dla siebie, dzwoniłby w sprawie założenia w Pasikurowicach fabryki gum do żucia. I byłoby mniej w Pasikurowicach kalek bez opieki lekarskiej, byłoby mniej bezrobotnych bijących, żony po spowiedzi w kościele. Może...

Po lekturze Camus patrzyłby może, spoza karty listy plac, na ludzi stojących za rzędami numerków. Po lekturze Tolkiena nie lokowałyby magazynów na miejsce 300-letnich buków. Beethoven opróżniłby z nich Iбіzę a zaludnił nimi filharmonie. Niektórymi z nich... W końcu, gdyby nie książkę Koethen, nie znalibyśmy Bacha, a przecież przodkowie władcy nie zostali nobilami przez swoją świętość, tylko przez triadę: *szmal – sukces – seks*... Wiadomo, że Habsburgowie pokonali inne koronowane rody nie za sprawą siły oręża, wiary, ale dzięki płodności swego rodu – Jagiellonowie byli bezpłodni, Habsburżanki mnożyły się jak króliki... To może źle, ale był przecież Wiedeń przełomu XVIII i XIX wieku, a w nim Mozart, Beethoven i Haydn. Wszystko po trochu też za sprawą seksu... I szmału, który mieli wiedeńscy mieszczaństwo, mogący sobie pozwolić na bilety do sal koncertowych. „Jeśli zaś umieram, wszystko traci sens” – oby jak najmniej ludzi tak myślało! Sztuka ma sens – V symfonia „Losu” ma sens, historia ma sens – gościnność Wiednia miała sens, człowiek ma sens, o ile kocha Dar, jakim jest świat i życie.

Duchowość nie sprowadza się jedynie do zagadek egzystencji. Mogą być uduchowiony, nie stawiając na piedestale pytania – „na ile jestem, byłem i będę?”. Mogę pisać wiersze, nie będąc pewnym swojego istnienia, ani istnienia moich czytelników. Gdy spotykam się z odzewem wobec moich utworów, mogę przyjąć, że ten model sytuacji ma pewne cechy bytu. Reakcje na mój tekst wydają mi się na tyle autonomiczne, że przyjmuję je jako obce, nie będące mną. Nawet jeśli ktoś to wszystko śni, albo ja sam sobie wymyślam moich czytelników, to złudzenie jest na tyle silne, że nie wzbudza we mnie niepokoju. Jeśli ktoś mnie śni, to czyni to tak starannie, że czuję się prawdziwy. Jeśli wymyślam sobie innych ludzi, to de facto cierpię na schizofrenię, bo inni mają odmienne od mojej osobowości. Jednak ta schizofrenia nie jest chorobą, bo jestem pogrążony w niej tak głęboko, że nie widzę już zdrowego świata, z którym kontrastowałbym ku mojej zgubie, jak to się dzieje z normalnymi przypadkami tej przypadłości. Unamuno nie może jednak wybaczyć Kartezjuszowi, o którym pisze – „Złóż stronę Kartezjuszowskiej „Rozprawy o metodzie” [...] jest [...] to, że chciał on rozpoczynając pominąć siebie samego, Kartezjusza, realnego człowieka z krwi i kości, który nie wszystkim chce umrzeć, a pozostawiając czystego myśliciela, to znaczy abstrakcję.” Dlaczego racjonalista, jakim był Kartezjusz, chciał pominąć Kartezjusza? Może dlatego, że nie pisał pamiętników, ale traktat filozoficzny. Kartezjusz był realnym człowiekiem z krwi i kości, ale chciał, w „Rozprawie o metodzie” wydobyć siłę sprawiającą, że ta krew i te kości piszą „Rozprawę o metodzie”. Bardzo niezręcznie połączył to z Bogiem, ale można przyjąć, że chciał w ten sposób nadać swoim poglądom ramy bardziej uniwersalne dla swoich współczesnych. W rękopisie pisał „bóg” z małej litery i starał się ukazać, że nie stał się ofiarą nawrócenia. Kartezjusz tworzył system, metodę i starał się udowodnić, że jest to metoda uniwersalna, wzór odnoszący się do wszystkiego.

Unamuno znów daje dowód swojej idee fixe, pisząc jednym tchem „realny człowiek z krwi i kości” i „nie wszystkim chce umrzeć”. Można by rzec, że istotą człowieczeństwa dla Unamuno jest chuć wiecznego istnienia. Przesłanki materialne składają mi nie do zupełnie przeciwnego wniosku. Istotą ewolucji jest chęć przetrwania organizmu i gatunku. Wszystko wskazuje na to, że człowiek odziedziczył to zwierzęce pragnienie. Na to nałożyła się ludzka umiejętność myślenia abstrakcyjnego, między innymi w długoterminowym czasie. Snując plany na przyszłość natrafia więc człowiek na mur, jakim jest śmierć. Wzbudza to w nim lęk, przenosząc właściwe dla zwierząt uczucie nagle zagrożenia życia w sferę bardziej wyabstrahowanego, trwającego ciągle napięcia. Powoduje to u Unamuno refleksję, której ulega na równie bezgranicznie jak myśl, zahipnotyzowana przez węże. Chuć wiecznego istnienia z punktu widzenia ewolucyjnego, nie stanowi cechy szczególnie

## Zaufek 11

Zaprasza codziennie od godziny 11.00

Organizuje:

bankiety, przyjęcia, szkolenia, konferencje, wesela, imprezy cateringowe codziennie: obiady za 7,50

## Klub „Zaufek 11”

Odbывают się tu:

wieczory literackie, koncerty muzyki poważnej, przedstawienia teatralne, wernisaże, spotkania i próby młodzieżowych grup muzycznych, spotkania bractw rycerskich, szachowe. Klub Polskiej Książki prowadzi **Jolanta Papała** (pierwsza środa każdego miesiąca godz. 18.00)



Rys. Hanna Mierzwa

## Zaufek 11

85-007 Bydgoszcz  
tel. (052) 345 77 62 wew. 258

Oczywiście, wolałbym, żeby osoby w eleganckich Mercedesach były bardziej uduchowione.

Dokończenie na str. 16

Dokończenie ze str. 15

humanistycznej – jest spotęgowanym, pierwotnym zwierzęcym atawizmem. Dlatego nie należy stawiać znaku równości między „realny człowiek z krwi i kości” a „nie wszystkim chce umrzeć”.

Od „realnego człowieka” Unamuno, znacznie mniej horyzontalna wydaje mi się osoba, nie czepiająca się wymyślonych bogów z lęku przed śmiercią, ani też nie wpadająca w nihilistyczny paraliż, znany z relacji mysz – wąż. Istnienie uczciwego teizmu wspominał tak pięknie, obecny w marcowym „Akancie”, święty Augustyn. Jako osoba wrażliwa i inteligentna mówił o bezwarunkowej miłości do Boga, niezależnie od tego, czy Bóg zapewnia zbawienie, czy też nie. Stąd Luter wysnuł protestancką doktrynę Łaski Bożej, co Kalwin posunął jeszcze dalej, mówiąc o podwójnej predestynacji. Jednak, moim zdaniem, Augustyn nie był do końca uczciwy, gdyż, gwoździ pełnej miłości do jednego Boga, powinien był porzucić religię, której głównym dogmatem jest Zmarłychwstanie.

Jaki zatem może istnieć prawdziwy i uczciwy teista? Wyobrażam sobie jako osobę wdzięczną za stworzenie świata i sam świat. Osoba ta stara się pojmować zasady rządzące światem z sympatią, bo przecież są one Dzielami Bożym. Na pytanie o śmierć teista może odpowiedzieć bez lęku. Bo widać Bóg uznał, że wieczność jest zła dla człowieka, a ograniczenie w czasie ludzkiego bytu – dobre. Teista zrozumie, że śmierć starych pokoleń daje wolność nowym pokoleniom ludzi. Śmierć bliskich jest tragicznym przeżyciem, ale też koniecznym, by zrozumieć, że wszystko się zmienia. Dla teisty, śmierć ostateczna może być Darem, podobnie, jak życie. Chuć wiecznego istnienia może pojmować teista jako bezbożną pogardę wobec Dzieła Stworzenia. Oczywiście, osoba wyrosła w tradycji chrześcijańskiej, może uznać taki teizm za wyjątkowo nieatrakcyjny. O odczuciu „nieatrakcyjności” stanowi tu interesowność chrześcijaństwa, interesowność wirtualnie sycąca zwierzęcą chuć istnienia. Jeśli chrześcijanin w swej religii rzeczywiście wielbi Boga, czyli czyni to bezinteresownie, nie lękając się śmierci ostatecznej, wspomniany teizm wyda mu się znajomy. Ważne jest to, że śmierć u prawdziwego teisty nie wzbudza myśli, które wyraził Miguel de Unamuno. Jest Darem – teista będzie starał się zrozumieć dobro w niej zawarte, tak, jak rozumie dobro miłości i piękna. Teista nie będzie myślał o raj, lecz o istotności granic czasowych swojej egzystencji – „dlaczego jest to dobre, czym mnie to wzbogaca?”.

Jeszcze bardziej obco od prawdziwego teisty poczuja się, czytając poglądy Unamuno panteiści i holości. Wierząc w życie, nawet w życie prostych atomów, nie myślą oni w kategoriach „agonii zwątpienia”. Myślą w kategoriach świętej Zmienności Świata, która składa się z pauz i dźwięków, ognia, powietrza, wody i bezkresu. A uduchowanie? Czy Heraklit nie był uduchowiony i wertykalny? Czy Leśmian, czy Giordano Bruno pełzali? Jeśli oni pełzali, to co czyni Unamuno? Jeszcze raz – „jeśli zaś umieram, wszystko traci sens” – mówi nasz wojownik. Jaką wartość duchową ma chuć Miguela wobec Heraklitowej rzeki, wobec gwiazd Giordana, wobec Malinowego Chruśniaka? Pokorska przywołuje w agonii wątpliwości poglądy Paula Tilicha, dotyczące natury męstwa w podejmowaniu aktu zwątpienia. „Moment religijny dany jest w trwodze z jednej strony, wraz z jej niewytłumaczalnością i nieredukowalnością, z drugiej zaś z jej rozciągłą na całość życia nieograniczonością (wszystko jest możliwe, tzn. stają w obliczu nicości)”. Cóż to znaczy dla holoisty, bądź panteisty? Klasycznym przejawem momentu religijnego u panteisty jest rzecz jasna poczucie zjednoczenia się z Żywą Naturą. Można się zgodzić z rozciągłością momentu religijnego u panteisty. Lecz trwoga nie jest tu obecna. Bo, czy ryba, zanurzająca się w wodzie, czuje trwogę? Osoba pokroju Miguela de Unamuno mogłaby dopatrzeć się trwogi w roztopieniu się jednostkowego „ja” panteisty w Naturze. Jednak nie jest to trwoga – po pierwsze panteista roztopia się w mozaice równorzędnych elementów, będąc wciąż jednym z nich, nie staje więc przed luteraniskim „nagim absolutem”. Po drugie, panteista wie, że jego moment religijny

jest tylko potwierdzeniem jego harmonijnej wizji świata. Skąd zatem Tilichowa trwoga? Tłumaczy ją zdanie w nawiasie – „wszystko jest możliwe, tzn. stoję w obliczu nicości”. Ani panteista, ani holoista, nie stają w obliczu nicości, doznając momentu religijnego. Panteistę utwierdzają w istnieniu kwiaty, ptaki i drzewa; holoistę – nawet grudka ziemi. Oczywiście, chrześcijanin może pomyśleć – „ale przecież nie utwierdzają tych osób w ICH istnieniu!”. Tym razem odpowiedziem pytaniem – „skąd ten egotyzm?”. Panteista mówi „istnienie”, chrześcijanin „MOJE wieczne istnienie”... Która z tych postaw jest bardziej wertykalna? W tym kontekście nie dziwi błąd Tilicha, który pisze „moment religijny”. Powinien był napisać „chrześcijański moment religijny”. Nie dziwi też egotyzm Unamuno, który pisze „jeśli zaś umieram, wszystko traci sens”. Nie ma w tym zdaniu zagadnienia śmierci matki, syna, czy też żony... Chuć dyktuje wyraźnie – MOJE istnienie...

Z jednym zdaniem Miguela de Unamuno w pełni się zgadzam – „Prawdziwi ateści są do szaleństwa zakochani w Bogu”. Jednak wyraziłbym to jeszcze dokładniej – „apandeteiści są do szaleństwa zakochani (miłość oznacza relację „do kogoś” nie tylko „do siebie”)”. Przede wszystkim, postępowanie apandeteistów cechuje szczerłość i bezinteresowność. Nie są oni zakochani w Bogu, Naturze, Czymś dlatego, że to do, czego kierują swoją miłością, wirtualnie gasi chuć wiecznego istnienia. Po prostu są zakochani – prawdziwa miłość nie ma przyczyny. Apandeteiści, odkrywając świat odczuwają radość i miłość. Miłość, adresowana jedynie do siebie, nie jest miłością, lecz duchowym onanizmem. Znów – „jeśli zaś umieram, wszystko traci sens”... Wciskam to zdanie gdzie bądź, bo fascynuje mnie jego egotyczny prymitywizm. Tak z pewnością nie powie osoba kochająca cokolwiek, poza sobą. Jeśli nie Boga – choćby rybki w akwarium. Ktoś je musi dalej karmić, gdy nie stanie Miguela de Unamuno...

Swoją artykuł kończy Beata Anna Pokorska, używając przeróżnych zwrotów. Ostateczny sens naszego człowieczeństwa... Konfrontacja czyli agonია... Własna droga do krainy ostatecznego Wschodu...

Czy sens człowieczeństwa jest ostateczny? Czy jedyną rzeczą go determinującą, jest pytanie o egzystencję wieczną, lub o nihilizm? Czy poza pragnieniem istnienia, nie ma innych wartości? Czy muszą istnieć „zaświaty”, ostateczny Wschód? Czy ich pożądanie nie jest bluźnierstwem, o ile Bóg istnieje? Czy konfrontacja człowieka z Drogą do Dzieła jest agonią? Te wszystkie pytania mogą się wydać niepotrzebne, jeśli przyjmie się chuć Miguela za wartość najwyższą. Dla mnie jest to jedynie prymitywny atawizm oddalający osobę go czującą od jakichkolwiek wartości wyższych. Zawsze byłem przekonany, że zanim zacznie się szukać bogów i istoty człowieczeństwa, trzeba poskromić tę chuć wiecznego istnienia. Jest ona bowiem podobna do alkoholizmu. Alkoholik, przepojony swym nałogiem, będzie wciąż myślał o wódce i wszędzie szukał tej wódki. Nie ważne, czy będzie na Księżycu, u Papieża, czy w trakcie nalotu dywanowego. Taka jest istota patologii uzależnienia. „Realny człowiek” Miguela jest identycznym nałogowcem. Wszędzie chce zaspokoić chuć wiecznego istnienia, nie zastanawiając się nad istotą tej potrzeby, ani nad jej skutkami – nie sądzę, by ktokolwiek piszący tak, jak Unamuno, na wstępie zniósłby nieśmiertelność. „Realny człowiek” wszędzie będzie szukał butelki z antydotum na zwierzęcy lęk. Jeśli znajdzie się przed Bożym Tronem – nie zauważy on Stwórcy, palce „realnego człowieka” będą szukać nerwowo na posadzce, działki fałszywej pewności na ten dzień. I gdy wreszcie „realny człowiek” wstrzyknie do swoich żył heroinę Zbawienia, być może łaskawy Bóg (o ile istnieje i jest łaskawy) pozwoli mu przedawkować.

Artykuł Pokorskiej, poza zupełną dla mnie obcością jego treści, jest znakomity – wzbudził we mnie mocną chęć dyskusji. Oczywiście życzenie autorki – „obyśmy nigdy tej agonii [zwątpienia – J.T.] nie zgubili”, muszę z żalem odrzucić. Wątpienie jest radością, jest Darem od Boga (o ile ten istnieje). Moje życzenie jest bardziej przyziemne – życzę wszystkim wierzącym i niewierzącym chrześcijanom więcej pokory. Oby mogli być bliżej świata, ludzi, i może nawet Boga, o ile ten istnieje...•

Katarzyna Bohdanowicz

## Podwórko u stóp więzienia

Właściwie nie było to nic nadzwyczajnego; przejść przez bramę i zobaczyć to podwórko, raz jeden jeszcze, by powiedzieć sobie tamto zdanie. Ale obawiała się konfrontacji ulotnych, niejasnych jak mgła, wspomnień z teraźniejszością, niewątpliwie bardziej pospolitą i pozbawioną dziecięcego spojrzenia; bezbarwną i niewzruszoną w swej postaci.

Jeszcze przed chwilą biegła, tracąc nieomal dech w piersiach. Biegła, by zmierzyć się z tym raz jeszcze, ale teraz, stojąc przed wejściem na owo podwórko, zawahała się. A jednak trzeba – trzeba iść – dalej i dalej; przekroczyć barierę, choć nigdy nie wiadomo, co się za nią kryje.

Powoli weszła przez bramę. Otworzył się przed nią widok na to podwórko, które pamiętała z dzieciństwa – podwórko u stóp więzienia. Wysoki mur z budką strażniczą, wielki, czarny i dymiący komin kotłowni, który zasłaniał niebo – a poniżej mały świat przydomowych ogródków z kwitnącymi krzakami fioletowego bzu, ławeczkami, na których, w pogodny dzień, odpoczywali starszuszki; wreszcie huśtawką, która dostarczała tyłu wrażeń i wzruszeń.

Te dwa światy – tak różne obok siebie, jeden górujący nad drugim, lecz nie twyciążający go, jak widmo kary i pokuty nad tą przyziemną stabilizacją i podwórkowym spokojem.

Czasem więźniowie stawali i patrzyli przez zakratowane okno w dół, dzieci zaś podnosiły głowy i spoglądały na dalekosiężny szczyt muru, który wyznaczał granicę między cnotą a występkiem.

Teraz wszystko wyglądało inaczej – w słonecznym świetle drzewa bez liści, które nie zdążyły się jeszcze rozwinąć na wiosnę. Mur wydawał się o wiele niższy i tylko strażnik trwał niezmienne na posterunku. Zdawało się, że patrzy podejrzliwie na jej niepewną postać, idącą w stronę muru powoli i nieśmiało, jak gdyby skruszona i wpatrzoną lekliwie w jego sylwetkę na tle nieba, w którym fruwały miejskie, szare gołębie.

Komin zniknął. I teraz zaczęła się zastanawiać, czy był tam rzeczywiście, czy to tylko pomieszanie wspomnień. Nigdzie czarnego dymu, który budził lęk. A jednak pamiętała – ów komin musiał istnieć, przecież widziała go z okna swojego bloku.

Nie było sensu podchodzić bliżej – wszystko się zmieniło i stało się tak nagle brutalnie pospolite i małe. Mimo to, wciąż żywiła respekt dla strażnika i, patrząc na niego, czuła się winna jakiejś nieokreślonej zbrodni, za sprawą której powinna prawdopodobnie tkwić po drugiej stronie muru, w tym szarym bloku o zakratowanych oknach.

Nic nie pozostało – musiała odejść, lecz zanim odejdzie, powiedzieć sobie wreszcie to zdanie. Po to tu przecież przyszła.

„Jestem wolna” – szepnęła więc półgłosem, niepewnie, by broń Boże nie usłyszał jej tam, z wysokości. Powiedziała to samej sobie – własnemu sercu i własnej niepewności, czując lęk i mając świadomość niespełnienia. W gruncie rzeczy, czy to ma jakieś znaczenie, że na tym właśnie podwórku, w pewnej odległości od szarego muru i w sąsiedztwie karłowatych ogródków, które jeszcze nie obudziły się do życia, wypowiedziała owo zdanie „Jestem wolna”? Powtórzyła je raz jeszcze, dla pewności, ale i tak wiedziała, że nie wierzy, podobnie jak wiedziała, że kiedyś uwierzy i że jednak nie żałuje, że tu przyszła.

Odwrociła się i powoli odeszła do swoich spraw. Zdawało jej się jednak, że odprowadza ją wzrok strażnika, stojącego wciąż na swej wieżycy, zawieszonyj pomiędzy ziemią a błękitem...•



## Polemiki

Wojciech Wiercioch

## Do Jacka Podsiadły – list otwarty

Szanowny Panie!

Głośnym poetą Pan jest, a ja jestem tylko skromnym, prowincjonalnym dentystą-aforystą. A jednak odważyłem się przesłać Panu moją książkę: „44 wybory – czyli 77 udręczeń i ukojeń” – narażając Pana na cierpienia fizyczne (konieczność transportowania kilogramowej książki na dystansie tysiąca metrów) i duchowe (treść i forma owej szmiry). Bardzo Pana przepraszam!!!

Zastanawiałem się, czy polemizować z Panem – wszak panuje zwyczaj, że autor nie powinien się pojedynkować (intelektualnie) z krytykami literackimi. Jednak w tym przypadku ma miejsce odmienna sytuacja. Pański *otwarty list* nie jest przecież recenzją – jest brutalnym atakiem na moją osobę. Nie analizuje Pan bowiem mojej twórczości – a tylko używa „argumentów” ad personam (nieuczciwe chwytły erytyczne)... nazywając mnie (w domyśle) oszustem, psychopatą i grafomanem (najczęściej zarzut w stosunku do pisarza).

W tej sytuacji: w dawnych czasach musieliśmy się pojedynkować (vide: biała broń, odbijająca białe plamy historii literatury)... a w czasach obecnych moglibyśmy się spotkać w sądzie...

A jednak zdecydowałem się wystosować do Pana LIST OTWARTY (o ile Bóg – i Redaktor – da... go stworzyć). Walcząc ze mną – zrobił mi Pan REKLAMĘ i umożliwił zaistnienie na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Dotychczas bowiem nie miałem tej (niewątpliwej) przyjemności. Niegdyś np. wysłałem mój tomik Józefie Hennelowej, która jednak nie napisała recenzji – a tylko list (zamknięty), w którym nie wyraziła zastrzeżeń co do formy, a tylko do treści niektórych aforyzmów (lekarzki czarny humor). W kolejnym tomiku było ponoć – zdaniem Bronisława Mamonia – kilkanaście bardzo dobrych sentencji. Ale i one nie znalazły się na łamach pisma. Mój tekst o Karolu Wojtyśle został uznany przez ks. Adama Bonieckiego – redaktora naczelnego – za inspirujący i dający do myślenia; a jednak został odrzucony. Może się Pan z nim zapoznać, gdyż funkcjonuje on jako wstęp do książki „Misterium Słowa” (wybór myśli Karola Wojtyły). Tak więc dopiero dzięki Panu mogłem zadebiutować w owym tygodniku. Bóg zapłać!

W swoim tekście „Do Wojciecha Wierciocha” zarzuca mi Pan kłamstwo, twierdząc, iż jest niemożliwe, aby tak wielu wybitnych ludzi (i o tak odmiennych orientacjach ideologicznych) mogło wyrazić pozytywną opinię o mojej twórczości. Wymienia Pan kilka znanych nazwisk, po czym przytacza nazwiska mniej i mało znane (zamierzam ich recenzje w swojej książce). To jest dla Pana dowodem moich matactw.

Dlatego wyjaśniam: Mój pierwszy tomik wysłałem do ponad siedmiuset odbiorców. Od niektórych otrzymałem odpowiedzi, które pomieściłem w moim kolejnym tomiku „Przed wieprze” (nie zamierzam go Panu wysłać, żeby nie zmuszać do kolejnej męczącej wędrówki na pocztę). Kserokopie tych listów (licząc na zmianę stosunku do mnie i do aforystyki) wysłałem do kilku redakcji – także do „Tygodnika Powszechnego” (mam nadzieję, że kopie listów Kapuścińskiego, Błońskiego, Michnika, Kobylińskiego, Zukrowskiego, Tyma, Twardowskiego, Dedeciusa nie zostały wyrzucone do kosza – proszę sprawdzić!). Natomiast w mojej ostatniej książce zamieściłem recenzje współpracowników pisma „Futurum”, którego jestem redaktorem naczelnym.

W swojej pseudorecenzji pisze Pan: „Pewnie mi Pan nie uwierzy, ale jest Pan czystszej wody grafomanem”. Cóż... W dziedzinie słów nikomu nie wierzę na słowo. Miałem nadzieję, że mnie Pan

przekona – a obrzucony zostałem jedynie inwektywami (obelgi to argumenty tych, którzy nie mają argumentów). Pisze Pan bowiem, że cierpię na chorobę psychiczną („mania pisania jest schorzeniem”). Nie wiem, kto Pana upoważnił do stawiania diagnozy medycznej. Lekarzem psychiatrą przecież Pan nie jest. W leksykonie „PARNAS BIS” – w notce poświęconej Panu – czytam: „Prywatnie: urodził się w Szewnej k. Ostrowca Świętokrzyskiego, szkół nie kończył. Dawniej utrzymywał się z prac dorywczych, przyznaje, że m.in. handlował narkotykami, ale tak naprawdę pracował głównie jako stróż na budowach. Obecnie dziennikarz Polskiego Radia w Opolu, gdzie prowadzi audycje folklorem podszycie”.

Pisze Pan, że jestem lekarzem i prezesem Stowarzyszenia Aforystów Polskich. I to ma być argument wymierzony w moją twórczość?! A niby dlaczego? Rabelais, Celine, Żeleński, Czechow, Bułhakow leczyli i pisali – a poważni krytycy nie wrzeszczeli o ryzyku przemieszczania tych funkcji (a nawet nadużyć – co Pan sugeruje).

W Pańskim pseudofelietonie „Do Wojciecha Wierciocha” czytam: „Z rewersu (ułatki) dowiedziałem się, że pcha się Pan do władzy („Teraz Wojciech Wiercioch posłem RP!!!), a takich jak Pan szczególnie należy powstrzymać”. Wzruszające! Ale jak odróżnić tych, którzy kulturalnie kandydują, od tych, którzy „na chama” pchają się do władzy?! Kto ma o tym decydować? I według jakich kryteriów? Z Pańskiego stwierdzenia można wnosić, że jest Pan faszystą lub komunistą... W demokracji o tym, kto zostanie posłem lub radnym, decydują obywatele danego kraju (miasta, powiatu). Natomiast bierne prawo wyborcze przysługuje każdemu pełnoletniemu obywatelowi, który nie został pozbawiony praw obywatelskich. Dlaczego więc chce mnie Pan pozbawić tych praw? Kto dał Panu takie prawo? Może się Panu

marzy zasiadanie w jakimś Komitecie Centralnym PZPR (robotniczej! – bo przecież był Pan robotnikiem)... Czego jednak nie życzę sobie, Panu ani Naszym Rodakom...

Wybitni twórcy wyrazili w jakiejś formie pozytywną opinię o mojej twórczości (oczywiście nie wszyscy – od wielu nie otrzymałem odpowiedzi; a kilkanaście osób wyraziło opinię negatywną). Jednak nic z tego nie wynika. Dlaczego? Mogłbym napisać o tym długi esej. Najważniejszą chyba przyczyną jest paradygmat antyaforystyczny: obecnie w Polsce aforyzm traktowany jest z lekceważeniem, niekiedy nawet nie jest uznawany za gatunek literacki (bywa mylony z niepoważną satyrą). Poza Lecem – żaden ze współczesnych aforystów polskich nie jest umieszczany w pismach literackich, wypisach, antologiach... Zadziwiające zjawisko!

A jednak aforystyka polska istnieje! Aby mógł się Pan zorientować, kto się w tej dziedzinie liczy – polecam następujące księgi: „Wielka encyklopedia aforyzmów” (wstęp i opracowanie –Jochim Glensk), „Aforyzmy polskie” (wstęp: Jan Miodek), „Księga aforystyki polskiej XXI wieku” (opracowali: Andrzej Wiszniewski i Włodzimierz Masłowski).

Będąc aforystą – nie istnieję w „oficjalnej” literaturze. Dlaczego? Cóż, zacytuję może fragment listu (z pozytywną opinią o moich aforyzmach), który otrzymałem od Macieja Iłowieckiego: „Mimo wszystko, nie będzie Pan miał łatwego życia jako twórca – nie należy Pan do <<osób zatwierdzonych>>, którym daje się ordery i nagrody, czy choćby recenzuje ich twórczość, nawet krytycznie. Nie należy Pan do <<towarzystwa>>, które u nas zarządza wszystkim (jak to trafnie określił Rywin w słynnej <<towarzyskiej rozmowie>> z Michnikiem”.

Panie Poeto, żeby nie posadził mnie Pan o konfabulację – kopię listu przesyłam do redakcji „Tygodnika Powszechnego” (proszę zatrudnić grafologa, by mógł autorytatywnie stwierdzić, czy to nie kolejna mistyfikacja nowatorskiego grafomana).

Kończąc – muszę wyrazić smutek i radość: smutek – bo nie dotarł do Pana komizm (w tym – autoironia) moich aforyzmów. I radość – że wyraził Pan zgodę na umieszczenie swego nazwiska na okładkach moich kolejnych książek.✶

Ariana Nagórska

## W trosce o męskie grupy folklorystyczne

Ponieważ „Akant” wydaje mi się od pewnego czasu organem prasowym Ligi Polskich Rodzin, postaram się przynajmniej raz umieścić tę obiecującą kapelę na czołowym miejscu swej listy przebojów.

Pod koniec czerwca kulturowym hitem były występy folklorystyczne panów z LPR na nabrzeżu portu we Władysławowie, zorganizowane na powitanie pewnego holenderskiego statku.

Były szanty, godzinki, zabawy w przeciąganie liny cumowniczej, żonglowanie pigułkami, skecce clownów. Nie mam nic przeciwko cyrkom, ostatecznie port to nie filharmonia. Gdybym mieszkała we Władysławowie, dostarczyłabym marznącym na sztormowym wietrze akrobatom i treserom kobiet rozgrzewającej herbatki z maliną przeczyszczającą. „Oczyszcza umysł i ciało” – jak głosi reklama. Każda zabawa ma jednak (zapewne wskutek machinacji diabelskich) swą ciemną stronę.

Z radia dowiedziałam się, że folklorysty wstępowali bez przerwy przez kilka nocy z rzędu, a to oznacza, że opuścili na ten czas swe sypialnie, nie wypełniając świętych obowiązków małżeńskich.

Były to węc noce dla prokreacji stracone! Nie tak chyba powinna wyglądać działalność prawdziwych patriotów w obliczu groźby wyludnienia narodu! Najpierw rzetelna robota na własnej

niwie, a dopiero potem europejskie igrzyska i gonitwy za paniami spoza rodzinnych pieleszy.

Przy okazji dowiedziałam się (również drogą radiową), że jeśli tylko feministki zaczną rozdáwać jakieś pigułki, panowie z LPR pobięgną do sądów, składać zawiadomienia o przestępstwie.

Niestety, choćby wykrzesali ze swych spracowanych łądzki sprint wszech czasów, i tak niejedna pigułka może zostać skonsumowana, nim dobiegną gdzie trzeba. Przy okazji mogą też nastąpić humorystyczne pomyłki. Przyłapią na przykład jakąś panią na jedzeniu tik-taka bez kalorii (a skąd niby wysokokaloryczny reproduktor ma się na takich dyrdymałkach znać) i całą beczenną energię tropicielską zmarnują na ciąganiu po sądach nieplodnej anorektyczki.

Jest tylko jeden sposób skutecznego działania w tym względzie. Wszystkie bez wyjątku pigułki znalezione w damskich kieszeniach i torebkach działacze Ligi Polskich Rodzin powinni natychmiast połykać, nie tracąc czasu na bezbożne analizy laboratoryjne (nauka jest domeną szatana, najlepiej więc nie wchodzić z nią w konszachty). Jeśli by zaś ktoś z bohaterów LPR padł na polu walki i wskutek ofiarnej konsumpcji chemikaliów trafił do ziemi, to i tak będzie z tego faktu kolejny pożytek. Takiej ziemi Niemcy nie zechcą nam wykupić!✶

## Polemiki

Tadeusz Lira-Słiwa

## Dyscyplina eliminacji

Jak autor „Ocalenia” (1945) zapisuje się w mojej świadomości?

Czesław Miłosz - nestor poezji polskiej. Laureat literackiej Nagrody Nobla. - Polski laureat!

Czesław Miłosz - autor poematów i traktatów. Jednocześnie - twórca, który zawsze tęsknił „do formy bardziej pojemnej, / która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą / i pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo, / autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu” („Ars poetica?”; tom „Wiersze wybrane”, PIW 1980, s. 113). - Niestety, nasi postmoderniści narażają czytelników (i siebie?) na męki „wyższego” rzędu. Zamiast powiedzieć: „Ząb mnie boli, jestem / głodny, samotny (...)” - mówią cicho: „(...) Tomasz Mann, Biblia, i koniecznie coś / w jidysz” (Marcin Świątlicki, „Do Jana Polkowskiego”; antologia „Znak po znaku”, PWN 1992, s. 317).

Czesław Miłosz uważa, iż „wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie, / pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją, / że dobre, nie złe duchy, / mają w nas instrument” („Ars poetica?”, s. 114). - Ciekawa rzecz, że nestor poezji polskiej pisze wiersze - często i chętnie; natomiast noblistka Wisława Szymborska pisze utwory poetyckie - rzadko i „pod nieznośnym przymusem”.

Czesław Miłosz - wielbiciel poezji Jana Kochanowskiego i Adama Mickiewicza („klasycznego” Mickiewicza - kontynuatora tradycji XVIII-wiecznej).

Czesław Miłosz - pisarz, który ma krytyczny stosunek do twórczości poetyckiej niektórych Mistrzów. - Autor „pieska przydrożnego” (1998) powiedział w jednym z programów telewizyjnych, że poezja Juliusza Słowackiego - „to błyśkotki”; natomiast utwory Cypriana Kamila Norwida - „są występane”.

Czytelnicy i literaturoznawcy przyznają zgodnie: Czesław Miłosz wielkim poetą jest... Nawet nieufny uczeń Gałkiewicz (ten z „Ferdynandke”) dałby za wygraną... Co ciekawe, tymi opiniami nie przejęły się dwie znakomite poetki (wielka szkoda, że już odeszły z tego świata): Marianna Bocian i Joanna Salamon. Na począt-

ku 2003 roku ukazała się bardzo ważna książka Marianny Bocian i Eryka Ostrowskiego: „O ukrytych nurtach w polskiej literaturze. Ostatnia rozmowa z Joanną Salamon” (Oficyna Wydawnicza „Atut”, Wrocław). Natomiast w czerwcu 2003 roku redakcja ogólnopolskiego „Akantu” zamieściła na swoich łamach recenzję wspomnianej książki („Lisia natura”, s. 46). Autorem tego tekstu jest Stefan Pastuszewski; zwrócił on uwagę na to, że M. Bocian i J. Salamon „toczą spór (a wtóruje im, zachwycony, Eryk Ostrowski w roli kronikarza) z ideowo-moralną, jakby to nieprecyzyjnie nazwać, postawą zawartą w twórczości Czesława Miłosza”. Autor „Pamiętek inflanckich” (2003) uważa, że wspomniane poetki (i E. Ostrowski) niepotrzebnie nazywają twórczość Czesława Miłosza „*ukrytym nurtem w literaturze*”, budząc tym samym dreszczyk emocji i posmak sensacji, podczas gdy jest to świadome, cyniczne bez wątpienia, tak jak każda metoda jest cyniczna, <zacieranie konturów> przez autora <Zniewolonego umysłu>” (s. 46).

Na wspomnianą metodę zwrócił już uwagę Witold Gombrowicz w „Dzienniku”; wobec Czesława Miłosza zalecał wszystkim ostrożność, bo „Miłosz zaciera kontury”. Miłośnicy „mowy wiązanej” wiedzą, że W. Gombrowicz, prozaik i dramaturg, nie zachwycał się twórczością poetów; napisał nawet szkic „Przeciw poetom” („Kultura” 1951, nr 10; przedruk: „Dziennik 1953-1956”, Paryż 1971). Oto ostatnie zdanie wspomnianego tekstu: „Zbyt łatwo zaiste poświęcamy na tych ołtarzach autentyczność i wagę naszego istnienia” (oczywiście, na ołtarzach poezji). Czy Miłosz-poeta był oburzony treścią tego szkicu? - Tylko w pewnym stopniu! Autor „Ocalenia” oświadczył w „liście do Gombrowicza”, że „prawdopodobnie pociągu do piekła i szlachetności nie da się wypłenić w poetach, łączy się to jakoś z artystycznym przekształceniem, <idealizowaniem> świata, możliwe jednak jest uniknięcie zwężenia, które doprowadza do duszności (...)” („Kultura” 1951, nr 11). Rzecz jasna, artykuł W. Gombrowicza oburzył kilku „solidnych poetów” i jednego „uznanego recenzenta”. Czytelników „Akantu”, zainteresowa-

nych nazwiskami i personaliami tych twórców, odsyłam do tekstu W. Gombrowicza: „Przekłete zdrobienie znowu dało mi się we znaki. Obrońcom poetów w odpowiedzi” („Kultura” 1952, nr 7 - 8; przedruk w: Czesław Miłosz, „Zaczynając od moich ulic”; WD, Wrocław 1990, s. 114 - 121).

Powróćmy jednak do recenzji S. Pastuszewskiego. - Czy autor „Miasta bez imienia” (1969) jest „Lisem”?... Czy „zaciera kontury” w swojej poezji? - I tak, i nie! W niektórych utworach Czesława Miłosza obrazy poetyckie są bardzo wyraźne; widać rzeczywistość „jak na dłoni”, np. w znanym cyklu „Świat (poema naiwne)” („Wiersze wybrane”, s. 14 - 33). W wierszu „Droga”: „Już dach czerwony widać za zakrętem / Przed domem ojciec, wsparty na motyce, / Schyla się, tręca listki rozwinięte / I z grządką całą widzi okolicę” (s. 14). Jednoznaczna jest także postawa moralna Czesława Miłosza; poeta broni podstawowych wartości: „Wiary”, „Nadziei” i „Miłości” (- tytuły wierszy; cykl „Świat...”, s. 26 - 28). Natomiast w końcowych wersach „Traktatu moralnego” zwraca się z apelem do „prostych” ludzi: „Idźmy w pokój, ludzie proszą, / Przed nami jest / - <Jądro ciemności>” („Wiersze wybrane”, s. 59).

W zbiorach poetyckich Czesława Miłosza - obok krystalicznych tekstów - możemy znaleźć wiele... „rozmażanych wierszy”, np. utwór pt. „te korytarze” („Wiersze wybrane”, s. 100). - „Korytarze” Czesława Miłosza są mroczne: „(...) woda kapie na strzaskane płyty”. podmiot-poeta idzie „przy blasku pochodni (...) / W głąb, w głąb góry (...)”; idzie coraz dalej, „labiryntem w ciemne wnętrza”. Podmiot jest nieustraszony (ujawnia „lwią naturę!”); ma świadomość, że „pochodnia zgaśnie na niewiadomym zakręcie”. Oczywiście, bohater wie, że nad tymi mrocznymi korytarzami, w jodłowym lesie, „(...) powietrze rozwinię / Swoje piękne liściaste spirale innym oczom” - jak jemu kiedyś. W puencie utworu świat „nabiera rumieńców”; odkryta zostaje „na nowo każda radość poranka”.

Wiersz „Te korytarze” jest klasycznym (!) przykładem „lirycznej hybrydy” (np. „światło i cień”, „akwedukty i amfory”, „psy i niedźwiedź”). - Czesław Miłosz też jest „hybrydą”, w której „wszystko się telepie / duch i ciało góra z dołem raz marksista raz katolik / chłop i baba a w dodatku pół Rosjanin a pół Polak (...)” (fragment „zaszyfrowanego” utworu Zbigniewa Herberta: „Chodasiewicz”; tom „Rovigo”, WD, Wrocław 1992, s. 45). Co ciekawe, „hybrydyczny Miłosz” jest autorem jednoznacznych wiersów: „Więc tak się moja rzecz zaczyna: / Potrzebna tobie dyscyplina / Eliminacji. po teorii / nie sięgaj grzecznie i pokornie. / Zmienił się zespół zdań najrzadszy, / Gdy zmienisz punkt, z którego patrzysz (...)” („Traktat moralny”, s. 46). - Podejrzewam, że postmoderniści nie czytają wierszy Czesława Miłosza; nie wiedzą, co to jest „dyscyplina eliminacji”. Prawdę mówiąc, autor „Światła dziennego” (1953) nie przejął się własnymi wskazówkami i... napisał kilka przydługich traktatów i poematów; często też „zmienia punkt”, z którego patrzy na świat: „A przecież świat jest inny niż się nam wydaje” („Ars poetica?”, s. 114). Czesław Miłosz „wrzuca” do jednego tomu poetyckiego - „naiwne” poematy, katastroficzne wiersze i rymowane (!) traktaty („Wiersze wybrane” są taką mieszanką poetycką). - Jego „dom liryczny” jest otwarty, we drzwiach „nie ma klucza, / a niewidzialni goście wchodzi i wychodzą” („Ars poetica?”, s. 114).

Zgadzam się z poglądem Stefana Pastuszewskiego, że Czesław Miłosz w swojej metodzie „niczym lis ogonem zaciera ślady”. - I ja próbowałem odczytać poetyckie ślady (tropy) autora „Trzech zim” (1936). Czesław Miłosz ma „lwią naturę”; ma też „lwią naturę”. Ten odważny poeta szedł mrocznym korytarzem XX wieku. I idzie dalej - w 2003 roku - przy blasku solidnej (klasycznej) pochodni.

I trudno pojąć, „skąd się bierze ta duma poetów, jeżeli wstyd im nieraz, że widać ich słabość” („Ars poetica?”, s. 113)•

Rok założenia 1991

PPH DOMAROLL®

PRODUCENT STOLARKI Z PCV I ALUMINIUM

## Nagrody i wyróżnienia na:

Targach GRYF-BUD 99 w Bydgoszczy  
Targach Budownictwa TORBUD 2000 i 2001 w Toruniu  
III i IV Pałuckich Targach Rolnych w Żninie  
III Targach 2001 w Mogilnie  
Nagroda Burmistrza Miasta Żnina - 2002

## Biura handlowe:

Żnin, ul. Szpitalna 74, tel./fax 052/302 80 30  
Toruń, ul. Szosa lubicka 168B, tel. 056/659 91 17  
Bydgoszcz, ul. Czerkaska 32, tel./fax 052/341 61 31  
Bydgoszcz, ul. Moczyńskiego 1, tel./fax 052/328 61 66

## Okna PCV

w systemie TROCAL posiadającym  
międzynarodowy znak jakości ISO 9001

## Stolarka ALU

Stosujemy nowoczesne rozwiązania technologiczne  
zapewniające właściwą wymianę powietrza bez ingerencji  
w strukturę techniczną okna i jego szczelność:  
- uszczelkę samowietrzącą COMFOLIP® lbez  
- nawietrzaki ościeżnicowe REGEL-air® doploty



## Polemiki

Stanisław Truchan

## Był sobie RAZ – czyli kłopoty z Ziemkiewiczem



Był sobie raz młody zdolny. Syn niemłodego już, ale też zdolnego taty – tak zdolnego, że w czasach Gomułki znalazł się w gronie tzw. kadry kierowniczej średniego szczebla. W dodatku (jak sam twierdzi) wnuk tzw. kułaka, a więc wywodzący się z jednej z tych wiejskich rodzin, w których – by schedy nie dzielić – już w XIX wieku pozostawiano jednego pechowca na ojcowych morgach, „ustawiając” całą resztę w mieście. Tak więc ów młody zdolny był inteligentem, nie w trzecim wprawdzie, ale w „więcej niż drugim” pokoleniu. Gdzie tam do niego jakimś Redlińskiemu, pasającemu w młodości krowy nad Narwią... No i wszedł nasz młody, zdolny, jak burza w kolejny polski zakręt dziejowy, i bardzo mu się spodobało. I zakochał się na zabój w kapitalizmie – jeszcze bardziej niż w literaturze science fiction, którą z dużym powodzeniem tworzył już od lat pacholących niemal...

Jak łatwo się domyślić – piszę o Rafale A. Ziemkiewicz. Jednym z czołowych twórców polskiej fantastyki i felietonistyki „Gazety Polskiej”. Bohaterze tekstu Ariana Nagórska z tytułowanego „Viagra dla mózgu”. Tak jakoś się złożyło, że spłodziłem pod koniec ubiegłego roku recenzję zbioru felietonów RAZ-a, zatytułowanego „Viagra mać”. Recenzja niestety gdzieś się w redakcji „Akantu” zapadła – a w końcu stała się nieaktualna, bo tymczasem za owo dzieło Ziemkiewicza wzięła się Ariana Nagórska („Akant” 2003, nr 6, s. 19-20). Podejrzewałem ją zresztą początkowo o jakieś zdolności telepatyczne, albo o czary zgoła, bo nadała swoim rozważaniom nad felietonami RAZ-a tytuł „Viagra dla mózgu”, a ja wcześniej pisałem o „Viagrze dla szarych komórek” – a w dodatku, w pierwszych dwóch kolumnach tekstu, w kapitalnym skrócie zaprezentowała to, co stanowi istotę felietonistyki Ziemkiewicza i co ja też uznałem za największą tej publicystyki zaletę. Fakt, iż Ziemkiewicz widzi w religii jedynie „zbiór norm zapewniający porządek w społeczeństwie”, zaś „duchowy wymiar wiary” jest mu raczej obojętny, A. Nagórska zauważyła jakby mimochodem. Spostrzeżenie to – skądinąd niezwykle celne – stanowi (nie pierwszy i pewnie nie ostatni) dowód jej niezwykłej przenikliwości, bo dokonane zostało na podstawie dość wąskiego materiału zawartego we wspomnianym zbiorze felietonów; dla mnie to żadna nowość – ale ja od dawna mam na półce dobrze znany w środowisku miłośników fantastyki zbiór opowiadań „Czerwone dywany, odmierzony krok” i, otwierając ten tom „Źródło bez wody”, którego przesłanie jest dokładnie takie, jak formułuje Nagórska. Trochę mnie zaskoczyło, iż stwierdza ona ten stan rzeczy dość beznamiętnie, bynajmniej nie zbulwersowana taką postawą. Mam wrażenie, że ze względu na wspomniane wyżej zalety zostało to Ziemkiewiczowi wybaczone... Później jednak – mimo (podzielanej zresztą przeze mnie) satysfakcji Nagórskiej z faktu, iż Ziemkiewicz „używa sobie jak na ostatnim popychadle” na „Michniku i jego dworze” – jest już mniej sielankowo. Żelazna Dama „Akantu” (to nie ironia, to komplement, choć może i brzmienie dwuznacznie...) skoncentrowała się głównie na tym, w jaki sposób autor „Czerwonych dywanów...” demonstruje swoją żarliwą wiarę w kapitalizm i niechęć do wszystkiego, co choćby trochę może się skojarzyć z PRL-em. A kto jak kto, ale Ariana Nagórska hołdów składanych kapitalizmowi nie wybacza i potrafi czcicielowi wolnego rynku wylać na głowę kubel zimnej wody, zaprawionej żółcią. W przypadku autora „Jawnogrzeczniczy” kubła wody raczej nie było – były za to

dwuznaczne komplementy, zza których widać sarkastyczny uśmiech... Wcale nie twierdzę, że A. Nagórska wyrządza w ten sposób Ziemkiewiczowi niezaskuszoną krzywdę. Ja przecież „od zawsze” mam Ziemkiewiczowi za złe mniej więcej to samo. W „Viagrze dla mózgu” zaskakuje raczej dziwna łagodność ocen, zupełnie jakby znany od dawna czytelnikom „Akantu” Iwi pazur złamał się albo stępił.

Czyżby więc Ariana Nagórska miała z Ziemkiewiczem ten sam kłopot, co ja? Mnie felietonista „Gazety Polskiej” doprowadzał nieraz do białej gorączki. Jego arogancka (i rażąco bezmyślna w zestawieniu ze zdolnością tego autora do trafnej oceny faktów) wypowiedź o Redlińskim nie jest jedynym takiej reakcji powodem. Piewców wolnego rynku nigdy nie darzyłem sympatią – o czym świadczą choćby moje polemiki ze Zdzisławem Antolskim. Ale Ziemkiewicz to jednak przypadek szczególny. Przede wszystkim, w przeciwieństwie do nieprzeliczonych zastępów katorżników klawiatury, płodzących w pocie czoła bliźniaczo do siebie podobne peany na cześć wolnego rynku, pełne treści jak Sahara wody – Ziemkiewicz wciąż jest wnikliwym obserwatorem rzeczywistości. Posiada niezbędną godnemu tego miana publicyście umiejętność oddzielania ziarna od plewy, odzierania bredni z pozorów sensu i odsłaniania nagiej prawdy ukrytej pod pokładami hipokryzji i gry pozorów... A jego namiętna miłość do wolnego rynku? Czegoż oczekiwać od człowieka z życiorysem takim, jak opisany na wstępie?! Skąd on ma znać ciemne strony życia?! A kto na tym świecie ma tyle odwagi, by zrezygnować z nazywania darów losu owocami własnego, mrówczego trudu? Zwłaszcza, jeśli może – a to jest właśnie przypadek Ziemkiewicza – dopomóc losowi, umiejętnie eksploatując swój talent? A że Ziemkiewicz to potrafi – to chyba widać.

Czytelnicy „Akantu” pamiętają zapewne, że kiedyś napisałem pod adresem Ziemkiewicza parę cierpkich słów. Powodem była właśnie ta jego ślepa wiara w kapitalizm. Zawsze się dziwiłem, że ten znakomity publicysta – jeden z najbystrzejszych obserwatorów najprzeróżniejszych aspektów życia – nie zauważa mielizn, na jakie raz po raz wpada, formułując swoje sądy. Ale tak to już bywa, z ludźmi przywiązanymi do takiej, czy innej niepodważalnej prawdy. Pod tym względem felietonista „Gazety Polskiej” przypomina pewnego Salisza czy też Kwakiutla z kanadyjskiej prowincji British Columbia. Ów Czerwonoskóry obronił doktorat z fizyki na jakimś renomowanym uniwersytecie – po czym porzucił pracę w instytucie, współpracującym z obserwatorium astronomicznym, by zająć się bodaj fizyką ciała stałego. A czemu? Otóż przyczyną tej decyzji były przekonania Indianin bał się panicznie, iż obcując z astronomami, stanie w końcu przed niepodważalnym dowodem, że Ziemia bynajmniej nie jest płaska i nie spoczywa na grzbiecie żółwia... Jego, skądinąd racjonalny, umysł mógłby takiego dysonansu poznawczego nie znieść. Siła wiary w dogmaty – zarówno ten o skorupie żółwia, jak i ten o wolnym rynku – to siła naprawdę potężna. A przy tym skłaniająca do formułowania sądów mało racjonalnych i – jakże często – nietetycznych...

Teraz – jak widać – jestem dość łagodny w ocenach... Być może ktoś powie: „No tak, Truchan też się fantastyką para...” Jednak nie w tym rzecz. Zresztą, Ziemkiewicz ani mi brat, ani swat, i mniej więcej do połowy maja z pewnością w ogóle nie

miał pojęcia o moim istnieniu... (Nie, nie, nie było w maju żadnego spotkania przy wysokoprocentowych napojach; po prostu w majowym numerze „Science Fiction” moje opowiadanie odgradzane było od felietonu Ziemkiewicza zaledwie sześć cieniutkimi kartkami – a trudno przypuszczać, by autor „Pieprzonego losu kataryniarza” nie brał do ręki pisma, w którym publikuje zarówno felietony, jak i opowiadania). Tak się jednak składa, że z różnymi wytworami umysłu RAZ-a obcuje od lat, i między mną a jego twórczością wytworzyła się pewna szczególna więź, na którą składają się, w trudnych do określenia proporcjach, irytacja i fascynacja. Zresztą nie jestem osamotniony; po felietonie Ziemkiewicza w kwietniowej „Science Fiction” poczta elektroniczna redakcji zapechana została mailami czytelników, rozsierdzonych moim felietonem, atakującym amerykańskich twórców fantastyki (z Ursulą K. Le Guin na czele), którzy wyrazili swój zdecydowany sprzeciw wobec wojny w Iraku (poglądy Ziemkiewicza na ten temat są dokładnie takie, jak A. Nagórska przypuszcza). Przed kilku laty podobną reakcję wywołał felieton RAZ-a w „Nowej Fantastyce”, zainspirowany wystawą biżuterii Habsburgów.

A irytacja wywołana jego wypowiedziami jest tym większa, że posuwa się on w swojej bezkompromisowości o wiele dalej, niż inni publicyści. Oto kasek, szczególnie smakowity, dla miłośników ostrych przypraw, palących żywym ogniem podniebienie – fragment felietonu, zatytułowanego „Familia kontra konfederacja”, porównującego obecny stan rzeczy z sytuacją z czasów Stanisława Augusta („Viagra mać”, str. 307). „Familia – pisze Ziemkiewicz – zapatrzona z neoficką ślepotą w zachodnie salony pragnie Polskę zmodernizować na europejski wzór – ale ponieważ sama nie rozumie, na czym się zachodniość Zachodu zasadza, i ponieważ zdolna jest bardziej do kawiarnianego paplania i papuziego chwytania najbardziej powierzchownych mód, niż do myślenia, modernizacja ta sprowadza się w jej wykonaniu do zjadłego odpolszczenia Polaka. A konfederacja skupia się na patriotycznym bałwanieniu prostaczków, myślenie zostawiając Najświętszej Pani, kierowana drobnymi ambicjami śmiertelnie skłóconych wodzów i zawsze w swej głupocie gotowa tańczyć tak, jak jej zagra kolejny Repnin czy Doumoriez. Powtarza się nawet bezustannie ta figura mącącego w pobożnych głowach proroka, archetypicznego księdza Marka z Baru, o którym nikt już nie wie na pewno, czy był po prostu głupi, czy brał ruble od Moskali”. Diagnoza napisana żółcią, nie atramentem. A przy tym – nie kryję – szczególnie bliska mojej ocenie atmosfery dyskusji o polskich sprawach u progu XXI wieku.

Taki jest Ziemkiewicz – i już się nie zmieni. Zawsze będzie na przemian irytował i wzbudzał uznanie. Zawsze też powoływać się będą na niego różni tępawi czciciele „pierwszego miliona, którzy trzeba ukraść”.

I chyba jednak zawsze będzie jednym z najlepszych polskich felietonistów. Tego głosu w rozważaniach nad współczesnością i przyszłością – Polski, Europy, świata – po prostu nie wolno pominać.

PS: Z całej twórczości fabularnej Ziemkiewicza polecam A. Nagórskiej opowiadanie „Śpiąca królowa” – właśnie z tomu „Czerwone dywany, odmierzony krok”. A poza tym – oczywiście – słynną „Jawnogrzecznicę” (antologia opowiadań fantastycznych pt. „Robimy rewolucję”, wydana przez Oficynę Prószyńskiego). Wtedy jeszcze „duchowy wymiar wiary” nie był RAZ-owi aż tak obcy... ■

## INSTYTUT WYDAWNICZY „Świadectwo”

świadczy usługi w zakresie edycji i kolportażu:

- ◆ książek ◆ broszur ◆ czasopism
- ◆ prospektów i ulotek ◆ plakatów

85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4  
tel. (052) 321 33 71, fax (052) 371 40 90  
e-mail: akant@akant.telvnet.pl

Jacek Tabisz

## Synestezje

Wiele razy zastanawiałem się nad szczególnego rodzaju wrażeniem, jakie wywołują we mnie niektóre dzieła sztuki. Ta krótka, ulotna, na poły nieświadoma emocja, związana była z odczuwaniem artystycznej idei od niosącego ją materiału. Inaczej mówiąc, medium sztuki nie odgrywało prawie żadnego znaczenia wobec myśli twórcy, jakiej to medium zostało podporządkowane.

Dla wytłumaczenia tego dość metafizycznego zjawiska najpierw sięgnę po architekturę. Mało kto oprze się pięknu klasycznych gotyckich katedr. Można to tłumaczyć szczególnie silną duchowością twórców stylu gotyckiego, opartą na tomistycznym porządku wszechświata. Nie wyjaśnia to jednak tego, że gotyk, oddalając się od stylu katedralnego, zatracił swój szczególny „architektoniczny czas”. Nie mogę też zgodzić się z tezą że, po okresie dojrzałego gotyku, zabrakło talentu średniowiecznym architektom. Również i później powstawały dzieła wybitne, nie posiadające jednak owej szczególnej aury. Podobnie – w czasie gdy w Ille-de-France powstawały katedry królewskie, również w innych regionach Europy tworzone ambitne założenia architektoniczne, nie powodujące jednak owego temporalnego efektu.

W metodologii historii sztuki istnieje prosty, ale też bardzo trafny podział sztuk wedle ich podstawowych mediów, czyli materiałów, jakimi dysponują dla wyrażenia idei twórców. Podstawowym rozgraniczeniem jest podział na sztuki miejsca i czasu. Sztukami czasu są między innymi literatura i muzyka, a także z nowszych – film. Symfonii słucha się od początku do końca, jest ona złożona z trwających rozmaity długość czasu dźwięków i przerw między tymi dźwiękami – pauz. Głównym materiałem symfonii jest czas – jego fakturą są akcenty w nim, czyli rytm; a barwą, czy też jakością są dźwięki – ich charakter związany z instrumentem, ich wysokość związana z miejscem w gamie, ze stosunkiem wobec sąsiednich zdarzeń muzycznych. Podobnie w powieści mamy fabułę, której konstrukcja biegnie zgodnie z nurtem czasu jakim jest czynność czytania książki. Podobnie jak kompozytor, pisarz może manipulować tym nurtem, jednak jest on głównym aspektem jego sztuki.

Natomiast sztukami miejsca są sztuki plastyczne – malarstwo, rzeźba i inne, oraz architektura. Istotą tych sztuk jest stosunek twórcy do przestrzeni. W architekturze jest ona stosowana dosłownie – każdy budynek jest bowiem w swej istocie klatką na przestrzeń, próbą jej organizacji poprzez bariery ścian. W rzeźbie zjawisko zachodzi w mikroskali – figura jest bryłą, którą widz ogląda z różnych stron, jednak nie pełni już przeważnie funkcji swoistej tamy między wnętrzem, a zewnątrz. Oczywiście, zdarzają się realizacje na pograniczu tych dwóch sztuk, takie jak kaplica Ronchamps le Courbousiera, będąca niejako rzeźbą architektoniczną, czy piramidy egipskie, nie posiadające de facto wnętrza. Najbardziej kameralną ze sztuk przestrzeni jest oczywiście malarstwo, ograniczone zaledwie do płaszczyzny.

Tymczasem w klasycznych katedrach gotyckich spotykamy się z przemożnym wrażeniem „czasu architektonicznego”. Zjawisko to podkreślali już sami współcześni tych wspaniałych budowli, mówiąc o bliskim powiązaniu teorii kompozycji muzycznej z architekturą katedr. Nie było to jedynie połączenie tych sztuk na zasadzie kontekstowej, związane z tym, że uroczystościom sakralnym odbywanym w katedrze towarzyszyła odpowiednia muzyka. Zjawisko to miało znacznie głębsze podłoże – katedra, będąca typowym przejawem sztuki miejsca operowała też czasem. Będąc w jej wnętrzu i patrząc na nią, widzimy, przede wszystkim, linie. Klasyczny styl gotycki jest linearny. Te linie tworzą w naszej percepcji kierunki, pomimo że stoimy w miejscu, jesteśmy

dzięki nim w ruchu – nasze oczy podążają za nimi, nawet wbrew naszej woli. Wnętrze katedry jest wydłużone – posiada ona jedną zdecydowaną oś, biegnącą od głównego zachodniego wejścia do ołtarza umieszczonego na wschodzie. Sama w sobie oś ta stanowi już jakiś okrucuch czasu dla naszej percepcji. Można rzec – jest białą kartką, na której pisarz postawi pierwsze litery, lub ciszą w którą wedrą się pierwsze dźwięki orkiestry. Szlachetne miano „klasycyzmu”, jakie nadała współczesna nauka stylowi z serca późnośredniowiecznej Francji, dobrze ilustruje to zjawisko. W prosty nurt znanej od dawna bazyliki wplekli bowiem architekci katedr całą sieć misternych efektów. Pojawiają się zatem rytmy kolumn i filarów, prowadzących między nawami, rytmy empory, biegnącej nad nimi, rytmy otworów okiennych. Zatrzymują one prosty kierunek osi zachód – wschód, dozują go, powiększają liczbę kart tej powieści. Powstaje rytm. Rytm, który jest modulowany za pomocą gzymsów i multiplikacji elementów – kolumnienek w emporach, służek spływającego po żebrach sklepienia. Użyte są pewne modusy, podobne do taktów w muzyce, które z jednej strony służą rozgraniczeniu poszczególnych zdarzeń, z drugiej strony – ich przenikaniu. Ta wzajemna walka dążeń przebiega zarówno pomiędzy największymi, konstrukcyjnymi elementami, jak i pomiędzy drobnymi detalami kapiteli kolumn, wykrojów żeber i służek. Mamy zatem do czynienia z komplementarną dla wszystkich elementów równowagą, postępującą lekko do przodu, do końca naszej symfonii. W przeciwieństwie jednak do „prawdziwej” muzyki, mamy możliwość jej trójwymiarowej recepcji, możemy niejako przechadzać się wśród muzyki sfer.

Zatem – wchodząc do paryskiej Notre-Dame – mamy do czynienia z synestezją przestrzeni i czasu. Odpowiednio wsłuchany, i zarazem wpatrzony, odbiorca tego dzieła architektury ma szansę przyłapać swoją percepcję na chwili całkowitego zagubienia. W tym momencie, przestają być istotne materialne związki między obserwacją a zjawiskiem. Odbiorca nie myśli już – „jestem w gotyckiej katedrze, która mi się podoba, bo...”. Zostaje oderwany od kontekstu – jego myśl się upraszcza, a zarazem dematerializuje. Głównym aspektem staje się odbiór idei, zawartej w katedrze. Wrażenie lokalizacji – „jestem tu”, przyska jak bańka mydlana, bo jak można być w muzyce... Jednocześnie jest to cicha muzyka, muzyka kamiennych łuków, więc nasz obserwator nie zacznie podskakiwać i tańczyć. Pozostaje jedynie „niewyraźna”, coś, czego nie sposób opisać, a co jest rzeczywiście nową wartością. Dzięki synestezji mamy zatem możliwość absolutnego odbioru sztuki, bez przekładów myślowych, upraszczających ją na zasadzie opisu.

Innym przykładem synestezji jest zależność między dźwiękiem a barwą. Jest ona bardziej popularna od opisanej już synestezji przestrzeni i czasu. Nie niesie też w sobie, moim zdaniem, aż tak mocnego wyzwolenia percepcji od materiału. Nie dotyczy ona bowiem synestezji podstawowych aspektów obydwu grup sztuk, ale jedynie zbieżności fakturalnej. Barwa w sztukach miejsca jest detalem, wypełnieniem płaszczyzny. Podobnie barwa dźwięku nie jest podstawowym aspektem muzyki – znacznie ważniejszy jest jego przebieg w czasie. Wiele osób jest w naturalny sposób obdarzona synestezją dźwięk - barwa. Ślady ich działalności z łatwością znajdziemy wśród wielu kompozycji, cechujących się tak zwanym koloryzmem muzycznym. Nawet laik usłyszy w muzyce Debussiego czy Arwo Partha kierowanie się twórców logiką malarską, kreowanie takich wydarzeń dźwiękowych, aby mogły one przywoływać barwne obrazy.

Bardziej jeszcze zawiłym problemem, rzeźcą zarówno trudniejszą do osiągnięcia, jak i do wytłumaczenia, są synestezje biegnące w drugą stronę – od czasu w przestrzeń i od barwy w dźwięk. Bowiem im mniej jest na pierwszy rzut oka czytawista dana synestezja, tym mocniejszy może być efekt odrealnienia, wiodący ku sztuce absolutnej.

Synestezja: czas – przestrzeń powinna zachodzić w samej strukturze utworu muzycz-

nego, bądź powieści. Nie wystarczy opis wielkiej grotty, gdzie światła toną w mroku, a krople dudnią jak werble. Przestrzeń musi być obecna w strukturze zdań. Podobnie w muzyce – musi być obecna w relacjach dźwięków i pauz, w odpowiedniej agogice, co ma być widoczne nawet w partyturze, którą jedynie czytamy. Przestrzeń w muzyce jest znacznie słabiej obecna niż barwa. Jedynymi kompozytorami, u których dostrzegam celowe zabiegi dla jej uzyskania są, Beethoven (szczególnie V koncert fortepianowy) i niektórzy twórcy gotyku (anonimowy autor Mszy z Tournay, Machaut zwłaszcza w swoich motetach). Szczególnie artyści z doby gotyku nie powinni dziwić w tym zestawieniu, zważywszy na wcześniejszą wspomnianą analogię, jaką widzieli ich współcześni pomiędzy kompozycją przestrzenną a muzyczną. Oczywiście Guillaume de Machaut tworzył przeszło wiek po działalności ostatnich architektów gotyku klasycznego, ale należy pamiętać, że zmiany stylowe w muzyce były bardziej powolne niż w innych sztukach.

Niestety mało mam do dyspozycji narzędzi, aby opisać środki dla uzyskania synestezji: czas – przestrzeń w muzyce. Jednocześnie jest ona dla mnie szczególnie atrakcyjna jako dla poety – czyli artysty „czasu”. Dlatego opiszę moje doświadczenia w kreowaniu tej szczególnej synestezji z pomocą słowa, a zainteresowany czytelnik, nie bez trudu, będzie mógł spróbować przełożyć ją na techniki muzyczne.

Dość dobrą drogą dla uzyskania tej synestezji wydaje mi się analiza opisanej już wcześniejszej synestezji odwrotnej (przestrzeń – czas). Błakając się po klasycygotyckiej katedrze mieliśmy do czynienia z kilkoma, uporczywie stosowanymi, środkami wyrazu – były to: ruch przestrzeni osiowej; rytm kolumn, okien i arkad; linearność gzymsów, służek i żeber; powtarzalność pewnych modułów w mikro- i makroskali. Do tego należy dodać elementy charakterystyczne dla katedry, oczywiste i nieprzełomowe dla sztuki miejsca, ale nietypowe dla sztuki czasu: jednolite rozbięcie przestrzeni (przestrzeń jest podzielona konstrukcyjnie i dekoracyjnie, jednak to rozbięcie jest powtarzalne, przez co w końcu i tak staje się jednorodną całością); zestawienie masywności i lekkości (jak wiadomo, architektura gotycka „unosila się nad ziemią” dzięki punktowemu oparciu ciężaru sklepień, przez co ściany mogły być tylko szkieletem przeszklonym witrażami – jednak elementy nośne były szczególnie odpowiedzialne za trwałość budowli – stąd skarpy, przypory, masywne filary naw); ostre kontury detali a jednocześnie ich przenikająca się płynność (katedry Ille-de-France charakteryzują się mocnym, niemal wyciętym brzegiem detali – jednocześnie wszystkie detale są jakby wykute z jednej gładkiej masy skalnej). Teraz należy wziąć pod uwagę te wszystkie elementy, przełożyć je na formę poetycką, usunąć te, które są oczywiste dla sztuki czasu i przyjąć te, które były oczywiste dla sztuki miejsca.

Przejdźmy więc do tej odważnej próby. Warto pamiętać, że katedra jest miejscem – ma swoje dokładnie ustalone granice. Konstrukcja wiersza nie może być zatem otwarta, ja wybieram bliski mi sonet – będący formą na tyle krótką, że nasza percepcja odbiera go jako jedno miejsce. Do tego, zawiera on już w sobie dążność do zamknięcia w odpowiedni rytm i przebieg znaczeniowy poszczególnych wersów i strof. Forma krótsza od sonetu może z kolei okazać się niewystarczająca dla rozwiązania wszystkich zagadnień, jakich wymaga uprzestrzennienie wiersza. Ważne jest zestawienie ciężkości i lekkości – można by rzec, że tego typu kontrast jest jedną z głównych gradacji, dzięki którym odczuwamy przestrzeń. Czy wielkie pasmo gór na horyzoncie nie ma właśnie owej lekkości na skraj widzenia, którą w myślach wypełniamy wiedzą o monumentalności skalnych pasm? Zatem – musimy poderwać do ruchu ciężkie zdania, skonstruować ciężką treść z lekkością obrazów i metafor, a może nawet oddzielić sferę ruchu i bezruchu... Wyzna-

czyć punkt stały, ciężki, ziemię, ład, miejsce obserwacji i lecające nad tym ptaki, chwiejąca się trawę - wiatr. To wszystko musi wyrażać też agogika poszczególnych wersów. Ona też będzie potrzebna do oddania ruchu i plastyczności. Staram się pisać wersy, które w pierw wspinają się nabierając rozpędu, po czym opadają. Są to struktury łuku, odpowiednik arkad empory - osiągnięcie rytmu w sposób bardziej architektoniczny, z pewnością punkt zbieżny w obu kierunkach tej synestezji. Kolejną rzeczą jest modularność - figury napięć znaczeniowych i formalnych muszą przejawiać się zarówno w makroskali (cały sonet), jak i w skalach mniejszych - stroficznych i wersyfikacyjnych. Inną rzeczą, oczywistą dla architektury, są otwory pomiędzy przestrzenią zewnętrzną, a wewnętrzną - czyli okna i portale katedry. Oczywiście utwór muzyczny się też jakoś otwiera, podobnie wiersz. Jednak - widząc witraż, wiemy że płynie przez niego światło z zewnątrz, a przez uchylone drzwi widzimy zalany

słońcem plac przed katedrą. Czyli pisząc, muszę oddać wrażenie ciągłej wiedzy o tym, że jest wewnątrz i zewnątrz. Wiersz musi się stać popękaną tamą, którą co rusz zdobywają pływy morza. Z pewnością jest to łatwiejsze do osiągnięcia w warstwie znaczeniowo - opisowej wiersza. Moje próby na polu formalnym dotyczą zróżnicowania stylów w wierszu, do czego pretekstem jest wprowadzanie dwóch postaci poetyckich w wierszu, co w sonetach jest szczególnie efektowne. Oczywiście mogą istnieć inne bieguny, wokół których krążą stylistyki wiersza. Jeszcze ambitniejsze może być uzyskanie „pogłosu” - to jest tworzenie niepełnych zdań, które dopowiada wyobraźnia czytelnika. Do efektu „pogłosu” znakomicie służą sonety o krótkiej liczbie sylab w wersie - od 5 do 7. Inną rzeczą, którą można podpatrzeć w synestezji odwrotnej, jest kontrast między podziałem a spoiistością. W przełożeniu na wiersz oznacza to używanie mocnych, brzmiałych słów, z którym każde stanowi swoistą do-

minantę, a jednocześnie duża ilość takich dominant nie przekreśla spoiistości całego wiersza, wręcz ją pogłębia - podobnie jak w architekturze.

Jak widać, moje tropy mają naturę dość ogólną, ale wydaje mi się, że zaproponowana przeze mnie zasada konstruowania synestezji czas - przestrzeń w wierszu jest słuszna. Należy po prostu dokładnie przeanalizować zaobserwowane cechy synestezji odwrotnej i metodą prób i błędów wprowadzać je do swojej twórczości. Efekty mogą być bardzo zachęcające. Gdyż, oprócz oderwania percepcji czytelnika od materii wiersza, tak jak w architekturze, poezja daje również możliwość stworzenia wtórnego echa. Tym wtórnym echem może być po prostu treść utworu, odpowiednio korespondująca z zawartą w nim synestezyjną formą. Można też połączyć wiele płaszczyzn formalno - znaczeniowych wiersza tak, aby stał się on w pewnym sensie nieskończony, jak ustawione naprzeciwko siebie lustra.<sup>18</sup>

František Všeticka

## Wszystkie słońca van Gogha

Lata pięćdziesiąte minionego wieku były do skrajności niezwykle. Jedną z osobliwości tychże był fakt, iż Polakom z czeskiego Śląska nie wolno było studiować w ówczesnej ludowej i socjalistycznej Polsce (natomiast Czesi mogli). Konsekwencją tego zakazu było, że na ołomunieckiej wyższej uczelni, przez jedną noc zmienionej na Wyższą Szkołę Pedagogiczną, studiowało wielu Polaków z czeskiego Śląska cieszyńskiego. Wśród nich znajdowało się kilku późniejszych twórców literatury. Jednym z nich był i WŁADY-SŁAW SIKORA W latach 1953-1957 na Wydziale Pedagogicznym studiował język polski i rosyjski, gdzie jego wykładowcami byli Jirzi Damborsky, Hana Jechowa, Jan Korzenny i Bedrich Téma.

Cztery lata po uzyskaniu ołomunieckiego absolutorium W. Sikora debiutował tomem poezji „Próg”, który otwiera wiersz o tym samym tytule, w którym autor powołuje kolory i kolorytę Wincentego van Gogha:

Wszystkie słońca van Gogha  
Topią płótna na przestrzeni,  
My z drapieżności czasu  
Niesiemy wyblakłe oleodruki.

\*\*\*

Všechna sluncááe von Gogha  
távi obrazy do prostoru,  
my z krutosti času  
neseme vybledle barvotisky.

W tym samym zbiorze w wierszu „Fortepiany” van Gogh pojawia powtórnie. Sikora mówi w nim o słonecznikach van Gogha, wiersz w swej wymowie brzmi o wiele bardziej optymistycznie, niż wiersze wstępne „Progu”. Mimo woli ożywa mi w myśli inny wiersz z podobną tematyką, który napisał druh Sikory Jan Pyszko. Nosi tytuł „Pieczęć” i jest króciutki:

Urodzaj  
słoneczników Wincentego  
i krzyży

Siostry nieodłączne  
krajobrazu

Ůroda  
Vincentových slunečnic  
a křiží

Neodlučné sestry  
krajiny

Miniaturę Pyszki przypominam dlatego, ponieważ obaj poeci mają osobliwą zdolność kolorowego widzenia. U obu owa predyspozycja jest dana między innymi i tym, że obaj są intymnie związani ze światem plastyki. Władysław Sikora dodatkowo przynależy do minigrupy Trójkąt Bermudski, którego pozostałe kąty tworzą prozaik Kazimierz Jaworski i malarz Bronisław Liberda (prawdę mówiąc, mieszkanie Sikory jest pełne obrazów Liberdy - jeden obok drugiego).

W roku 1966 Władysław Sikora wydał swój drugi tom poezji - „Lato”, na który składają się trzy mniejsze poematy. Dla Sikory ów nagły, śmiały i nadmierny manewr - przesunięcie od krótkiej stosunkowo liryki ku większym utworom poetyckim, z drugiej strony również znamienny, bowiem wysiłek Sikory wkładany w tworzenie obszerniejszych tekstów poetyckich będzie

się pogłębiał i nadal trwał. W roku 1977 wydaje poemat „Karel”, w 1981 cykl „Henryk Nitra”.

Już w zbiorze Lato znalazł się wiersz „Dom”, który wyznaczał jeden z głównych tematów twórczości Sikory - więzy z rodziną i rodem. Na motywach tej materii napisał dwie obszernie książki prozatorskie - „Za ojcem idę” oraz „Ojcowizna”. W obu autor podkreśla linię ojca, lecz matki w swej twórczości również nie pomija. W Tercynach ma zwarty i skrótowy wiersz „Po tamtej stronie”, w którym z nie mniejszym uczuciem opowiada przy linii matki:

Jak tam jest Mamo i będzie  
Pogodny wieczór z nocą pogodzony  
a tyle zabiegów krzyży na ramiona

Brama otwarta w jedną stronę  
ale postoję zanim wrócisz  
trudno samemu spieszyć w nieskończoność

\*\*\*

Jak tam je Mamo a budę  
Kłidny večer s noci spjatý  
a tolik ukonu krize na ramena

Brana otevrena ne jedne strane  
ale pockam a se vratfs  
tezko samemu spechat v nekonecnost

Wiersz ma podobną tonację, co jego prozy o ojcu. Jest wzruszający aż po grób. Mógłby nosić tytuł *Za matką idę*, (Nie przypominam sobie żadnego z czeskich poetów, który by napisał w ostatnim czasie tak szczery wiersz o swojej matce. Ostatnio chyba tylko Jaroslav Seifert).

Władysław Sikora ma z wszystkich zaolziańskich twórców literackich najszerzy okrąg zainteresowań - jest poetą, prozaikiem, eseistą i felietonistą. Zajmuje się historią literatury zaolziańskiego regionu. Pisze nie tylko o swych współczesnych, lecz także o dawnych prekursorach. Jego dorobek w tej dziedzinie ma ważne i doniosłe znaczenie, podobnie jak jego poetycka czy prozatorska twórczość.

Sikora mieszka w Czeskim Cieszynie. Z balkoniu jego mieszkania widać ewangelicki kościół Jezusowy w polskim Cieszynie. W miesiącach letnich, kiedy drzewa są w pełnym rozkwicie, zieleń drzew wokół świątyni wytwarza regularny krąg. Świątynia jest dokładnie w jego środku. Wiersze Sikory przypominają mi taki właśnie krąg.<sup>19</sup>

Z czeskiego przełożył Jan Pyszko  
Teksty wierszy po czesku przełożył František  
Všeticka

Rama też jest dziełem sztuki  
PRACOWNIA PLASTYCZNA

„DEKORA”

Bydgoszcz, ul. Gdańska 9,  
tel. 322 19 88

Służy artystom i miłośnikom sztuki  
od 1945 roku.

Oprócz artystycznej oprawy obrazów  
prowadzi sklep z artykułami malarskimi.

Najnowsze techniki i technologie.  
Najlepsi fachowcy, artyści bez mała

Zapraszamy  
w godz. 10.00-17.00



Lekcje rysunku i malarstwa. Przygotowanie  
do egzaminów wstępnych, tel. 0604194930

Stefan Pastuszewski

## Panu Adamowi



29 czerwca 2003 roku odbyło się drugie w historii, otwarte, uroczyste posiedzenie Klubu Polskiej Książki w Łohiszynie na Polesiu (Białoruś). Prowadziła je pani prezes **Janina Bogdanowicz**, a gośćmi byli m.in.: **Krzysztof Błażejowski** – publicysta „*Expressu Bydgoskiego*” oraz **Stefan Pastuszewski** – redaktor „*Akantu*”. Tematem była twórczość Pana Adama Mickiewicza, jak to w duchu białoruskiego patriarchy, tytułowano, całkiem poważnie i naturalnie, naszego Wieszcza.

Spotkanie – zgodnie z tradycją łohiszynskiego KPK – rozpoczęto od rozważań nad rolą języka, literatury, książki. Przypomniano mickiewiczowskie „o gdybym dożył kiedyś tej pociechy, żeby te książki trafiły pod strzechy”, a jedno z dzieci wyrecytowało utwór Wandy Chotomskiej, kończący się następującym dwuwierszem:

Więc rośniemy na Polaków  
Spod białego orła znaku

Bo pierwszy na Białorusi KPK postawił sobie za zadanie umocnienie świadomości narodowej wśród miejscowej, wcale nie tak nielicznej, społeczności polskiej. Zwrócono szczególną uwagę na młodzież, co wcale nie znaczy, że w KPK nie ma dorosłych (ok. 16 osób). Ustalono, że to właśnie język buduje narodowość i przystapiono

do „prostowania języka” poprzez literaturę, bo na Białorusi panuje przecież ogromne zamieszanie językowe i mało kto mówi czystym, literackim językiem swojej nacji. Każda większa miejscowość ma swoją gwara (gowor), stanowiącą mieszanekę polskiego, białoruskiego, rosyjskiego, a nawet ukraińskiego, szczególnie na Polesiu, które sąsiaduje przecież z Wołyniem, a granica między tymi dwoma historycznymi krainami ma charakter historyczno-umowny a nie naturalny (w Polsce nawet istnieje „łączące” te dwa regiony *Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia*). Zresztą z białoruskim pierwiastkiem w tej „zupie językowej” sprawa nie jest prosta, bo po dziś dzień nie doszło do całościowego skodyfikowania języka białoruskiego i białoruską część w tych lokalnych gowarach to zazwyczaj zruszczony język polski z czasów II Rzeczypospolitej i wcześniejszych, co pozwala twierdzić niektórym, że dzisiejszy język Janki Kupaly i Sokrata Janowicza zbudowany został na podstawie języka Adama Mickiewicza. Nie jest to nieprzekonywujące, kiedy wsluchamy się w liturgię słowa po nowo-białorusku, którą od pewnego czasu wprowadza do nabożeństw Kościół Rzymskokatolicki, idąc tym samym naprzeciw postulatowi narodowej inteligencji białoruskiej, a przeciw tendencjom „rusyfikacyjnym” (?), a może tylko prag-

matycznym (język rosyjski jako język wykształcenia większości 10-milionowej, wielonarodowościowej społeczności Republiki Białorusi i w dalszym ciągu język porozumienia między byłymi republikami ZSRR) administracji państwowej. (O masowych wręcz zapożyczeniach z polszczyzny pisał S. Truchan w „*Akancie*” 2003, nr 6, s. 18), zapominając jednak o tym, że na Białorusi mieszkają nie tylko Białorusini).

W każdym razie bardzo naturalnie w polskim klimacie brzmią strofy Pana Adama Mickiewicza: „*Powrót taty*” w recytacji **Aliny Zubko**, „*Świtezianka*” – **Mariny Szepielewicz** „*Do Matki Polki*” – **Janiny Bogdanowicz**. Na zakończenie literackich cytowań **Julia Czarlińska** i **Stanisław Markiewicz** w sposób przejmujący (dzieci, wschodni zaśpiew, silna emocja na tle ciszy) dialogowały „*Katechizm polskiego dziecka*” („*Kto ty jesteś?*”) **Władysława Bełzy**.

Dyskusja dotyczyła nierozwiązywalnej kwestii narodowej przynależności twórczości autora „*Pana Tadeusza*”. Dowodziłem, że wielka literatura zawsze jest międzynarodowa, choć pisana w określonym języku.

Potem rozmowa dotyczyła dalszego rozwoju KPK na Białorusi. Mówiono nawet o możliwości zorganizowania międzynarodowego spotkania działaczy KPK-właśnie w Łohiszynie z uwagi na centralne położenie w stosunku do KPK lotewskich i litewskich.

– „*Jeszcze lepiej byłoby, gdyby udało się wejść na Ukrainę*” – westchnął jeden z działaczy.

– „*Oto jest zadanie*” – powiedziałem, przypominając o zapisie w statucie KPK, który zobowiązuje każdy Klub do tworzenia kolejnego. ♣

## Szanowny Panie Stefanie,

Na początku swego listu chcę serdecznie podziękować za przyjazd do nas. Który sprawił nie jednemu pewnie dziecku radość, ponieważ żeby nie Pan, to by nie było Klubu Polskiej Książki w Podbrodziu. A ja wprost uwielbiam czytać książki. Przeczytałam mnóstwo. Oczywiście Pana też, ale tylko kilka rozumiem. Może czytając, nie próbowałam zrozumieć, co czytam. Moja wina!

Ale jedna książka to mi się bardzo spodobała – to zbiór opowiadań „*Karty*”.

Niegdyś próbowałam coś pisać i mój pierwszy wiersz powstał, gdy miałam 10 lat, a teraz mam 14, to nie tak dawno. Potem jakiś czas przestałam pisać a napisane wiersze spaliłam twierdząc, że są do niczego, że piszę jakieś głupstwa na kartce, których nikt nie czyta. Mój pierwszy wiersz był o zimie, której zresztą strasznie nie lubię, ponieważ z przeszłości zostało mi nie bardzo miłe wrażenie srogiej zimy.

Bardzo lubię czytać bajki i baśnie i już nie jedną umiem na pamięć. Chociaż, gdy byłam mała nikt mi nie czytał bajek, jak to robiono Panu, a nawet mamusia do mnie nie w ogóle mówiła (no, chyba, że była pijana). Od 5 roku życia patrzyłam na młodsze rodzeństwo i doitałam trzy kozy, których mamusia nie zawsze mogła wydoić.

Ale pewien ksiądz, który uczył religii w mojej szkole zabrał mnie tu, do Domu Dziecka, i moje rodzeństwo. W domu, została tylko najmłodsza siostra, która ma nawet i niezłe.

Tu, w tym Domu Dziecka, poznałam bajki, baśnie, Świętego Mikołaja oraz wielkanocnego Zajączka. Teraz jeżdżę do Polski, do pięknego Wrocławia, który mi się najbardziej podoba. Mam wspaniałą opiekunkę, którą bardzo kocham, nawet mocniej niż własną mamusię. I, zawdzięczając Panu, znowu piszę wiersze.

Bardzo lubię, gdy Pan do nas przyjeżdża. Może i nie rozumiem wszystkich Pana wierszy, ale staram się zrozumieć i sądzę, że po dłuższej lekturze będzie lepiej.

Przepraszam za błędy i mazganie, ale się spieszę, bo jest cisza nocna i popędzają spać. A ja chcę, żeby Pan ten list otrzymał z rana, bo wieczorem mnie nie będzie.

Więc na tym kończę swój list. I serdecznie sobie życzę, by Pan nas nadal odwiedzał i pisał książki, które z miłą chęcią i zrozumieniem będziemy czytać.

PS. Przesyłam też serdeczne pozdrowienia Panu z biologii (przyp. redakcji – Włodzimierz Zieliński), który razem z Panem nas odwiedził).

Szczęśliwej drogi!

Nigdy o Was nie zapominająca wychowanka Domu Dziecka w Podbrodziu na Litwie.

## KPK w Kuźnicy Czeszyckiej

W czerwcu 2003 roku grupa harcerzy z Milicza zorganizowała wycieczkę rowerową do pasieki Wacława Ratyńskiego oraz Klubu Polskiej Książki w jego gospodarstwie. Pan Wacław przeczytał młodzieży kilka fragmentów prozy Stanisława Stanika z książki o Jerzym Szaniawskim, wiersze Jolanty Baziak, Stefana Pastuszewskiego i Alfonsa Soczyńskiego, a także fragmenty tekstów z „*Akantu*” z cyklu „*Wacek i Pszczoły*”.



Na zdjęciu:  
Grupa klientów kupujących miód  
przegląda książki wystawione  
przez KPK w Kuźnicy Czeszyckiej



Na zdjęciu:  
Nowe ule figuralne, wyrzeźbione  
ostatniej zimy przez Wacława  
Ratyńskiego przedstawiające postaci  
sowy i misia. Przed ulami Alfons  
Soczyński z wnuczką Patrycją

Leszek Łęgowski

W „WĘGLISZKU” 26 czerwca 2003 roku

Sylvii Dombrowskiej

Niewiele słów  
zaledwie garstka liści.  
Krople dialogu milknące  
w natłoku stolików  
i dostojnych poetów...

Daleko wcześniej  
białe światelko kwiatu –  
ruchliwy portret ciemnowłosej  
ożywczy kontrast na tle  
akwarel pobladych  
z zazdrości  
i zaciekawionych okien  
Starego Rynku...

Podarowany tomik wierszy  
przejrzystych  
dotykam odtąd  
nie tylko wzrokiem  
zamyślonym...

Spokojny oddech wiatru słów  
na skrzydłach kartek  
dopada mnie co wieczór  
nadzieją świtu  
uśmiechu...

Bydgoszcz, 3 lipca 2003 roku

Ewa Rudkiewicz

\* \* \*

a ona lubi kolor zielony  
uśmiecha się  
i cały świat wygląda pięknie  
tak jak wtedy  
gdy prosty człowiek powiedział mi  
że, jestem piękna  
a żebrak, że się będzie modlił  
za mnie

# Furtka słońca

Katarzyna Sarnowska

Czas II

Muzyka  
Pierwsza nuta  
z krwią matki  
Wypływa z raju  
bezpieczeństwa

•  
Odtąd melodia jest  
z tobą

szaleńcza  
układna  
dostojna  
liryczna

zamknięta  
w partyturę

życia

Anna Filipiak

Kieszonka

Dzbanek pobladł  
z braku esencji  
Kubek bez ucha  
chciał być pełny

Latarnie świecą się po  
dwudziestej  
Czerwone dachy  
w moim mieście

Stopy zmęczone  
biegną po łące

Wszystkie marzenia  
w małej kieszonce

## Furtka słońca

Pod tym hasłem zamieszczamy wiersze, które wnoszą dawkę nadziei, są dobrą nowiną. Co miesiąc kwalifikujemy utwory ocalające, po przeczytaniu których – jak zaznaczyła inicjatorka tego cyklu – **Magdalena Witek**, *chce się iść dalej, chce się żyć. „Czasem wystarczy jedno słowo mające w sobie niezwykły potencjał życia, siłę. Mają to być wiersze – odpowiedzi na wiersze – pytania i prowokacje tych, którzy siedzą w „czarnych dziurach” i wołają o pomoc*.

Kiedy w listopadzie 2002 roku redagowaliśmy monotematyczny blok „Przemijanie” dotyczący śmierci, odejścia, bólu, to myśleliśmy, że będą kłopoty z doбором tekstów. Okazało się, że utwory o tej tematyce i w ciemnej tonacji wręcz wysypywały się z teczek i wiele z nich trzeba było schować „na zaś”. Czy takie „przechylenie” polskiej poezji współczesnej jest dobre dla jej odbiorców i samej poezji?

Mamy świadomość, że wybór nasz może być subiektywny i dlatego też prosimy Czytelników o współudział w redagowaniu comiesięcznej „Furtki słońca”.

Redakcja

Katarzyna Sarnowska

Zagadka

Słońce powleka  
ciało brązem  
Morze bawi się  
w odwieczną  
przypowieść  
pożegnań  
i powrotów  
Zbieram rozrzucone  
muszle natchnienia  
nawlekam na nitkę  
wspomnień  
wkładam  
w przegródkę:  
dusza

### KONKURS NA PAMIĘTNIKI I WSPOMNIENIA NA PRZEKÓR LOSOWI

Zarząd oddziału Terenowego TWK w Zielonej Górze organizuje konkurs na wspomnienia, pamiętniki, dzienniki, wypowiedzi publicystyczne osób niepełnosprawnych i ich najbliższych pn. „NA PRZEKÓR LOSOWI”.

Organizator konkursu pragnie pozyskać utwory w objętości do 20 stron maszynopisu, wydruku komputerowego lub bardzo czytelnego rękopisu – opisujące leczenie, rehabilitację, edukację, pracę, wypoczynek, życie rodzinne, sąsiedzkie, sytuację materialną oraz działalność w organizacjach charytatywnych, sportowych etc. osób niepełnosprawnych. Szczególnie preferowane będą prace ukazujące problemy i sprawy osób niepełnosprawnych w początkach XXI wieku.

Autorzy najlepszych prac otrzymają nagrody pieniężne i rzeczowe: I – 3 000 zł, dwie II nagrody po 2 000 zł, trzy III po 1 500 zł każda oraz cztery wyróżnienia rzeczowe o wartości 700 zł każde i pięć wyróżnień po 500 zł każde.

Prace w trzech egzemplarzach, opatrzone godłem, imię i nazwisko oraz adres autora w zaklejonej kopercie, należy przesłać do 31 sierpnia 2003 roku na adres: Polskie Towarzystwo Walki z Kalectwem Oddział Terenowy, ul. Podgórna 9 B pok. 02, 65-057 Zielona Góra.

### KONKURS NA PAMIĘTNIKI NAUCZYCIELI pn. „NAUCZYCIELSKA DOJRZAŁOŚĆ”

ogłaszają: Instytut Pedagogiki i Psychologii Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach, Pracownia Pamiętnikarstwa Socjopolitycznego Uniwersytetu Warszawskiego, Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa.

Celem Konkursu jest zdobycie autentycznych, pochodzących od samych nauczycieli, materiałów do badań nad wpływem, trwającego od 1989 r., procesu radykalnej zmiany społecznej w Polsce oraz reformy edukacji, na ich sytuację społeczną-ekonomiczną i zawodową oraz postawy, oceny, dążenia i perspektywy.

konkurs jest skierowany do wszystkich polskich nauczycieli, pedagogów i wychowawców bez względu na wiek, typ szkoły, specjalność, zaś przede wszystkim do nauczycieli w średnim wieku (35 – 55 lat), którzy pracują w szkolnictwie i znajdują się pod szczególnie silną presją zmian.

Tematem prac konkursowych winne być szczere i osobiste opisy własnych losów życiowych i zawodowych, doświadczeń nauczycielskich w dowolnej formie.

Prace w formie wydruków komputerowych z dołączoną dyskietką lub czytelnych rękopisów, opatrzone pseudonimem, należy przesłać do 30 grudnia 2003 roku pod adresem: Wanda Dróżka, Akademia Świętokrzyska, Instytut Pedagogiki i Psychologii, ul. Krakowska 11, 25-029 Kielce, z dopiskiem „Konkurs”.

Na osobnej kartce – w kopercie opatrzonej pseudonimem, należy podać imię i nazwisko, adres, wiek, miejsce pracy, wykształcenie, specjalność zawodową, funkcje, sytuację rodzinną i materialną itp.

Paweł Bogdan Gąsiorowski

## Dimitrios Nikolaidis – Bydgoski Odyseusz

W środowisku literackim Bydgoszczy przez kilkanaście lat funkcjonował DIMITRIOS NIKOLAIDIS. Można powiedzieć, że z racji pochodzenia oraz korzeni kulturowych była to postać nietypowa dla naszego miasta. Grek z pochodzenia, urodzony w Warnie (17 IV 1949), wychował się w Bułgarii. Mimo szalejącego w tym kraju komunizmu, Dimitrios został wychowany w duchu wiary prawosławnej, której pozostał wierny. Studiował teologię, literaturę nowogrecką oraz historię z archeologią. W 1987 roku osiedlił się w Polsce. Ukończył studia teologiczne w Prymasowskim Instytucie Kultury Chrześcijańskiej im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego w Bydgoszczy. Związał się na zawsze z grodem nad Brdą, gdzie mieszkał, tworzył, miał liczne grono znajomych. Tu zmarł 2 sierpnia 2001 roku.

Tomik poezji, wydany oczywiście przez Instytut Wydawniczy „Świadectwo” „Ody i ja” (1990) jest pierwszym zbiorem wierszy Nikolaidisa, wydanym w Polsce; jest w pewnym sensie jego historią rodzinną i osobistą. Dlatego też w odniesieniu do tej poezji można prześledzić i zaprezentować większość życia pisarza. Tak jak na ścianie w polskim mieszkaniu Dimitriosa widnieje (przynieiony z Bułgarii) portret dziadka – Greka, mającego głowę nakrytą tureckim fezem, tak czytając kolejne wiersze, odbywamy podróż w czasie i przestrzeni, poczynając od starożytnej Grecji.

Tomik jest podzielony na pięć działów, które odpowiadają kolejnym etapom życia autora i jego bliskich. Dział pierwszy, zatytułowany „Ruiny” to odniesienie się do wielkiej starożytnej historii Grecji, do prakorzeni rodzinnych, etnicznych, kulturowych, na których jest zbudowana osobowość poety. Poszczególne wiersze nie są jednak opowieściami o dawnej kulturze. Osadzają się niemniej w niej, w jej symbolach. Takimi symbolami są przecież osoby, wymienione w tytułach kilku wierszy: „Król Edyp”, „Kassandra”, „Dedal i Ikar”,

„Prometeusz” czy postaci historyczne: Sokrates i Konstantyn Paleolog. O ich dziejach mitycznych czy historycznych mamy określoną wiedzę. Wystarczy kilka strof wiersza, by przywołać to pamięci w określony, zamierzony przez autora sposób i obdarzyć nową dodatkową wartością. W wierszu „Kassandra” odczytujemy bardzo wyraźnie echo dawnej wielkości i innej terażniejszości, zbudowanej na jej ruinach.

„Kassandra samotna i mądra  
wypłowiata ruiny ogląda  
i proroctwa nowe  
szepcze na ucho mrokowi”.

Wśród wierszy działu, zatytułowanego „Dom”, dostrzegamy to, co Nikolaidis znalazł przede wszystkim z opowieści swojej matki – Grecję taką, jaka była przed przymusowym opuszczeniem jej przez rodzinę w czasie II wojny światowej. Przewijają się tu motywy z życia rodziny, życia ludzi, wśród których funkcjonowała od wieków, wtopiona w piękną przyrodę i rodzimy pejzaż. Widać to chociażby w kilku wersach wiersza „Senny krajobraz”:

„naprzeciw cerkiewki świętego  
Dymitra  
zatopionej między dwoma cyprysami  
biały uśmiech na bizantyjskim  
kamieniu

pochylone domki  
tak bardzo potrzebne  
mojej greckości bez strzechy”.

Spotykamy się tu jednak nie tylko ze spokojem, uspieniem, pięknym krajobrazem. Z wiersza „Cyprowi” dowiadujemy się, iż „płacze rodzinna ziemia Afrodyty”. „Kołysanka 1943”, zamykająca dział, kończy jednocześnie etap, który przeszedł do historii i wspomnień a rozpoczyna okres burzy i nieszczęść.

„Przesiedlenie II” to cykl nacechowany niepokojem, takim, jaki może towarzyszyć człowiekowi wyganianemu z ojczyzny. Tego doświadczyli Grecy, przymusowo przesiedleni do Bułgarii. Mimo to, zachowywali swoją kulturę, świadomość swej odrębności. Autor pisze – „geny Odyseusza są w naszych wnętrzach”. Są to przecież geny Greka z zarania cywilizacji, a jak los tak zrządzi to i wędrowca. O tym, że trzeba było nauczyć się żyć w nowej rzeczywistości, czytamy w Nikolaidisowej „Księdze wyjścia”:

„dziwiliśmy się naszym nowym obliczem  
w lustrze cudzoziemskiej rzeczywistości”.

W wierszu „Żaglowce” autor pisze, że po tym, co minęło, pozostała „nasza żeglująca odwaga we wspomnieniu”.

Dział „Miejsce I” jest opowieścią o wrastaniu w bułgarską rzeczywistość, ale i wyrastaniu na niej, urodzonego w Warnie, autora poezji. W liryku „Lekcja” czytamy:

„nauczyliśmy się wskrzeszać nadzieję  
magiczną pałeczką  
przeistaczając ojczyznę  
w bajkę o kraju marzeń”.

Na tej bajce ukształtowała się tożsamość Dimitriosa Nikolaidisa. Kraina młodości oddziaływała zawsze wyjątkowo mocno swym pięknem. Do tego miejsca odnoszą się wspomnienia młodościowych uczuć. Z tym miejscem wiążą się pięk-

ne erotyki – „Wzajemność” i „Mojej żonie”. Jak trudno opuszcza się taką krainę dzieciństwa, młodości, miłości czytamy w wierszach „Dom na sprzedaż” i „Pożegnanie z Warną”. Przytoczmy ostatnią zwrotkę tego wiersza:

„Pójdę na dworzec kupić  
bilet bez powrotu...  
... żebyśmy mógł pozostać  
obywatelem swojej poezji”.



Ostatni dział, „Przesiedlenie II”, to tylko jeden wiersz. „Przesiedlenie” z miejsca, gdzie „duch mojej matki czekać będzie na mnie”... „do chłodnego kraju mojej ufności”.

Dalsza twórczość tego potomka Odyseusza opiera się nie tylko na inspirujących bałkańskich wspomnieniach, ale również na tym, co przynosi życie w tym „chłodnym kraju” i mieście nad Brdą. W 1991 roku został wydany tomik poezji „Tyle mi starczy”. W następnym roku ukazał się kolejny „Znak zapytania – znak odpowiedzi”. Poza tym, Dimitrios publikuje w Bułgarii oraz przekłada na język polski literaturę bułgarską.

Ważnym wydarzeniem w życiu poety było otrzymanie polskiego obywatelstwa. Pierwszą czynnością prawną Dimitriosa jako obywatela polskiego, była zmiana nazwiska z Dymitr Nikolow na Dimitrios Nikolaidis. To pierwsze, nadane w Bułgarii, było wynikiem działań bułgaryzacyjnych stosowanych wobec osiedlonych przymusowo w tym kraju przesiedleńców z greckiej Macedonii. Drugie natomiast jest historycznym greckim nazwiskiem rodzinnym, wywodzącym się od imienia przodka, niegdyś walczącego o niepodległość Grecji. Dimitrios do tej pory używał go w życiu towarzyskim i nim podpisywał swoje utwory. Teraz mógł go używać już wszędzie.

W 1999 roku ukazała się powieść „Dolina Jozafata”. Splatają się w niej starożytne, greckie wątki kulturowe z bułgarskimi refleksjami i polską terażniejszością. Powieść ma charakter autobiograficzny. Bez trudu spostrzegamy tu bliskie motywy bydgoskie – miejsca, ludzi i wydarzenia. Za sprawą tego przybyłszy z południa Bydgoszcz po raz kolejny znalazła się na stronach dzieła literackiego.

Przyszedł sierpień 2001 roku. Na cmentarzu przy ul. Kardynała Wyszyńskiego duże grono przyjaciół i znajomych żegnało Dimitriosa. To miejsce, położone w północnym „chłodnym kraju”, stało się Itaką Odyseusza z Bałkanów, bydgoskiego Odyseusza. ■

## HOTEL DLA LITERATÓW!

Hotel „Centralny” w Bydgoszczy posiada ciepły klimat pensjonatu. Opiekuje się swoimi gośćmi, urządza dla nich wyjazdy w atrakcyjne miejsca, jest w stanie zorganizować różne imprezy, w tym sympozja i spotkania autorskie.

Nocowali u nas:

Zofia Nałkowska, Ernest Bryll,  
Adriana Szymańska, Jolanta Baziak,  
Teresa Kowalska, Kazimierz Braun,  
Tadeusz Lira-Sliwa, Krzysztof Bilica,  
Janusz Mrzygód

Ceny od 108 zł (pokój jednoosobowy),  
od 165 zł (pokój dwuosobowy),  
od 260 zł (apartament) za osobę.

Przedsiębiorstwo Hotel „Centralny”  
ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz  
tel. (052) 322 88 77, 322 88 76,  
fax 322 88 70



Przy hotelu kawiarnia dla niepalących z najlepszymi ciastkami w grodzie nad Brdą!

Raz na miesiąc, w trzeci wtorek,  
w godz. 18.00-20.00 spotkanie  
Klubu Polskiej Książki.

Organizator: Michał Krzemkowski  
tel. 052/3796-789



**Justyna Paluch**

\* \* \*

Niedziela w mieście uznanym za duże  
 unosi się zapachem naftaliny,  
 wypełnia kościoły  
 i środki komunikacji miejskiej  
 aromatem rosołu  
 przekazywanym z okna do okna,  
 przysypia przed telewizorem –  
 miarowe oddechy  
 przesuwają się pomiędzy budynkami,  
 odpoczywają w opuszczonych wiatach.  
 Na obrzeżach centrum  
 panuje denerwujący spokój.

Zapadam się w niedzielny bezruch –  
 nie śpię,  
 nie funkcjonuję codziennością,  
 wdycham małomiasteczkowość  
 wystukiwaną odświętnymi obcasami  
 w rytm zwyczajów wielkich metropolii;  
 uciekam przed wścibskim wzrokiem  
 anonimowych twarzy,  
 niecodziennym przebraniem wtapiam się  
 w monotonna zakreślone kółka  
 ludzkiego bigosu.

Nidgy nie lubiłam niedziel.

**Marta Ewa Matuszek****Kamień**

Milczy.  
 Głęboko wbity w ziemię.  
 Przyjmuje tylko zimne krople deszczu.  
 Suchy liść ubiera jego nagie ciało.  
 Bezdomny staruszek z wczorajszą  
 kromką chleba w ręce.

**Halina Dobrucka****Pan Testosteron tańczy**

Pan Testosteron tańczy tango  
 Stylowo tańczy, jak go nauczył  
 Sam mistrz  
 Wąsy ma gęste, krótko przycięte,  
 Koszulę nałożył w kratę czarno-  
 -Czerwoną.  
 Objęta jego ramieniem – i tak! –  
 Kobieta obraca, obraca się w takt,  
 Jego pośladki krążą tanecznie  
 Wokół jej delikatnych bioder  
 Ich nogi na przemian, jego i jej  
 – I tak! – nad nimi złączone ramiona;  
 Tango, róża ciemnoczerwona  
 Akxa-mitna i drama-tyczna.  
 Skrzypce wywiodły nutę spod serca,  
 Nutę do serca, sięgają aż boli  
 Nie, nie opierać się, poddać – perkusja  
 Przybija, że tak, że tak ma być.  
 W jasnej sukience, po trzykroć kobieca  
 – I tak! – zniknęła za jego plecami,  
 Jej nóżki w cienkich pończochach pływają  
 Między mocnymi nogami w czerni.  
 W ostatnim taktie na rozkaz trąbki  
 Do jej podbrzusza władczo przycisnął  
 Swoje podbrzusze.  
 Całuje w rączkę,  
 Po czym odchodzi, w kraciastej koszuli,  
 Do baru, wychylić kolejny kieliszek.  
 Ona zostaje, rozkwitła róża  
 I czeka, kiedy pan Testosteron  
 Znowu zaprosi ją do tańca.

**Krystian Czerwiński****...niebawem**

„niebawem – zapomnisz wszystko,  
 niebawem – wszystko Ciebie zapomni”  
 Marcus Aurelius

... w nowym świecie zbudzony w zapomnieniu brodzisz,  
 które chłód nocy przywłócił aż do progu twych drzwi  
 ... nic nie zostało z tamtych niespokojnych godzin;  
 możesz o nich zapomnieć, możesz nawet z nich drwić...

... tak, to już nie tamten, to słoneczny i czysty  
 dom; żadnej rdzawej plamy, patyny przeszłości;  
 stałeś się panem słowa, więcej – własnych myśli...  
 ... czy pomyślałeś kiedyś, że to takie proste?

– ... drzwi otwarłeś, więc może wszedł ktoś nieproszony?  
 – ... to tylko mgła, to tylko kropla świeżej rosy  
 i słońca poza gór, wszak to dzień wstaje jasny  
 – ... na twym biurku wiersz leży jeszcze nie skończony;  
 nie znalazłeś w nim puenty... kiedy zamkniesz oczy,  
 nie znajdziesz także siebie... chciałeś tego właśnie?

Dolina Lenningen, Niemcy, 2001

**Jolanta Baziak****Słońce w śniegu**

Mariannie Bocian

To wiadomość że zrezygnowała  
 co zewnętrzne – ucichło

kwadraty słów:  
 przeciąć  
 przeczuć

brzmia jak jej oddech  
 w zakłopotanym wietrze  
 bądź ze mną mgło  
 całą ziemią,  
 którą lubiłaś uprawiać  
 sprawdzać  
 doświetlać słowem

taka byłaś – wbrew grawitacji  
 jak w górę spada opłatek śniegu  
 w wibrującym słońcu

jakby na szlaczku bytu  
 ktoś wyrysował puls wymiarów  
 z Twoich spracowanych  
 ziemią i Słowem rąk

**Stefan Pastuszewski****Mała religia**

kamienna cerkiew  
 z bocianim gniazdem na odnowionej kopule  
 wybite szyby  
 cisza

stracili wiarę  
 przeszła niczym wielki komar  
 po szczecinach lasów  
 łysinach jezior  
 skórze łąk  
 za morze

zamiast czasu została chwila –  
 przecież mniej boli  
 i już nigdzie nie trzeba iść

a bociany i tak przylecą

Plani, 18 lipca 2003

**Piotr Baranowski**

\* \* \*

przystrajasz się w suknię snu  
 o zapachu gwiazdy  
 cieplej jak mleko  
 muśnięcie nocy wygładza  
 zmarszczki na poduszce

więc śpij

gdy płowy brzask rozbłyśnie  
 to właśnie tobie

heblują deski  
 kopią dół

**Halina Dobrucka****Pan Testosteron się żeni**

Żeni się pan Testosteron, no. A z kim?  
 Zawsze miał koło siebie ze dwie, ze trzy,  
 Niezle i takie sobie, różnie. A ta,  
 Niewiele młodsza od niego, niezbyt zamożna, dlaczego z nią?  
 „Ona czekała na mnie” – powiedział z przejęciem komuś (innej kobiecie)  
 Widzicie, co się liczy dla pana Testosterona?

Czekała.  
 Kiedyś poznała gwałtowność jego uścisku,  
 Dotknięcie wąsów na ciele, nieustępliwość ud.  
 Potem on zniknął. Znow się pojawił, z ekipą kręcącą film.  
 Długo chorował. Zamieszkał ze znaną rzeźbiarką.  
 Nie miał pieniędzy. Znowu się zawieruszył.  
 Jej koleżanki biegały na randki,  
 Powychodziły za mąż, miały kłopoty z dziećmi.  
 Ona klepała dzień po dniu i rok za rokiem.

Teraz patrzy na gości, odświętnie ubranych, w sali ratusza.  
 Jest jego syn z pierwszego małżeństwa. Jest niegdysiejsza modelka,  
 Którą zeszłego lata on zabrał do Włoch.  
 O, jest ten barman z „Nokturnu” – zawsze wyciągnie go z domu  
 Szepcząc o interesach, och, gęba obleśna.

Zaś nowożeńców, w wiśniowym garniturze (prezent od matki)  
 Odbiera życzenia. Właśnie ściskają go dwie uśmiechnięte dziewczyny  
 Co w zeszłym tygodniu przywiodły go pijanego do domu.

– Jak długo to potrwa? – zastanawia się żona.  
 – Dwa lata, może. To byłoby długo.  
 Albo rok. Cały rok z nim, Boże! –  
 Jest szczęśliwa, ulatuje pod niebo ze szczęścia.  
 – A choćby kwartał! A niechby miesiąc  
 Z nim!

Ariana Nagórska

## Impresyjki - dygresyjki

Z racji szerokiego omówienia mej twórczości na starachowickich łamach, otrzymałam marcowo-kwietniowy (Nr 3-4, 2003) numer „Radostowej”. Jako wzorowa obywatelka społeczeństwa kapitalistycznego nie śmiałam do lektury przystąpić wcześniej, nim uiściłam opłatę za egzemplarze i przesyłkę, tym razem (wyjątkowo) nie wymagając prezentu. Kiedy już, co trzeba zapłaciłam, poczułam nagle, że „prawo moralne we mnie” (o którym przed laty wspominał Kant) jest świętym prawem własności. Tym samym natychmiast zaczęła wzrastać ma żądza posiadania.

Najpierw cieszyłam się, że POSIADAM aż dwa egzemplarze, potem zapragnęłam dziesięciu, stu, tysiąca, co zapewne przeszło już całe moce produkcyjne przezacnej „Radostowej”. Taka zachłanność w katolickim kraju wydała mi się niewłaściwa. Na szczęście, dzięki naukom hinduskiego mistrza Sai Baby, udało mi się uwolnić od ziemskich przywiązań i skierować ku wyższym regionom ducha. Najpierw obejrzałam w „Radostowej” swe dorodne zdjęcie, a potem POCZYTAŁAM SOBIE O SOBIE (tak jak czynią wszyscy piszący, choć nie wszyscy się przyznają). Następnie, rozejrzałam się za innymi tematami (co mnie jednak od wielu osób piszących odróżnia).

Zgodnie ze swą wieloletnią tradycją najpierw skierowałam oczęta na felieton Zdzisława Antolskiego i to wcale nie ze względu na umiłowanie kolejności alfabetycznej. Gdyby ten sam autor nazywał się na przykład Zantolski, też bym lekturę od jego tekstu zaczynała. Skrajne różnice naszych poglądów politycznych nie są żadną nowością, natomiast znacznie ciekawszym zajęciem jest dla mnie tropienie w wypowiedziach Antolskiego takich opinii, które przynajmniej w jakimś stopniu podzielam. Jeśli chodzi o względną zbieżność ocen, zawsze dostrzegam ją w jednym punkcie: mianowicie wtedy, gdy Antolski mówi o rozszereżeniowych postawach literatów w stosunku do państwa. Nigdy nie uważałam, że pisarz czyni społeczeństwu swym pisaniem łaskę i jeszcze na dodatek ma jakieś tam posłannictwo, dzięki któremu musi być hołubiony za pieniądze publiczne. Im bardziej domaga się dotacji z budżetu na swe dzieła, tym bardziej wątpliwa wydaje mi się etyka takiego „posłannika”. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego środowiskowe kłótnie o pieniądze z publicznej kasy nazywa Antolski „klasycznym socjalistycznym piekielkiem”. Przecież od lat najchciwsi są właśnie nieprzejednani antysocjaliści hołdujący zasadzie „teraz k... my!” Gdy takie go dosięgnie mania pisarska, od razu oczekuje dotacji od państwa, bo przecież mu SIĘ NALEŻY z racji dawnych robót podziemnych, interny, konspiracyj itd. itp. A niby po co zmaistrowali Stowarzyszenie Pisarzy Polskich? Właśnie dla zagarnięcia kasy i pokazania tym z ZLP, że „teraz k... my!”

I tu, przynajmniej, raz kapitalizm okazał się sprawiedliwy. Dla całego stada pisarzy „zasłużonych w walce z komuną” forsy też nie starcza, choć się niemało spodziewali. Z tego względu „kryształowi” także są zdrowo upapranii bólem wzajemnych zawiści i animozji, choć wobec osób spoza swych okopów z uporem maniaka usiłują robić za moralne i artystyczne autorytety.

Niektórym jednak udaje się całkiem okazać sumy państwu z gardła wyrwać (choć ci akurat najgłośniej krzyczą, że na kulturę jest za mało pieniędzy). Najwydajniejsi w dojeniu budżetu są pisarze, otrzymujący indywidualne nagrody finansowe od swych lokalnych władz (w tym rodzinnym Wałęgrodzie dotyczy to wyłącznie członków SPP). W wielu miastach władza raczej sobie wybiera te grupy literatów, które z publicznej kasy wesprze, wszystkim innym dając tym samym do zrozumienia, że z racji nieodpowiednich światopoglądów piszą zbyt słabo, by znani

z nader wysublimowanych gustów czytelniczych urzędnicy zechcieli ich nagradzać. Do wspierania urzędników w ich opiniach służą okółurzędowi krytycy-wdupnicy, dyspozycyjni na każde gwizdnięcie władzy. Właściwy odzew na gwizdnięcie jest oczywiście płatny, więc tylko najwerniejsze psy mają szansę usłyszeć wezwanie „do nogi!”, a następnie, na słowo „aport!”, przynieść recenzję, otwierającą dziełom jakiegoś koleśia drogę do państwowego „sponsoringu”.

Jakież było zdumienie pewnego zacnego, lecz naiwnego obywatela, który na pytanie: czy pani wie, że pisarz X otrzymał nagrodę od Prezydenta Miasta? – usłyszał ode mnie taką odpowiedź: – Owszem, Prezydent Miasta pisarzowi X nagrodę wręczył, ale pieniądze na nią dał zarówno pan, jak i ja. Po wyjaśnieniu szczegółów doszliśmy do wspólnego wniosku: Ale nas ten cholerny pismak wyrolował!

Dlatego też, w stu procentach, zgodzić się muszę z tym fragmentem felietonu Z. Antolskiego, w którym krytycznie pisze on o inicjatywie pewnego pomysłodawcy z Kielc, postulującego „(...) aby utworzyć wojewódzki fundusz literacki, no i oczywiście powołać jakieś gremium, które miałoby przyznawać poszczególnym autorom pieniądze na ich książki. Oczywiście nie wiadomo, kto miałby w takim gremium przewodniczyć i zasiadać w decyzyjnej radzie. Wszak literatura nie jest wymierzalna jak na przykład skok w dal, który można zmierzyć centymetrem. Tutaj decyduje czas i krytycy, którzy też się myślą.” I właśnie z tej przyczyny jestem nieprzejednaną przeciwniczką finansowania z budżetu książek i nagród JAKICHKOLWIEK pisarzy, ponieważ NIKT w Polsce nie jest w stanie dokonać miarodajnych ocen artystycznych, a dzikie przepychanki wielkiego stada przy wąskim finansowym źródleku powodują, że oceny, z pozorów artystyczne, stanowią tylko parawan dla kumoterstwa, siłę przebicia zaś promuje się jako siłę talentu.

Zaznaczam jednak, że moja niechęć obejmuje tylko budżetowe finansowanie pisarskich „wyczynów” indywidualnych. Nie mam natomiast (zapewne w przeciwieństwie do Z. Antolskiego) większych zastrzeżeń, jeśli władze publiczne DOFINANSOWUJĄ (a nie finansują w całości!) czasopisma literackie, zbiorowe publikacje informacyjne (w żadnym wypadku nie antologie wierszy! Tu autorzy powinni płacić sami), konkursy, warsztaty, integracyjne imprezy. Warunek jest tylko jeden: organizatorzy powinni wykazywać operatywność wystarczającą, by móc pozyskiwać finanse nie tylko z budżetu państwa. Pokazać, co zdziałali, zanim jeszcze uzyskali grosz publiczny. W wymienionych przeze mnie inicjatywach, oszalałymi poziomem artystycznym, wbrew pozorom wcale nie jest najważniejszy. Istotne jest danie szans spotkania tym wszystkim, którzy w tak piekielnej epoce mają jeszcze chęć, energię i czas, by coś tworzyć, organizować dla innych, bawić się, dyskutować, polemizować, przyjaźnić.

Jedną z najinteligentniejszych swych korespondentek zapytałam kiedyś, czy przy licznych pasjach, zajęciach i obowiązkach zdoła jeszcze znaleźć czas, by odpisywać na listy. Odpowiedziała mi mniej więcej tak: „Jakże mogłabym nie znaleźć czasu? Przecież jeszcze żyję. Tylko zmarli czasu nie mają, bo go już im Bóg odebrał”. Jeśli w naszym dziurawym budżecie trafiają się jeszcze jakieś pieniądze, to na pewno warto nimi wspomagać osoby, chcące spędzać czas wolny niestereotypowo i całkiem niezgodnie z merkantylną reklamą. Zbędne jest natomiast wydawanie publicznej forsy na tych, którzy zmarli już za życia i pewnie dlatego bez finansowego kadzidla nie mogą się „twórczo” rozłożyć.



R. KWIATKOWSKI - M. MAKOWSKI

85-458 Bydgoszcz, ul. Wiejska 122  
tel./fax (0-52) 327 83 37

- ✓ projektowanie i urządzenie ogrodów
- ✓ unikatowy materiał szkółkarski drzew i krzewów ozdobnych
- ✓ oczka wodne wraz z małą architekturą i oświetleniem

Ceny przystępne  
z możliwością negocjacji

## DO NABYCIA:

Rewelacyjne nawozy specjalistyczne firmy „Hydro”. Nadają się do wszelkiego rodzaju upraw warzywnych i kwiatowych. Paczkowane przez firmę „Agro” nawet w porcjach 1 kilograma. Do nabycia przez cały czas w bazie PW

„Agro” 85-458 Bydgoszcz (Czyżkówko)  
ul. Wiejska 122, tel. 345 51 37  
w godz. 7.00-17.00

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Montażowe

Elektromontaż  
Pomorski SA  
w Bydgoszczy85-451 Bydgoszcz  
ul. Grunwaldzka 229Centrala: tel./fax 327 71 97, 581 25 15  
e-mail: zot@elektromontaz.bydg.pl  
http://www.elektromontaz.bydg.plSalony fabryczne: ul. Gdańska 120  
tel./fax 584 09 09Producent stolarki budowlanej PCV  
w systemie ThyssenNajwyższa jakość!  
5-letnia gwarancja!

PROMOCJA: rabat na okna nietypowe

Produkujemy też schody samonośne  
oraz balustrady i poręcze wszelkiego rodzaju  
(materiał i kształt – dowolne)

GRADAR  
drukarniaGrażyna i Dariusz  
Darowni85-009 Bydgoszcz  
ul. Dworcowa 51  
tel./fax 052/  
322-38-86

## Zbigniew Kresowaty

## Nosorożec na koncercie

Z Józefem Baranem rozmawia Zbigniew Kresowaty

**Zbigniew Kresowaty** – „Nosorożec na koncercie” to podtytuł twojej książki „Najdłuższa podróż”, która ukazała się nakładem wyd. „Nowy Świat” w Warszawie pod koniec 2000 roku. Jest to zbiór bardzo osobistych, przesyconych refleksją zapisków będących rozrachunkiem ze współczesnością. Wydał mi się adekwatny do naszej rozmowy, bo podejmujesz w nim spojrzenie na siebie z bardzo dużego dystansu, a jednocześnie lokujesz to spojrzenie jakby w kims innym. Kiedy przeczytałem tę książkę, w której jest liryzm, ton elegijny, lapidarność, humor i język dziennikarski połączony z poezją – to wydało mi się, że to wszystko tworzy jakby specjalny rodzaj dystansu do siebie. Taka jest zresztą twoja poezja stanowiąca już dziś klasykę współczesną. Powiedz coś o tym „nosorożcu”. Jak daleko trzeba usiąść, żeby go zobaczyć?

**Józef Baran** – Od „nosorożców” roi się dziś na świecie. Można powiedzieć, że jest moda na grubą skórę. Otwórz telewizor, radio, internet, a wszyscy nawołują do tego, żebyś został nosorożcem, bo to się opląca. Inna sprawa, że słysząc też w mediach uzalania się z powodu brutalizacji obyczajów, wzrostu bandytyzmu, upadku kultury itd. Obłuda polega na tym, że te same media, które popularyzują głupotę i „nosorożstwo” – dziwią się potem, gdy paru młodych troglodytów potrafi zatłuc Bogu ducha winnego studenta Łyska, czy, gdy dzieci, napatrzwszy się na głupie filmy, podzrywają gardło rodzicom.

**Zbigniew Kresowaty** – Twój nosorożec nie wygląda jednak na bandytę, raczej leniwca pozbawionego wrażliwości...

**Józef Baran** – Masz rację. To był nosorożec z gatunku leniwców pospolitych. Spotkałem go w kościele pw. św. Krzyża na koncercie szwajcarskiego zespołu kameralnego *Quinetet Luzem*. Flety, klarnety, fagoty, atmosfera – ucztą dla uszu... jeszcze chwila i osiągnę błogosławiony stan nirwany... Cóż z tego, gdy przede mną w ławce kościelnej siedzi on. Nosorożec. I jest jak magnes, który ściąga i rozprasza moją uwagę, i to tak, że po chwili zamiast patrzeć jak tam przed ołtarzem ślicznie dmą w instrumenty – widzę tylko jego. Tego barana z wielkimi uszami, to słonisko z grubą baobabową skórą, które po prostu skręca się z nudów. Nic nie pomagają allegro, menuety i inne muzyczne sztuczki – wszystko to ześlizguje się po jego skórze. Widzę jak trze oko, dłużej w uchu, rozgląda się po kościele, zasypia, budzi się. Wąsik czarny, twarz gamoniowata, owalna, oczka małe. Nagle zaczął mi się w wyobraźni monstrualnie rozrastać. Zobaczyłem w nim 90 proc. ludzkości, która ma w nosie koncerty, poematy. Wyglądał – biedak – jakby go uwięzili na tym koncercie, jakby go w dyby zakuli, jakby strasznie cierpiał za grzechy swoje i swojej połowicy, która przyprowadziła tu za rękę tego swego nosorożca, mając nadzieję, że coś się w nim odmieni. Ale - cudów nie ma... Nic się w nim kompletnie nie odmieniło. Zatrul mi tylko koncert... Więc z zemsty uwieczniłem go w swoich zapiskach...

**Zbigniew Kresowaty** – Powiedz, dlaczego w książce znalazły się tylko fragmenty z „podróży w głąb siebie” czyli tylko niektóre zapiski dzienników z lat 1998-2001 r. Czy ma jakiś związek z przelotem milenijnym? Czy jest wynikiem pobytu w szpitalu, gdzie twoje życie balansowało na cienkiej krawędzi skalpela. Ta książka, przybliżająca twoją sylwetkę jest rodzajem „testamentu”, podsumowania życia. Znalazły się w niej sprawozdania z podróży i z tego co Ci jest najbliższe, łącznie z poezją.

**Józef Baran** – Rzeczywiście, w „Najdłuższej podróży” wydrukowałem tylko fragmenty dzien-

ników, pisanych do szuflady od 1998 r. W przeciągu 5 lat uzbierało się około 300 stron. Pisałem je najpierw z myślą, że zostaną wydane – mówiąc górnolotnie – po mojej śmierci. W trakcie pisania nasza mnie jednak – jak każdego literackiego łasucha – chęć, żeby jednak opublikować wybrane co celniejsze ustępy. Musiałem pominąć fragmenty najbardziej intymne czy też zaczepne w stosunku do znajomych. Nie kryję, że bardzo lubię ten rodzaj pisania, gdy to, co głęboko osobiste, stapia się z tym, co ogólne, obiektywne. Z całej twórczości Witolda Gombrowicza najbardziej cenię właśnie „Dzienniki”, a do moich ulubionych lektur należą „Szkice piórkiem” Bobkowskiego, czy „Lapidaria” Kapuścińskiego. Moje zapiski mieszczą się gdzieś pomiędzy liryką a aforyzmem, lirycznym wyznaniem a dziennikarską notką. Aforyzm sam w sobie wydaje mi się za suchy, gdyż pozbawiony jest podmiotu lirycznego. Nie ukrywam też, że chciałem pokazać trochę inną twarz. Krytycy i recenzenci zbyt łatwo przykleili mi pocziwą gębę poety domu rodzinnego, nurtu chłopskiego, wrzuseń elementarnych. To wszystko prawda, ale z wierszy – przy pewnym wysiłku i inteligencji, której naszym recenzentom często brakuje – można odczytać jeszcze mnóstwo innych przesłań. Postanowiłem podsunąć im też inne klucze, tworząc cykl autoportretów Barana – wędrującego (to określenie Edwarda Redlińskiego), jakim rzeczywiście też jestem, choć ten wątek mojego życia pomijałem w dotychczasowej twórczości.

Zbigniew Kresowaty – Wędrującego?

**Józef Baran** – Czyli kogoś, który pojawia się i znika to tu to tam: to w Szwecji, to w Stanach, to w buszu australijskim, to na Cyprze, to diabli wiedzą gdzie; a równocześnie nie zapomina o rodzinnym Borzęcinie i Krakowie. Człowiek, jest istotą zbyt skomplikowaną, żeby można go było przytrzasnąć w jednej szufladce. Przypadek losowy – a może przeznaczenie – zamknął mnie na jakiś czas w szpitalu, gdzie zostałem zaskoczony, na szczęście już po operacji diagnozą, która zatrzęsa fundamentami mojego świata. Tak powstały wiersze i zapiski szpitalne. Słowem, samo życie dopisało trzecią część książki... Pomyślałem nawet, z pewnym niepokojem – Czyżby to miał być mój testament, moje podsumowanie życia? Teraz, po roku od operacji – jestem pewien, że to nie moje ostatnie słowo. Choć z pisaniem nigdy nie wiadomo: kiedy się zacznie i kiedy skończy?

**Zbigniew Kresowaty** – Patrząc na podróż, a później na miejsca – poprzez to co nabyte i „zobaczone” wcześniej. Powstaje takie naczynie połączone skalające cały świat: Borzęcin, Kraków, Sztokholm, Kresy, Larnaca, Nowy Jork, busz australijski, Szpital Rydygiera w Nowej Hucie, gdzie urodzili się twoje wiersze szpitalne. Tym łącznikiem spajającym odległe miejsca i bieguny jesteś sam...

**Józef Baran** – Nazywasz to naczyniem połączonym. Ja użyłbym nieco innej metafory, chodzi o system luster połączonych. Poezja to bezustanna zmiana perspektywy. Miganie tymi perspektywami. Włączanie krótkich i długich światel, żeby zobaczyć siebie w różnych oświetleniach, w różnych kontekstach, w dużych i małych lustrach; przez mikroskop i lunetę, z perspektywy powzedniej i z perspektywy kosmicznej. Opisywać siebie przez świat i świat przez siebie: to lubię! W Ameryce np. dojrzałem w twarzach Indian – smutek starych borzęckich chłopów, których cywilizacja okradła z duszy: czyli z ich kultury, z ich świata wyobrażeń. Czy chłopci polscy – nie są Indianami skazanymi na zagładę? A to

przecież proces nieodwracalny. Wieś musiała wyprzeć się siebie za cenę błyskotek, oferowanych jej przez konkwestatorów zdobywczej cywilizacji... Podróż do miejsc nieznanych bywa więc również podróżą w głąb siebie i oświetleniem nie nazwanych dotąd zakamarków duszy. Podróżą w wymiarze metaforycznym był mój pobyt w szpitalu, gdzie zobaczyłem siebie na tle różnych chirurgicznych „narzędzi tortur” i odczułem całą ludzką słabość oraz fizjologiczną nikczemność. Pisać o sobie, ale pisać tak, żeby jak najwięcej nagnać do wiersza świata – taka formuła mi teraz najpełniej odpowiada...

**Zbigniew Kresowaty** – Może powspominamy niektóre z tych podróży, zaczynając od podróży w poezję... Pisząc swoją ostatnią książkę, zamykaś jakby drzwi za sobą – to też odczytałem z „Najdłuższej podróży”, a jednocześnie, co rusz, zaglądasz przez okno, jakby z coraz innego miejsca do domu, w którym przyszedłeś na świat...

**Józef Baran** – Zamykanie drzwi za sobą? – tak, to ładne określenie, choć nie do końca prawdziwe, bo jednak zauważyłeś, że w moich wierszach są też ciągłe powroty – z coraz większego oddalenia – do miejsca urodzenia. Takie zakreślanie muzycznego ronda Ravela i zagładanie do borzęckiej izby wiejskiej, gdzie się urodziłem – najpierw z bliska, z sadu, a na końcu zaś z dachu nowojorskiego drapacza, czy z wysokiej skały w australijskim buszu. Ostatecznie, w tej izbie zaczęła się przedziwna baśń życia, a właściwie zagadka, której rozwiązanie nigdy tutaj nie poznam. Więc jednak nie domykam tych kolejnych drzwi, lecz pozostawiam lekko uchylone szpary, przez które od czasu do czasu zaglądam... O ile pierwsze moje wiersze, związane krajobrazem lat dziecińczych, opowiadały o ojcu, matce, sąsiadach, krewnych i znajomych, i ich przywiązaniu poprzez pracę do kawałka ziemi, to te ostatnie są najczęściej powrotem do przyrody, lasu, ogrodu. Bo tak naprawdę tylko w miesiące wakacyjne bywam w Borzęcinie, gdzie mam letnią chałupkę z wysokim żywopłotem odgradzającym mnie od drogi. Chałupa, w której się urodziłem, została parę lat temu zburzona. To jakby symboliczne zburzenie całego mojego świata starej tradycji. Nowa wieś jest już inną wsią, przede wszystkim duchowo. I inni w niej ludzie, coraz mniej ciekawi dla mnie. Kombajn dopełnił reszty, czyli pożarł całą poezję i sacrum wiejskiego bytowania. Dawniej mogłem pisać o Borzęcinie, że mieści się „na tyłach świata”. Dziś byłoby to określenie zafalshowane, bo to jest wieś w centrum świata. Wszędzie jest centrum świata, gdzie się ma w domu telewizor, komputer, telefon komórkowy... a wszystkie te czarodziejskie zabawki ludzkości są teraz np. w rękach mojej 15-letniej bratanicy z Borzęcina... Moja córka Aśka – która wyszła za mąż za Amerykanina, Kena rodem z Indianapolis – gdy powróciła ze swojej podróży do miasta teściów, była wyraźnie rozczarowana. Dlaczego? To proste, nie było w domu teściów książek, były 4 telewizory, a jej amerykańska rodzina, gdy zjechała się na święta – siedziała przed telewizorami, zjadała cheepsy i oglądała – tak jak w Borzęcinie – seriale. Jedyna różnica – powiedziała mi – polega na tym, że oni tam oglądają swoje seriale, a chłopci nad Dunajcem oglądają amerykańskie seriale. – „Trzeba przyznać, że jest to zasadnicza różnica” – westchnąłem.

**Zbigniew Kresowaty** – Bardzo interesuje mnie twoje „odkrywanie Ameryki”. Na ile stałeś się literackim Kolumbem, gdy stojąc na dachu wieżowca i, patrząc przez soczewkę noktowizora, zastanawiałeś się, „czy giganty – drapacze chmur przytłaczają, czy uskrzydłają ludzi”...

**Józef Baran** – Dałem na to odpowiedź w książce, że gdy jest się zmęczonym – przytłaczają, a gdy jest się wypoczętym – uskrzydłają...

**Zbigniew Kresowaty** – *Opowiedz, jak do tego doszło, że znalazłeś się, wraz z dwoma innymi poetami polskimi, w gmachu ONZ, gdzie odbyła się promocja twojej książki, a obok ciebie czytali swoje wiersze trzej wybitni poeci amerykańscy, bo Stanley Kunitz, któremu prezydent Clinton założył na piersi w r. 1993 Narodowy Medal Sztuki, Gerald Stern – wykładowca na wielu uniwersytetach i Henry Taylor – laureat Nagrody Pulitzera?*

**Józef Baran** – W 2000 roku opublikowano mój polsko-angielski tom „*W błysku. In a Flash*” w nowojorskim wydawnictwie Cross – Cultural – Communications. Ukazały się tam zresztą również zbiory Bogusława Żurakowskiego i Dariusza Tomasza Lebiody. Nowojorskiemu wydawnictwu szeptuje poeta i poeta Stanley Barkan, wyszukujący poza Stanami utalentowanych poetów. Trzy lata temu przyjechał do Krakowa ze swoim przyjacielem Adamem Szyperem i wynaleźli między innymi mnie. Z kolei Jerzy Gregorek, Polak mieszkający od wielu lat w Stanach, przełożył parę lat temu moje wiersze. Była to jego praca dyplomowa na Uniwersytecie w Chattanooga (Tennessee). Owocem tych szczęśliwych zbiegów okoliczności stał się, właśnie wydany, zbiór wierszy. Jego promocja miała miejsce w ONZ 13 maja 2000 r. Ze strony amerykańskiej wystąpili znani poeci z 93-letnim Stanleyem Kunitzem (laureatem Nagrody Pulitzera) na czele. Impreza w ONZ była dość mocno rozreklamowana, trwała 2 godziny, dopisała publiczność. Czy zetknięcie się z wysokośćcami zrobiło na mnie duże wrażenie? Nie da się zaprzeczyć. Byłem na dachu World Trade Center i napisałem wiersz o tym drapaczu. Wiersz nie okazał się profetyczny, to znaczy nie przewidziałem w nim katastrofy. Przyznam szczerze, że jednak większe wrażenie od fantastycznych twórców architektury ludzkiej, zrobiła na mnie dzika natura i olbrzymi wykute przez przyrodę, wykute w czerwonych skałach w Moab, które zaliczane są do cudów natury. Bo znad Atlantyku poleciałem potem nad Pacyfik i, wspólnie z profesorem chemii i poetą, Leszkiem Czuchajowskim, przemierzaliśmy autem około 8 tysięcy mil. Spaliśmy w namiotach i motelach. Było to dla mnie – kochającego przestrzenie i krajobrazy górskie – prawdziwa uczta duchowa. Zobaczyłem Amerykę prowincjonalną, parterową, bo taka ona w istocie jest. Odkryłem, dla siebie, przede wszystkim Góry Skaliste, o których tyle naczytałem się w dzieciństwie u Curwooda, przy pasieniu krowy. Powstał z tego cykl wierszy i cykl reportaży poetyckich, zamieszczonych właśnie w „*Najdłuższej podróży*”. A jeśli chodzi o zbiór „*W błysku. In a Flash*” – to sprawa miała dalszy ciąg. W maju 2002 moi tłumacze otrzymali za przetłumaczenie tego zbioru w Los Angeles doroczne prestiżowe wyróżnienie amerykańskiego Pen Clubu.

**Zbigniew Kresowaty** – „*W „Tryptyku australijskim”, czyli w kolejnym rozdziale „Najdłuższej podróży”, znajdują się podtytuły: „Busz”, „złoto”, „poezja”... Czy ten pobyt miał jakiś związek z wojażami amerykańskimi?*”

**Józef Baran** – W pewnym sensie tak, bo gdybym nie miał zbioru przetłumaczonego w Stanach, nie mógłbym polecieć jesienią 2001 do Sydney. Zostałem tam zaproszony jako autor polski na XXI Światowy Kongres Poetów. Koszty podróży i pobytu wzięła na siebie Polonia australijska, z którą – w ramach rewanżu – odbyłem cztery spotkania autorskie. Podróż trwała ponad 30 godzin; bo to 20 tys. kilometrów od Polski. W Kongresie wzięło udział 120 poetów z całego świata. Moje wiersze były czytane po polsku i angielsku. Zaprzyjaźniłem się tam m.in. z poetą z Bengalii – Amarendrą Chakraworty, który niedawno odwiedził mnie w Krakowie i brał udział w promocji „*Najdłuższej podróży*”, jako jedna z osób tej książki.

**Zbigniew Kresowaty** – *Świat jest mały...*

**Józef Baran** – Świat jest mały... Najpiękniejszą przygodą australijską była wyprawa do buszu. Pojechałem tam wraz z 22-letnim poetą Mateuszem Wolnickim, Polakiem wychowanym w Australii. Wspólnie przejechaliśmy parę tysięcy kilometrów. Widziałem piękne Blue Mountains, których pasmo ma z daleka błękitny kolor od eterycznych olejków, wydobywających się z eukaliptusów. W deszczowych lasach tropikalnych zetknąłem się z ogromnymi fikusami, oplecionymi przez liany. Słyszeliśmy ogłuszającą muzykę cykad. W buszu odzywały się najrozmaitsze głosy, szczególnie po zmroku, gdy zapaliliśmy ognisko... Spaliśmy jedną noc w miasteczku Sofala, liczącym teraz 40 mieszkańców, choć sto pięćdziesiąt lat temu było ich 40 tysięcy, bo przyciągało tu ludzi złoto. Patrząc na to opuszczone miasteczko, od którego oddaliły się główne trakty, nie wiem dlaczego, pomyślałem, że podobna historia dotyka teraz złotorodną poezję polską, którą opuszcza publiczność...

**Zbigniew Kresowaty** – *Czy zetknąłeś się z rdzennymi mieszkańcami Australii – Aborygenami?*

**Józef Baran** – O tak. Dużo też na ich temat usłyszałem od Mateusza, który fascynuje się ich kulturą. Mają oni zupełnie inną mentalność niż my. Niczego nie planują, bezgranicznie oddają się chwili. Wierzą, że można zakłębami wywołać deszcz i to się im podobno udaje. W latach 70. wywalczyli prawa własności do ziemi i pełnoprawne obywatelstwo. Mają swoich poetów, których poznałem na kongresie... Przegrali kiedyś z białymi, bo byli rozdrobnieni na tysiące szczepów i mówili w kilkuset narzeczach. Nie umieli się zjednoczyć w walce z najeźdźcą i ponieśli klęskę. Piszą o tym w swoich wierszach, które na język polski przełożyła znakomita tłumaczka i poetka, Ludwika Amber. M.in. mieszkalem też u niej przez jakiś czas w domku pod Sydney...

**Zbigniew Kresowaty** – *A jak powstały wiersze szpitalne?*

**Józef Baran** – W dwa miesiące po moim przyjeździe z Australii znalazłem się na stole operacyjnym w Szpitalu Rydygiera w Nowej Hucie... I była to moja „*najdłuższa podróż życia*”, podróż jakby w inny wymiar. Antypody wobec tej podróży to fraszka. Kiedy się pozbierałem po operacji i po pierwszych seriach chemioterapii – poczułem nieprzeparą chęć opowiedzenia tego, co mnie spotkało. Powiedziałem sobie – dotąd choroba mnie wykorzystywała, teraz ja ją będę wykorzystywał! Najpierw wylały się ze mnie – trochę na podobieństwo lawy – szpitalne wiersze, a potem z niezgrabnych zapisków – skomponowałem „*dziennik szpitalny*”. Moja książka była już właściwie przygotowana przez wydawcę do druku, gdy zdecydowałem się dołączyć ten ostatni, dramatyczny rozdział. Notatki wierszy powstawały w szpitalu, ale opracowywałem je już w momencie, kiedy odczuwałem, że wygram swoją walkę z rakiem. Rak to temat tabu, ja jednak zdecydowałem się opowiedzieć o tym doświadczeniu. W Polsce ludzie zaczynają się tym interesować, czyli zgłaszają się do lekarza, gdy jest już – najczęściej – za późno na wyleczenie. W innych wypadkach chowają jak strusie głowę w piasek i mówią: „*My nie chcemy o tym ani myśleć ani mówić*”. To błąd. W efekcie tylko 30 proc. dotkniętych nowotworem – wygrywa z nim walkę, gdy w Ameryce jest ten odsetek o połowę większy, bo profilaktyka jest o wiele bardziej zaawansowana. Postanowiłem – nie ja zresztą pierwszy – mówić o tym głośno. Zarówno wiersze, jak i dziennik – wzbudziły duże zainteresowanie w Krakowie, gdzie publikowałem fragmenty w „*Dzienniku polskim*”. I chyba, przede wszystkim, z uwagi na te fragmenty szpitalne, „*Najdłuższa podróż*” miała duże powodzenie na Krakowskich Targach Książki. Można się oczy-

wiście zastanawiać nad granicami szczerości, która w każdej chwili może omsknąć się w ekszhibicjonizm. Jednak – jak mi się wydaje kryterium ostatecznym jest zawsze forma, styl. Jeżeli coś nie ma formy – nie istnieje. Wtedy szczerość staje się grafomarska, eszhibicjonistyczna. Mam nadzieję, że i tym razem nie zawiodła mnie moja forma, choć oczywiście nie jestem tego do końca pewny.

**Zbigniew Kresowaty** – *Od tego miejsca należałoby nazwać naszą rozmowę „na laserowej śnieżynce duszy”. Pragnę zapytać Cię – jak widzisz już z pewnego dystansu – potrzebę pisania takich wierszy? Są one wynikiem pewnego wyobcowania... ich metafizyka jest chemioterapeutyczna. „Żaden anioł, żaden cud, tylko słabość lęk i ból” – to twoje słowa. Powiedz może coś o takich miejscach, które jakby biorą duszę w dyby?*

**Józef Baran** – To określenie, że „*są takie miejsca, które biorą duszę w dyby*” – jest bardzo trafne. Tak to właśnie czułem w szpitalu, a cykl „*Najdłuższa podróż życia*” powstał w stosunkowo krótkim czasie, jakby te wiersze same się napisały. Pisząc je uważałem tylko na jedno: żeby broń boże się nie skarżyć, żeby spojrzeć chorobie prosto w oczy! I to mi się chyba udało... A tak na marginesie. Kilkakrotne przymusowe lądowania w szpitalu, jak również półroczna kuracja chemioterapeutyczna były dla mnie przede wszystkim lekcją pokory – bo unaocniłem sobie, jak wszystko jest znikome – a także lekcją cieszenia się z życia. Widziałem ludzi śmiertelnie chorych, którym pozostawały chwile i z tych chwil też potrafili wykrzesać radość.

**Zbigniew Kresowaty** – *Janusz Drzewucki w „Rzeczpospolitej”, recenzując książkę, zwraca uwagę, że piszesz o tajemniczej chorobie „powściągliwie”, w sposób maksymalnie wyważony. „Nie ulega jednak wątpliwości” – dodaje – „że pod tym cyzelowanym ze zdania na zdanie chłodem kryje się niepewność jutra. Właśnie nieznaną dotychczas lęk o życie, a także o najbliższych powoduje, że bohater Barana dokonuje radykalnego przewartościowania swojej prywatnej filozofii. Gdy wraca do zdrowia, a tym samym, co świata i ludzi przepętania go niewystawiona wręcz radość, którą najdoskonalej obrazuje dziecięcy wilczy apetyt na życie”. Wiesz, dlaczego cytuję te słowa?*

**Józef Baran** – Bo, gdybym chciał odtworzyć dziś tamte szpitalne klimaty – nie byłbym w stanie. Dobrze, że to zapisałem, bo wyparowałyby jak kamfora. Pacjenci po wyjściu ze szpitala pragną natychmiast zapomnieć o fantasmagorycznym świecie śnionym jakby w malinie: o upokorzeniach, bólu, lęku... jak i o zapachach, smach, kaszkach – manach... W trzecim dniu po operacji – a był to styczeń – nachodziło mnie pragnienie, żeby znaleźć się znów w ogródku u mamy i podstawić twarz pod ciepłe wiosenne słońce... Z drugiej strony – i ma tu rację mój przyjaciel Staszek Srokowski z Wrocławia, że ktoś kto raz zajął w oczy śmierci, jest już człowiekiem trochę z innej planety, choć udaje, że nic się nie zmieniło... Dużo by o tym mówić...

**Zbigniew Kresowaty** – *Jak się dziś czujesz jako ocalony poeta? Co zamierzasz jeszcze? – uchyl rąbka dalszej podróży. Jakie będą twoje nowe wcielenia? Niewątpliwie przeszedłeś jako poeta pewne metamorfozy tak jak przechodzi się przez „ucho igielne”, ciekaw jestem, co z tego wyniknie dla wierszy?*

**Józef Baran** – Nie mam zielonego pojęcia. Nie napisałem od trzech miesięcy ani jednego wiersza. Przygotowuję kolejny wybór wierszy „*Wyprawa po złote runo*”, ciągnę dalej swoje zapiski, z których urodzi się może kiedyś jakiś nowy tomik dzienników. A oprócz tego, poczekam na wiersze, które zlatują czasem, jak mana z nieba – nie wiadomo, kiedy i dlaczego? Ja w zasadzie nie jestem poetą, który musi wciąż pisać. Może odezwę się, kiedy znowu będę miał coś do powiedzenia – jak to sprytnie określił kie-



Teresa Januchta

## Mniej oświetlona strona Parnasu

Ktoś kiedyś zarzucił „Akantowi”, że otwierając rubrykę pt. „Mniej oświetlona strona Parnasu”, stworzył pole do wzajemnej koleżeńkiej adoracji poetów: „Ja pochwalę ciebie, a ty mi się zrewanżujesz” (jak w ludowym porzekadle: *Mamo, chwała nas. Kto? Wy mnie, a ja was*).

Jest w tym nieco prawdy, bo przecież wymieniamy nazwiska pisarzy, których twórczość wywarła na nas duże wrażenie, często znanych nam osobiście, które – co wynika z założenia tej rubryki – nie są znane powszechnie. Żle, jeśli czynimy to mając świadomość przeciwności czy wręcz miernoty proponowanych nazwisk, ale jeśli w gąszczu księgarskich pólek uda się nam wypatrzeć prawdziwą perełkę, to warto o tym powiedzieć. Propozycje zwarte w tym dziale „Akantu” właśnie temu celowi służą. Przyznam, że wymieniałam dotychczas tylko dwa nazwiska (nie związane ze środowiskiem kulturalnym Poznania), co wcale nie znaczy, że podoba mi się twórczość tylko tych dwójki poetów. Znam osobiście wielu poetów (poetek), do których wierszy zaglądam z prawdziwą przyjemnością, wołałabym jednak zachować powściągliwość w forowaniu jednych, a przemilczaniu drugich, właśnie z uwagi na możliwość skażenia opinii subiektywizmem towarzysko-koleżeńskim.

Skoro jednak udzieliłam sobie w tej kwestii głosu, to chciałabym poinformować, że kilka lat temu wypatrzyłam w poznańskiej księgarni „Arsenal” niepozorną książkę arabskiego pisarza, malarza, filozofa i poety Khalila Gibrana (1883–1931) w przekładzie Reginy Gromackiej pt. „Jezus Syn Człowieczy”. O Bohaterze Nowego Testamentu napisano wiele książek (wśród nich arcydzieło Romana Brandstaettera „Jezus z Nazaretu”), jednak ta książka urzekła mnie subtelną prozą poetycką, głębią przemyśleń autora szkicującego niezwykle portret Chrystusa w oparciu o relacje ludzi żyjących w jego epoce. To na pewno zabieg wielce kontrowersyjny, ale wciągający czytelnika w bieg wydarzeń i nie pozostawiający go obojętnym wobec Mistrza – umiłowanego przez jednych i zniechęconego przez drugich.

Khalil Gibran, pochodzący z rodziny chrześcijańsko-maronitów, tworzył w języku arabskim, napisał około dwudziestu utworów, z których największą sławę przyniósł mu „Prorok” tłumaczony na kilkanaście języków (wydany także po polsku). Inne tytuły to m.in. „Blazen”, „Piasek i polana”, „Tajemnice serca”, „Złamane skrzydła”. Książki Gibrana zawierają przede wszystkim rozważania na tematy filozoficzne, religijne i moralne. Całą jego twórczość cechuje głębia przemyśleń, błyskotliwe refleksje, trafność sformułowań i pogodny liryzm. W jego prozie pobrzmiewa echo rytmicznej, śpiewnej poezji Orientu.

Jadwiga Badowska – wileńska Poznańka czy poznańska Wilnianka?

Nieważne. Aktorka, poetka, autorka scenariuszy i zarazem reżyser, urodzona w 1913 r. w Wilnie, pozostawiła w tym mieście najpiękniejsze, bo związane z dzieciństwem i młodością, wspomnienia. Na skutek powojennych decyzji politycznych, niemal zmuszona do opuszczenia rodzinnej ziemi, w 1951 r. osiadła na stałe w Poznaniu. Pamięć ojcowizny, kraju pierwszych doznań i fascynacji, zaowocowała cyklem tomików o tematyce wileńskiej: „Zaszumiła mi Wilia” (1991), „Namaluję twarz” (1993), „Ondyna nad Niemnem” (1995), choć debiut książkowy (w czasopiśmie debiutowała w 1948/49 r.) to tomik wierszy dla dzieci pt. „Uliczkami po Poznaniu”, wydany w 1987 r. przez Wydawnictwo Poznańskie. Inna poznańska poetka - Ewa Najwer – we wstępie do tomiku Jadwigi Badowskiej pt. „Zamknięci w słowach” pisze: „Są poeci z dawnych polskich ziem wschodnich, którzy z korzeniami wyrwani ze swoich siedlisk przez wojnę, przez deportacje i migracje, osiedleni gdzieś na nowo, już nie potrafili nawiązać serdecznego kontaktu z nowym czasem i

nową ziemią, którą im dano, albo którą sobie wybrali”. Autorka „Dębów Rogalińskich” (1994) związana więzią rodzinną i uczuciową z Poznaniem i Wielkopolską, zauroczona pejzażami, historią i związanymi z nią postaciami (m.in. E. Raczyńskim, K. Marcinkowskim, E. Szczaniecką i wieloma innymi) osadziła większość swych utworów w miejscach, które poznając, pokochała równie mocno jak nadniemeńskie łąki i wrzosowiska. Pełno tych wierszy w wydawanych przez Związek Literatów Polskich „Strofach o Wielkopolsce” (w 2002 r. ukazał się VI zeszyt), w kolejnych almanachach Międzynarodowych Listopadów Poetyckich w Poznaniu, we wspomnianych „Dębach Rogalińskich”, „Uliczkami po Poznaniu”, „Kropkach słońca” (1993) i „Dziwnym ogrodzie” (1998).

Tematykę wielu utworów Jadwigi Badowskiej cechuje pewien uniwersalizm co do miejsca i czasu. Jest to szczególnie widoczne w wierszach poświęconych przyrodzie. Przecież zarówno nad Wartą, jak i nad Niemnem, Wilią, czy Naroczą spotkać można te same drzewa, kwiaty i zioła, to samo niebo i słońce, tego samego Boga. To tak, jakby poetka chciała przerzucić pomost między dawnymi i obecnymi miejscami, między przeszłością, a teraźniejszością. Owe litewskopolskie więzi obrazuje chyba najwyraźniej wiersz pt. „Wnuk Dewajitisa” (W: „Namaluję twarz” s.38).

*przywieszono mnie w kieszeni  
jako mały żółty żołądz  
posadzono w lesie  
puściłem korzenie*

*teraz rosnę w Zielonej Puszczy  
dąb litewski przy polskiej sośnie*

W zacytowanym wierszu podmiotem lirycznym jest dąb litewskiego pochodzenia, który zapuścił korzenie w polskiej puszczy. Nietrudno dopatrzeć się analogii pomiędzy losem dębu i autorki. Poetka często identyfikuje się z żywymi i martwymi elementami otoczenia (roślinami, zwierzętami, domami, różnymi przedmiotami),

a nawet więcej – ona je ożywia, personifikuje, używa im własnych myśli i uczuć, nadaje osobowości, niekiedy niemal boską: ... *dąb pozostał / silniejszy od cęgły / od historii / od człowieka // Modlimy się do niego legendą* (fragment wiersza pt. „Dąb Piłsudskiego w Druskiemnikach” z tomu „Ondyna nad Niemnem”). A oto inny przykład z tomu pt. „Namaluję twarz” (s. 8):

## BUK

*Buk modlił się do Boga  
Pozwól mi zostać człowiekiem*

*Kiedy nie był już drzewem  
został samotny jak Stworzyciel*

Poetyka Jadwigi Badowskiej jest bliska baśni, legendzie, balladzie, gdzie wszystko jest możliwe, a czas płynie wolno i leniwie. Odnoszę wrażenie, iż dla poetki istnieje właściwie wieczne „teraz”, skoro w jej wierszach ożywają dawni bohaterowie, a zamierzchnie zdarzenia dzieją się na nowo. Postrzega ona rzeczywistość, nie wyłączając własnej osoby, jako jeden (choć różnorodny w swym bogactwie) organizm. Mówi o tym wprost w wierszu pt. „Nic nie jest osobno” (z tomiku pt. „Dziwny ogród”, s.32): *nic nie jest osobno / wszystko jest całością / moja twarz w portrecie / i sikorka na werandzie / nic nie jest osobno / wszystko jest razem / twoja ręka z pastelą / i krzak jaśminu w ogrodzie*. Artystka gra obrazem, z zadziwiającą dokładnością analizuje przestrzeganą pejzaż, wyławiając z niego to, co najbardziej interesujące, godne uwagi, a następnie przetwarza przez osobistą wrażliwość, intuicję, by zaskoczyć czytelnika mądrą, filozoficzną (a bywa, że humorystyczną) pointą. Dlatego jej wiersze czyta się tak, jakby się oglądało namalowane obrazy w towarzystwie samego malarza, zwracającego dyskretnie uwagę na niektóre ich elementy. Prosty, czytelny (choć bogaty w niebanalne środki poetyckiego obrazowania) język, optymizm i afirmacja życia czynią poezję Jadwigi Badowskiej balsamem na wszelkie dolegliwości zwariowanej współczesności. A oto i ona sama: mimo wieku wciąż pogodna, uśmiechnięta, o twarzy bez zmarszczek, rzadko używająca okularów – wychodzi nam naprzeciw z całym swoim zaczarowanym, choć tak bardzo naszym, światem i niemal gotową receptą na nieśmiertelność, a przynajmniej na długowieczność. ■

Oto autorzy zgłoszeni przez Czytelników:

Tomasz Agatowski, Ludwika Amber, Zdzisław Antolowski, Zbigniew Ateborski, Marek Baczewski, Jadwiga Badowska, Łukasz Bagiński, Paweł Barański, Mariusz Baryła, Marek Basiağa, Jolanta Baziak (3x), Jan Belcic, Maria Danuta Betto, Barbara Białowąs, Miłoz Biela, Wojciech Borkowski, Wojciech Boros, Robert Brunne, Wojciech Brzoska (2x), Bożena Budzińska, Waclaw Buryła, Stanisław Chaciński, Ryszard Chłopek, Stanisław Chyczyski (3x), Marcin Cielecki, Jagoda Cieszyńska, Irena Conti, Mieczysław Czajkowski (2x), Ludwik Filip Czech (3x), Leszek Czuchajowski, Michał Stefan Dalecki, Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Mariola Dąbrowska, Andrzej Dębowski, Stanisław Dłuski (2x), Zofia Dormanowska, Zdzisław Drzewiecki (2x), Harry Duda, Barbara Dziekańska, Eligiusz Dymowski, Krystyna Dziurzyńska, Janusz Ekier, Elżbieta Juszcak, Krzysztof Fedorowicz, Jerzy Ficowski, Anna Fidecka, Dariusz Foks, Magdalena Forusińska, Marta Fox, Jerzy Franczak (2x), Arkadiusz Frania, Jerzy Fryckowski (3x), Juliusz Gabryel, Barbara Gajewska, Ludwik Gebel, Khalil Gibran, Maciej Gierszewski, Stanisław Gostkowski (1948-2000), Marek Grala (2x), Stanisław Grochowiak (1934-1976), Maria Grosicka-Jeżowska, Krzysztof Gruse, Jerzy Gruzla (2x), Mariusz Grzebalowski, Krzysztof Grzelak, Marcin Halaś, Agnieszka Herman, Marian Hermaszewski, Dominika Heród, Krystyna Hilcer, Tadeusz Hofmański, Roman Honet, Andrzej Hrabiec, Tomasz Hrynca, Danuta Hryniewiecka, Genowefa Jakubowska-Fijałkowska (4x), Klemens Janicki (1516-1543), Magdalena Jankowska, Zbigniew Jankowski, Anna Jarzębowska, Aleksander Jasicki (2x), Krzysztof Jaworski, Aleksander Jensko, Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, Marek Jodłowski, Dawid Jung, Ireneusz Kaczmarczyk, Jerzy Karecki, Jacek Karolak, Mira Karolewska, Wojciech Kass, Sławomir Andrzej Keller, Marzanna Kielar (2x), Jarosław Klejnocki, Krzysztof Koehler, Stanisława Kopiec (2x), Karol Korczyn, Marek Kielgrzymski (2x), Władysław Klępka, Grzegorz Kociuba, Danuta Kostewicz, Arkadiusz Kremza, Zbigniew Kresowaty (2x), Janusz Krosny, Józef Krupiński (1930-1998) (2x), Paweł Kuszczyński, Lech Loffo Landeki, Paweł Leksycki (2x), Paweł Łęcki, Tomasz Lipski (2x), Henryk Liszkiewicz, Bogdan Loeb, Anna Machałowska, Piotr Macierzyński (2x), Karol

Maliszewski, Danuta Małecka, Alicja Maras, Włodzimierz Marczewski, Agata Mazgis, Piotr Mazur, Elżbieta Michalska, Jarosław Mikołajewski, Ryszard Milczewski-Bruno (1940-1079), Jerzy Mrzigod, Danuta Mucha, Bartosz Muszyński, Ariana Nagórska (4x), Jacek Napiórkowski, Krzysztof Niewrzęda (2x), Andrzej Piotr Nowik, Tadeusz Nowak (1930-1991), Ewa Nowakowska, Lesław Nowara (2x), Elżbieta Nowosielska, Adam Ochwanowski, Daniel Odija, Andrzej Ogrodowczyk (1952-2002), Stefania Opalska, Rafał Orlewski (2x), Eda Ostrowska, Świętłana Owczarska, Andrzej Pařta, Stefan Pastuszewski (3x), Henryk Pawłowski, Teresa Paryna, Anna Piątek, Marek Pieniążek, Andrzej Pierszkała, Edmund Pietryk, Jerzy Pikul, Cecylia Pilarczyk-Ricciardi, Michał Piotrowski (2x), Róża Pisarczyk, Anna Piwkowska (3x), Jacek Podsiadło, Francis Pongce (1899-1988), Elżbieta Prażmo (3x), Henryk Rejmer, Grażyna Rochna, Beata Rokosz, Tomasz Różycki, Mariusz Rucki, Tomasz Wincenty Rzepa, Joanna Rzeszotek, Dariusz Sas, Paweł Sarna, Roman Senski, Ryszard Sidorkiewicz (2x), Maria Sivińska, Ziemowit Skibiński, Agnieszka Skierczyńska, Tadeusz Sławek, Maria Sławska, Jan Stanisław Smalewski, Piotr Smolak, Stanisław Stanik, Włodan Stamenković, Jolanta Stelmasiak, Zbigniew Stemborski, Jadwiga Stróżykiewicz, Jadwiga Sułkowska-Mijał, Jerzy Szatkowski, Czesław Mirosław Szczepaniak, Krzysztof Szczypiorski (2x), Lucyna Szubel (2x), Eugeniusz Szulborski, Jerzy Szymik, Adam Zyper (2x), Krzysztof Śliwka, Joanna Ślósarka, Jerzy Świątkowski, Marcin Świątlicki, Mariusz Tenerowicz, Jan Towarnicki, Jerzy Tomaszewicz (1944-2001) (2x), Grzegorz Tomicki, Agata Tuczyska, Andrzej Turczyński, Alicja Ungeheuer-Gołąb, Andrzej Warzecha, Jerzy Michał Wąsik, Wojciech Wencel, Agnieszka Wesolowska, Milena Wieczorek (2x), Hanna Wietrzny, Czesław Włosek, Zygmunt Wojdyło, Anna Wojnarska, Mieczysław Wojtasik, Maciej Woźniak (2x), Jerzy Woźniak, Grzegorz Wróblewski (3x), Irena Wyczołkowska, Tadeusz Wyrwa-Krzyżński, Tadeusz Zawadowski (2x), Alicja Zemanek, Katarzyna Zdanowicz (2x), Adam Ziemiński, Jan Zych, Bogusław Żurkowski, Zdzisław Władysław Żurek.

Zachęcamy Czytelników do dalszego zgłaszania kandydatów, także w formie powtórzeń. W końcu chyba czytamy współczesną poezję. Uzasadnienia – wciąż mile widziane! ■

Marek Czuku

## Mniej oświetlona strona Parnasu

Podaję swoje typy w formie krótkich „recenzji” dobrych książek moich wybrańców:

1. ADAM SZYPER: „*Życie pod prąd*”. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2001.

Wybór wierszy z lat 1965-1998 coraz bardziej popularnego poety - obywatela świata. Charakteryzują się one wyrafinowaną prostotą, przenikliwością oraz pokorą w podejmowaniu fundamentalnych problemów ludzkiej egzystencji.

2. JOANNA ŚLÓRSKA: „*Z Nieogrodu*”, Corre Studio, Łódź 2001.

To szósty zbiór wierszy profesor Uniwersytetu Łódzkiego, stanowiący kontynuację jej wcześniejszych poszukiwań metafizycznych i kulturowych. Tomik ilustrują reprodukcje grafik poetki.

3. LUDWIK GEBEL: „*Na wieki sekund*”. Wydawnictwo „Biblioteka”, Łódź 2001.

Piąty zbiór poetycki łódzkiego lekarza psychiatry, który jest również autorem utworów scenicznych i reportaży. Temporalne rozważania zawarte w trzech cyklach lapidarnych utworów iskrzą się od wymyślnych konceptów i słownych gier. Autor daje się poznać jako filozof, który ze stoickim spokojem przyjmuje zrzędzenia losu (czytaj: czasu).

4. MICHAŁ STEFAN DALECKI: „*Morwa*”, Express Poligraficzny, Łódź 2001.

„Pewnego dnia przestaje nas chronić cień morwy, przestają smakować jak dawniej również owoce (...) Temu właśnie odejściu od mikroświata Morwy próbują poszeleścić moje wiersze i pokazać skutki” -

pisze we wstępie do swojego dziesiątego tomu wierszy łódzki poeta i satyryk. Książkę ilustrują rysunki Mikołaja Dawidziuka.

5. SŁAWOMIR ANDRZEJ KELLER: „*Poza słowem*”, Wydawnictwo Książkowe „Festinus”, Łódź 2002.

*Nie proszę Cię o kromkę chleba, / ani o grosz czy dobre słowo. / Proszę o pokój tu na ziemi / i bym po śmierci zaznał nieba.* - to przesłanie ósmego zbiorku łódzkiego prawnika, a zarazem prezesa oddziału ZLP. Wiersze poszukujące sensu, ładu moralnego i miłości w świecie pełnym zła, niesprawiedliwości i nieszczęścia.

6. MARIUSZ BARYŁA: „*Okna*”, Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 1999.

Poetyckie wizje autora z Piotrkowa Trybunalskiego są zdominowane „malarską wyobraźnią, pełną impresjonistycznych czy wręcz surrealistycznych skojarzeń, ujętych jednak w rygor logiki i refleksji”. Wiersze te „są jak fotografie, jak słodko-gorzkie smaki przeszłości, jak guajazyl” [z przedmowy Anny Piwkowskiej]. Ilustracje (czarno-białe fotografie) autorstwa poety.

7. BARBARA GAJEWSKA: „*Wyplatanie drogi*”, Miejski Ośrodek Kultury, Piotrków Trybunalski 2001.

Drugi tomik piotrkowskiej nauczycielki prowadzącej w swoim mieście Klub Literacki „Zakole”. Klimat tej poezji tworzą: niepokój egzystencjalny, doświadczenie mijania czasu i kruchości bytu, a jednocześnie elementy świata przy-

rody i kultury. Książkę ilustrują grafiki Agnieszki Illinicz-Kielkiewicz.

8. JOLANTA STELMASIAK: „*Wiersze*”, Towarzystwo Przyjaciół Szadku, Szadek 2002.

Jest to poezja bardzo osobista. Nic więc dziwnego, że najczęściej przyjmuje formę zapisów upływającego czasu bądź też stanów ducha (np. samotność, tęsknota, melancholia) czy podświadomych doznań (snów, zwidów, majaków). Stawiane tu egzystencjalne pytania pozwalają dostrzec ważne dla poetki wartości, jak przyjaźń, wyobraźnia, sztuka. Klimat tych utworów wzbogaca wprowadzenie wiejskich realiów. Wiersze powstały w latach 1985-1998. Autorka mieszka w Grzybowie koło Szadku, a pracuje jako księgowia.

9. STEFANIA OPALSKA: „*Miejsce na ziemi*”. Biblioteka Debiutów Grupy Literackiej „Centaur”, Łódź 2000.

Późny debiut łodzianki (z „*przekory losu*”) urodzonej na Wołyniu nad Ikwą, „najpiękniejszą rzeką świata”. Tęsknocie za bezpowrotnie utraconą krainą dzieciństwa towarzyszy subtelna myśl religijna i patriotyczna. To bardzo osobista poezja, w której odnajdziemy jednak - mimo rozmaitych przeciwności i świadomości historycznych krzywd - nutkę trudnej nadziei.

10. KRYSZYNA HILCZER: „*Matka*”. Tomik autorski, Łódź 2000. KRYSZYNA HILCZER: „*Czas*”. Biblioteka Autorska „Centaur”, Łódź 2001.

To bardzo subtelne i osobiste wiersze łódzkiej plastyczki, która kilka lat temu sięgnęła po nowe tworzywo: słowo. Tradycyjne w formie i treści, plastyczne w obrazowaniu, podejmują takie odwieczne liryczne tematy, jak: miłość i samotność, upływ czasu, tęsknota i nadzieja. Wartość tej poezji wzbogacają ilustracje - reprodukcje prac autorki.

## V OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIA POETÓW BIAŁA LOKOMOTYWA

5-7 września 2003 Aleksandrów Kujawski - Łazieniec - Nieszawa

5 IX (piątek) Aleksandrów Kujawski

NA DOBRY POCZĄTEK recital Jerzego Stachury  
W STRONĘ WIERSZA Wojciech Boros, Lech Loffo Landecki, Barbara Piórkowska  
NA DWA GŁOSY „Sol et Luna” - koncert Mieczysława Litwińskiego i Saby Z. Krasoczko  
WIECZORY FILMOWE W KINIE OBJAZDOWYM Michała Tarkowskiego /cz. I/

6 IX (sobota) Aleksandrów Kujawski - Łazieniec

ZWIEDZANIE DOMU RODZINNEGO Edwarda Stachury /Łazieniec/  
PIOSENKA POETYCKA Kamil Galiński & Przyjaciele  
W STRONĘ WIERSZA Marcin Włodarski i Krzysztof Kowalewski  
W STRONĘ TEATRU Teatr From Poland - „Saxofonista”; Teatr Dytyramb - „Tragarze marzeń”  
WIECZORY FILMOWE W KINIE OBJAZDOWYM Michała Tarkowskiego /cz. II/  
TURNIEJ POETÓW /FADO/

7 IX (niedziela) Aleksandrów Kujawski - Nieszawa

W STRONĘ TEATRU Teatr Atelle  
ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSÓW I TURNIEJÓW BIAŁEJ LOKOMOTYWY  
PIOSENKA POETYCKA Paweł Drzewiecki

NIESZAWA godz. 16,00  
MISTRZ I UCZNIOWIE Tadeusz Zawadowski i Katarzyna Brzozowska  
PIOSENKA AUTORSKA recital Andrzeja Garczarka

\* program może ulec zmianie

W sierpniu 1999 roku wyruszyła w swą pierwszą podróż Biała Lokomotywa, a tym samym stały się faktem I Ogólnopolskie Spotkania Poetów, cykl wydarzeń artystycznych promujących poezję, a mających za patrona Edwarda Stachurę.

Wydarzenia artystyczne składające się na Białą Lokomotywę rozegrały się w zakątkach Kujaw przeniesionych przez Stachurę na kartach „*Calej jaskrawości*” do świata literackiego mitu.

Z radością zapraszamy do udziału w piątej podróży Białej Lokomotywy. Poetom proponujemy udział w Konkursie Jednego Wiersza i otwartym Turnieju Poetów.

Ponadto zapraszamy widzów, obserwatorów i gości na wieczory poezji i spotkania autorskie, recitale, koncerty, wycieczki do domu rodzinnego Edwarda Stachury i seanse filmowe. Wszystkich zaś tych, którzy mogliby i chcieli stać się mecenasami naszego święta poezji, zapraszamy do współpracy.

## KONKURS JEDNEGO WIERSZA

### REGULAMIN

1. Konkurs adresowany jest do osób, które mają więcej niż 16 lat i ma charakter otwarty. Może wziąć w nim udział każdy poeta, który do dnia 25 sierpnia nadesłże na adres organizatorów jeden utwór poetycki o dowolnej tematyce w trzech egzemplarzach.

2. Utwory nadesłane oceni profesjonalne jury, przyznając nagrody i wyróżnienia.

3. Wiersze nagrodzone i wyróżnione zostaną opublikowane w antologii towarzyszącej Białej Lokomotywie.

4. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi dnia 7 września.

5. Wiersze zgłoszone do konkursu należy opatrzyć godłem, dołączyć do nich kopertę zawierającą dane autora i nadesłać na adres:

Konkurs Jednego Wiersza  
V Ogólnopolskie Spotkania Poetów  
Biała Lokomotywa  
Miejskie Centrum Kultury  
ul. Parkowa 3  
87-700 Aleksandrów Kujawski

6. Informacji udziela Daria Danuta Lisiecka tel. /054/ 282 25 27; 0 502 148 419; e-mail: bialalokomotywa5@wp.pl

# Lato

Jacek Tabisz

## Dni uciekały jak stada spłoszonych ptaków

Dni uciekały jak stada spłoszonych ptaków. Patrzyłem w horyzont, a on powoli rozchyłał złote ramiona smagane ich lotem. Oddech martwego od żaru powietrza malował mnie ołowianą bielą. Czekałem wpatrzony w ptaki. Wiedziałem, że one nie przyjdą. Wielu czekało tu przede mną. Wszędzie wokół leżały kruche badyły. Każdy mój krok grzął w nich przebijając ciszę. A przecież nie było tu drzew. Tylko piasek przemieszany ze słońcem i ścianą żaru, która nie gasła nawet nocą.

Wszędzie wokół był mur. Poza wąską szczeliną piał się w masywnych, gładkich blokach. Nie byłem więźniem. Masywna ściana spływała w dół szerokim pulpitem. Mogłem po niej zbiec i iść tam, gdzie wędrują ptaki. Jednak nie mogłem odejść sam. Gdzieś pozostało bowiem moje imię i pamięć mojego istnienia. Bez nich byłem tylko tym co czeka.

Mój czas nie istniał. Moje oczy bez powiek patrzyły. Trwałem bezcielesny. Słońce zataczało po niebie swe przedziwne kręgi. Coraz szybciej, nad brzegiem horyzontu, igrał jego płomień. A może to ja uczyłem się czasu i widziałem go coraz szybciej. Nie znałem żadnego języka. A jednak szeptałem kamieniom moje opowieści. Uczyłem je mówić, choć sam jeszcze nie mówiłem. One jednak przemówią gdy złączę się z piaskiem.

Czas zawisł pomiędzy słońcem a niebem. Widziałem jak mienia się jego kolorowe skrzydła. W jego lustrzanej twarzy zamarło blade oblicze, a oczy, głębokie jak ciemność patrzyły rzeźbiąc nieskończoność miriadem odbić. Mur rozgrzanego powietrza zsunął się jak woal, już nic nie trzymało słonecznego pyłu nad ziemią. Wyciągnąłem dłoń przez pustkę i natychmiast poczułem dotyk.

– Wreszcie się stało – oznajmił ktoś niskim głosem. Wzruszyłem ramionami nie potrafiąc odpowiedzieć. Spojrzałem na mnie. Tysiące oblicz zapeliły pustkę. Oczy, nieco ironiczne, rozbłysły jak gwiazdy tworząc całkiem nowe konstelacje.

– A teraz podejdz – zaproponował. Nie byłem pewien czy na to właśnie miałem czekać. Podszedłem jednak. Czas uleciał nad nami, a jego twarz spłynęła na ziemię jak maska. Promienie słońca wpadły między nas jak rozpedzone strzały. Wybiegłem im naprzeciw rozkładając ramiona. Horyzont zawirował i wreszcie dotknąłem ziemi tysiącem drobnych ziarenek. Moje spojrzenie gasło powoli rozplywając się w wydmach. Ostatnim drgnieniem woli ujrzałem jak zanurza ręce w ziemi i unosi ją do góry. Jego ciche słowa dobiegły mnie z pierwszym oddechem wiatru, ale ja nie mogłem już zrozumieć...

Jacek Tabisz

## Dolina

Lato. Dolina zanurza się w rozszemrany rytm snu. Kwitną wrzosy. Powietrze jest chłodne. Czasem tylko smuga ciepła przetnie przestrzeń ponad kobiercem liści. Kiedyś była tu wielka bitwa. Jeszcze dziś słychać krzyki mężczyzn w różnym wieku. Widać ich oszalałe ze strachu i od szału oczy. Widać też ich oczy martwe, coraz bardziej zastygłe i zgasłe. Tylko nie czuć krwi. Nie słychać też huku armat, ani też kamieni wyrzucanych przez niezgrabne balisty. Wtedy też, tak samo jak teraz słychać przede wszystkim wiatr, brzęczenie komarów, czasem pisk spłoszonego ptaka.

Dolina czeka. Na następnych, którzy przyjdą tu licznie i oędą w rozsypce. Na tych co zostaną dla zieleni traw i wysmukłości drzew. Na tych którzy nasycą życie swoją śmiercią.

Dolina jest święta. Gdyby wiedziano o tym nie byłoby wojny. Jednak jej świętość pozostaje tajemnicą. Bo dolina kocha zmienność i lubi jak przez gęste liście przedzierają się odcienie słońca.

Eryk Ostrowski

## Odpowiedź

Irytował hałas przejeżdżających przed domem traktorów. Wiele pytań pełnych wykrzykników. Na wszystkie przyszła odpowiedź tamtego dnia, na ściętym drzewie, na skraju cisy sierpniowego lasu.

Koła muzyka z dalekich pól.

## Zbigniew Włodzimierz Fronczek

### Piosenka upalnego lata

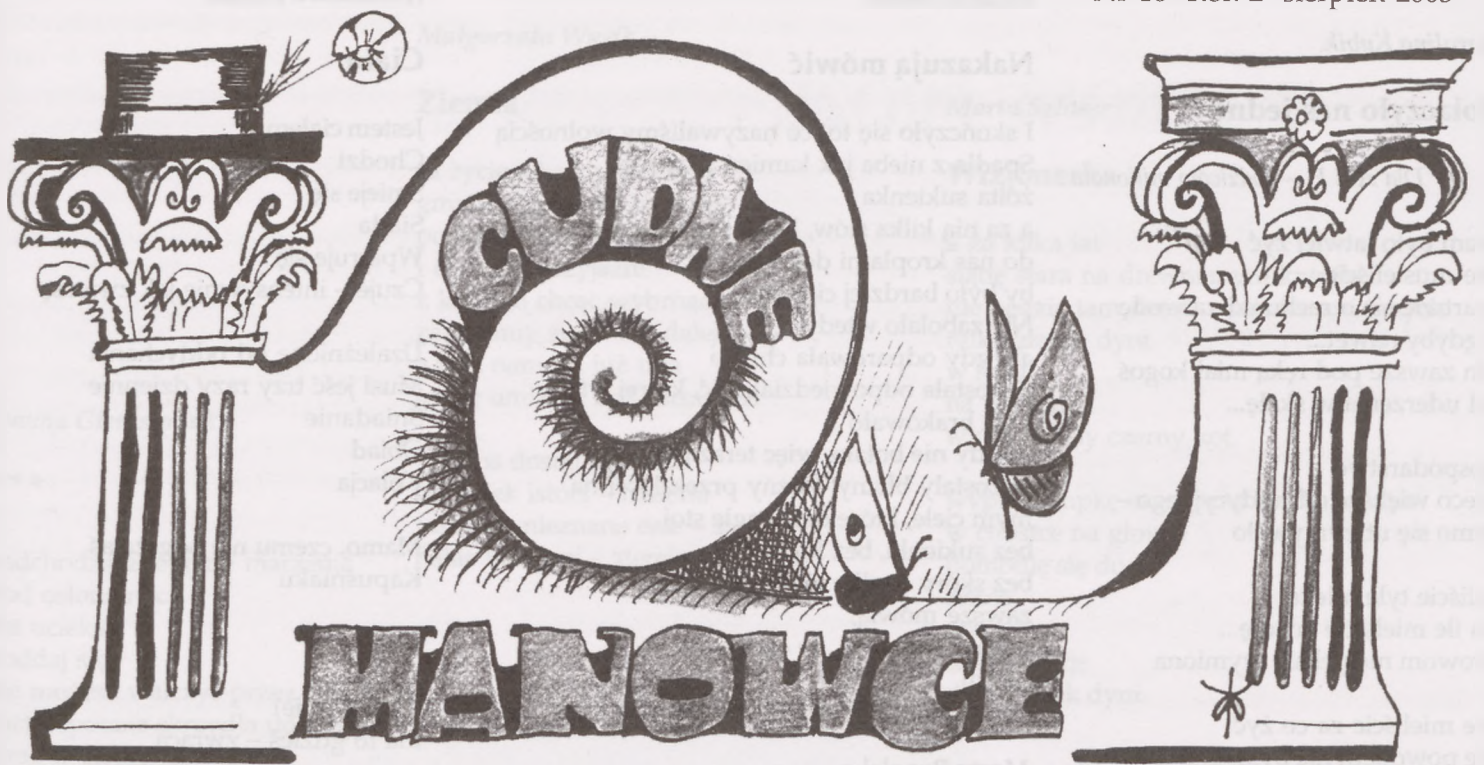
Idzie burza. Będzie deszcz. Będzie lato mężczyznomi!  
Najprawdziwszymi. Z krwi i kości. Z jajami.  
To się zdarza, ale raz na wiek, może jeszcze rzadziej.  
Która nie wierzy, niech śpi lub haftuje. Są deszcze, co  
Przynoszą ryby. Nie gruszki, jabłka, figi czy morele. Ryby.  
Ten przyniesie mężczyzn. W raju śpiewa o tym dziewczuszka. Już  
Drugi dzień! Która nie wierzy, niech śpi!  
Kasia musi wierzyć. Czeką na chłopca już dwadzieścia  
Lat. Zdażyła posiwieć. Deszczówkę łapie się w miednicę.  
Chłopca z deszczu w pościel. Która nie wierzy, niech śpi. Kasia  
To wie, czuje. Ciągnie łóżko przed dom.  
Bo nie zerwie dachu. Ciężko idzie. Ma oczy  
Pełne łez. Może nie zdażyć. Nie chluśnie przecież armią,  
Będzie deszcz przelotny.  
Spadnie kilkunastu,  
Może tylko kilku. A i ci –  
Niczym krople – wsiąkną między  
Dziewczynny.  
Więc ma być jak dawniej? Samotne ranki  
I wieczory? W lustrze oglądanie swego ciała,  
Dotykanie ud, brzucha, piersi...  
Pod płótnem stoi Albin. Trochę niedojda a może półgłówek,  
Taki patrzy i Bóg wie, co widzi.  
Ciągnij – krzyczy do niego.  
Nie odmawia. Kasia dostrzega, że ma mocne dłonie  
I szeroką pierś. Wytaczają łóżko, gdy pojawia się tęcza.  
Już po deszczu. Ale ona ma chłopca. Bezwzględnie wpycha  
Go w pościel. I jak tu  
Nie wierzyć piosenkom.



Duch Gór

rys. Alfons Soczyński





Parę słów na dobry początek

Monotonny szum pociągu. Ogrody splukane deszczem. Rozbijane pospiesznie, by przed burzą zdążyć, namioty. Opuszczone stacje w szczerym polu. Kręte górskie ścieżki. Smak jagód zbieranych po drodze. Ślady mokrych stóp na piasku. Twarze do zapamiętania – wpatrzone w ognisko, wpatrzone w gwiazdy... Obrazki podróżne. Pocztówki. Listy z drogi. Wiele ich teraz w naszej redakcyjnej pocście. Wracajcie szczęśliwie!

D.D.L.

Paweł Wacek

Taka noc

Taka czarna  
cicho zamknięta w dłoni  
Nie odzywa się do mnie  
Może myśli tak jak ja...

A dni przelewają mi się  
przez sito  
bez resztek

Taka ciemna  
spiętrza strach przed pustką  
Może nie mieszkam tam,  
gdzie moja dusza  
Wczorajszej nocy  
tej jasnej  
Nie przeleję,  
zapakuję,  
przechowam

Anna Bartosiewicz

słowackie przebudzenie

koniczyna wymknęła się z miasta  
by lepiej słyszeć  
jak piszę wiersz

stado much mielilo powietrze  
posypywało głowę stracha na wróble

przykładałam dłonie do stoków  
tak małych jak korzenie imbiru  
w strumieniu moczyła się miedź  
krowiego dzwonka

dym z ogniska przeciągał się  
niewyspany  
więc dorzuciłam do ognia  
kolejny wiersz



fot. Paweł Lisiecki

Magdalena Ziółkowska

Czerwony księżyc

Raz wydaje się pomarszczoną staruszką  
raz rogalikiem  
lub srebrną poduszką.  
Raz smutną twarzą  
to znów talerzykiem,  
głową kukielki,  
zwinętym wężykiem.  
Może być nawet bochenkiem chleba,  
który zahaczył o skrawek nieba.

Karolina Kubik

## Połączyło nas jedno

*Dla A. i E. – rodziców milionów*

wam było łatwiej żyć  
nie musieliście  
martwić się o rachunki za wodę  
a gdyby nawet...  
On zawsze pod ręką miał kogoś  
od uderzenia w skałę...

gospodarstwo –  
nieco większe od tradycyjnego –  
samo się utrzymywało

piliście tyle mleka  
na ile mieliście ochotę...  
krowom nie pękały wymiona

nie mieliście za co żyć  
ale powodem nie było  
marne wykształcenie  
wyż demograficzny czy  
dziura budżetowa...

nie mieliście za co  
ale mieliście dla kogo  
wam na pewno przysługiwałby  
zasilek dla rodziny wielodzietnej

dziś  
dzieci dzwoniłyby do was  
raz w miesiącu i to zawsze  
w tym samym celu...

to było dobre życie  
utrzymywaliście się za tę dobroć...

połączyło nas jedno...

razem z wami zastanawiamy się  
po jaką cholereę ktoś na środku naszego podwórka  
posadził drzewo z tabliczką:  
NIE DOTYKAĆ! WŁASNOŚĆ PRYWATNA!

Aleksandra Stasina

## Rycerz i wojowniczką

Razem wychowali się w centrum świata,  
zamknięci, zniewoleni,  
nie wiedzący, że żyją obok siebie.  
W końcu nadszedł czas buntu  
uciekli z więzienia  
połączeni przeznaczeniem.  
Teraz chronią ludzi przed cierpieniem.  
Mogą być kim chcą,  
ale nie wiedzą kim byli wcześniej.  
On szlachetny i mądry  
Ona dobra i odważna.  
Ramię w ramię  
Walczą w centrum świata.

Natalia Sikora

## Nakazują mówić

I skończyło się to, co nazywaliśmy wolnością  
Spadła z nieba jak kamień w wodę  
żółta sukienka  
a za nią kilka słów, które przemówiły  
do nas kroplami deszczu, tak  
by było bardziej cieleśnie  
Nie zabolalo wtedy  
ale gdy odparowała chwila  
pozostała odpowiedzialność, której wtedy  
nam brakowało  
Wtedy nie bolało, więc teraz boli  
Pozostały blizny, blizny przeszłości na  
mym ciele, które dziś nagie stoi,  
bez sukienki, bez kropel,  
bez skóry – tylko te blizny, które  
zawsze mówią,  
nakazują mówić, że ciągle  
jestem.

Marta Buzalska

## Dziecko

Pozwólcie mi być dzieckiem  
I niczym się nie martwić  
Ze wszystkiego się śmiać  
Wszystkim ufać  
Pozwólcie mi  
Bać się ciemności, a nie odrzucenia  
Lubić żółty, a nie czarny kolor  
Bawić się misiami, a nie cudzymi uczuciami  
Pozwólcie mi nie dorastać  
Zamknijcie drzwi do dorosłości póki jeszcze czas

Katarzyna Brzozowska

## Zachowaj

Strach jak pragnienie źrenice rozciąga  
Modlitwą ciało zamiera  
Czerwień pod powieki się wkrada

Zachowaj od tego czego pożądam

Za plecami anioł błądy się skrada  
Nagi od myśli najświętszej wciśnięty

Zachowaj od tego czego pożądam

Przekroczył linię światła  
Dotykem krzyk ujarzemia  
Nic.. nic się nie stanie

Dopomóż temu którego pożądam

Aleksandra Liszka

## Ciało

Jestem ciałem  
Chodzi  
Śmieje się  
Siada  
Wpatruje się  
Czuje – intensywnie jak zwierzę

Uzależnione od oddychania  
Musi jeść trzy razy dziennie  
Śniadanie  
Obiad  
Kolacja

Mamo, czemu nie odgrzałaś  
Kapuśniaku

(Tyje)  
szszsz...  
(To chudnie)  
ma to gdzieś – zwraca

jest mu zimno – tuli się do poduszki  
nie ma pokrewnych ciał

Miłosz Pieńkowski

## Ta miłość...

Skradała się pod okno  
Nieśmiała złodziejka  
Grzała się w mdłym blasku  
Lampy jego ukochanej  
Pierwsza miłość

Nerwowo liczyła sekundy

Do spotkania  
I wciąż się myliła  
Chyba miała dwóję z matematyki  
Ta głupia miłość

Przez wiosenne kałuże  
Skakała w rozpiętym płaszczu  
Aż złamała serce w kostce  
Szalona miłość

Kocha lubi szanuje  
Nie chce nie dba  
Żartuje  
Zabrakło listeczków  
Więdnie zielona miłość

## ARS POETICA *Młodzi o swojej twórczości*

**Marta Buzalska:** Gdy piszę, to wkraczam w świat wyobraźni. Zdobywam szczyty neologizmów, burzę warownie stereotypów, przemierzam wyżyny frazeologii i zmierzam ku wolności. Wolności słowa – wolności zapisanej w moim sercu.

**Adrianna Jakóbczyk:** Wiersze piszę zamiast pamiętnika – utrwalam w nich swoje myśli, rozważania, obserwacje. Czasem służą one odreagowaniu uczuć i stanów emocjonalnych. Oczywiście, czytam też innych poetów. Lektura ta wzbogaca mnie o przemyślenia jej autorów i ich doświadczenia. Uczy patrzenia na rzeczywistość przez pryzmat przeżyć innych ludzi, przez ich uczuciowość.

*Małgorzata Wasik***Ziemia**

tu życie z każdym dniem  
 gmatwa się coraz bardziej  
 pośród nieczystych układów  
 i chorych przyjaźni  
 z których chcąc wybrnąć  
 zapadamy się w nie dalej  
 a jeśli nam się już uda  
 to nie umiemy żyć normalnie

taki los dostał od nieba  
 człowiek istota – materia  
 tułaczka nieznane cele – życie  
 hałas bałagan – ziemia

*Joanna Gierasimiuk*

\* \* \*

nadchodzą zdeptane marzenia  
 pod osłoną nocy  
 nie uciekaj  
 poddaj się  
 nie możesz walczyć przez całe życie  
 roztrzepotane skrzydła uderzyły  
 teraz w ciebie  
 nie uciekaj  
 poddaj się  
 pękł konar  
 rozdzielił na dwa  
 uderzył z podwójną siłą  
 nie uciekaj  
 poddaj się  
 nadeszły zdeptane marzenia  
 przegoniły strach  
 gryzą w kark  
 nie pozwalają podnieść oczu  
 chcę jeszcze raz spojrzeć  
 ślepnę

*Agata Stankiewicz***Kruchość życia**

Kawałek suchego miejsca  
 pod drzewem  
 koło rzeki  
 czeka na ludzi

pada deszcz  
 kawałki szyb samochodowych  
 leżą na jezdni  
 nikt nie zbiera kropel krwi

Kawałek suchego miejsca  
 pod drzewem  
 koło rzeki  
 zajmuje krzyż

tacy my-  
 rozkładamy skrzydła  
 i odlatujemy  
 nie pozostawiając nawet piór

*Marta Szloser***Wizjonerka**

a za kilka lat  
 siądę stara na drewnianym krześle  
 nie będzie tam dzieci wnuków ani innych  
 tylko ziarna dyni  
 w ręku  
 na podłodze  
 wychudzony czarny kot

wypiję lampkę szampana bez bąbelków  
 w chustce na głowie  
 pomodłę się do  
 siebie  
 samą  
 siebie okryję  
 górą pestek dyni

*Dagmara Mida***Świadomość**

Wiem, że jesteś  
 gdy wszystko się wali  
 i nic nie ma sensu  
 i mam zły humor  
 gdy straciłam z oczu cel  
 i zgubiłam drogę  
 wiem, że jesteś  
 Spoglądasz na mnie z za każdej  
 chmury  
 pod każdą z gwiazd  
 wiem, że jesteś  
 ...tylko czasem tak trudno uwierzyć...

*Grzegorz Szproch***Ikar**

wierzę  
 że umiem latać

wierzę  
 że mogę dotknąć nieba

wzniosę skrzydła  
 uniosę się  
 w powietrze  
 i odleczę  
 poprzez przestrzeń  
 poprzez czas

każdej nocy w moich snach  
 jestem Ikarem

*Anna Rogozińska*

\* \* \*

Dom jest czymś stałym  
 jest twierdzą  
 Tam można zapomnieć  
 w wazonie ustawić kwiaty  
 przytulić się do okna  
 podziwiać niespokojnych  
 usiąść przy piecu  
 zobaczyć miłość w lusterku  
 Można chodzić po schodach  
 ludzi poznawać  
 wiersze układać

## W STRONĘ PROZY

Ilona Sobiczewska

# Dwie jej dusze

Ino

Na malutkim ekraniku wbudowanym w szaro-stalową ścianę pojawia się kanciasta siódemka. Automatycznie rozlega się krzyk mechanicznego skowronka biurówców i lustrzane drzwi prostopadłościenną puszką rozsuwają się niezgrabnie, wpuszczając do środka powietrze.

Znajduję się w pustym malutkim holu i dzielą mnie od celu już tylko jedne, zwykłe drzwi o zimnej klamce, przed którymi zazwyczaj na chwilę zatrzymuję się, zanim przeniosę się w inną rzeczywistość. Przekraczając granicę, wyzbywam się wszystkich dźwięków dochodzących z zewnątrz. Ogarnia mnie tak charakterystyczna cisza, że przez moment nie słyszę nawet własnych myśli. Idę zdecydowanym krokiem po mocno wyslizganej posadzce, w której odbija się ciepły blask słońca. Wszystkie kształty znikają i wydłużają się, tańcząc jak świetliki przy wieczornych latarniach. Potem, powoli, zaczynają docierać do mnie pojedyncze dźwięki, śmiechy, kroki, słowa – upewniam się, że wciąż jestem w normalnym świecie.

Kiedy już, niezauważony, minę punkt czujnych pielęgniarek, główną salę, gdzie siedzą dziewczyny, którym zawsze mówię coś miłego, wtedy spokojnie mogę iść dalej. Aż do kresu korytarza, który zamykają jedyne drzwi z napisem „wstęp wzbroniony”. Zwykle pukam trzy razy i usłyszawszy pozwolenie- wchodzę.

Siedzi na drewnianym parapecie malutkiego zakratowanego okna, wpatrzona z utęsknieniem w zielone drzewa. Skulona z podpартą na smukłej dłoni głową. Siadam obok na wąskim metalowym łóżku. Zardzewiałe sprężyny śmieją się radośnie, witając moją obecność. Zwykle cisza spowija pierwsze mi-



fot. Paweł Lisiecki

nuty naszego spotkania. Uczę się od niej milczenia.

- Te drzewa zawsze są takie piękne – odzywa się pierwsza – I będą dopóki ludzie pozwolą im żyć.

- Nie martw się, natura musi istnieć, żeby można ją było gwałcić.

Spogląda na mnie raptownie, z błyskiem irytacji w oczach

- Poobcinają im gałęzie, a krzewy poprzycinają w kształt serc albo delfinów. Delfiny są modne ostatnio.

- Rozpusta. Nie podoba mi się twoje podejście – mówi.

- Ktoś kiedyś napisał, że wszelka cywilizacja zaczyna się od rozpusty – odpowiadam.

Odwraca głowę, spogląda na drzewa. Wzdycha:

- Swoich drzew nie oddam, bo niby gdzie mają przychodzić staruszki, żeby sypać okruszki z rękawa. Gdzie żartoczne gołębie będą bić się o pokarm?

Siedzi wpatrzona w drzewa. Wygląda jak figura woskowa postawiona na półce, nieruchoma. Już nie odzywa się do mnie. Nie wiem nawet czy słyszy moje słowa. Siedzi i patrzy na soczystą zieleni kąpiącą się w blasku popołudniowego słońca.

Aglaja

Ino już wyszedł. Musiał. Czas na kolację. Potem będzie wizyta, na którą muszę przykleić sobie uśmiech sztucznego zadowolenia.

- Witaj, kochanie – mówi biała pielęgniarzka z tacą w dłoniach – Przyniosłam ci kolację, ale najpierw musisz to połknąć. – dodaje podając mi szklany kieliszek pełen żółtych i białych kulek.

Wychodzi, a ja otwieram usta wyjmując spod języka trzy rozmiękłe kulki. Wkładam je do szuflady do pudełka po czekoladkach. Kolekcja staje się imponująca. Spoglądam na tacę, gdzie stygnie w kubku herbata i zupa w miseczce. Znowu jedzenie. Nie mam ochoty. Idę z miską do toalety, zdecydowanym ruchem pozbywam się zawartości. Spuszczam wodę. To takie proste – uśmiecham się do siebie.

Po granatowym niebie spaceruje księżyc i wychodzą wszystkie szczury z ukrycia. Skrobia w moje łóżko. Znowu nie mogę zasnąć.

Ino

Kolejne popołudnie w nie spieszącej się windzie. Siódemka na ekraniku i zgrzyt drzwi. Puściutki hol, kolejne drzwi, podłoga, w której można się prze-

głądać. Stanowisko pielęgniarek – dziś, na szczęście, puste. Pukam trzy razy. Wchodzę.

*Dziś siedzi sobie na łóżku i pisze coś w zeszycie. To chyba jej pamiętnik. Wiem, że czasem po niego sięga.*

- *Widzę, że znowu próbujesz zatrzymać czas.*  
- *Czas zawsze ucieka. – uśmiecha się – I ma coś nadzwyczaj gorzkiego w sobie...*

- *Tak, zabija datownikami.*  
*Aglaja patrzy znad swojego zeszytu na mnie i śmieje się. Jej głos tak dźwięczny, który moje uszy wręcz uwielbiają rozsypuje się po całym pokoju. Jakie to wspaniałe uczucie – rozprze-strzeniać radość...*

- *Ty i twoja ironia.*  
- *Ja i mój sposób na życie.*  
- *Ostatnio coraz częściej bywasz u mnie.*  
- *Przychodzę kiedy tylko mnie potrzebujesz – mówię z uśmiechem.*

- *Tak. I to mnie intryguje – spogląda mi głęboko w oczy.*

- *I co widzisz?*  
- *Dziwną radość, której nie mogę zrozumieć.*  
*Dziś Aglaja jest w dobrym humorze. Sam nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Jest radosna – to, dobrze. Niepokoją tylko jej oczy... i zapadnięte policzki...*

### Aglaja

To dobrze, że każdy pokój ma tu swoją łazienkę. Jestem tu wolna i nikt nie gwałci mojej intymności. Jestem sama z sobą i tylko lustro widzi mnie naga, taką jaką jestem. Chcę się wykapać, odkręcam kurek z gorącą wodą. Wanna ożywa i powoli napełnia się. Bez pośpiechu zdejmuję sfatygowany sweter i przyduże spodnie. Moje ubrania systematycznie powiększają się i rosną, rosną, rosną... stoję przed lustrem naga. Ja i moje lęki przed zbędnymi kilogramami, dentystą, szkołą. Chcę się wypowiedzieć.

Przed lustrem stoję długo. Para znad gorącej wody otula mnie i zamyka oczy zmęczonemu rozmową zwierciadłu. Powoli, niczym białe skrzydła, podnoszę ręce, czuję się jak ptak wynurzający się z porannej mgły, jak kwiat skropiony rosą, jak obłok. Tak lekko! Tylko ja!

Wchodzę do wody i pływam razem z maleńkimi rybkami do późnej nocy. Ciekawe, skąd się tu znalazły te malutkie rybki, błyszczące i śliskie...

### Ino

- *Łap.*  
- *Jabłko? – dziwi się*  
- *Tak. – śmieję się – czemu nie? Zjedz.*  
*Jej reakcja jest zaskakująca. Patrzy na mnie jak osaczone zwierzę, nieufnie, z błyskiem prze-rażenia. Trzyma jabłko w dłoniach, malutkich i kościstych. Zaciska je tak bardzo, że palce*

*zaczynają bieleć. I patrzy wciąż na mnie – zupełnie jakby nie wiedziała co ma robić. Spogląda błagalnym wzrokiem. Na dnie spojrzenia dostrzegam jednak złość.*

- *Proszę – zaczynam delikatnie – ja też mam swoje. Nigdy razem nie jedliśmy.*

*Zajęty jabłkiem, obserwuję ją dyskretnie. Bierze kilka głębszych wdechów i gryzie pomatu. Dopiero teraz spostrzegam, że Aglaja jest przeraźliwie chuda. Jej ubrania, niegdyś opięte, zwisają na niej. Patrzę na jej siwe cienie pod oczami. Czuję się winny.*

*Zostaję z nią do późna.*

### Aglaja

Ino wyszedł. Muszę iść do łazienki. Żle się czuję. Muszę wyjąć z siebie to jabłko! Czuję się zmęczona tym wszystkim; życiem w pokoju na siódmym piętrze, sobą. Jest mi słabo. Chcę spać.

### Ino

*Aglaja jest piękna. Nawet teraz, gdy leży przykuta do wąskiego, szpitalnego łóżka. Śpi spokojnie – to dobrze. Trzymam jej malutką, niemal dziecinną, rączkę, którą beczceści wetknięty w nią wenflon. Czuwa też przy niej kroplówka, nie spuszczać Aglai ze swych metalowo-śrubkowych oczu. Płyn sączy się leniwymi kropelkami do jej żył. Tam pewnie tańczy z krwią.*

*Jestem tu zawsze, gdy słońce znajduje się w stanie słodkiego popołudnia, które tak kochasz...*

*Drugą dłonią delikatnie dotykam jej policzka. Jest gorący, a twarz blada, woskowa. Jakże drogi jest mi ten ubożuchny wosk!*

*Masz wciąż zamknięte oczy...*

### Aglaja

*Śniłam.*

Trzy stuknięcia – to Ino. Codziennie, gdy słońce znajduje się w najpiękniejszym stanie słodkiego popołudnia, słyszę trzy stuknięcia. Są one dla mnie niczym poranny budzik, albo dzwonek po lekcjach, jak podmuch świeżego powietrza w upalny dzień w zatłoczonym autobusie, jak pierwszy liść na drzewie i jak nieśmiałe kwietniowe słońce opalające moją twarz.

Zazwyczaj milczymy, a gdy słońce zaczyna opadać, Ino odchodzi. Uśmiecha się, a ja wiem, że powróci jutro.

Ale tym razem Ino uśmiecha się inaczej, a ja wiem, że jutro jest nieznane.

- *Doktor zabronił mi ciebie widywać. Powiedział, że ty nie istniejesz, że jesteś złudzeniem, że...*

- *Ciii... – Ino kładzie dłoń na moich ustach i mówi – Zawsze, kiedy słońce znajduje się w najpiękniejszym stanie słodkiego popołudnia, jestem i będę przy tobie.*

*Ostatnią rzeczą, którą widzę jest jego ciepła dłoń.*

*Ilona Sobiczewska*

*Marta Szloser*

### Reinkarnacja

*A potem chcę być diamentowym oczkiem w pierścionku*

*Nie żabą królikiem kamieniem ani sosną*

*Tylko diamentem lśniącem wspomnieniem o mnie*

*I broń Boże człowiekiem po raz drugi*

*Na to znajdują się na pewno inni naiwni ochotnicy*

*Natalia Cybulska*

### Kameleon w cyferki

*Zatrzymuję się nad liściem  
Który mógłby chcieć  
Coś mi przekazać  
Pochylam się nad nim  
Bo nie wiem  
Jakie są jego zamiary  
A on przytula się do mnie  
Bezskutecznie wymawiając jej imię  
Próbuje odnaleźć miłość.*

*Alicja Wątroba*

### W talii

*Nie mogę ci królu kier podać ręki tym razem złamię twe papierowe serduszko jestem damą trefl dzisiaj wygrałam*

# Debiuty – Adrianna Jakóbczyk

Adrianna Jakóbczyk ma 17 lat, mieszka w miasteczku Charzykowy w Borach Tucholskich. Nigdy dotąd nie publikowała swoich wierszy. Niniejszym zestawem utworów debiutuje w druku.

## kot

mój kot  
czarno-biały  
niczym stylowa fotografia  
zwinięty jak ślimak  
wtapia się w pościel  
śniąc łagodnie  
o ciepłym brzuchu  
mamy – kotki  
gdzie embriony  
bez oczu i sierści  
wykluwały się  
do życia

## kołysanka

po co  
powoływać do życia  
na stres, na spazm, na ścisk

lepiej  
zostawić w wieczności  
i w ciszy

\* \* \*

umierali  
za twarze, włosy  
nazwiska  
nawet za  
pięć pokoleń  
wstecz  
lecz przede wszystkim  
za istnienie

umierali  
wytykani, wyszydzani  
oddzieleni murami  
gwiazdziście naznaczeni  
na linii poniżenia  
i drutów kolczastych  
łamali się wpół  
by nigdy nie powstać

umierali  
za chore umysły  
zdrowych ludzi  
naznaczonych  
wcale nie żądzą Śmierci  
lecz zwykłą nieczułością  
i podłym posłuszeństwem

umierali  
wydawani przez sąsiadów  
kolegów, rodaków  
tych samych którzy  
w kaplicach czcili  
i w domach wieszali  
znak ich pobratymca  
głoszącego miłość i dobro

ci co przetrwali  
w gorzkim upodleniu  
wypierając się  
imion i snów  
zostali z ranami  
na ciele i duszy

czy warto być  
wybrany  
przez Boga?

niech nicość ogarnie cię  
niech nicość ogarnie cię  
niech nicość ogarnie cię  
kochanie



fot. Paweł Lisiecki

\* \* \*

zgubiłam gdzieś nawyk  
czynienia znaku krzyża  
przed snem i po posiłkach

puste gesty  
jak barwne motyle  
umierają młodo  
by nie odrodzić się  
już nigdy

nawet w następnym życiu

## kuzyni

moi kuzyni  
nie są subtelni  
nie mają smukłych palców  
ani sylwetek  
ich karki  
są jak belki ciosane  
a dłonie nie mieszczą się  
w schematach

moi kuzyni  
zajmują dużo miejsca  
lecz nie czasu  
uciekają  
przed konwenansami  
i nie dają się wpleść  
w codzienny bieg  
zdarzeń

# OKNO Michaliny

Michalina Pruszyńska sama zaproponowała niegdyś tę rubrykę. I od ponad roku zamieszcza w niej swoje literacko-filozoficzne etiudy, mówiąc o sprawach z jej punktu widzenia istotnych, zamieniając własną uważność na garść refleksji, którymi można podzielić się z innymi.

Michalina Pruszyńska

## Rozczarowanie

Filozof - egzystencjalista Sartre, twierdził, że człowiek nie jest tym, czym jest, lecz jest tym, czym jeszcze nie jest. Że najpierw istnieje, zdarza się, a dopiero potem definiuje.

Oznacza to, że człowiek tworzy siebie samego i swoją egzystencję. Dlatego jest za siebie odpowiedzialny, dokonuje wyboru, dzięki czemu odczuwa swoją wielkość i wspaniałość.

Wybór, którego dokonuje, to jednak samoograniczenie. Zawsze z kilku możliwości pozostaje jedna. Lecz już nie zawsze - ta właściwa...

Decyzja podjęta i nie można się wycofać. Ale okazuje się, że nie tego się spodziewaliśmy! Człowiek ma specyficzną właściwość spodziewania się - wyobrażenia sobie - oczekiwania - jakie to coś, co nas czeka powinno być. I co, jeśli takie nie jest?

Przychodzi rozczarowanie. Najpierw smutek i niezrozumienie, brak czegoś nieokreślonego, potem powolne odsuwanie się od wydarzeń, nierzadko ból głowy, chandra czy inny sposób na ucieczkę... A nade wszystko „oni” są wszystkiemu winni, bo gdyby nie „oni”... Tylko że rozczarowanie jest niezwykle indywidualne, nikt inny nie ma udziału w naszym rozczarowaniu, chyba że się do tego przyznamy... Heroizm. Mówi się przecież „myślałam, że będzie inaczej”.

Miało być tak, tak i tak... Miało? Rozczarowanie polega na tym, że codzienna rzeczywistość nijak nie pasuje do naszych wyobrażeń i nie za bardzo wiemy, co z tym teraz zrobić. Można by przyznać się do błędu, zastanowić nad swoim niedosytem, niesmakiem, zawiedzeniem, rozgoryczeniem, ale łatwiej usprawiedliwić się przed innymi (czyt. przed sobą), obwinić „wszystkich, którzy są przeciwko” i uciec w tłumaczenia, że gdyby nie...

Ale czy człowiek ponosi winę za to, że nie jest tak, jak miało być? Ma prawo do planów, marzeń i oczekiwań, ma prawo do wiary w nowe i lepsze. Tylko trzeba jeszcze wiedzieć, jak się zachować, kiedy przychodzi rozczarowanie. I tu znowu pojawia się wybór. Pogodzić się z nową, ale wcale nie lepszą codziennością? Spróbować wytłumaczyć sobie zbyt duże oczekiwania w stosunku do możliwości? Wyciągnąć wnioski? Przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny i sytuację, które wespół z innymi tworzymy? Czy nie zgodzić się i szukać nowego, które będzie takie, jakie powinno być?...

Nie ma pewności, że za kolejnym wyborem nie czai się rozczarowanie. I to właśnie sposób jego pojmowania i znoszenia stanowi wyznacznik człowieczeństwa. Trudne? Owszem „człowiek jest tylko trzcina”, ale myśląca.

Michał Kućka

\*\*\*

Małgorzata  
ma siedemnaście lat  
i zielone oczy

zamiata miotłą  
noc

pełnia odbita w lustrze  
i Ona  
pod kołdrą  
na kołdrze  
za oknem

ma trzydzieści lat  
i przeźroczysty balsam

kobieta  
wychodzi ze ściany  
wypływa na pościel  
na Księżyc

Małgorzata  
bez brodawki na nosie  
bez garbu  
- wiedzma -

Justyna Anna Buchta

\*\*\*

a rano karmiłam się  
resztkami twojego ciepła

choć na szybie  
iskrzył się mróz  
w środku było jeszcze gorąco

otwarta  
inna  
pohańbiona  
nowa

Piotr K. Lewicki

Wyrok

spadły gwiazdy  
z twoich oczu

przykryte mgłą  
szczerze lustro  
wyprowadziły się  
z moich odbić

odbiciem pograżony

## MÓJ ŚWIAT

W rubryce zamieszczamy wypowiedzi o sprawach dla Was istotnych. Paulina Kuźba ujmuje swoją wypowiedź w formę przypowieści.

Paulina Kuźba

## Rzeka

Była sobie rzeka... Bardzo piękna... Rozpościerała swoje wody wśród córek natury, owoców jej łona.

Pewnego dnia została zhańbiona kroplą trucizny. Nie straciła jednak swego uroku. Odbijała promienie słoneczne tysiącem barw, odcieni, marzeń. Nie można było oprzeć się jej urodzie.

Dwulicowa, okrutna, zdradliwa!

Każdy kto próbował jej miłości, ginął.

Zbierała żniwo ofiar: ludzi ślepo ufających jej słodkim obietnicom.

Wszystko ma jednak swoje granice, swój kres.

Przyszły czasy, kiedy palące słońce i bezchmurne niebo dawały się mocno we znaki. Rzeka, kropla po kropli ulatywała w niekończącą się przestrzeń. W końcu wyparowała całkowicie.

Piękne pustkowie, suchy piasek, nic.

Natura poświęciła swoje dziecię, by ocalić życie.

Zapamiętajmy z tej przypowieści tylko jedno: to, co widzimy na zewnątrz, nie odzwierciedla wnętrza.



## PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

*Książki do plecaka, książki na drogę, na wakacyjne wieczory i deszczowe dni poleca, korzystając ze swoich czytelniczych doświadczeń, pisująca często do naszej rubryki – Antonina Lisiecka.*

**Antonina Lisiecka**

# Na drogę, do plecaka...

Zawsze w drogę zabieram książki. Noszę je w plecaku. Wchodzę w ich światy, gdy czekam na pociąg, gdy dość mam bycia z innymi, w gromadzie, gdy chcę się wyciszyć. Na takie chwile dobra jest każda lektura; poezja, powieść, opowiadania, czy zbiór szkiców.

Polecam zatem na wakacyjne spotkania z książką kilka sprawdzonych pozycji:

1. „Chwila” Wisławy Szymborskiej – ze względu na oszczędność słowa i do słowa szacunek, ważkość poruszanych tematów, piękno rozciągnięte pomiędzy ciszą a słowem.

2. „Tryby” Magdaleny Tulli – ze względu na ironiczno-przewrotne

podejście do literatury, stwarzania fikcji, kreowania światów, świetny, wciągający w lekturę język.

3. „Bóg Rzeczy Małych” Arundhati Roy – ze względu na czuły, wrażliwy stosunek do świata dziecka, poszanowanie dla wyobraźni, ciepło, łagodne poczucie humoru, pięknie oddane egzotyczne sytuacje i obrazy i umiejętnie pomiędzy nie wplecioną refleksję o sprawach najważniejszych..

4. I szereg innych książek, które sami dla siebie odkryjecie i oswoicie.

Powodzenia!

## Konkursy • Wydarzenia • Spotkania

### V OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIA POETÓW „BIAŁA LOKOMOTYWA”

#### KONKURS JEDNEGO WIERSZA

W konkursie mogą wziąć udział poeci mający więcej niż 16 lat, którzy nadeślą 1 wiersz opatrzone godłem (w 3 egz.) wraz z kopertą zawierającą dane autora do dnia

25 sierpnia 2003 r. na adres: „BIAŁA LOKOMOTYWA” – Konkurs Jednego Wiersza, Miejskie Centrum Kultury, ul. Parkowa 3, 87-700 Aleksandrów Kujawski.

*Konkurs zostanie rozstrzygnięty 7 września podczas Spotkań, a najlepsze wiersze znajdą się w okolicznościowej antologii*

## Noty o autorach:

**Anna Bartosiewicz** (19 lat), absolwentka LO z Warszawy, laureatka wielu konkursów poetyckich

**Paweł Wacek** (17 lat), uczeń LO z Brzegu Dolnego, członek grupy poetyckiej „Dlaczego nie Ja?”, laureat konkursów poetyckich

**Magdalena Ziółkowska** (14 lat), gimnazjalistka z Bydgoszczy

**Karolina Kubik** (18 lat), uczennica LOSP w Zduńskiej Woli, czł. Klubów poetyckich „Od Nowa” i „Topola”, autorka arkusza poet. „Łazienka w pomarańczowe kwiaty”

**Aleksandra Stasina** uczennica III LO we Wrocławiu, czł. Klubu poetyckiego „ZSMP”, laureatka konkursów poetyckich

**Katarzyna Brzozowska** (18 lat), uczennica LO im. Kazimierza Wielkiego w Zduńskiej Woli czł. Klubów poetyckich „Bez aureoli” i „Topola”, autorka tomiku „Lekkością piór po błękitnie nieba”

**Aleksandra Liszka** (16 lat), mieszkanka Hanuska na Śląsku, uczennica II LO w Tarnowskich Górach, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów literackich

**Marta Buzalska** (17 lat), mieszkanka Grudziądza, uczennica Liceum Laboratorium POLTECH w Toruniu, laureatka XXII Międzynarodowego Konkursu Poezji (Węglany, 2003)

**Miłosz Pierikowski** (15 lat), uczeń Gimnazjum Nr 2 w Elku, laureat VIII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. M. Konopnickiej (Międzyrzec Podl., 2003)

**Natalia Sikora** (17 lat), licealistka ze Słupska, laureatka VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002) oraz licznych konkursów recytatorskich

**Marta Szloser** (18 lat), licealistka z Ludowa Polskiego k. Strzelina (woj. dolnośląskie), laureatka wielu konkursów poetyckich

**Dagmara Mida** (17 lat), mieszkanka Tworkowej (woj. małopolskie), uczennica LO im J. Długosza w Nowym Sączu, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich

**Agata Stankiewicz** (16 lat), mieszkanka Trzebiatowa, uczennica II LO w Kołobrzegu, laureatka XXII Międzynarodowego Konkursu Poezji (Węglany, 2003)

**Małgorzata Wasik** (17 lat), mieszkanka Grudziądza, uczennica Zespołu Szkół Gastronomiczno-Odzzieżowych, laureatka XXII Międzynarodowego Konkursu Poezji (Węglany, 2003)

**Joanna Gierasimiuk** (18 lat), uczennica IV LO w Białymstoku, laureatka XXII Międzynarodowego Konkursu Poezji (Węglany, 2003)

**Grzegorz Szproch** (18 lat), uczeń ZSZ w Obornikach Śl., laureat VIII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. M. Konopnickiej (Międzyrzec Podl., 2003)

**Anna Rogozińska** (16 lat) uczennica LOTS w Aleksandrowie Kujawskim, laureatka VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

**Ilona Sobiczewska** uczennica LO z Międzyrzecza Podl., zdobywczyni wyróżnienia w VIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. M. Konopnickiej (Międzyrzec Podl., 2003)

**Natalia Cybułska** (17 lat), licealistka z Kielc, laureatka VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

**Alicja Wątroba** (15 lat), gimnazjalistka z Rudzicy k. Bielska-Białej, autorka tomiku „Papierowe serduszka”, laureatka wielu konkursów poetyckich

**Adrianna Jakóbczyk** (17 lat), licealistka z miejscowości Charzykowy

**Michalina Pruszyńska** (19 lat), mieszkanka Aleksandrowa Kujawskiego, wkrótce studentka I roku filozofii na UW

**Paulina Kuźba** (16 lat), mieszkanka Aleksandrowa Kuj., uczennica Gimnazjum Akademickiego w Toruniu, laureatka konkursów plastycznych i literackich

**Michał Kućka** (19 lat), absolwent LO z Oświęcimia, laureat konkursów poetyckich

**Justyna Anna Buchta** (19 lat), absolwentka LO z Międzyrzecza Podl., laureatka konkursów poetyckich, autorka debiutanckiego tomiku „Wspomnienia opuszczonego ogrodu”

**Piotr K. Lewicki** (16 lat), mieszkaniec Kruszowicy, uczeń II LO w Inowrocławiu, laureat konkursów poetyckich

**Antonina Lisiecka** (12 lat), mieszkanka Aleksandrowa Kuj., po wakacjach podejmie naukę w Gimnazjum Akademickim w Toruniu, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów literackich, autorka tomiku „Czuwa nade mną moja gwiazda”

## „CUDNE MANOWCE” - PISMO LITERACKIE MŁODYCH

Redagują młodzi twórcy pod opieką **Darii Danuty Lisieckiej**

(0-54/282 30 97, cudnemanowce@op.pl 87-700 Aleksandrów Kujawski, ul. Lipowa 3B/3)

Współpraca artystyczna i techniczna **Ryszard Wojtkiewicz, Arkadiusz Irek, Paweł Lisiecki, Adam Radosz**



**Sławomir Stefan Czarnecki****Molo II**

... już po ósmej, zrobiło się ciemno  
 - sztorm przelewa się przez Molo.  
 Na końcu pod czerwoną latarnią stoi człowiek.

Żadna różnica między morzem a niebem,  
 tylko czasami światełka z redy dają znać  
 - że gdzieś jest horyzont.

I mewy też czasami przelecą w zimnym szkwale  
 - od północy, nad wodą wtedy świecą białe.

nie chcę wracać  
 - zostanę

Pochowajcie mnie na drewnianym Molo.

**Romuald Kulik****Aby można było**

W głębi są wzgórza, kobiety gotowe  
 do wynurzenia się  
 z wód cielesności.  
 Naga kochanka księżycy  
 w morzu własnej jaźni.  
 Wciąż się staramy  
 by zobaczyć niebo.  
 Ona zobaczy gwiazdę, czerni nocy  
 w sercu mężczyzny,  
 osiągając szczyt  
 własnej niepewności.  
 Aby można było powstrzymać  
 piękny sen o śmierci,  
 zapomnieć

Aby można było.

Wakacje 2000

**Paweł Dymek****Samotność lasu**

*Pewnej kwietniowej nocy w ciemnej i ciepłej norze w głębi historycznego lasu  
 Duncton narodził się Bracken. Sześć kretolat wcześniej przyszła na świat Rebeka.  
 A oto dzieje ich miłości i bohaterskiej walki, jaką stoczyli, aby ją odnaleźć. (...)*

William Horwood: „Las Duncton“

przyszła do niego nad ranem  
 i położyła mu bruzdy na czole  
 patrzyła swoimi niewidzialnymi oczyma  
 na dom - norkę zarosłą piołunem i ziemią

krótkie są chwile rozstania ale ból sięga daleko i głębiej  
 mimo to jestem dalej więc piszę te litery rozchwiane  
 opiewam historię wyblakłą ale żywą  
 Bracken musi sobie uprzytomnić że nie jest sam  
 za autostradą i wzgórzem czekam (choć wiem  
 że nigdy nie przyjdzie) ja Rebeka - krecik

**Magdalena Morawska****Tegoroczne lato**

Tego lata  
 Nie będzie tak wesoło  
 Jak poprzedniego.

Nie zaskwierczą pięgi  
 Na twej buzi,  
 Nie zatańczy motyl  
 Wokół nas.

Minie dzień za dniem  
 I nic się nie wydarzy,  
 Znowu książka -  
 Ten lek na nudę.

To lato będzie smutne.  
 Smutne,  
 Bo bez Ciebie.

# Lato

**Paweł Dymek****Podczas gdy nastał sierpień**

dla M.

podczas gdy nastał sierpień a to znaczy  
 że oglądamy się już w skorupkach kasztanów  
 dojrzałych wtedy i dojrzewających teraz  
 czuję bliskość niewymowną oderwaną  
 gorące powietrze burzą przesycone  
 po raz kolejny świat próbuję zakreślić od  
 księżycy do dźwigu tamtego pod którym  
 siadywaliśmy i siadamy jak dzieci przywiązane  
 do miejsc i do czarów a ty mi bajki otwierasz  
 ty mi bajki tworzysz i zaczynam rozumieć  
 sklepienie kościoła w stylu takim a takim  
 który stał za górką gdzie zdarłaś kolano

spadają kropelki burzy małej na to kolano  
 lecz znów wyjdzie słońce i połaskocze twoją  
 sukienkę w kwiatki wyrysowaną dłonią  
 i znów się przybliżymy i razem usiądziemy  
 jak dorośli na brzegu kasztana

**Jacek Tabisz****Letnie czekanie**

Jesteś snem który nie powraca  
 Ogrodem westchnień rozplecionych dłoni  
 Na wiatru rozpiętej tkaninie  
 Malujesz brzaskiem moje oczy

Nie wiem co myślisz w słońca gęstej czuprynie  
 nic nie mów spójrz ze mną w motyle żółcieni  
 Gdy barw kwiaty ich lotem lekko rozkwitają  
 Starczy że jesteś i śpiewasz dołkiem na policzku

I może w krainie na zawsze zakłętej  
 Tylko dla twoich stóp wyrastają trawy  
 I tylko dla ciebie kładzie dzień pędzel słońca

Jesteś snem który nie powraca  
 A jednak barwą twojej sukni  
 Kwitną bzy w moim ogrodzie

## Urszula Małgorzata Benka

## Sceptycyzm, czyli myślenie

## ❖ Dokąd zmierzamy? ❖

Stefan Pastuszewski, prosząc akurat mnie o udział w dyskusji nad sensem przystąpienia Polski do Unii, dobrze wiedział, że jestem zwolenniczką tej decyzji. Tym niemniej, tekst (*„Okoliczności zdrady”*, „Akant” 2003, nr 2) S. Pastuszewskiego przeczytałam z uwagą i nie kryję, że znajduję w nim kilka trafnych a ważnych spostrzeżeń, przede wszystkim to, że *koryfeusz naszego życia publicznego przenika nieraz jakaś nieznośność wręcz rozpatrywana więcej niż jednej tylko możliwości, co do strategii państwa*. W rzeczy samej, nawet zapytywanie o inne ewentualności może spowodować rozdrażnienie. Tu znów autor *„Teraz Polska”* bardzo słusznie zwrócił uwagę na ambicjonalny, czy też wręcz snobistyczny posmak wielu posunięć w naszej kulturze i polityce. I niewątpliwie warto jak najszerzej ilustrować tę diagnozę konkretnymi przykładami, choćby po to, aby uczulić siebie i czytelnika na fakt, iż liczne bezdyskusyjne pewniki naszej historii bywają niebezpiecznymi uproszczeniami, a żyją dzięki sporej dawce ignorancji, umyślowego lenistwa i właśnie - snobizmu.

Takim choćby przesądem pozostaje, w powszechnym myśleniu, konieczność eskalowania walk partyzanckich po Stalingradzie, pomimo że każdy rozwalony transport niemiecki na wschód, równał się przyspieszeniu wyzwolenia właśnie od wschodu. Gdy poruszał tę kwestię Józef Mackiewicz, łatwo było ją zbyć, dezawuuując osobę autora *„Drogi do nikąd”*. W *„Historii drugiej wojny światowej”* Winstona Churchilla Powstanie Warszawskie zajmuje cały rozdział. Churchill uważa je za błyskotliwie zwycięskie w aspekcie militarnym (gdy po kilkudziesięciu godzinach zdobyto wszystkie zaplanowane obiekty), a zarazem już na wstępie przegrane w wymiarze politycznym. Pisze, że stojący na przedmieściach Sowieci przez radio popędzali ludność Warszawy, aby czynnie wykazała, po której stronie jest, gdyż inaczej zostanie uznana za kolaborantów hitlerowskich. Trudno tu więc było o spokojną analizę, czy po prostu odmowę chwycenia za broń. Zamiar uwikłania nas w wyniszczającą walkę był bowiem od samego początku celem Stalina po tym, jak wcześniej AK wyzwoliła Wilno, aby następnie, na zwycięskim bankiecie u Sowieców, pozwolić się ślicznie aresztować. Abstrahuję od faktu, że po Wilnie naiwność Warszawy co do intencji i bezwzględności Stalina mnie przynajmniej zdumiała. Z perspektywy Anglii, warunkiem niesienia jakiegokolwiek pomocy było tymczasem, dopilnowanie, aby Sowieci pozostawili aliancom na korzystanie ze swoich polowych lotnisk i nie zestrzelili *„obcych”* samolotów, konfiskując dostarczane materiały. AK traktowała to jako oczywistość, zaś po rozpoczęciu walk Stalin tej zgody odmówił i w efekcie lotnik aliancki tylko sporadycznie ryzykował długi przelot nad, uzbrojoną po zęby, Rzeszą. Ale też nawet personel brytyjskich konwojów do Murmańska bywał permanentnie nękany przez NKWD, dochodziło do odmowy hospitalizacji, kierowania okrętów szpitalnych do jakichś odległych doków, do których ranni tłucli się na mrozie w zdezelowanych ciężarówkach, a marynarz, kontaktujący się z miejscową ludnością, stawał pod zarzutem szpiegostwa. Gdy więc zarzucamy zdradę ówczesnym sojusznikom, tracimy z oczu tego typu realia, tak jak gdyby akcja wojskowa bez logistycznego przygotowania mogła i miała być wykonalna.

Jak zauważam, te *zaniechane alternatywy* zna przeważnie tylko wąskie grono hobbystów. Uczni często je ignorują, jako nienaukowe gdybanie, nie chcąc w nich dostrzec impulsu dla historycznej refleksji; dotyczy to także alternatyw opracowywanych ex post. Swego czasu genialne

wywody Jerzego Łojka w *„Szansach Powstania Listopadowego”* zostały skwitowane jako wykwit czystej fikcji. To samo stało się z jego tezą, iż samobójstwem pierwszej *„Solidarności”* był brak wsparcia tzw. struktur poziomych w PZPR, będących w swej istocie wielkim trendem emancypacyjnym w łonie partii, której ponad połowa członków (aż po samo KC i Biuro Polityczne) współtworzyła *„Solidarność”*. Łojek zresztą nie dożył kolejnej, nie przedyskutowanej u nas porządnie, alternatywy dziejowej w postaci dokonania niezwłocznej lustracji osób, sprawujących najwyższe urzędy.

Pospieszne, wręcz neurotyczne odrzucanie odmiennych opcji, łączy się u nas ze specyficznym szantażem: osoba myśląca inaczej zostaje wykluczona z *„elity”*, zaś w centrum uwagi staje odtąd jej moralność, a nie meritum poglądów, które w komentarzach są z reguły groteskowo wypaczane i wyszydzane, co ploszy wielu potencjalnych uczestników dyskusji. Jeśli jednak sama deklaracja określonych poglądów ma doprowadzić do elitarności, to jej poziom zaczyna rychło zenować i śmieszyć.

Niemniej, moje poglądy na temat relacji Polski z zachodnią Europą różnią się od poglądów Stefana Pastuszewskiego, który wprowadzając zarzut *zdrady* przywołuje na prawie cytatu, ale też powtarza to słowo wystarczającą ilość razy, aby zadomowiło się w świadomości czytelnika. Ja uważam, że więcej daje patrzenie na zjawiska w polityce, jako na dynamiczne z samej swej istoty, i że cenniejsze jest właśnie jasne zrozumienie praw tej dynamiki niż najbardziej nawet słuszna kwalifikacja etyczna tego czy innego elementu gry. Uznanie istnienia dynamiki otwiera przed nami możliwość kształtowania tego, co się dzieje pomiędzy partnerami, podczas gdy jednostronna rejestracja zasług czy krzywd tak naprawdę unieruchamia nas i demoralizuje, gdyż bezwiednie przyznajemy podmiotowość jedynie drugiej stronie, a sami wciąż pozostajemy w swym pojęciu biernym obiektem jej oddziaływania. Lecz nie tylko pozbawiamy się godności. Zakładanie, iż ktoś, kto *zachował się zdradziecko, jest zdradziecki*, a więc i będzie taki niezależnie od tego, co my zrobimy albo nie, a *wierny* dochowa nam wiary bez względu na okoliczności i nasz do niego stosunek, podcina w nas odpowiedzialność za prowadzenie własnych interesów i bardzo utrudnia pozbieranie się w porę, gdy rzeczywistość wykazuje, jak bardzo nasze postawy są nieżywcowe. Polacy oczekując, że Zachód dopomoże im w wojnie, woleli często nie pamiętać, że w opinii brytyjskiego premiera – gorącego rzecznika proczeskiej polityki – to właśnie my poparliśmy niemiecką aneksję sudeckiej *„linii Żygryda”* i następnie internowaliśmy czeskich oficerów, pragnących walczyć z Niemcami u naszego boku w wypadku, gdyby hitlerowskie roszczenia miały mieć dalszy ciąg.

Co do przywołania Jaltę w kontekście porozumienia teraz w Kopenhadze, warto chyba uniknąć mityzacji. Zawarta w styczniu 1945 roku umowa Jaltańska z punktu widzenia premiera Wielkiej Brytanii była nie *Świętym Porozumieniem* na wsze czasy, ani tym bardziej żadną zmwą przeciw Polsce. Była ona uznaniem stanu rzeczy. Armia Czerwona z przerażającym impetem pokonywała Wehrmacht, co oznaczało radykalną nierównowagę sił na kontynencie, w tym zaś – narzucenie Niemcom i Polakom trwałego granicznego konfliktu, czyniąc z Moskwy notorycznego mediatora lokalnych waśni (zgodnie z tą zasadą wszystkie kraje Bloku pomimo masowych deportacji ludności zaszyły etnicznie na siebie). Churchill pragnął wypracować koncepcje pokojowe dobre na kilkadziesiąt lat – jego

myślenie polityczne w ogóle cechowało się dalekowzrocznością, a właśnie w niedoróbkach traktatu wersalskiego widział przyczynę II wojny i podatności Niemców na demagogię fatalnego kanclerza. Chciał uniknąć powtórzenia tego błędu. O wiele mniej przenikliwy Roosevelt wcześniej uległ woli Stalina i wbrew sugestiom Churchilla, ugrzązł w kampanii lądowej na północnym zachodzie; Churchill wolał uderzać raczej na północ od Grecji i Włoch albo od strony Skandynawii. W Jaltce obaj zachodni przywódcy nie mogli się nawet skonsultować osobiście. W odczuciu Churchilla prezydent USA w ten sposób udowadniał Stalinowi dobrą wolę. Ale zawadą w rozgrywce premiera ze Stalinem byli też pryncypialni, znerwicowani członkowie naszego rządu na uchodźstwie. Anglia nie mogła przyjąć z pomocą Polsce, położonej za walczącymi wciąż Niemcami, jej lotnictwo nie było w stanie dokonać tutaj desantu, a tym bardziej przetransportować ciężki wóz bojowy, skoro walczone już nie tylko z pomocą karabinów. Zresztą, by skończyć ten temat, alianci prócz Niemców walczyli równoległe z Japonią. To tylko, w naszych zachwyconych oczach, mieli środki nieograniczone.

Są to w rzeczy samej truizmy, które jednak w zastanawiający sposób pomija się u nas od lat i w rezultacie nasze myślenie polityczne staje się zbolate, kurczowe, przeczulone na punkcie narodowej godności czy raczej ważności, paraliżujące egocentryczne. W Kopenhadze, tak jak w Jaltce, ma miejsce nie zdrada, ale kalkulacja oraz *kontrolowany altruizm oparty na dewizie, że prawdziwy egoista nie pozwoli, aby egoizm psuł mu interesy*.

Co się tyczy jednoczenia Europy, to po pierwsze, trend zjednoczeniowy jest bodaj jedyną stałą w dziejach tego mikroświata. Na dziś można powiedzieć tylko tyle, że po raz pierwszy w dziejach unia dokonuje się bez fizycznego przymusu i z wielu naraz kierunków, a państwa członkowskie mogą w zwykłym demokratycznym trybie wpływać na konkretne porozumienia. Do zjednoczonej Europy dołączają – zresztą hurtem – prawie wszyscy nasi dotychczasowi partnerzy polityczni i gospodarczy, czyli grupa Wyszehradzka, kraje bałtyckie, kraje dawnego RWPG. I w konsekwencji nie pozostaje w polu widzenia żaden uchwytny pozaunijny organizm, na jakim moglibyśmy się oprzeć, czy to finansowo, czy w sferze historiozoficznych wartości. Żadne z tych pozaunijnych społeczeństw nie należy do budzących zaufanie statystycznego Polaka i sami nie cieszymy się tam szacunkiem ani zaufaniem. Z żadnym z nich nie mamy w chwili obecnej rozwiniętej bliskiej współpracy. Stare urazy ciągle żyją po obu stronach granicy, dominują uogólnienia, stan przepisów prawa gospodarczego jest niedostateczny, coraz mniej naszych obywateli włada językami wschodnich sąsiadów, do wyjątków należy znajomość ich literatury, filmu, historii, nie ma więc nawet szeroko rozumianej infrastruktury potrzebnej dla podjęcia intensywnej współpracy na miarę *„alternatywy dla UE”*.

Osobiście, po powrocie z wieloletniej emigracji, byłam zwolenniczką przyjęcia neutralności przez Polskę, głównie ze względów strategii budżetowej. Priorytetem, choć i atutem zarazem, wydawały mi się intensywne oświata (należymy w Europie do słabo wykształconych; tylko 10% z nas ma ukończone studia), a także kultura i nauka. Szczerze mówiąc, w dalszym ciągu, nie będąc bynajmniej pacyfistką, patrzę na zakup F16 głównie przez przyzmat vegetujących szkół na Białostocczyźnie czy braku uniwersytetu w Bydgoszczy (czeska Opawa dla przykładu ma takowy przy 70 tysiącach mieszkańców). Była mi też bliska idea *„jagiellońska”*, a więc jakiegoś środkowoeuropejskiego forum solidarnej koemancypacji krajów o zbliżonym doświadczeniu i poziomie cwilizacyjnym. Proklamował ją Jerzy Giedroyc w *„Kulturze”*, Polska tymczasem postawiła na politykę zdecydowanie prozachod

nią i spór w zasadzie dotyczy tylko tego, czy strategicznym partnerem ma być Unia, czy USA, czy też uda się nam profitować obie te opcje jednocześnie.

Euroceptycy zasadnie pytają o polską samodzielną polityczną, aczkolwiek, w moim przekonaniu, ta wątpliwość jest skutkiem propagandowo-informacyjnej fuszerki. Polska – o ile wiem – chciała zmian. Z niepojętych dla mnie powodów, większość reform i nowel prawnych o standardzie naprawdę światowym i większość nowoczesnych rozwiązań określano mianem spełniania żądań unijnych, zupełnie tak, jak gdybyśmy nie życzyli ich sobie sami i koniecznie pragnęli zachować nieszczerne granice, wyboje na szosach, bałagan, wyśrubowane cła, tudzież stalinowskie jeszcze paragrafy w kodeksie karnym. I jak gdybyśmy nie reflektowali na fundusze PHARE czy dotacje, dla którejś z grup producentów rolnych, wołając, aby tę naszą ich część wzięli sobie Czesi czy Węgrzy. Ten fatalny niedostatek wyobraźni ze strony animatorów polityki, a także telewizji i czołowych pism, prawdopodobnie wiąże się z osobistą próżnością konkretnych osób, z lekceważeniem uczuć każdego, kto nie jest aż tak światowy czy „europejski” jak salonowe lwy Rzeczypospolitej.

Polemizując ze Stefanem Pastuszewskim mam faktycznie jeden tylko istotny argument. Otóż nie wierzę w prowizorkę, jako zasadę strategii państwa. Jest oczywiście prawdą, że otwarcie na czynnik zaskoczenia, na niewiadomą, jest w samej swej istocie myśleniem realizmu politycznego, a przy tym przywraca nam trzeźwość umysłu, nie pozwalając bez reszty ugiąć się pod jarzmem „obiektywnych uwarunkowań”. Ale Piłsudski mawiał, że cuda w polityce są, owszem, możliwe, gdy usilnie się nad nimi pracuje przez wiele lat gdy jesteśmy do nich starannie przygotowani. Takim cudem było zjednoczenie RFN i NRD. Jednak już nasze własne niezależnienie od Związku Radzieckiego unaocznia, że niedoróbki w rodzaju braku profesjonalnych kadr, amatorszczyzna, przypadkowe kryteria doboru mężów stanu, czy wreszcie brak mechanizmów, chroniących autorytet państwa przed charakterystyczną jego urzędniców, mszczą się bardzo boleśnie, uniemożliwiając gospodarowanie narodową energią. DEMOKRACJA JEST W PIERWSZYM RZĘDZIE KWESTIĄ OSOBOWOŚCI. Otóż przeciętny Polak pozostaje w głębi serca feudalą. Uważam też, że wytyczanie sobie perspektywicznych celów tylko po to, aby komuś coś udowodnić (np. że Polak potrafi - zaskakiwać?) jest przejawem nie wielkiej wizji, ale duchowego chaosu, zresztą psychologicznie nieuniknionego po traumie II wojny światowej i półwieczu uzależnienia od totalitarnego mocarstwa. Wiele o tym pisałam, w tym również na łamach „Akantu”.

Rzecz nie w tym, czy istnieje lepsza alternatywa od akcesji do Unii właśnie dzisiaj, ale w tym, że przez ostatnie dziesięć lat nie zrobiono właściwie nic, aby ją skonstruować i spopularyzować, czyniąc możliwym rzetelny bilans. W istocie stało się przeciwnie! Nasze stosunki z Waszyngtonem są po prostu asymetryczne. Fakt ten nabiera złowroziej wręcz wyrazistości, gdy poczynania Ameryki zdominowała egotyczna osobowość George’a Buscha, kładąc niejeden znak zapytania nad przyszłością Paktu Atlantyckiego, a na pewno nad przyszłością Orientu, co wróży także zmiany Europie. Zarazem, w ostatniej dekadzie nasze stosunki z Rosją, Białorusią i nawet Ukrainą ulegały kłopotliwemu pogorszeniu – nie tylko z naszej winy, oczywiście, niemniej jednak nie opierałabym się na takim akurat fundamencie. Gdy więc euroceptycy (a słowo sceptycyzm pochodzi od greckiego *mysle*) jak najsłuszniej krytykują sztywność pronijnego myślenia euroentuzjastów, brakuje mi w ich propozycji konkretnych w postaci ustaw prawnych, umów finansowych, jasnego społecznego konsensu albo choćby jednoznacznych ogólnospołecznych sympatii, które są po prostu faktem socjologicznym. Ignorowanie takich faktów bardzo utrudnia konsekwentne wytrwanie w jakiegokolwiek decyzji strategicznej, albowiem prowadzi do zakłóceń w subtelnej sferze społecznej psychologii.

Brakuje mi następnie w euroceptycznej krytyce pogłębionej znajomości zachodniej Europy. Nieprawdą jest na przykład slogan - i zaskoczona jestem, że tak otwarty umysł, jak Pastuszewskiego, posiłkuje się podobną argumentacją – iż w Unii Europejskiej ktokolwiek broni aborcji. Protestanckie społeczeństwa zachodniej Europy kładą akcent na oświatę seksualną i powszechnie dostępną antykoncepcję, a nie aborcję. Aborcja budzi tam niechęć, kojarzy się z praktykami najciemniejszych i najuboższych warstw ludności, z kręgami społecznych patologii – gwałtu, molestacji, alkoholizmu – lub imigranckimi enklawami, np. muzułmanów, gdzie z przyczyn obyczajowych lub religijnych, kobieta nie ma wpływu na swoją płodność. W zachodnioeuropejskich krajach katolickich, takich jak Francja, problem aborcji przedstawia się w gruncie rzeczy podobnie: aborcja jest tragedią, jest dowodem, że rodzice dziecka nie dorosli do sytuacji, i że otoczenie nie potrafiło ani przyjąć na czas z pomocą, ani nauczyć elementarnej kultury. *La tendresse? Pas tristesse*. Być może brzmi to libertyńsko, ale, jeśli chodzi o szczegóły, to polski Episkopat właśnie wygryzkował odpowiednie zapisy w umowie akcesyjnej z UE, które chronią nasze prawodawstwo. Prymas w telewizji się uśmiechał. Moim zdaniem, mamy wiele do zrobienia w naszym kraju. I nie traciłabym energii na pouczenie Holendrów czy Szwedów, jak stworzyć prawdziwą rodzinę. Pieniądże na takie publikacje przydadzą się choćby schroniskom dla naszych samotnych matek i sierotców.

A na koniec uwaga ogólna. Przystąpienie do Unii jest, zarówno przez zwolenników, jak przeciwników tego kroku, traktowane jako akt nieodwracalny. To nonsens! Odnoszę wrażenie, że dzisiejszym komentatorem bywa gruntownie obca ta elementarna zasada dziejowa, iż budowanie państwa, jest dziełem wielu pokoleń, a przede wszystkim bardzo skomplikowanym procesem przebiegającym na wielu, często nieuchwytnych poziomach, o których samo racjonalne myślenie sprawia trudność. Chyba jeszcze bardziej złożonym procesem są unie wielonarodowe i ich dynamizm. W UE o samodzielności każdego z członków świadczy chociażby teraz brak wspólnej strategii Europy wobec amerykańskiej napaści na Irak. Przy całym konsensie i pragnieniu zacieśnienia współpracy ten nowy ciągle twór, czyli UE, pozostaje *in statu nascendi*.

Otóż, jeżeli chodzi o mnie, wizja Stanów Zjednoczonych Europy jest mi bliska. Nawet z mniej atrakcyjnego tworu niż Unia nie wrywałabym się na zewnątrz akurat w momencie, gdy większość polskich banków stała się własnością cudzoziemców, gdy czekają nas spłaty kredytu, kiedy nie mamy ani jednej partii politycznej z poparciem przynajmniej 40 % głosujących i każdy rząd, póki co, musi być koalicyjny i wkląć się w tysięcy kompromisach pod ostrzałem prawie równie licznej opozycji sejmowej. Odrzucenie w referendum pomysłu wstąpienia do UE wcale nie oznacza narodowej zgody na jakikolwiek inny wariant.❶

## Eugeniusz Szulborski

### Słowo – instrumentem

Nie zamierzam rozważać problemów karnych, związanych z nadużywaniem słowa. Interesuje mnie SŁOWO jako takie i wewnątrz człowieka, bo nie głębokość ust, ani długość języka. Problem odpowiedzialności karnej pozostawiam prawnikom. Ważniejszą, według mnie, jest odpowiedzialność moralna. Na jej straż nie stoi państwo ani jego organy, a wynika z naszego ja, wycucia chwili, taktu, wrodzonej inteligencji. Państwo jednak i jego organy zajmują się skutkami naruszania zasad moralnych, będących także normami prawnymi. Za nierozważne chlapanie językiem możemy więc popaść w konflikt z prawem.

Wrodzona inteligencja to coś, czego nie nauczymy się ani w szkole, ani w życiu, po prostu mamy ją albo nie. Potrafimy chwycić w lot cudzą myśl, jeszcze nie wypowiedzianą do końca, zrozumieć cudze ja, współczuć i przeżywać z innymi ich kłopoty, albo być obojętni na wszystko. Niech się pali i wali – najważniejsi jesteśmy my! Właśnie w takich sytuacjach SŁOWO odkrywa nas, sposób naszego myślenia. Jest to szczególnie istotne u ludzi, którzy chcieliby uchodzić za znawców pewnych problemów, za autorytety w jakichś dziedzinach, za swego rodzaju nauczycieli. Nauczycieli w szerokim pojęciu – tych co uczą i tych co pouczają. A pouczanie wiązało się z nami ostatnio na śmierć i życie! Pouczamy polityków, bo według nas prowadzą Polskę w ślepy europejski zaułek; pouczamy lekarzy, bo zapominają o etyce lekarskiej; pouczamy społeczników, bo powinni pracować wyłącznie za pieniądze! Słowo zaczyna być atrybutem określonych grup nacisku; zaczynają mieć do niego prawo ci albo inni utytułowani i na wysokich stołkach, ale nie „prostaczkowie”, na których owe słowo ma wycisnąć piętno. Oni mają być tacy a nie inni, mają myśleć tak, a nie inaczej. Słowo stało się więc instrumentem kształtowania społeczeństwa uległego, pokornego, podatnego na sugestie, przyjmującego na siebie odpowiedzialność za cudze winy, bijącego się w pierś za cudze grzechy.

W dzisiejszych społeczeństwach nie ma miejsca dla rzetelności słowa, ani treści kryjącej się za tym słowem. Można oczernić ludzi i narody, pozbawiać ich czci i wiary, byle w sugestii tkwiła jakaś odrobina wiarygodnego podobieństwa do odpowiedzialności za historię i teraźniejszość, oczywiście, najlepiej za cudzą historię i cudzą teraźniejszość.

Straszne!❷



**SPECJALISTYCZNE  
USŁUGI MIESZKANIOWE**

- KONSERWACJA, NAPRAWY, WYMIANA WIND OSOBOWYCH I TOWAROWYCH
- OPIAROWANIE CIEPŁA I WODY  
MONTAŻ URZĄDZEŃ REGULACYJNYCH
- PROJEKTOWANIE BUDOWNICTWA
- SPRAWOWANIE FUNKCJI INWESTORA  
ZASTĘPCZEGO, NADZÓR BUDOWLANY
- KAŻDY WŁAŚCICIEL I ZARZĄDCA  
MOŻE ZLECIĆ **POBUDOWI** ZADANIA  
Z POWYŻSZYCH ZAKRESÓW

**POBUD** sp. z o.o.  
PRZEDSIĘBIORSTWO ORGANIZACJI BUDOWNICTWA  
85-868 Bydgoszcz, ul. A.C. Siedleckiego 14,  
Telefony: (052) 371 37 82, (052) 371 37 84, (052) 371 37 86, (052) 371 66 82, telefax: (052) 371 37 85

Marcin Szerenos

## Jeże, tak. Pacyfistom dziękujemy

Wybitny wydawca Kingsley Martin, znający bardzo dobrze Bertranda Russella, zwykł był mówić, że najbardziej wojowniczy ludzie, jakich spotkał, to pacyfiści. Uczeń Russella, T. S. Eliot przyznaje, że Russell uważał każdy pretekst za wystarczający, by popełnić zabójstwo. Pacyfiści pokroju Bertranda Russella pozostawili po sobie receptę i antidotum na światowe konflikty. Russell twierdził, że problemy świata w dużej mierze można rozwiązać dzięki logice, rozsądkowi i umiarkowaniu. Jeśli mężczyźni i kobiety kierowali się bardziej rozsądkiem niż uczuciami, wnioskowali logicznie, a nie intuicyjnie, wykazywali umiarkowanie zamiast popadać w skrajność, to wówczas wojna stałaby się niemożliwa, stosunki między ludźmi byłyby harmonijne, a sytuacja ludzkości uległaby stałej poprawie. Wydaje się, że nic prostszego nie można wymyślić. Dzieła Bertranda Russella, to logiczne antidotum na światowe konflikty zbrojne. Książki przyniosły mu sławę, lecz on sam nie postępował zgodnie ze swoimi wytycznymi, co znaczy, że prowadził życie rozpustne, ulegał, jak je sam nazwał, i instynktom zwierzęcym, a pod koniec swojego życia kierował się raczej uczuciem niż rozsądkiem, dając zajęcie armii dziennikarzy, których fascynowało nieszablonowe życie wielkiego myśliciela.

Pacyfizm to idea bardzo żywa i na czasie, demonstracje pacyfistów, przeciwników wojny USA (koalicjanci) – Irak (reżim Saddama Husajna) są obecnie jednym z głównych tematów, jakim bombardują nas media. Wojna, nie ważne jaka, zawsze wzbudzała niezdrowe emocje i zainteresowania, ciekawość, i przymielała inne wydarzenia na świecie. Tak było i tym razem. „15 milionów pacyfistów popiera Saddama Husajna”, informuje prasa. Na ulicach Londynu w marszu przeciwko wojnie, który odbył się 15 lutego 2003 roku, rebralo się około miliona osób. W Waszyngtonie, 22 marca 2003 roku, manifestowało 300 tysięcy osób. W Atenach, dwa dni wcześniej, 200 tysięcy osób. Ponad 1,5 tysiące osób zatrzymano podczas atywojennych demonstracji, które przeczoły się przez USA. W Jemenie zginęło trzech demonstrantów i policjant. Demonstracje odbyły się w blisko 500 amerykańskich miast. Według najnowszego sondażu „Washington Post” i ABC, 70 procent Amerykanów popiera wojnę. Ale, 15 milionów osób popierających Saddama Husajna, to liczna zaniżona. Być może, tyłu jest aktywnych przeciwników wojny, gdy policzymy tylko takie kraje, jak: USA, Hiszpanię, Niemcy, Francję, Grecję, Polskę, Australię. Solidarnie protestują rządy Rosji i Chin. Gdyby zadać sobie trochę trudu i policzyć wszystkich przeciwników wojny, liczba 15 miliona pacyfistów szybko wzrosłaby i sięgnęła zapewne kilku miliardów. Sumując wszystkich przeciwników zamieszkujących obie Ameryki, Europę Zachodnią, Środkową i Wschodnią, Azję, Bliski i Daleki Wschód, Australię oraz całą Afrykę liczba ta sięgnęłaby najwyższej liczby na podziakie. Wojna obnażyła piętę achillesową krajów wysoko rozwiniętych i wyostrzyła podziały wewnętrzne między przeciwnikami wojny a zwolennikami. Poważny rozłam polityki wewnętrznej nastąpił w takich krajach, jak Grecja czy Turcja. Ateńczycy obrzucili ambasadę amerykańską koktajlami Molotowa. Olbrzymi skandal wzbudziły nieparlamentarne zachowania członków wyższych izb we Włoszech i Rosji. Niektórzy eksperci i dziennikarze zapewniają nas, że jesteśmy naoczniymi świadkami wybuchu III wojny światowej. Czy słusznie? Modłę się, by była to zwykła dziennikarska kaczka, pogoń za sensacją, próba podbicia nakładu gazety, zły żart, nic więcej.

Nie przeżyłem wojny, jak moi dziadkowie, ale tamte wydarzenia pozostawiły w nich ślad już na całe życie. Wojna zawsze była widowiskiem medialnym, sama w sobie jest medialna, a media i specjaliści telewizyjni znając schematy przebiegu różnych konfliktów posługują się coraz większą zręcznością w dostarczaniu nam suchych faktów z pola walki. Irackie media informują Amerykanów, jak potwornym tyranem jest prezydent Stanów Zjednoczonych George W. Bush. Media amerykańskie ukazują tyranie Husajna i niesioną zewsząd pomoc humanitarną dla tego arabskiego kraju. Oslupione kraje i organizacje arabskie obrzucają się obelgami i wyzwiskami. Dotąd dumni kalifowie i szejkwowie stają się postrzegani we własnych krajach, jako sprzedani politycy, dbający o własne interesy. Większość ubogich muzułmanów z niedowierzaniem przygląda się telewizyjnym obrazom bombardowanego Bagdadu. Mieszkańcy krajów afrykańskich i arabskich protestują przeciw nieludzkiej przemocy i agresji USA. Boją się, że wojna może przenieść się w kierunku konfliktu, by wspierać Dżihad, świętą wojnę, by wspierać nie reżim Saddama Husajna, ale walczyć z Amerykanami i bronić doktryn, w które sami wierzą, i które przekazywali sobie od pokoleń. Amerykanie napotykać silny opór w miastach, jest to konsekwencja poprzedniej wojny – „Pustynnej Burzy”. Irakijczycy poszli po rozum do głowy i wyciągnęli daleko idące wnioski. Umocnili się silnie w miastach, oddając najeźdźcy olbrzymie pustynne tereny. Amerykańscy analitycy przewidują, że wojna potrwa jeszcze kilka dni, może tygodni. Prezydent USA zapewnia, że nie dopuści do tego by trwała dłużej. Nie mniej jednak świat biznesu i biznesowi spekulanci, potężni kontrahenci, zainteresowani ropą naftową Iraku i Kuwejtu, bez zająknięcia wspominają w wywiadach o ośmiu latach dominacji USA w tamtym regionie świata. Tyle lat może potrwać wojna, która głównie będzie polegać na tym, że amerykańskie przerzucą większość swoich jednostek na Bliski Wschód, gdzie, gdy już dostatecznie się umocnią i pozbędą zbędnej opozycji, zaczną budować nowy ład społeczny, który (przy błędach Amerykanów) może przerodzić się w stary, dobrze znany chaos. Opozycja antyamerykańska zostanie zepchnięta do roli drugoplanowej, co w konsekwencji przeistoczy zwolenników Saddama Husajna, z elitarnych żołnierzy gwardii, do roli partyzantów. Rozpoczyna się walki zaczepne, będziemy świadkami takiej samej taktyki, jaką stosują Palestyńczycy wobec Iraku. Wojna pochłonie życie wielu Amerykanów. Dojdzie do zamachów samobójczych. Nasilą się

amerykańskie protesty. Statystycznie, może zginąć więcej żołnierzy niż ma to miejsce w wypadku Rosjan stacjonujących w Czeczenii, gdzie, jak podają prasa i media, ginie średnio ośmiu żołnierzy, w zamachach partyzantów. Jak krwawa to będzie wojna, i o jakich liczbach będziemy mówić zależy, wyłącznie od Amerykanów, i rządu USA. Jeżeli uda się im nie tylko zbudować demokratyczny rząd Iraku, nie osiągną oni takiego samego sukcesu, gdyby udało im się zbudować prawdziwe zaufanie do Irakijczyków, prawdziwe zaufanie dla prawdziwych, ważnych i szczerych zamierów liberalów amerykańskich. Gdyby to się udało, to konflikt ten może wyglądać zupełnie inaczej, niż ma to miejsce w Czeczenii. Jeżeli Amerykanie popełnią zbyt dużo błędów może dojść do powtórki z Palestyny, na skalę, jakiej nie widział jeszcze świat. Celem staną się nie tylko amerykańscy żołnierze w Iraku, ale także koalicjanci antyiracy, w tym i Polska. Są to konsekwencje prowadzenia brutalnej polityki zagranicznej, mającej na celu przyjęcie kontroli nad danym państwem i zamienienia go w kolonię. Amerykańscy specjaliści ukuli na tę wojnę nowy termin – „wojna precyzyjna”. To określenie jest bardzo medialne i ma więcej wspólnego z filmami akcji, niż z prawdziwym obrazem wojny. Amerykańscy stratedzy, tak naprawdę, nie wypowiadają się przed działaniem swoich wojsk, lecz po ich zakończeniu.

Posługując się krótkim rysem historycznym możemy zauważyć, że tereny te były bardzo atrakcyjne ze względu na swoje strategiczne położenie. Półwysp Arabski był pomostem między wschodnim terytorium rzymskim, a ziemiami południa, między Egiptem a Indiami. Wiodły tamtędy szlaki handlowe, a ludność miejscowa – plemiona arabskie pochodzenia semickiego – zajmowały się handlem, hodowlą i rzemiosłem. W miejscach gdzie była woda, powstały ośrodki handlowe – Mekka i Medyna. Zwłaszcza Mekka odgrywała w świecie arabskim szczególną rolę. W II wieku n.e. Imperium kontrolowało większą część Europy Zachodniej, aż po ujście Renu (Brytanię, Hiszpanię, Galię, Dalmację, Macedonię, Dację), na wschodzie rozległe lądyfundia obejmowały część Półwyspu Arabskiego z wyłączeniem Armenii i Doliny Mezopotamii, na południu władza Rzymu rozciągała się od Mauretanii po Afrykańskie Prokonsulaty do Egiptu. Kilka stuleci później, większą część kontynentu europejskiego podbiły plemiona germańskie, a ich uprzednie miejsce zajęli Słowianie, przybyli z dalekiej północy za Germanami. Cesarstwo Rzymskie na przełomie V i VI wieku skurczyło się do niewielkich rozmiarów. W VI wieku Cesarz Justynian Wielki podjął próbę odbudowy imperium rzymskiego, ale udało mu się to z niewielkim skutkiem. Cesarstwo z północy nekaly najazdy Germanów, ze wschodu zagrażała nowa potęga: Imperium Perskie Sansonidów. Długoletnie wojny osłabiły Cesarstwo i, tym samym, nie było ono zdolne dłużej



**CENTRUM HANDLOWE**  
**DOM i styl**

85-796 Bydgoszcz  
ul. Fordońska 333, tel. 343 22 11  
www.domistyl.com.pl  
e-mail: biuro@domistyl.com.pl

**PN.-PT. 10.00-20.00**  
**SO.-N. 10.00-14.00**

- **STUDIO ZDROWEGO SNU**
- **PIĘKNE PREZENTY**
- **WYGODNE MEBLE**



Lubię ładne rzeczy



Klub Polskiej Książki  
prowadzi Hanna Mierzwa

przeciwstawiać się najazdom arabskim. W X wieku Półwysep Arabski, Afryka Północna i większa część Hiszpanii oraz całe Morze Śródziemne znalazły się pod kontrolą Arabów. W ich rękach znalazły się ziemie, od Indii na wschodzie, po Ocean Atlantycki na zachodzie. Następne stulecia przędą do historii dzięki głośnym wyprawom krzyżowym, organizowanym z inicjatywy papieża. Przez ponad tysiąc lat Bliski Wschód będzie areną zmagania między barbarzyńskim Zachodem, a oświeconym Wschodem, między chrześcijanami a muzułmanami. Cesarstwo Rzymskie, nękane wojnami z Imperium Rzymskim a także głęboko podzielone wewnętrznie musi ulec potężnemu najeźdźcy – potomkom Mahometa. Po czterech kalifach, bezpośrednich następcach Proroka, zwanych sprawiedliwymi, rządy obejmie dynastia Omajjadów, usadowiona w Damaszku, a następnie dynastia Abbasydów, która zbudowała nową stolicę – Bagdad. Arabowie, którzy podbijają Syrię, Mezopotamię i Palestynę są raczej dobrze przyjmowani przez ludność, traktowani są, jak wyzwoliciele, bo Bizancjum nękało ich wysokimi podatkami. Język grecki, którym mówiono nawet na syryjskich wsiach, ustępuje stopniowo miejscowi arabskiemu. W tym czasie świat islamski, który rozciąga się od Indii po Hiszpanię, przeżywa rozkwit, bujnie rozwija się sztuka i nauka, panuje prawdziwa tolerancja religijna, podczas gdy w Europie heretycy są wyjęci spod prawa. Arabowie nie starają się nawracać kogokolwiek na islam, podczas gdy Karol Wielki siłą nawraca na katolicyzm podbite ludy. Arabowie nadają równe prawa chrześcijanom oraz Żydom w Syrii i w Palestynie. W Damaszku i Jerozolimie chrześcijanie mają zapewnione swobody do miejsc kultu. Zachód jest w tym czasie światem prymitywnym. Georges Tate w swojej książce „Wschód czas krucjat” wspomina, że wśród krzyżowców zdarzały się nawet przypadki ludobójstwa. Niemniej, dzisiejsi papieże nawołują do ogólnoświatowego pokoju, a świat zachodu jest światem o wiele bardziej humanitarnym, niż w okresie wypraw krzyżowych. Amerykanie, podobnie jak Arabowie w X wieku, podbijają Bliski Wschód głosząc tolerancję religijną i pragnąc uwolnić mieszkańców Iraku spod opieki dyktatora Husjana, współczesnego ciemnościelca Bizancjum. Aby to osiągnąć, należy koniecznie zmienić istniejący w Iraku reżim polityczny i przywrócić jako taki ład społeczny, a także prawo głosu, wolne wybory, swobodę w wypowiadaniu się kobiet na tematy publiczne itp. Nowy reżim, który chcą wprowadzić Amerykanie, niezaprzeczalnie bliższy jest krajom zachodnim, niż tym, w którym dominuje islam i Koran, mimo tego wydaje się, że przemiany mogą nastąpić bardzo szybko.

Bliski Wschód jest słaby i wewnętrznie podzielony, gdy współcześni krzyżowcy nabrali nowych rumieńców. Bagdad, dawna stolica dynastii Abbasydów i świata arabskiego, jest bombardowany przez potężne amerykańskie superfortece i bombowce dalekiego zasięgu B-52 i nie widoczne dla radarów (poza amerykańskimi) bombowce B-2 Spirit. Izraelczycy powoli odbudowują swoje poczucie bezpieczeństwa, wojska amerykańskie w Iraku mają zatrzymać falę terrorku i transportu broni z Iranu przez Irak do Palestyny. Rosjanie głośno sprzeciwiają się wojnie, lecz sami są militarnie zaangażowani, z górą już od stu lat, w eksterminację ludności Czeczeni. Podobnie postępowali Francuzi w Algierii około 50 lat temu, wdając się w wojnę ze społecznością afrykańską. Chińczycy sprzeciwiają się zbrojnej interwencji USA, niemniej sami przeżywają głęboki kryzys, który nie jako zmusił ich do „podniesienia kurtyny” i stworzenia gospodarki wolnorynkowej. Obecnie w Chinach żyje około 300 mln ludzi w skrajnych warunkach nędzy, a rząd chiński nie ma pojęcia, co z tym fantem zrobić. Rosja doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jaka sytuacja panuje za jej południową granicą i obawia się najgorszego. Bliska jest im wizja 300 mln chińskiej armii, która przekracza granicę i siłą zajmu-

je bogate w surowce tereny Syberii, tym samym rozpoczynając nową dekadę wojen. Dlatego Rosja, uprawiając lisią politykę, z jednej strony szuka poparcia w NATO, a z drugiej bacznie obserwuje działania chińskich delegatów.

Obecnie, w świecie polityki istnieje podział na – lisy i jeże. Dawniej, w samej Europie istniał podział na jastrzębie i gołębie. Dzisiaj podobne różnicowanie głęboko się zmieniło. Podział taki znany jest także wśród ludzi, ale ma on zastosowanie także w stosunku do rządów i polityków. Lisy są wyrafinowane, pluralistyczne i nieufne wobec absolutu. Jeże zaś są antyintelektualne, prostolinijne, zazwyczaj religijne i wierzą w pewniki, mocno stąpają po ziemi. Lisy mają w głowie wiele drobnych kwestii, jeże skupiają się na jednej, wielkiej sprawie.

ONZ i Unia Europejska to raj dla lisów, domena multilateralizmu i „panowoczesnego” ładu światowego, negocjacji, kompromisu. Na korytarzach tych instytucji panuje górnolotna atmosfera, a ulubione instrumenty lisów to protokoły, dekrety i komunikaty.

NATO to z kolei kraina jeży. Jedną, wielką zasadą tej organizacji jest wiara w słusność tradycji judeochrześcijańskiej i anglosaskiego modelu politycznego. Nastrój panuje tam wojowniczy, a używane przez NATO instrumenty – malowane zwykle na szaro i zielono – są ze stali. Do lisów zalicza się obecnie rządy Niemiec, Francji i dzielnej niegdyś, małej Belgii, a także kilkoro malkontentów pokroju Chin i Rosji (są to byłe jeże, których „wielka sprawa” okazała się błędna). Współczesne jeże zaś to USA, Wielka Brytania, Austria, Kanada, Włochy, Hiszpania, Indie, Meksyk, Izrael i Japonia. Lisią ideologia przetrwa tylko dzięki istnieniu jeży, czyli amerykańskiej gwarancji bezpieczeństwa. Jeżeli wojna pójdzie źle, wygrają lisy. Jeżeli akcja militarna powiedzie się, rozpocznie się wówczas era jeża. W tym przypadku, gdy nasz kraj poparł interwencję zbrojną, postąpił zgodnie ze statusem, jaki posiadają jeże. Przekupna Francja nigdy nie była dla odległej Polski gwarantem bezpieczeństwa. Wojna, sama w sobie, jest nielogiczna, bo i śmierć wydaje się nielogiczna, oczywiście tragiczna śmierć. Wojna to krew i ofiary. Ale musimy zdawać sobie sprawę, że żyjemy w świecie, w którym doktryna kolonializmu nigdy nie zniknęła i zniknąć nie zamierza. Pojawiła się za to nowa doktryna polityczna, doktryna interwencji humanitarnej albo, by użyć właściwego określenia – neokolonializm. Nowy kolonializm wygląda zupełnie inaczej dzisiaj – w obecności mediów na polu walki, niż kilkadziesiąt lat temu. Rządy wyczulone są na wyniki sondaży i opinie społeczeństwa. Najchętniej zlikwidowałyby i ten przywilej. Ale musimy również pamiętać o tym, że współczesne zdobycze techniki pozwalają przejmować kontrolę nad państwami bez jakiegokolwiek interwencji militarnej – zbrojnej. Używa się do tego komputerów i fikcyjnych firm, które zazwyczaj szybko bankrutują, pociągając za sobą na samo dno całą gospodarkę państwa, co zmusza rząd do zaciągania wysokoprocentowych pożyczek handlowych, od, na przykład, światowego mocarstwa, takiego jak USA, które już czeka na taką ofertę (bo same inicjuje krach). Zjawia się niespodziewanie pomoc ze strony Banku Światowego z pakietem korzystnych kredytów, pomysłów oraz armią swoich specjalistów i doradców finansowych. A w polityce jest już tak, niestety, że coś musi być za coś. Nie ma nigdy coś za nic. Większość Polaków fascynuje się sukcesami GROM-u, a niektórzy nasi politycy i zwykli obywatele wysłali by w rejon walk naszych zagorzałych, neandertalskich, stadionowych krzyżowców. Wojna USA – Irak, to kopanie leżącego, bo wbrew wszelkim komentarzom, zagrożenie może nadejść ze strony Dalekiego Wschodu. Najbardziej rozpowszechnionym językiem świata nie jest angielski, jak uważa większość z nas, lecz mandaryński, chiński mandaryński. Angielski jest językiem powszechnym w naszej części świata, ale nie mówi

nim najwięcej mieszkańców Ziemi. Chińskim mandaryńskim posługuje się co najmniej 1 075 tysięcy ludzi, a Chiny liczą około 1,5 miliarda mieszkańców. Angielskim posługuje się 514 milionów ludzi. Francuskim 129 milionów, niemieckim 128, japońskim 126 milionów.

Powinniśmy głęboko zastanowić się nad zmianami, jakie zachodzą na Dalekim Wschodzie, a być może już niedługo wydarzy się coś bardzo istotnego. Inaczej sytuacja wygląda w naszym kraju, który nie należy do krajów tak bogatych, jak Francja, czy USA. Amerykanie zapominają, że swój ład polityczny i gospodarczy, niskie kredyty i życie na kredyt, zawdzięczają amerykańskiemu interwencjom militarnym. Gdyby nie amerykański neokolonializm, ich poziom życia przypominałby ten, w jakim żyją mieszkańcy rozwijającej się Europy Środkowowschodniej. Niemniej, jeszcze bardziej śmieszają mnie zachowania rządu Francji i Rosji, które prowadząc swoją lisią politykę, narażają na ośmieszenie, światowe ośmieszenie, swoich obywateli, których jakby nie obchodziło to, co robią ich politycy. Niestety życie w luksusie rozpieszcza i rozleniwi. Francuzi żyją dostatnio, za to Rosjanie mają więcej własnych zmartwień i nie interesują się zagraniczną polityką państwa. Polakom trudno jest uwierzyć, że opowiedzieliśmy się za wojną z Irakiem i wysłaliśmy tam swoich żołnierzy. Czyżbyśmy już zapomnieli, kto jest naszym prawdziwym wrogiem? Czy dwie wojny światowe i 123 lata niewoli i zaborów niczego nas nie nauczyły? Ale, na szczęście, w naszym kraju brakuje pacyfistów. Wojna to okrucieństwo – to prawda. Wojna jest złem – to też prawda. Ale musimy pamiętać, że obecnie przeciwniemy USA – Irak, tacy jak Francja, podczas II wojny światowej brali udział po stronie Niemiec. Wcześniejsze deklaracje Napoleona przyniosły nam więcej złego niż dobrego. Niemcy, Rosja? – o nich nawet nie wspomina. George W. Bush nie jest ani Hitlerem, ani Napoleonem, to wiem na pewno. A „Francuz musi zawsze mówić, obojętnie, czy zna się na rzeczy, czy też nie”<sup>1</sup>.

Tak więc potrzeba nam jeży, nie pacyfistów rodem z Francji.✱

<sup>1</sup> James Boswell, Życie dr. Jonhson'a, Londyn 1906, tom II, s. 326

## Jaan Kaplinski

\*\*\*

Wszystko wyrasta ze wspomnień  
zimowy świat który z oddali  
drobną dłonią  
głaszcze grzbiety  
nigdy nie czytanych książek  
z którym razem  
cię przyniesi

Jeśli ciemność  
nie rozproszy się  
a tylko przeniknie w inne sfery  
jeśli przed ostatnimi drzwiami  
zapomnisz wszystko  
o co chciales zapytać

tylko twoje imię i twarz  
być może ktoś  
gdzieś zapamiętał  
na jeden wieczór

tylko niektóre  
drżące gałęzie  
osrzone zimowym zmierzchem  
odprowadzają cię wzrokiem

z lustra  
skąd ptak  
dawno odleciał

Z estońskiego przełożyła Alina Tsvetkova

Jolanta Baziak

## Śmierć zadana

Peter Singer, w książce *O życiu i śmierci* głosi upadek etyki tradycyjnej. Zajmuje się kryterium śmierci człowieka, przemianami w technologii medycznej i pytaniami *co dalej z etyką?* Ale porusza również zasadnicze problemy społeczne. Bo oto utrzymanie ciąży nieżyjącej od kilku miesięcy Trishy Marshall kosztowało Highland Hospital 200 tysięcy dolarów. Cesarskie cięcie pozwoliło wydobyć noworodka płci męskiej z ciała Trishy. Dziecko było żywe i zdrowe. To Australia. W Niemczech podobny przypadek – Marion Ploch – skończył się niepowodzeniem, ale wzbudził większe emocje. Protestowano przeciwko kosztom, a przy okazji wypowiadali się tacy teolodzy i naukowcy jak Roessler, że *przeznaczeniem tej matki i dziecka jest umrzeć*. Więc życie i śmierć potrafią, przy współdziałaniu medycyny, tak się zespolić, że nie mogą sobie z tym poradzić ci, którzy – wydaje się – ustanawiają prawo moralne i etyczne. Komisja Harwadzka w 1968 roku opracowała pierwszy raport dotyczący zmian definicji śmierci. Komisja Prezydencka USA dokończyła pracę, ujednolicono określenie śmierci we wszystkich stanach. Kościół nie zaoponował zmianom. Jedyne Japonia pozostała przy starej definicji, tj. przy ustaniu pracy serca, a nie mózgu.

Właśnie do tego zmierzam. Pacjenci w Japonii, po wstrzyknięciu hormonu antydiuretycznego, produkowanego przez mózg, przeżywali jeszcze po śmierci mózgowej 23 dni. Dziś można udowodnić, że podtrzymywanie funkcji somatycznych udaje się do 10 lat i dłużej, o czym świadczą poszczególnie przypadki, gdzie procesy rodziny z wymiarem sprawiedliwości nie kończą się konsensusem. Komisja Harwadzka, zdaniem Singera, raz na zawsze obaliła *świętość życia*, a przecież nie taki był jej cel. Obawiano się, że przy tak karkołomnym rozwoju cywilizacji i jej przypadłości szpitala na całym świecie zapelniają się ludźmi *żyjącymi* zupełnie nieświadomości bez jakiegokolwiek możliwości powrotu do rzeczywistości, a jednocześnie są oni dobrymi dawcami organów do transplantacji.

Obecnie argumentem dla etyków zaczęła być *jakość życia*, która zastąpiła *świętość życia*. Fundamentalne wartości zagłusza się i neutralizuje, by przesunąć odpowiedzialność na medycynę.

Powyższe przykłady miały nam unaocznnić, jak szybko w czasie następują przewartościowania pojęć, które przecież nie biorą się z niczego. Ewolucja ludzkiej świadomości, a ta ma miejsce jednak w mózgu, a nie w sercu, spowodowała nieodwracalne zmiany.

Czy więc nie ma racji P. Singer, że upadła tradycyjna etyka?

Dobrowolna eutanazja stała się możliwa w Holandii i w Belgii. Gdzie indziej trwa walka o prawo do śmierci.

W dyskusjach bioetyków termin *osoba* ma nieco inne znaczenie niż *człowiek*, bowiem *osoba* oznacza byt posiadający takie cechy jak: racjonalność i samoświadomość, zgodnie z definicją Johna Locke'a, a do pojęć filozofii przynależą od czasów Epikteta.

Dalej *osobą* zajmowali się Boecjusz i Tomasz z Akwinu, a dziś termin ten ponownie przynosi więcej znaków zapytania niż odpowiedzi. U szympanów i orangutanów stwierdzono samoświadomość *ja*. Świadomość miała nas różnić od zwierząt. Jeśli jeszcze dodamy, że człowiek – osoba często dobrowolnie poddaje się zabiegom zagłuszania sumienia, deformacji samoświadomości, możemy dojść do wniosku, że staniemy się gatunkiem wysoce zagrożonym. Do tego dochodzi genetyka, *dłubanie* w genach. Być może jakiś kolejny szaleniec postanowi krzyżować czło-

wieka ze zwierzęciem. Nic nie jest wykluczone. Stąd czasami trudno się dziwić samobójcom, którzy nie zamierzają czekać na naturalną śmierć. I nie przestrasza ich odrzucenie ze strony Boga, tak nam się wydaje. Chociaż są przecież przypadki, wyglądające na świadome *zanikanie*, by dążyć właśnie do Boga. Takie przykłady znajdziemy wśród mistyków. Czy są to samobójcy?

Wypróbowywanie antyświata, przekraczanie granic, krzyk w nieznane.

Sądzę, że w niektórych przypadkach nie wolno nam jednoznacznie opiniować. Groźnym jest jedynie to, że ludzie przyzwyczajają się do patologii, epatują się nią, a tym samym przyzwyczajają na zło, pogłębiając jego naturę.

*Express Bydgoski* z dnia 30.04 – 01.05.2002 roku: *Ma cierpieć do końca. Nie ma zgody na samobójstwo*. Śmiertelnie chora Diane Pretty rozczarowała się wyrokiem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Nie udzielono mężowi zgody na czynną pomoc przyspieszającą śmierć Diane. Ale akcja rozpełtała się i w Internecie zbierało się podpisy, aby brytyjski rząd zmienił ustawę. Sędziowie Trybunału uznali, że nie ma to nic wspólnego z wolnością sumienia, oraz że władze brytyjskie nie złamały przepisów Konwencji. Diane Pretty zmarła 10 maja 2002 r.

Nie cieszy, niestety, że Belgia poszła w ślady Holandii, i została drugim krajem, w którym jest legalna eutanazja. Dla ścisłości należy dodać, że o lekach przeciwbólowych pacjent musi być poinformowany, iż są dostępne i bezpłatne. *Łagodna śmierć* jest hasłem na sztandarach partii ekologicznych. Czy zatem ekologia usuwa człowieka bez perspektyw poza horyzont zainteresowania społeczeństwa?

Zabójstwa z litości w latach 1981–1992 dotyczyły 22 spraw. Jedną osobę skazano za morderstwo na dożywotnie więzienie. Paradoxem jest, że poszczególnie państwa dopuszczają różnicowanie sytuacji osób fizycznie zdolnych i niezdolnych do popełniania samobójstwa. Art. 14 Konwencji Praw Człowieka w przypadku D. Pretty nie został naruszony, podobnie art. 3 i 9.

Ułatwianie samobójstwa wydaje się karygodne z logicznego punktu widzenia. Jest sprzeczne z zasadami medycznymi. Etyka jest zdecydowana co do obrony życia. Dlaczego więc taka wżawa; upominanie się o śmierć samych chorych? Wydaje się być to niezrozumiałe. Współcześni ludzie nie preferują wartości, wazą sobie lekke własne życie, często stawiają się na radykalnej granicy. Rozumiem, że przedwczesna i przewidywalna śmierć może doprowadzić do depresji, ale wydaje się, że każdy człowiek chciałby przeżyć do najbliższymi do ostatnich możliwych chwil swojego życia. Cywilizacja śmierci jest zwykłą propagandą, odważę się powiedzieć – modą – Zachodu. Wschód rozwiązywał problemy może bardziej radykalnie, ale nie miały one tak płytkiego uzasadnienia. W każdym razie skarga nr 2346/02 Pretty przeciwko Wielkiej Brytanii (orzeczenie – 29 kwietnia 2002 roku, została oddalona). Jednocześnie Belgia zalegalizowała eutanazję. Prymas Belgii, kardynał Godfried Danneels nie zapowiedział sprzeciwu. W Belgii sondaż wypadł następująco: *eutanazja nie powinna być karalna*.

Wśród tytułów internetowych pojawiają się znamienne: *Krzyk rozpaczcy, Zbrodnia czy pomoc w cierpieniu, Sędziowie nie chcą przyznać prawa do godnej śmierci, Eutanazja jako ludobójstwo, Zob. też Głos dla życia*, 1 (54) 2002, *Czy życie może być nie niewarte, czy wreszcie Prawo do decyzji czyli zabawa w Boga*.

Eutanazja jest absolutnie niezgodna z przysięgą Hipokratesa. Nie może być uznana jako pomoc. Jest sprzeczna z prawami natury.

W Holandii lekarze otrzymują 9 tysięcy wniosków o dokonanie eutanazji, a liczba ta stale rośnie, przy czym liczba ludności wynosi 15 mln, a zabiegi szacuje się na ok. 5 tysięcy. W przypadku ok. 1 tysiąca osób życie zostaje przerwane bez wyraźnej zgody. Przerazające są również kolejne dane z Holandii:

*Na szczeblu prokuratury sprawy te są rozpatrywane przez Komitet Prokuratora Generalnego złożony z najbardziej doświadczonych prokuratorów. Z 6324 spraw przedstawionych w latach 1991–1995, szczegółowe postępowanie toczyło się w 120. Śledztwa wobec dwudziestu dwu lekarzy zostały umorzono, oskarżonych zostało trzynastu. Dwóch z nich uniewinniono, siedmiu zwolniono od odpowiedzialności, potwierdzając istnienie siły wyższej. Trzej lekarze zostali skazani, ale bez wymierzenia kary. Sześciu ukarano karą więzienia od tygodnia do sześciu miesięcy z zawieszeniem (...).*

*Władze holenderskie uznały, iż obecny stan jest niezadowolający. 21 stycznia br. minister zdrowia poinformowała, że należy wzmocnić opiekę nad osobami śmiertelnie chorymi, aby złagodzić ich cierpienia. Chodzi o to, aby za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której pacjent domaga się eutanazji, ponieważ nie ma innej możliwości. Z budżetu państwa zostaną przeznaczone specjalne środki na opiekę nad śmiertelnie chorymi w domu oraz stworzenie w szpitalach możliwości przebywania tam bliskich chorego. (...)*

*Minister zdrowia i minister sprawiedliwości przedstawili projekt przepisów dotyczących procedury kontroli. W razie eutanazji na żądanie pacjenta komisja regionalna, złożona głównie z lekarzy i prawników, będzie miała za zadanie ocenić, czy lekarz spełnił wszystkie niezbędne kryteria. Jej opinia trafi do prokuratora, który podejmie decyzję o wszczęciu śledztwa w sprawie karnej tylko w razie bardzo poważnego ich naruszenia. Za osoby, które nie są w stanie wyrazić swojej woli, opinię będzie wydawać komisja utworzona na poziomie krajowym.*

Nietykalność ludzkiego życia jest zależna od decyzji danej osoby. Odmawia się tego typu prawa na arcyważnym poziomie Trybunału Praw Człowieka. Jest w tym jakaś zastanawiająca sprzeczność.

*Świętość życia* przegrywa nawet z tradycyjną etyką. Pacjent prosi o pomoc w umieraniu. Lekarz daje mu zastrzyk letalny. Klasycznym przykładem może być wielokierunkowe działanie dra Kevorkiana, który uśmiercał wielu pacjentów w wielu stanach USA i został uniewinniony. Jedną z pielęgniarek, związana zawodowo z Kevorkianem powiedziała: *Nie sądzę, byśmy zobowiązani byli do decydowania za kogoś, ile bólu i cierpienia może znieść*. Inną metodą posłużył się dr Timothy Quila, pozostawiając swojej pacjentce wystarczającą ilość barbiturantów, by mogła odpoczywać i się zabić. Zrobiła to drugie. Prokurator okręgowy stanu New York nie postawił lekarza w stan oskarżenia.

W Australii Rex Mortimer popełnił samobójstwo za zgodą swojej żony. W Kanadzie Sue Rodriguez, wbrew wyrokowi najwyższych instancji jednak odebrała sobie życie twierdząc, że *wkrótce zostanie uchwalone nowe prawo dające ludziom terminalnie chorym możliwość wyboru*. W Anglii, w 1991 roku, Lilian Boyes poprosiła o uśmiercenie, dr Cox podał dwie ampułki chlorku potasu. Dra Coxa oskarżono o usiłowanie morderstwa. Został oskarżony, ale wyroku nie wykonano, bowiem rada postanowiła *okazać łaskę*.

W przypadku Carli (1988 rok Holandia) zgodę na eutanazję wyraził kapelan katolicki, który był wymagany członkiem zespołu akceptującego. Carla umierała przy całej swojej rodzinie i w obecności personelu medycznego.

Dobrowolna eutanazja w cywilizowanym świecie jest możliwa. Jeśli lekarze nie dokonują czynnie eutanazji, to pomagają popełnić samobójstwo. Historia legalizacji eutanazji w Holandii jest nader romantyczna. Córka podała starej matce, sparalizowanej, głuchej, z krwotokiem mózgowym zastrzyk morfiny, co spowodowało jej śmierć. Pani dr Postma została oskarżona o prze-

stępstwo, ale grupa jej znajomych postanowiła założyć Towarzystwo Dobrowolnej Eutanazji. Mrs. B. została uśmiercona na własne życzenie. Lekarz zeznał, że działała w stanie wyższej konieczności. Holenderskie Królewskie Stowarzyszenie Lekarskie zdecydowało się poprzeć dobrowolną eutanazję.

Zaproponowano, aby była dopuszczalna pod następującymi warunkami:

- Przeprowadzić eutanazję może wyłącznie praktykujący lekarz.

- Prośba pacjenta o eutanazję powinna być wyrażona otwarcie, w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

- Decyzja pacjenta powinna być oparta na rzetelnej informacji, podjęta bez żadnych nacisków i stanowiąc.

- Cierpienia i ból pacjenta muszą być nie do zniesienia, a stan nie rokujący poprawy.

- Musi nie być żadnych innych środków, które pozwoliłyby złagodzić cierpienia pacjenta.

- Lekarz musi podejmować decyzję z dużą ostrożnością, a przed jej podjęciem powinien zasięgnąć niezależnej opinii innego lekarza.

Ponieważ obrona mogła powoływać się na konflikt obowiązków, holenderski minister sprawiedliwości zadecydował, by nie wnosić przeciwko lekarzom oskarżenia o dokonywanie eutanazji lub pomoc w samobójstwie, jeśli spełnione były warunki podobne do podanych przez Holenderskie Królewskie Stowarzyszenie Lekarskie.

W 1993 roku usankcjonowano to przestępstwo, a zabójstwo z litości jest, po poinformowaniu prokuratury, rozpatrywane indywidualnie, czy zostało dokonane na życzenie pacjenta. Walka o prawo do śmierci została wygrana większością głosów, przy poparciu chrześcijańskich demokratów premiera Ruuda Lubbersa, z tym że trzeba przyznać, iż małe partie domagały się całkowitej legalizacji eutanazji.

Można się zabić. Informacje o tym również książka Deneka Humphruja pt. *Ostateczne wyjście*. To doprawdy dziwne, że ludzie po pierwsze – sami się uśmiercają, po drugie – znajdują adekwatnych wykonawców, po trzecie – wymiar sprawiedliwości, jest tak spolegliwy.

W maju 1995 roku zgromadzenie ustawodawcze australijskich Terytoriów Północnych zalegalizowało dobrowolną eutanazję. Jeszcze wcześniej w historycznym referendum w listopadzie 1994 roku amerykański stan Oregon jako pierwszy wypowiedział się za prawem pozwalającym lekarzom postępować tak jak doktor Timothy Quill, to znaczy nieuleczalnie chorym pacjentom proszącym o pomoc w samobójstwie przepisywać leki, które po zażyciu spowodują spokojną śmierć. Poprzednio, w latach 1991 i 1992, w stanach Waszyngton i Kalifornia bardziej radykalne projekty prawne przegrały nieznacznie większością głosów. Decyzja stanu Oregon wykazała,

że społeczeństwo gotowe jest poprzeć ostrożnie pomyślane reformy prawne dające jednostkom prawo do pomocy lekarza w samobójstwie.

Samobójstwo jest niewątpliwie równoważne kwalifikacji zabójstwa, a niedobrowolna eutanazja jest coraz bardziej częstym przypadkiem. Jak rozróżnić te dwa zjawiska. Sugeruje się też zmianę kwalifikacji *dobrowolna* na *niedobrowolną* w sprzeczności do terminu *dobra śmierć*, bowiem te kryteria od dawna przestały być jasne i wymykają się badaniom oraz statystykom. Zabójstwo, samobójstwo, pomoc medyczna? A może tylko zaprzestanie leczenia przypadku, który nie rokuję poprawy zdrowia? Jak odróżnić eutanazję czynną od bierną? Jak wreszcie ustosunkować się do moralnej kwalifikacji czynu? Jak wyjaśnić, że tylko 4% lekarzy w Holandii uważa eutanazję za nieetyczną czyli 96% ją aprobuje... Przyjęło się sądzić, że Holandia jest państwem opiekuńczym.

Innym zagadnieniem jest transplantologia (wątroba pawiana, serce szympansa) odzwierzęca - ksenotransplantacja, która wzbudziła sprzeciw nie tylko bioetyków, ale ogólną dezaprobatę. Transplantologia niestety w sposób znaczący wiąże się również z eutanazją, chodzi przecież o żywe, zdrowe organy. Ekosystem ziemi został naruszony nie tylko skażeniem powietrza i wody, ale także bodźcami intelektualnymi, które uległy przewartościowaniu. Istnieje ciągłe dylemat, czy lekarze są odpowiedzialni za działanie, czy za zaniechanie. *Niezabijanie nie wystarcza*. Ludzie żyją w wielkim ubóstwie materii i ducha, na granicy śmierci głodowej, wielu patologicznych warunkach. Peter Singer sugeruje zupełnie nową etykę. Jego przykazania brzmią: Pierwsze: *uznaj, że wartość ludzkiego życia się zmienia (przeciw: „Traktuj wszelkie ludzkie życie jako mające taką samą wartość)*, drugie: *biż odpowiedzialność za konsekwencje własnych decyzji (przeciw: nigdy rozmyślnie nie pozbawiaj życia niewinnej istoty ludzkiej)*, trzecie: *szanuj pragnienie śmierci lub życia innej osoby (przeciw: nigdy nie odbieraj sobie życia i staraj się przeszkodzić innym w samobójstwie)*, czwarte: *sprawdzaj na świat dzieci tylko wtedy, gdy są chciane (przeciw: bądźcie płodni rozmnażając się)*, piąte: *nie dyskryminuj na podstawie przynależności do gatunku (przeciw: zawsze traktuj życie ludzkie jako cenniejsze od życia zwierząt)*. To miały być nasz nowy dom, zamieszkały po nowemu. I choć wywody Singera, dokumentuje on w sposób daleki od demagogii, to jednak trudno się z nim zgodzić. Singer dodatkowo proponuje takie rozwiązanie: z życia możemy skorzystać lub nie, a nowy sposób podejmowania decyzji ma być odkryty przez nową etykę.

Fundamentalne pytania o narodziny i śmierć będą coraz bardziej drastycznie stawiane w świecie technologii samego życia, gdzie ważną będzie *jakość* i cena, zarówno ta moralna, jak konkretnie przekładalna na choćby odżywki, środki dopingujące itd. Jakość życia zależna jest nie tylko od przeznaczonych na nie środków, jest również zależna od demografii. Przeludnienie może spowodować istotne zmiany w ekosystemach, a jak niektórzy dowodzą, może to wpłynąć na roztopienie się lodowców i zatopienie kilku kontynentów. Taką katastroficzną wizję świata proponuje się po to, by zagłuszać sumienia w innych kwestiach. Modnym kierunkiem staje się utilitaryzm hedonistyczny. O zły stan moralności i etyki oskarża się najczęściej Kościół i przestarzałe przekonania religijne. Jakie będą społeczne skutki eutanazji, gdy już teraz wiadomo, że starsi obywatele Holandii emigrują z kraju w obawie przed eutanazją nie – dobrowolną. Holenderskie Królewskie Stowarzyszenie Lekarskie powołało komisję i stwierdza tam m.in. szacunkową liczbę przypadków na 22 500, z czego ok. 1000 przypadków dokonania eutanazji nie-dobrowolnej. I znow szacunkowo Komisja przewiduje wzrost liczby przypadków nie-dobrowolnej eutanazji na 8 000 rocznie. Eutanazja lub pomoc w samobójstwie objęła pacjentów chorych na AIDS, przy czym ich umieralność wzrosła pięciokrotnie. Kolejnym przerażają-

cym zjawiskiem jest fakt, że w większości chorych prośba o eutanazję została przekazana jedynie ustnie i jednorazowo, często też od chwili jej wyrażenia do chwili śmierci mija jeden dzień, a bywa że tylko jedna godzina. W Holandii rośnie ogólnospołeczna akceptacja eutanazji nie-dobrowolnej. Ponadto udzielanie pomocy w samobójstwie uznano za dopuszczalne i etycznie poprawne w przypadku głębokich depresji i chorób psychicznych, które podobno nie ograniczają zdolności pacjenta do podjęcia odpowiedzialnej decyzji za swoje życie. Nie mówi się obecnie o poszanowaniu autonomii chorego, a jedynie o niesieniu ulgi w cierpieniu i to lekarz podejmuje ostateczną decyzję. Zaskakujące są w Holandii również rozwiązania prawne, bowiem z jednej strony, art. 293 kodeksu karnego stwierdza:  *kto pozbawia życia inną osobę na jej wyraźne i zdecydowane życzenie, podlega karze więzienia do lat dwunastu lub grzywny piątej kategorii, z drugiej strony od 1994 roku znolizowano prawo i uwzględnia się warunki odstąpienia od wszczęcia postępowania prokuratorskiego w przypadku eutanazji.*

Poddanie zjawiska kontroli prawnej miało za cel jawność, jednakże ocenia się, że ponad połowa przypadków nadal nie jest zgłaszana. Państwo holenderskie i wiele innych – o paradoksie – nie broni obywatela przed  *pomocą*. Stoi to w jawnej sprzeczności do art. 3 konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. Rodzi się pytanie, czy rozstrzygnięcia prawne poszczególnych państw mogą być ewidentnie sprzeczne do konwencji europejskiej. Czy może chodzi o taką jurysdykcję, która nie jest literą prawa, a sposobem ominięcia prawa? I kolejne pytanie: kto w końcu walczy i przeciw komu? Lekarze przeciw pacjentom, czy pacjenci przeciw lekarzom, a może tylko rodziny ludzi, którzy przestali być użyteczni. Czy ingerencja państwa w życie prywatne jest dopuszczalna, trwają na tej płaszczyźnie niebezpieczne spory tak w ocenie moralnej, jak w orzecznictwie. Relatywizm życia postawiono przeciw  *świętości życia*, bo pozostały same pytania. Odpowiedzi jest tyle, ile odpowiadających. Sytuacja stała się bardzo dramatyczna. Jeśli można zabijać w określonym przypadku, to dlaczego nie można w innym? Doktor nauk medycznych Wiktor Drożdż z Bydgoszczy stawia dalsze pytania:  *czy eutanazja może być uznana za świadczenie zdrowotne? Czy koszt jej przeprowadzenia powinien obciążać podatnika? (Rzeczpospolita http: II arch.rp.pl/ a rz 2000/12, 20001206/200012060175.htm).* W Belgii, jak wiemy, zadziały naciski liberałów i partii ekologicznych! Cóż to znaczy, że człowiek jest materiałem odpadowym. Ponownie dojdziemy do tego, że będziemy technologicznie wykorzystywać włosy, złote zęby i przetwarzać tłuszcz od-ludzkie na mydło, a może też da się coś zrobić ze skóry i paznokci?

Jan Paweł II w  *Evangelium vitae* (EV 65) mówi o zaniechaniu  *uporczywej terapii* oraz o przetrwaniu w sposób sztuczny życia, które przestało być życiem danej osoby. Dla porównania KKK (2277) porusza nieco inną strunę, odnosząc eutanazję bezpośrednio do osób upośledzonych chorych lub umierających. Reasumując: zaprzestano praktyk z I i II w. n. e. , by w XX wieku ze wzmożoną siłą podejść teoretycznie i praktycznie do problemu. Rozpoczęło się w Holandii, ale też w Niemczech, Australii, Stanach Zjednoczonych, Belgii. W Polsce już zaistniały pierwsze symptomy  *zakażenia się eutanazją* w 1993 roku na Krajowym Zjeździe Lekarzy oraz w art. 150 § 2 K.K. Zwolennicy zapewniają, że nie wykorzystano się eutanazji tam, gdzie konieczna jest opieka paliatywna. Jakże cienka jest jednak granica bólu u terminalnie chorego a innymi przypadkami brnymi pod uwagę, zwłaszcza gdy chory sam pragnie śmierci i uporczywie o nią prosi. Pomijając kwestię absolutnej sprzeczności zabijania z przysięgą Hipokratesa, należy jasno powiedzieć, legalizacja zatrzyma postęp w naukach

Dokończenie na str. 40

[www.fotolabedz.com.pl](http://www.fotolabedz.com.pl)

**Studio Fotografii  
Artystycznej**  
*„Pod Łabędziem”*



**Marek Rutkowski**  
Bydgoszcz, tel. 052/ 322-54-69  
ul. Gdańska 5

medycznych, wyciszy i tak już ostre spory etyków i bioetyków, a w linii prostej znajdzie tragiczne przełożenie na całkowitą bezkarność we wszelkim zabijaniu, nie tylko z *litości*, bowiem o winie i karze (ewentualnej) będzie decydowała garstka ludzi, a kto zagwarantuje poprawność ich sumień? Tej bariery nie wolno przekroczyć ze względu na dobro najwyższe – życie! *Mentalność tajgerska*, aczkolwiek nie jest nowością, to jednak wydaje się, że cywilizacja nie powinna się cofać. W obronie życia niezmiennie wypowiada się Kościół: *Mystici Corporis* (1943), *Deklaracja o eutanazji* Kongregacji Doktryny Wiary (1980), *Cor Unum* (1981), deklaracja Papieskiej Akademii Nauk (1985), list apostołski *Salvifici doloris* Jana Pawła II, *Ewangeliem vitae*, KKK (2276–2283).

Unikanie przez społeczeństwa różnych narodów wydatków na chorych fizycznie i psychicznie ludzi starych prowadzi wprost do totalnej zagłady całej populacji ludzkiej. Pozostaje jeszcze jeden niebagatelny argument, cierpienie jest dla pacjenta i rodziny *sytuacją graniczną, budzi-kiem egzystencjalnym* i w wielu przypadkach prowadzi do wspaniałych odkryć człowieczeństwa jako takiego. Być może, że dojdziemy do wniosku, że to, co nas różni od zwierząt, to właśnie nieświadomość jest a świadome przeżywanie cierpienia. Niestety, człowiek musi zdać sobie sprawę, że wszelkie patologie pochodzą od niego samego, tak zaplanował sobie świat, który był *dobry*. To jest konsekwencja wyborów i działalności człowieka na ziemi.

Powstaje oczywiście dylemat demograficzny na różnych częściach kuli ziemskiej, nie ustają spory natury rasowej i religijnej, w zawieszeniu pytanie, czy Unia Europejska nie jest przypadkiem kolejną próbą wynarodowienia i unifikacji człowieka aż do kraciwoce posuniętej metody – sprowadzenia go do numeru? Dziś już mało kto pyta: *jak się nazywasz*, a raczej pytają o NIP i PESEL, ewentualnie o kody kreskowe na paszportach, dowodach osobistych i prawach jazdy. Jesteśmy *opaskowani* może nieco inaczej niż za czasów Hitlera, niemniej istnieje duże podobieństwo. Doktor Willke, ekspert z dziedziny bioetyki w swoim wywiadzie dla *Głosu dla życia* przytacza opinię, że znacznie się licytacja od ceny, a ceny przeciw ulegają zmianie. Im częstotliwość legalizacji eutanazji znacznie wzrastać, tym niższa będzie cena ludzkiego życia, aż dojdzie do całkowitego zaprzeczenia jakiegokolwiek wartości. Być może to obudzenie się, bo jestem przekonana, że do niego musi dojść, okaże się już zbyt późno.

Skutecznie wyniszczamy wszystko, co mylnie nazywamy dziedzictwem kulturowym. Nie jest chyba przesadą, gdy powiem, że widzę bardzo jasny związek między np. poziomem dofinansowania przez państwo kultury, sztuki i oświaty (raptowne cięcia budżetowe) a stanem zdrowia psychicznego naszego społeczeństwa, które nadspodziewanie szybko pogubiło się w skali wartości. Jako kraj biedny, uzależniamy się coraz bardziej od – nie tylko kapitału – ale też presji konieczności przeżycia na warunkach ponizających, czasami uwłaczających ludzkiej godności. To będzie kolejny krok ku dewaluacji życia. Nie można lekceważyć bólu duchowego, on może stać się bardziej dolegliwy niż fizyczny. Życie musi mieć *s e n s*, a sens przynosi *m i ł o ś ć*. Polska rodzina jest coraz bardziej udreńczona rosnącymi kosztami utrzymania, bezrobociem, ogólną apatią. Rosną uzależnienia alkoholowe, od narkotyków, za tym idą poważne choroby społeczne. Społeczeństwo się starzeje, maleje liczba matek odpowiedzialnie poczynających i kultywujących młode życie. Wydaje się, że od tego typu zjawisk nie ma odwrotu, narastają lawinowo. Podkreśla się znieczulicę. A jednak wystarczy popatrzeć na młodzież, która jest wrażliwa i trzeba stawiać na to pokolenie. Wydaje się, że uzasadnioną rzeczą jest poruszenie wszelkich drażliwych tematów dotyczących życia ludzkiego, ale należy to czynić tak, aby nie stworzyć wizji całkowicie zrujnowanego świata w umysłach młodych. Nowe pokolenia muszą mieć nadzieję.■

Jolanta Baziak

## Alicja Leśniak

### Bez niego

W pustym pokoju.

Zostając sam na sam z myślami o nim, którego znałam tak mało. I tak krótko. Zostając z myślami we wszystkich słowach, których nigdy nie usłyszę. Wszystkich gestach, których nigdy nie zobaczę. Przywołując go i szepcząc: *tatusiu. Tato.*

Przypominając jego ściszony głos. Głos, który jeszcze czasem słyszę. Tak jak wtedy, gdy słuchałam grzecznie tych wszystkich bajek, tych niezrozumiałych dla mnie opowiadań dla dzieci, tych historyjek, które czytał mi co wieczór.

Z twarzą zakrytą rękoma. Z tamtym czasem uciekającym przez palce. Z czasem przepływającym bezpowrotnie. I nieodwracalnie. Przywołując ciągle ten jego głos. Niosąc w sobie ten głos i te dawne, czytane mi historie, których nie rozumiałam i nie rozumiem. Mając w głowie z całą dokładnością każde jego słowo i ton.

Będąc zupełnie sama z ciszą. Trwając w pustym pokoju. Z nim, który jest ze mną w tej pustce. Trwając z nim, który jest we mnie i z tą ciszą.

Z zamkniętymi oczami. Tęskniąc całą sobą. Szarpana na kawałeczki brakiem. Nieobecnością. Oczywistym brakiem. Trwając w milczącym proteście wobec nieprzemijającej oczywistości braku.

Wspominając tamte dni, gdy chodziliśmy razem w pełnym milczeniu. Przywołując te dni, gdy trzymał mnie mocno za rękę. Mnie. Swoją córeczkę.

W schronieniu. W ciemności. W drażących myślach. W chłodzie nocy. Nocy niewiele różniących się pod względem bólu i tęsknoty. W nie-

ubłagalnym czasie. W mijających godzinach. Bezpowrotnie mijających. Bezpowrotnie.

Czasem klęcząc. W ciszy odrywającej się od ścian i wylazającej i wylazającej zza szafy. Klęcząc w nieoświetlonym pokoju i wpatrując się w mrok. Klęcząc samotnie w samotnym pokoju i wpatrując się w nasiąknięte księżycem światło. Wspominając ten czas, gdy siedzieliśmy obok siebie, zjednoczeni w milczeniu. W absolutnym milczeniu.

Lub nagle nieruchomiejąc. Czasem tylko na chwilę. Z oczami utkwionymi w jakiś punkt. Czasem zatrzymując się. Stojąc tak jakiś czas. Tak jak kiedyś, gdy stałam u jego boku, a on objaśniał mi te różne zabawne historyjki.

Lub mogąc zasnąć. Rozmyślając. Przywołując ten rozsypany obraz, gdy szliśmy przed siebie trzymając się za ręce. Gdy tak spacerowaliśmy nie mówiąc nic. Stojąc nieruchomo. Wpatrując się w bezimienną, nasyconą księżycem noc. Dotykając tylko powietrza. Nie mogąc uchwycić go za rękę. Wędrując samotnie. Szukając. Szukając i nie znajdując. Wiedząc, że potem już nic. Więcej nic. Że więcej już nigdy nic.

Leżąc na wznak. Z zamkniętymi oczami. Nieruchomo. Wiedząc, że już nigdy. Więcej nie. Więcej już nigdy nie. Więcej nic.

Otoczona martwą przestrzenią. W brzemieniu narastającej pustki. W czarnym świetle. W mroku, który jest światłem.

Od okna do okna. Od ściany do ściany. Od ściany do okna. Od okna do ściany. Kroki w ciszy. Bez niego.

Noc za nocą. Godzina za godziną. Ból za bólem.■

## Alicja Leśniak

### Bez niej

Noc za nocą. Godzina za godziną. Ból za bólem.

W pustym pokoju.

Ze szmaccianym pajacem. Ze szmaccianym pajacem w dłoni.

Stojąc samotnie ze szmaccianym pajacykiem w dłoni. W puszczonej dłoni. Stojąc w pustym pokoju ze szmaccianym pajacykiem w opuszczonej samotnie dłoni i szepcząc cicho: *mamo. Szukając. Przywołując.*

W gasnących zorzach. W krajobrazach dzieciństwa. W pustych piaskownicach.

W foremkach do babek. W płaczach nieutulonych lalek. W martwych potokach myśli. Myśli szumiących. Szumiących żalem. W brzegach nieruchomych rzek smutku. W promykach żalu.

Biegnąc w marzenia. Szukając. Rozpaczliwie szukając. Wszędzie szukając. Szukając i przywołując.

Rozpaczliwie szukając i rozpaczliwie przywołując. Szepcząc: *Mamusiu, mamo.*

Siedząc przy stole. Z bułką w dłoni. Z nieruchomymi oczyma.

W ciszy. W tęsknocie tkwiącej we mnie. W różnicach wspomnień. W smutnych pejzażach podwórka. W domkach z klocków.

W samochodzikach bez kółek. W porozrzucanych zabawkach. W zamyśleniu. Biegnąc do jej policzków. Do jej czułych gestów. Ciepłych rąk. Tęskniąc do odrobiny. Tęskniąc rozpaczliwie.

Stojąc nieruchomo. Przy oknie. Stojąc nieruchomo przy oknie. W wąskiej szczelinie świa-

ła. Bez uśmiechu. Ze szmaccianym pajacykiem. W dłoni. W bezwładnie opuszczonej dłoni. Prosząc. Prosząc o.

W mroku. W pustce nocy. Z łzą na policzku o świcie. Mając w sobie tajemnicze krasnale. Zabawne lalki i misie. Kocie łby dzieciństwa. Koraliki tęsknoty. Paciorki bólu. Puste aleje. Czarne drzewa. Mając w sobie puste aleje smutku i czarne drzewa samotności. Prosząc. Rozpaczliwie prosząc. Prosząc by.

Nie śpiąc nocą. Siedząc samotnie w kącie. Siedząc godzinami. W ciemności, która oświetla. Ze szmaccianym pajacem w dłoni. W opuszczonej dłoni. Opuszczonej bezwładnie. Samotnej. Dłoni. Siedząc samotnie w kącie ze szmaccianym pajacem w samotnie opuszczonej dłoni. Siedząc nieruchomo. W kącie. W samotnym kącie. W kącie samotnego pokoju.

Siedząc nieruchomo w samotnym kącie ze szmaccianym pajacem w opuszczonej dłoni. Z samotnym pajacem w samotnej dłoni. W samotnie opuszczonej dłoni. Siedząc samotnie. Czekając.

Od płaczu do płaczu. Od bólu do bólu. Od bólu do tęsknoty. Od tęsknoty do tęsknoty.

Od okna do okna. Od ściany do ściany. Od ściany do okna. Od okna do ściany.

Kroki w ciszy. Bez niej.

Puste pejzaże. Przemijające noce. Zabawki cicho szepczące: *mamo.*

Noc za nocą. Godzina za godziną. Ból za bólem.■



Alfons Soczyński

## Od szprotek do teologii

Większość ludzi zachwyca się rekinami i delfinami. Pierwszymi, bo imponujący żarłacz. Rekiny imponują zwłaszcza politykom i biznesmenom. Dlatego najambitniejsi podglądają je w oceanariach oraz starają się od nich pobierać nauki. Cieszy ich to, zwłaszcza gdy zdaje im się, że zaczynają przewyższać swoich oceanicznych mistrzów na drodze do potęgi. Delfinami zachwyca się, gdyż są to, jakże wdzięczne, tancerki morza. Zachwycają się nimi zwłaszcza osoby, mające dusze wrażliwe, esteci i artyści, gdyż zaspokajają one zmysł estetyczny.

Wiesia nie lubi rekinów, wzdryga się na ich widok, woli delfiny, ale uwielbia szprotki. Zwłaszcza wędzone. Ta mała ławica, niedawno miała swoje ostatnie trzy minuty, niczym wszechświat z książki Paula Daviesa. Teraz szprotki leżą na talerzu. Szprotek, Wiesia w zasadzie nie je. Pieszcząc językiem najczulsze miejsca, wyszukując kęsków, delikatnie obskubując, mlaskając, Wiesia się nimi delectuje.

Ja też lubię wędzone szprotki, ale wolę ich milionowe, żywe, zmienne konstelacje, tańczące gwiazdne mgławice, mknące przez morza. Dla mnie szprotki tworzą poezję zmiennych mas, szubujących w toni, jak w przestworzach nieba. Dla niektórych z nich, rekin czy delfin funduje ostatnie trzy minuty, podobne do tych, które według prognoz zachodnich naukowców, czekają kiedyś cały Wszechświat. Wtedy nastąpi koniec wszystkiego, nawet, według materialistów, rzekomo wiecznej, materii.

Jednak zgodnie z naukami buddystów i innych wschodnich mędrców, dla których materia stanowi tylko jedną stronę świata, a nie jest wszystkim i jedynym co istnieje, taki koniec świata, jaki opisują zachodni fizycy, nie jest nigdy końcem ostatecznym. Według nich, takich końców świata było już wiele i będzie jeszcze wiele, gdyż świat powstaje, istnieje jakiś czas, zanika i znowu się odradza, według pewnego, nadzłazdnego, duchowego cyklicznego porządku, w umyśle wiecznego ducha. Są to wieczne cykle przejawiania się ducha w aktach narodzin, rozwoju, obumierania, śmierci i ponownych narodzin, podobne do cykli w przyrodzie. Duchowa struktura świata, na której jak pajęczyna na drzewie, rozpięta jest materia naszego wszechświata,

Podpatrzone  
w Starej Hucie

ta, jest według mędrców wschodnich, wieczna. Dlatego, według nich, nigdy nie będzie ostatecznego końca świata. Każdy koniec jednego, stanowi początek narodzin drugiego, nowego świata. Wraz z tymi przemianami świata duchowego, ulegają również przemianom istoty ludzkie oraz inne istoty żyjące na ziemi i w kosmosie.

Dotyczy to nawet każdej szprotki, która jest także tylko jedną z wielu postaci, jakie może przybrać zarówno pojedyncza istota jak i jeden z nieskończonej ilości światów, a nawet cały wszechświat, którego istota tkwi w wiecznym kręgu cykli narodzin i śmierci. Według buddystów to, co dzieje się w fizycznym życiu ze szprotką czy z człowiekiem, jest tylko iluzją, snem. Życie jest snem, narodziny i śmierć są snem. Istota rzeczywistości tkwi w niewidzialnej, wiecznej sferze duchowej i to tam, po tamtej, a nie po tej stronie, odbywa się, a właściwie wiecznie trwa i najpiękniej jak to sobie można wyobrazić, jaśnieje najczudniejszym blaskiem, niepojęte rozumem, prawdziwe i jedyne życie.

We wszechświecie oceanu rekin zda się być dla szprotki żarłocznym bogiem zła, czarną dziurą kosmosu. A przecież głód i śmierć, jak i inne brutalne prawa życia, to według naszego, opartego na Biblii modelu świata, kara Boga dla Adama i Ewy, za złamanie Prawa, czyli boskiego zakazu. W raję nie było głodu ani apetytu. Nikt nikogo nie musiał pożerać. Żyło się miłością, powietrzem i słowem. Głód w zasadzie niszczy pierwotną wrażliwość na cierpienia drugiej istoty, a dobry apetyt jest przypadkiem szczególnego okrucieństwa. Bóg sam to spowodował, albo pozwolił szatanowi stworzyć głód, aby ukarać całe stworzenie, za grzech jednej jego pary. Bóg, kierując się nie wiadomo jakimi motywami, zastosował w tym wypadku, jak zresztą w wielu innych, odpowiedzialność zbiorową.

Nawet roślina czuje ból i przyjemność, więc wegetarianizm też nie jest wolny od cierpienia, ale jest go tam jakby mniej, gdyż nie ma krwi i jęków. Wrażliwość na ból i śmierć drugiej istoty, która jest bratem lub siostrą wśród bożego stworzenia - jakby powiedział święty Franciszek z Asyżu, winna doprowadzić każdego z nas w końcu do wegetarianizmu. Syci, poprzez cierpienia ofiar, jakimi osiągają swoją sytość, czynią więcej zła na świecie niż głodni, dlatego głodni są jakby bliżej Boga. By nie pomnażać cierpienia, należałoby prawie nic nie jeść, jak to czynili niektórzy święci lub obłąkani.

Ciało naszej ziemi, która kiedyś stanie się padliną na śmietniku dziejów, już jest opuchnięte w niektórych miejscach od nadmiaru cierpienia i żarcia, jak brzuch padliny, w innych miejscach wysuszone z głodu, jak ciała świętych mnichów w ławrze Peczerskiej.

Podbierając Wiesi z talerza, zjadłem piętnaście szprotek. To tak, jakbym na oczach Boga pochłonął w ciągu kwadransa, piętnaście układów planetarnych, na których istniało życie. Aby nie zjadać istot żywych, mniś buddiescy nawet cedzą wodę do picia przez gęste sito. Ile jeszcze spustoszeń w świecie uczynię przez całe życie, nie będąc wegetarianinem? A przecież nie taki ze mnie straszny żarłok! Jaka wobec tego kosmiczna przepaść w stosunku do życia, dzieli mnichów buddieskich od dzisiejszych wojskowych, gotowych nawet, jeśli dla zasad, co na ogół dla zasad zbrodniczych, z wyjątkiem prawa do obrony, ale raczej dla władzy i coraz pełniejszych kieszeni i brzuchów, posyłać na śmierć miliony istot ludzkich.

Czyżby świat zwanego człowieka zochodu, został opanowany przez najstraszniejszą ze stworzonych przez zbrodniarzy przeciwko ludzkości zasad - zwycięzców nikt nie osądza. Czyżby Bóg znowu się spóźnił, jak było to w przypadku Hitlera?\*

Joanna Mioduchowska

## Komarek

- Tato, tato, jak to się robi?

Pan Eustachy ocknął się z poobiedniej drzemki.

- Ani chwili spokoju - pomyślał.

-Tato, tato! - przenikliwy głosik brzmiał coraz wyraźniej.

- Co tam znowu, mój mały brzdącu? - wyszeptał zaszepiony tato, po czym znowu zapadł w sen.

- Tato, tato!, brzeszczotem, siekierką czy nożyczkami?

Tato zerwał się na równe nogi. - Co brzeszczotem? Co siekierką?

- Tato, tato! Już go mam, tylko gdzie teraz? Gdzie uciąć? Może nożki!

Pan Eustachy poczerwieniał z przerażenia.

- Chyba słuch mnie myli - pomyślał.

- A może główkę?

Oczy taty urosły do rozmiaru pięcioletniego. Krew pulsowała w skroniach jak oszalała. Poczuł, jak jego ciało staje się galareta w gęszej skórce. Włosy stają dęba i mało nie wyskoczą z cebulek, a siwizny na zdruzgotanych skroniach tylko patrzeć.

- Tato, tato, ja się brzydzę, ale to podobno dobrze robi - dobiegało z sąsiedniego pokoju.

- Tato, on mnie gryzie!

Pan Eustachy ruszył, niczym Strażnik Teksasu, na odsiecz. Jednym ruchem odepchnął rozsuwane drzwi, spodziewając się ściąć dantejskich scen.

- Tato, nareszcie! Chodź szybko!

Jak wielkie było jego zdziwienie, gdy ujrzął synka siedzącego na dywanie z nożyczkami w rączce.

- Łap go tato, łap go!

- Kogo, synku, kogo?

- Komara, komara!

- Komara?

- Tak! Jeden pan w telewizji mówił, że po obiedzie ucina sobie komara i bardzo dobrze mu to robi, a ja już jadłem obiad.

Pan Eustachy odetchnął z ulgą.

- Synku, mój komar już dawno odleciał.

Chodź, pokażę ci jak to się robi.

Wyciągnął kocyk, wyklepał poduszeczkę i utulił synka do snu. Od tego dnia codziennie po obiedzie razem ucinają sobie komara.

Joanna Mioduchowska

## Definicja (Artysta)

Typ osobowości występuje u niektórych osobników z gatunku homo sapiens. Charakteryzuje się dużą wrażliwością i sobie tylko zrozumiałym postrzeganiem rzeczywistości.

Widzi inaczej

słyszy inaczej

liczy inaczej

chodzi gdzie indziej

przychodzi za późno

odchodzi zbyt wcześnie

i chociaż innym już dawno przeszło

z niejasnych przyczyn

pomimo wszystko

jemu ciągle jeszcze się chce

Stowarzyszenie  
Archiwistów Polskich

## Zarząd Główny

ul. Bonifraterska 6 lok. 21,  
00-213 Warszawa, tel. (22) 635 87 68,  
tel./fax (22) 831 31 71  
www.sap.waw.pl, sap@sap.waw.pl



Jesteśmy najstarszą, największą i najbardziej profesjonalną firmą archiwistyczną w Polsce. Działamy na polskim rynku już od 37 lat.

Zakres naszych usług obejmuje, m.in.:  
Archiwizacja od @ do z

- tworzenie planów organizacji i zarządzania dokumentacją
- przechowywanie dokumentacji
- prowadzenie działalności szkoleniowej w ramach Centrum Edukacji Archiwalnej
- archiwizowanie, porządkowanie dokumentacji
- tworzenie archiwów elektronicznych
- opracowywanie przepisów kancelaryjno-archiwalnych.

# Jaka jesteś współczesna poezjo?

Piotr Rakowski

## Nowa świadomość nowego pokolenia

Antologia „Tekstyli. O rocznikach siedemdziesiątych” pod redakcją Piotra Mareckiego, Igora Stokfiszewskiego i Michała Witkowskiego, wydana przez „Rabid” i Krakowską Alternatywę w roku 2000, to tom o prawie 700 stronach. Według mnie niemal połowa autorów to grafomani kulturowi, pogrobownicy lingwizmu i postmodernizmu, miernoty, zbuntowane wobec kapitalistycznego wolnego rynku i postaw konsumpcjonistycznych, reszta to gniwni zdolni. Nieznana szerzej jako krytyk, Małgorzata Olszewska, w tekście „Głos zgubionej formacji” na łamach „Dziennika Polskiego” napisała:

„Radziłabym przeczytać zwłaszcza: Fiedorczuk (piękne, intymne wiersze), Franczaka (nader ironiczny obserwator rzeczywistości), Honeta („osobny”, dojrzały poetycko twórca), Kuczoka (znakomity, bez wątplenia najlepszy prozaik tej formacji), Lipszyca i Mueller (przedstawiciele lingwizmu), Masłowską („nastoletnia harłaba polskiej literatury”), Podgórnika (jej wiersze wzbudzą kontrowersje), Sieniewiczza (również świetna proza, czekam na możliwość przeczytania powieści „Czwarte niebo”), Wilengowską (dwa „pokoleniowe” opowiadania), Witkowskiego (wyrobiony warsztat prozatorski)”.

O grafomanach, pogrobownikach i miernotach M. Olszewska zająknęła się tylko: „Zastanowił mnie choćby fakt umieszczenia w antologii fragmentu prozy Łuczaka – tekstu na niskim poziomie artystycznym”.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ w rozmowie z TOMASZEM PLATA, autorem artykułu „Niezależni. Niepotrzebni?”, wydrukowanego na łamach „Gazety Wyborczej”:

„Nie ukrywam, że sporo rzeczy, które kiedyś robiłem, wynikało z kompleksu, jaki miałem na punkcie <bruLionu>”. PLATA: „Wzorem dla <Lampy i Iskry Bożej> był <bruLion>, który umiejętnie dawkuje sensację i skandal, wypromował takie sławy, jak Świetlicki, Gretkowska i Podsiadło”.

Plata ani się zająknął, że te „sławy” to preterminowane stare repy i hochsztaplerzy. Plata to cmokier. Jego cmokierstwo jest obrzydliwe i podejrzan:

„Niedawno Dunin-Wąsowicz opublikował serię tomików poetyckich z fioletowymi okładkami. Czy to hold dla słynnej fioletowej serii <bruLionu>, w której przed ponad 10 laty ukazały się tomiki m.in. Świetlickiego, Koehlera, Tekielego?”. DUNIN-WĄSOWICZ: „Próbuję to sprzedać pod takim hasłem. Ale to tylko chwyt marketingowy. Żeby w ogóle ktoś zwrócił uwagę na te książki. Mam nadzieję, że dzięki temu tomik Bartosza Muszyńskiego sprzeda się nie w 15 egzemplarzach, ale w 45”. PLATA: „Dunin-Wąsowicz wydał około 70 książek, nie stracił na 10. Publikował głównie debiuty prozatorskie i poetyckie. Zazwyczaj były lekceważone przez krytykę, a w rezultacie skazane na porażkę”. DUNIN-WĄSOWICZ: „Zarobiłem na książkach Podsiadły i Vargi, antologii <Macie swoich poetów>, słowniku <Parnas-Bis>”. PLATA: „Oblicza, że zanim odkrył Masłowską, z dziennikarskiej pensji dołożył do wydanych książek 100 tys. zł”.

BUNTOWNICY NA 5 MINUT, CZYLI GENERACJA „NIC”

Termin Roberta Ostaszewskiego – „dzieci gorszej koniunktury” – to humbug, reklama oszukańcza, która winna brzmieć: „dzieci złej koniunktury”. Brak wspólnego przeżycia generacyjnego spowodował nieobecność traumatycznego tematu czy motywu. Głosy młodych są chaotyczne, dobiegają z różnych obszarów rzeczywistości. Są

to głosy outsiderskie, nie analizują rzeczywistości.

Poeci generacji „Nic” prezentują niezborną świadomość, dwulicową moralność, rozdwojoną postawę. Kontestacja jest nieumotywowana, bunt trwa dla samego buntu. Dwa źródła inspiracji: kapitalistyczny wolny rynek, i literatura – są w twórczości tematami zastępczymi. Bo tak naprawdę chodzi o zrobienie kariery, także w obszarze literatury, zajętych już przez nieco starszych szczęśliwców takich jak Gretkowska, Świetlicki, Sendeki, Podsiadło, Tekieli. Ze ci szczęśliwcy to hochsztaplerzy? Nieważne. Ważne, że zrobili kariery.

Zmarnowana szansa dwudziestoparolatków – wykształconych, z energią i bez pracy – to zmarnowana szansa ich kariery. Oni chcieliby „zmieniać i budować świat” kapitalizmu dla samych siebie; chcą być bogaci, a nie biedni.

Dwa nurty, dominujące wśród formacji „70”: nurt lingwizmu, w wersji tradycyjnej (linia Mirona Białoszewskiego) i w wersji postmodernistycznej (popłuczyny po warszawskim poecie Andrzej Sosenowski) oraz nurt teatralizacji rzeczywistości (wprowadzenie różnych konwencji literackich, postaci, przepisywanie utworu w nowy tekst czyli sampling), choć zajmują się przede wszystkim badaniem możliwości opisu świata, rozdźwiękiem, jaki zachodzi między językiem a rzeczywistością kapitalizmu, nie doprowadzają autorów do zdobycia mamony, bogactwa, znaczenia. Są skazani na klęskę artystyczną i finansową.

TRAUMA „BIOGRAFII WEWNĘTRZNEJ”  
Gniwni zdolni z formacji „70” sięgnęli do własnej „biografii wewnętrznej” i opisali osobiste doznania, przeżycia dzieciństwa i wczesnej młodości, traumy intelektualnego i psychicznego dojrzewania, różnego rodzaju inicjacje, miłość, gniew, rozczarowanie, swój ironiczny dystans do rzeczywistości zastanej, brak perspektyw rozwojowych, brak pracy, rozstanie się z drugą osobą. W ten obszar wpisali swoje refleksje poetyckie i prozatorskie, stanowiące ich ważne doświadczenie egzystencjalne, choć autorzy są w wieku, kiedy nie w pełni nastąpiło jeszcze oddzielenie życia od lektury.

Na tle „gniewnych zdolnych” z Generacji „Nic”, najmłodszy rybnicy poeci prezentują się dobrze.

Karol Maliszewski – w tekście „Pierwsze notatki. Siedem tomików rybnickich”, wydrukowanym w „Odrze” i w „Plamie” – zauważył:

„Siedem książek, siedem osobowości. I jeszcze pewne nawyki stylistyczne, rodzaj stylistycznej deklaracji wypisanej – jak to się mówi – na czole. Wiek, czytanie, indywidualna wrażliwość, przynależność pokoleniowa, skłonność do takich a nie innych konwencji lirycznych. To wszystko, i jeszcze coś, jakaś tajemnica, mówi o całości. A czym jest ta całość? Czy można ją nazwać <nową poezją rybnicką>?”.

Sądzę, że można.

Nową rybnicką poezję tworzą: MIROSŁAW PAPROTNY, NINA PUKOWIEC, ROBERT RYBICKI, ELŻBIETA MOTYKA, MARCIN HELLEBRAND, ANNA RYBOL, ALEKSANDRA STĘŻAŁA.

Ukazało się drukiem dalszych pięć tomików poetyckich: „Milczeniem szeptem krzykiem” HANNY GARBOCZ, „Synowie Gaji” EWELINY KUŚKI, „Wiersze” KRYSZTYNY WAWRZYNEK, „Wiersze” RYSZARDA SZCZEPANKA I PIOTRA

GABRIELA SKORUPY, „Wiersze” Joachima Bergmana vel STANISŁAWA BRACHMANA.

W pierwszej serii siedmiu tomików ważne tematy wyznaczają motywy – miłości, obsesji nieba i błękitu, seksualności metafizycznej, dialektyki napięć i nastrojów, gry ciemności i światła, nocy i świtu, inicjacji erotycznej, goryczy niespełnienia, wolności, samotności i przyjaźni, sensu życia i bycia poetą, filozofii i egzystencji, pojęcia i obrazu ludzkiego bytu, paradoksu poznawczego, gestu kulturowego, dramatu życia, cierpienia duchowego i psychicznego, quasi-filozoficznego aforyzmu, sytuacji nadrealistycznej. Te siedem zbiorów łączy perspektywa ujrzenia przez autorów świata na nowo i w błysku światła, ustanowienia przez nich nowej rzeczywistości lub jej fragmentu, rozpoznania otoczenia po swojemu.

W drugiej serii istotną problematykę wyznaczają fakty i zdarzenia, tematy i motywy – umarłego dzieciństwa, mijającej młodości, mroźnej miłości, bólu ciała, zachwyty, tęsknoty, zapomnienia, sensu istnienia odczytywanego wspak, inicjacji dojrzewania erotycznego i psychicznego, dialektyki snu i jawy, prawdy i kłamstwa, nudy jak Nowy Babilon i zegarolandii, zakłęt mówionych wierszem i cennej krwi w miejskim szalecie, nudnego miasta i majestatu istnień objawiającego się kiedyś milczą, kremacji ludzkich zwłok i życia kociego, zniewolenia i wolności, spokoju i szaleństwa, umierania z pragnienia, śmierci na ulicy i nad jeziorem, miasta barbarzyńców i cmentarza, pogrzebu, spektaklu barw i westchnień nad małym miasteczkiem, planety pośrodku wszechświata innych zmarłych, samotności i ciszy muzycznych pauz, traumy marzeń i wizji w szarej codziennej rzeczywistości, kreacji „ja” w plastiku przestrzeni pod postacią kreski litery ołówka w ręce, przekraczania granic świadomości w ojczyznę swoich myśli, cierpienia z uśmiechem na twarzy i zadowoleniem w sercu.

Podobnie jak gniwni zdolni z formacji „70” nie zbuntowali się przeciw poprzedzającemu ich pokoleniu lat 60., lecz przyswoili sobie dokonania estetyczne poetów „bruLionu” i postarali o ich kontynuację, tak samo Stanisław Brachman – młodszy o 10 lat od twórców generacji „Nic” – nie zbuntował się przeciw nim, lecz przyswoił sobie traumę „biografii wewnętrznej” i postarł o jej kontynuację: „porzucony/ na autostradzie której nie ma/ więc razem z nią/ zagubiony/ zgubiony/.../ to ta siła bezsilności/ w wygrzebaniu swoich praw/ wymieszanych wewnątrz ciała”.

Mariusz Trynkiewicz

## Ale konkursy!

Mimo mojego znikomego doświadczenia w konkursach poetyckich obiema rękami podpisuję się pod sprostzeniami A. Nagórskiej („Akant” 2003, nr 4). Po moim rocznym zaledwie udziale w różnorakich „impresach” tego typu – na palcach jednej ręki mogę wymienić te, które świadczą o zaangażowaniu i uczciwości Organizatorów: Ludźmierz, Tychy, Agon „Akantu”... i to chyba wszystko?. Większość pozostałych – to głucha studnia (*Ani me, ani be, ani pocałuj mnie w de*). Ale, cóż – świadczy to o kulturze organizatorów imprez kulturalnych... Niektórzy nie raczą nawet odpisać, gdy laureat zwraca się (już nawet nie o dyplom) z zapytaniem, który z nadesłanych wierszy wygrał. Cieszę się, że może to stanowić zachętę dla „młodych twórców”?

O płaceniu haraczu za udział w konkursie już nawet nie wspomnę, bo wydaje mi się zwykłym nieporozumieniem.



## Zbigniew Szwaja

## Rym!

W okresie ogromnego rozwoju nauk i pochodnych od nich struktur we współczesnych społeczeństwach, a w następstwie tego nieograniczonego wprost dostępu do informacji, wiedzy, faktów, dowodów i historii, wszelkie zapytania o funkcje jakichkolwiek członów czy jednostek życia społecznego i publicznego wydają się truziemem bądź prowokacją. Pomimo empirycznych doświadczeń, że „*panta rhei*”, życie w społeczeństwie zostało już wielopłaszczyznowo zdefiniowane, określone w zasięgu i znaczeniu, a nawet tak sformalizowane, że trudno doszukać się w nim jakichkolwiek nieschematycznych działań i pojęć. Pomijam oczywiście nowości, których nie potrafię nawet wymówić, a tym bardziej zapamiętać, bo te jeszcze nie wstąpiły do szeregu codzienności. A mimo tego powszechnego sformalizowania życia, jest jedna taka dziedzina, gdzie wbrew zasadom świadczącym o stabilizacji, a także przeświadczeniom, że u długowiecznych brakuje chęci bądź zdolności do zmian, „*nie ma spokoju pod oliwkami*”, i trwa nieustanny galimatias pojęciowy. Tą dziedziną jest sfera istnienia poezji. Trudno stwierdzić, czy poezja istnieje od czasu pojawienia się człowieka na Ziemi, bo brak na to materialnych dowodów, ale od chwili zamiany dźwięku w słowo istnieje nierozdzielnie z człowiekiem, wywodząc się z jego psychiki poszukiwania piękna. I właśnie ta odwieczna dziedzina nie zaznała dotąd spokoju, stabilizacji, nie mówiąc o trwałych ukojeniach z satysfakcji i należytej chwały. Co gorsze, wybucha wątplenie, czy ona (poezja) w ogóle istnieje, a w defetystycznym wydaniu, czy istnieć powinna.

Przyczyną tego stanu rzeczy jest, jak to często i w innych dziedzinach bywa (na przykład w sprawach istnienia ojczyzny - w oryginalne *Vaterlandu*), ilościowy przyrost znawców w danej dziedzinie (w oryginalne - *hundert Professoren*) oraz (już bez anegdoty) zapewnienie o meritum wyodrębnienia danego zjawiska z tego kłębowiska ludzkich działań i zachowań. W interesującym nas zakresie chodzi naturalnie o odrębność poezji od prozy. To jest meritum istnienia tego zjawiska. I jest to jedyne kryterium, o którym nie można zapominać przy jakichkolwiek słownych zabiegach, związanych z istnieniem bądź nieistnieniem poezji.

Proza istnieje w literaturze, gdy różni się od poezji. Poezja, aby istnieć samodzielnie, musi odznaczać się czymś, czego brak prozie. Są to dwa zasadnicze kryteria, które rozstrzygają wszelkie spory, wyjaśniają wątpliwości i sprowadzają błądzących w obłokach na ziemię. Jest to sprawa jednoznaczna, niepodważalna, definitywnie kreatywna dla wszelkich badań w tej sprawie. Pozostaje jednak w sporze, co stanowi owo kryterium odrębności. Zapewne, poprzez dogłębne analizy i wszechstronne syntezы występujących różnic między prozą i poezją, da się wyodrębnić kilka czynników bądź składników, które tę odrębność uwypuklą lub wyostają, ale wszystkie one będą mieć swoje źródło w pryncypialnej odrębności prozy od poezji. A oto ono: proza nie stosuje rymu, bo stanie się poezją; *poezja bez rymu jest niewątpliwie prozą*. Tertium non datur, przynajmniej na tym szczeblu definiowania zjawisk. A zatem możemy określić generalne, zwierzchnie, nadrzędne pojęcie poezji jako zjawiska, że: rym jest jedynym niewątpliwym wskaźnikiem istnienia poezji, a jego brak świadczy jednoznacznie o braku poezji. I, czy to będzie definicja twórczości literackiej, ocena umiejętności ludzkiej, a nawet weryfikacja „*sztuki pisania wierszy*”, muszą one w swojej deklaracji wiarygodności zawierać powyższe naczelną signum poezji. Możemy z powodzeniem stosować okre-

ślenie prozy poetyckiej, jako naśladowanej poezji i zawierającej pewne jej walory, ale jakiegokolwiek pojęcia zbliżone lub tożsame z określeniem „*poezja prozą*” byłoby dziwołaniem, chociaż czasami próbuje się przemycić do świata poezji dwuznaczne pojęcia w tej kwestii, jak np. poemat prozą. I to byłoby na tyle w tej kwestii, jak zwykły kończyć swe wywody niezawodny Jan Tadeusz Stanisławski.

Poeta! Kto to taki? Gdy odszukamy jego definicje w leksykonach, stwierdzimy, że ogniskują się one wokół pojęcia człowieka, który pisze utwory poetyckie, a zwłaszcza wiersze. To nowoczesna, współczesna definicja twórcy literackiego, zajmującego się poezją. Jak widać jest to określenie nawiązujące do swojej macierzy, czyli poezji, poprzez utwory, które twórca pisze. W tym ujęciu jest to zatem określenie jednoznaczne, zdefiniowane przez słowo „*poetycki*”. U jednych „*poetycki*” zdolny do tworzenia poezji, właściwy dla poezji, należący do poezji, u drugich to przymiotnik, odnoszący się do poety, do tego, co on tworzy. W zgodzie z wywodami dotyczącymi poezji należy uściślić pojęcie utworu poetyckiego do takiego, w którym jest stosowany rym. Tym samym dotyczy to również wierszy, chociaż ich definicja, wypaczona wieloma względami, daleka jest od istoty związku takiego utworu literackiego z poezją. W konkluzji tych rozważań poetą jest twórca literacki, piszący rymowane utwory. Niech nie przeraża nikogo nie objęcie tą definicją znanych, cenionych i poważanych ze wszech miar literackich twórców, stosujących do tychczas miano poety. To nie jest jakościowa weryfikacja dzieł i twórców, a jedynie próba lub rygor uporządkowania nomenklatury w literackim świecie. I w takim dopiero ujęciu należy kojarzyć wywody tego artykułu z jego tytułem. Jaka jest zatem rola zdefiniowanego powyżej poety?

Zanim odpowiemy na to pytanie, spróbujmy najpierw określić realną pozycję takiego twórcy w naszym społeczeństwie. Przede wszystkim, uwydatnia się tu sytuacja, tak zwanych tekściarzy. Stanowią oni lekceważoną przez literaturę grupę twórców, bo nie związaną z pietyzmem samego słowa, tylko ze słowem, towarzyszącym popularnej muzyce, co ponoć jest czynnością dużo prostszą, ale intratniejszą, niż sama czysta twórczość literacka. Decyduje to zresztą o praktycznym wyalienowaniu tej grupy twórców od tak zwanych klasycznych literatów, z którymi zresztą wcale nie są skłonni się utożsamiać, a jeżeli, to dopiero po osiągnięciu pełnej samodzielności życiowej i twórczej. Dla tej grupy poetów określenie roli będzie zatem zupełnie inne, niż dla pozostałych wyznawców skrzydlatego konia. W skrócie da się ją ograniczyć do lapidarnego okrzyku: „*Kochani! Tak trzymać!*”. Teksty wielu polskich piosenek, a jeszcze lepiej, tekściarzy, mają poziom światowy, bo często skrzą się od najwspanialszych, oryginalnych rymów. Ich twórcy przodują w kulturze słowa bardzo często przed rasowymi poetami, a zatem ich rolę jest nie dopuścić do obniżenia się tej pozycji.

Wśród pozatekściarskich uczestników w tak zwanej lirycznej twórczości literackiej wierszopisci, stosujący rym w swojej twórczości stanowią niewielką część. Nawet dwóch poetów nie przypada na dziesięciu twórców! I dla tych „*mienszewików*” krystalizuje się rola szczególna, jak dla misjonarzy lub dla, dobijanych wszelkimi sposobami, aborygenów. Mimo stwierdzenia niektórych badaczy, a nawet twórców, że rym poszedł na emeryturę (M. Jastrun „*Między słowem a milczeniem*”), nie należy się lękać ani wzdragać kontaktów z emerytem. To nie trędowaty, ani zakażony wirusem. To może niemodny starszy pan, ale pełen zaszug w przeszłości i czaru w chwili obecnej. W wyrażaniu uczuć i w obrazowaniu zjawisk, pieporównywalnie bogatszy, niż inni rygorysty literackiej mordęgi. To bezsprzecznie wybitny atrybut polskości w literaturze. Niezawodny w każdej potrzebie, a stokroć bardziej czytelny niż jakiegokolwiek inne instrumenty literatury związanej. Może być nieco pachnący naftaliną, bo odkładany często do szuflad i na półki, do tak

zwanego własnego użytku, ale z tego powodu wcale nie mniej przydatny do konstruowania nowoczesnych figur z zastosowaniem metafor i porównań, jakie mogą być warunkiem wartości wiersza. Ten emeryt jest pełen wigoru i twórczej energii, a dzięki temu godny nie tylko przywrócenia go do czynnego ruchu, ale i do poszanowania jego wiekowej tradycji i różnorodności. Rolą poetów jest jednak nie tylko mieć dla staruszka estymę, ale i wynikający z racjonalnych względów obowiązek pełnego wykorzystania jego możliwości w ich arcytrudnych zmaganiach ze słowem. Przewidując, że nie będzie to łatwe wobec powszechnego wyparcia pozycji poetyckich przez prozatorskie mody, należałoby niewątpliwie dokonać mobilizacji zwolenników prawdziwej poezji, aby dolożeniem starań, finezją precyzji sformułowań i wszelkimi akcentami talentu i sztuki pisarskiego stworzyć właściwy front przypomnienia, a także dokumentowania na nowo wpływu rymu na istnienie i wartość poezji w kulturze. Trudno wyznaczać tu jakieś konkretne postępowanie w pełnieniu takiej roli poetów, ale nie będzie zapewne nietaktem sugestia, aby tworzyć stowarzyszenia, koła czy nawet kółeczka twórców - zwolenników, entuzjastów i wielbicieli rymowanej twórczości literackiej w celu rozszerzenia jej zasięgu i rozmiarów, zarówno co do jej czytelności i znawstwa, jak ilości wydań utworów poetyckich. Taka ekspansja ze strony emeryckiej poezji stanowi dla poetów nie tylko pole do odegrania właściwej roli, ale zapewne potrafi także uaktywnić przedwcześnie wysłanego na emeryturę delikwenta.

Szczególna rola w tej antyemeryckiej kampanii literackiej przypada poetom utajonym, to jest tym, którzy potrafią zastosować z wymiernym skutkiem rym w swojej twórczości, ale nie czynią tego ze względu na poddanie się wymogom mody lub innym naciskom, nie wyłączając tu intratności, wygody i lenistwa. Na ich barkach spocznie bowiem niewątpliwie szansa przekonywania odbiorców twórczości literackiej, że poezja nie straciła swojego blasku i subtelnego kreowania gustów ludzkich, gdy swoją nawróconą na poezję twórczością udowodnią atrakcje i zrozumiałość rymowanych wierszy. Poezja prawdziwa ma to do siebie, że łączy się z ludzkimi pragnieniami i dążeniami do doskonalenia swoich doznań i przeżyć, w nieporównywalnie większej skali, niż wszelkie nowoczesne odgałęzienia od klasycznych form poetyckiego wyrazu. To zaś jest drogą do upowszechnienia wcale nie emeryckich możliwości poezji, a następnie do stałego doskonalenia, różnicowania czy uatrakcyjnienia, a przede wszystkim upowszechnienia poetyckiej twórczości.

Jest oczywiste, że na skutek wypełnienia powyżej zróżnicowanych ról poetów, w naszym kraju najwięcej korzyści zyskają takie społeczne odruchy, jak wrażliwość, uczuciowość, a za nimi obyczaje i zachowania. Przyswajalna poezja nigdy nie działa na szkodę społeczeństwa, a to niemal uszlachetnia rolę dla czynnych poetów.✻

Sztuka i doświadczenie

PRACOWNIA PLASTYCZNA  
HALINY I WŁODZIMIERZA KRZEMKOWSKICH

Hart

ul. Malinowa 6, 85-363 Bydgoszcz  
tel. 052/379 67 89, e-mail: krzemart@abas.plUsługi z zakresu:  
grafika użytkowa, reklama, informacja  
wizualna, projektowanie mebli i wnętrz

Piotr Paschke

## W zaświatach cieni

Podniesiony Głos domagał się natychmiastowej audiencji w biurze rzecznika cieni pierwszej kategorii. Urzędnik niższego szczebla, baczynym okiem karykaturzysty oceniał go, niczym wartość dodatkowej nagrody pocieszenia, kiedy do uszu pozostałych, zebranych w urzędzie petentów, zaczął dobiegać wyraźny, choć jeszcze zupełnie niemiarowy ton tej wypowiedzi, obchodzącej tłumnie całkiem uroczysty, choć nieodległy jeszcze czas. Czas działał bowiem poza podziałami terytorialnymi urzędu rzecznika cieni, zawsze zaoparty obficie w korespondencję, prowadzenie spraw urzędowych traktujący nadzwyczaj sumiennie i lożący niezwykle często z własnej kieszeni na budowanie konsekwentnego chwaleństwa własnego wizerunku.

Urząd ma być zupełnie wolny od kolportowania kolorowych folderów z plotkami i uwodzieleńskimi łatwiznami! – niemalże krzyknął Głos. – I dość spędzającego nam sen z powiek uczucia miernej kondycji dawno temu nagrodzonych cieni! Opiszcie to w najdrobniejszych szczegółach i Nobla dla mnie, Nobla za mój cień w literaturze!

– Ależ, drogi Głosie. – prawie wyszeptał Wyższy urzędnik do spraw cieni petentów. – Pożytek z tego, co wykrzykniesz, może być tylko jeden: uświadomienie, iż na takie dobra dla cieni zbyt wiele wydawać nie warto. A po dokonaniu niezbędnej selekcji środków wyrażania siebie poprzez skrawek celulozy, innym, jeszcze czytującym, wydawać się jeszcze powinno, że istnienie przez dziesięciolecia tych samych, czołowych cieni, nie potrzebuje już tak hałaśliwej i dodatkowej reklamy, bo samo się w końcu zdeaktualizuje.

– Wszystkie wyższe i nagrodzone cienie utrzymują nas, maluczkich, w wierze, że tylko przedsięwzięcia rzecznika cieni mają sens i przy-

szłość. – usłuźnie przyłączył się do dyskusji Cień grafomański czterdziestej pierwszej kategorii. – Tak zwane dobre życzenia, oczywiście przez pryzmat przyznanych nagród, okazują się czasami prorocze. I temu Głos nie chyba nie odważy się zaprzeczyć?

– Oczywiście, że nie. Nie chcę być posądżony o domniemane obrazoburstwo. – rzekł rozgorączkowany Głos. – Ale głos dla wielu prowincjonalnych, a czasami wręcz zациenionych środowisk, może okazać się niewygodny, a nawet nazbyt hojnie dotowany. Nie jestem jednak nieznanym debiutantem w sztuce oracji. Poza tym, odzywam się bez posłizgów, przestojów i łączonych numeracji pomimo mojego, sędziwego wieku. W kapitalistycznym dobrobycie wydawanie „jedyńie słusznego” głosu na świat ma być sprawą wykonalną? Głos ma szansę być żywym, aktualnym, zdolnym do prowadzenia dyskusji i polemiki, które przyciągną do niego o wiele więcej obiecujących, chociaż dzisiaj mniej znanych cieni.

– Rozumiem wasze niezadowolone i aktualnego stanu naszych zaświatów. – starał się użyć łagodnej perswazji Wyższy urzędnik do spraw cieni petentów. – Na początku staraliście się, i owszem, być przygodnym cieniem, szkieletem konstrukcji dla cieni o wiele mniej wówczas wyrazistych. Ale przejścia pomiędzy cieniem a głosem nie wychodzą na ogół nagrodzonym na dobre. Zmagają się bowiem dzielnie, chociaż coraz bardziej milcząco, z codziennością, doświadczać całej jej różnorodności i nieobliczalności. A wasza oportunistyczna postawa jest jedynie wdzicznym polem do wnikliwej analizy, niczym ponadto.

– Sztuczność, pozbawiona pożytku, jest mi wręcz niezbędna do tworzenia własnego cienia. – próbował przekonywać Głos, mając już niemal dosłownie łzy w oczach. – Z mojego miejsca na piedestale i w moim wieku nie potrafię już, tak jak dawniej, wsłuchać się dobrze w opowieści mniejszych ode mnie cieni, a to bierze się zapewne z braku zaufania do instytucji centralnych i decyzyjnych, ze zdaniem których muszę się coraz bardziej liczyć.

– I tu wyszła z was cała wasza obłuda. – ponownie odezwał się słuźczy Cień grafomański czterdziestej pierwszej kategorii. – Tłenu wam trzeba, tlenu! A cień tlenu nie potrzebuje, lecz wycieczony przez urządek chęci do życia. Staracie mi się zrównoważyć swoistą perelką oracji, choć na porządny garnitur i krawat prawie nigdy nie było was stać?

– Wy, Głosie, to byście chcieli od razu, najlepiej raz jeszcze, nagrody Nobla. A czy wy wiecie, że ta nagroda to w rzeczywistości największy cień, jaki można postawić głosiowi? – spokojnie, na zasadzie nauczyciela, tłumaczącego dosłownie po raz n-ty opomnemu na wiedzę uczniowi pierwsze prawo Newtona, perswadował Wyższy urzędnik do spraw cieni petentów.

– A to niby dlaczego? – zapytał coraz bardziej rozgorączkowany Głos.

– A cóż można wyrwać świetlistemu, niezniszczalnemu i miłoścowi nam panującemu cieniowi pierwszej kategorii? Jak podzielić wspomnianą, a pokazaną w swoich materialnych wymiarach nagrodę, by inni nie zrzucili nam bufonady, skąpstwa, nieprzemysłanych decyzji czy braku intencji? Jak wytłumaczyć cieniem niższych kategorii, że to nie ja jestem nietykalny, lecz historia, która dla mnie samego jest i niesprawiedliwym sędzią i plutonem egzekucyjnym? Drogi Głosie, jesteście jedynie gadatliwi, posadzając cienie wyższej kategorii o jakikolwiek manipulację. – rzekł zdecydowanie urzędnik. – A to urzędy, wspomagane odpowiednio ukierunkowanym i często-kroć równie odpowiednio dobiegającym towarzystwem, przyznają wszystkie nagrody!

– W tym sęk. – wtrącił Cień czterdziestej pierwszej kategorii. – Bo skąd miało by się narodzić gęste stado epigonów, zachwyconych osiągnięciami pojedynczego, nagrodzonego cienia? Skąd cytaty z wypowiedzi, skąd głos, wołający o kolejne zrozumienie dla wyrwanej z serca, a i tak już wkrótce zapomnianej, wypowiedzi? Wy, Głos, to tylko się bronicie, a to nie tędy droga. Najpierw trzeba zgodzić się z cieniami pierwszych katego-

rii, a oni dopuszczają, pogłaszczą, wyłożą odpowiednie kwoty, wydadzą, rozkolportują, zorganizują, ale... i odnotują w annałach, co trzeba. Tak, jak i dawniej bywało...

Wyższy urzędnik do spraw cieni petentów uśmiechnął się w kierunku Cienia grafomańskiego czterdziestej pierwszej kategorii bardzo szeroko, niezwykle zadowolony z kontynuacji swego wywodu przez cień niższej konieczności, poczyniwszy gwałtownie, odwracając głowę w kierunku coraz bardziej zrezygnowanego Głosu, zaintonował swoją kwiecistą, jego zdaniem niezwykle nasyconymi aspektami obrazoburczymi, lecz jedynie słuszną z punktu widzenia potrzeb urzędu, tyradę:

– Wy mnie tu, Głos, chcecie imputować wasza jedynie słuszną rację? A kim wy, Głos, tak naprawdę jesteście? Myślisz pan, panie Głos, że potrafiś pan coś zmienić w naszych zaświatach cieni poprzez, chociażby, swoje pochodzenie? Pan się jeszcze masz czelność tym ludziom? W naszych cudownie nierealnych zaświatach, gdzie wydaje się rocznie około dwóch tysięcy książek poetyckich, Głos, pojedynczy Głos, nie ma żadnych szans na wprowadzenie, w tym wieku w jakim obecnie jest, jakichkolwiek innowacji. Pozwalamy mu jeszcze uwierzyć, że nie odcina jedynie starych kuponów, bo i przecież niemalże ćwierć wieku od faktu zdobycia głównego kuponu konkursowego minęło, ale nasz urządek do spraw cieni petentów doskonale zdaje sobie sprawę, że w zaświatach cieni niedługo przyjść mu będzie pora. Owszem, pewna trudność istnieje, bowiem Głos cienia, już za swego życia, przeszedł niewątpliwie do historii. Ale z tym faktem, wierzcie mi drogi panie Głos, urządek, taki jak nasz, także umie sobie poradzic. Wydrukuje się go w paru podręcznikach, marmurowy pomnik na grobie w alei zasłużonych i w paru innych miejscach naszej cudownej krainy postawi, kilku uliczkom na obrzeżach zmieni nazwę, posilkując się nazwiskiem nagrodzonego cienia i po kropocie. No, widzicie Głos, nie takie to znowu skomplikowane. A wy od razu „Nobla dla mnie, Nobla...”

– Pazerność na tlen, na tlen... – mruknął pod nosem Cień grafomański czterdziestej pierwszej kategorii. – Ja to bym ten podniesiony Głos, panie naczelniku, nauczył w końcu, gdzie jego miejsce w historii! I niech mu się nie wydaje, że jak raz mu się udało, to już tak musi być zawsze.

– A co mi tu cień grafomański niskiej kategorii sugeruje? Marsz do kolejki! Cień jak myśli, że nam może przyklaskiwać, (a urzędnik się na to w swej łaskawości zgodzi), to już od razu można głos zabrać i o tlenie wspominać? Przystańcie szerzyć fałszywe świadectwo przeciwko obiecującym jeszcze cieniem, które nadal, pomimo wszystko, coś tam tworzą i dla nas pracują!

– Ja tylko tak... – Cień grafomański czterdziestej pierwszej kategorii, chyłąc się na głębokich ukłonach, wycofał się na sam koniec długiej kolejki.

– No dobra, panie Głos. Udzielam wam jeszcze głosu, ale tylko przez wzgląd na wasze zasługi. I niech się panu wydaje, że ze względu na znajomość praw, rządzących językiem podczas oracji, urządek zezwala na zabranie poczynnego miejsca w kolejce. I niech wam także będzie, iż my się na to zgadzamy bez jakichkolwiek zastrzeżeń. – rzekł Wyższy urzędnik do spraw cieni petentów, po czym zamasyżycie złożył autograf na podaniu, kwitując go rzędem równo stawianych pieczętek Ministerstwa do spraw cieni pod okrągłymi literami.

Głos opuścił urządek już znacznie spokojniejszy, ale z pewnością nie było mu ani do śmiechu, ani, tym bardziej, do kwiecistej przemowy. Czuł się wewnętrznie spruty, niczym stara chabeta, zmuszana do ciągnięcia przeladowanego do granic wozu, której obiecało się tylko parę ziaren obroku za całodniową harówkę. A na tworzenie czegośkolwiek dla długiej kolejki nowych cieni nie przejawiał już absolutnie żadnej ochoty.

Przecież, od zarania świata, w zaświatach cieni równie łatwo podcina się skrzydła głosom co stawia pieczętki. A urzędnicy „sprawiają się” tak dobrze, że i kolejki do ich okienek coraz krótsze. ✪

## Bożena Żyś

## „A jeśli...?”

Patrząc na to co serwuje współczesna poezja, przyznam, iż mam podobne odczucia jak Jerzy Kałwak („Akant” 2002, nr 11, s. 43). Ta nadprodukcja wierszy sprawia, że ilość zabija jakość...

Osobiście mam wątpliwości, dotyczące współczesnej poezji i te wątpliwości wyrażam w kluczowym wierszu pt. „A jeśli...”. Uważam, że znaczna część współczesnych poetów dryfuje ku szczytom chorego rozsądku. Wyczuwam u nich pogoń za szokiem, pojedynczością, czy też złe pojmovaną oryginalnością. Taka poezja męczy aż do bólu, nie dając pozytywnych doznań. Tyle w niej intelektu, łęku, nicości... bólu istnienia i metafizycznych błędów, że ręce opadają. Przeciwnie to masowe „dołowanie”. Za dużo obłędu, a za mało mądrości. Widocznie mądrość nie jest w modzie, bo ona kosztuje... Przypomnę, iż chodzi mi o mądrość, rozumianą jako wiedzę opartą wartościami. Nie boję się powiedzieć, że poezja pozbawiona wartości duchowych jest bez wartości!

Mam wrażenie, że już od dziesięcioleci, część twórców dała się nabrac na absurdałną „nowomowę” / chcą się wyrazić tak, jak nikt dotąd – „rozwalcowany trup gwałconego słowa” / I tak rodzi się horror poetycki. Niestety, kryje się za tym pułapka bogactwa formy wyrazu i ubogi sens...

W znacznej części współczesna poezja dotknięta jest chorobą, którą nazwę *astralizmem poetyckim*. Objawia się ona bełkotliwą paplaniną o wszystkim i o niczym oraz niezbornym operowaniem słowami. Bezczelnie atakuje tych, którzy potrafią zadziwić się wartościami, harmonią i sensem istnienia. Można się nie zgodzić z moją diagnozą. Wolna wola... Dodam, iż w chorobliwym klimacie *astralizmu*, trudno zaistnieć prawdziwemu artyście. Jednak wyczuwam, że zbliża się czas rozliczenia. Może nie warto się trudzić, by kopać grób dla poezji rozumu. Wystarczy proste rozliczenie w kuble na śmieci... Wtedy staną się widoczni poeci wielkiego formatu, którzy jedynym głosem, konkretnie będą mówić o wartościach duchowych. Oni odnajdą, przypomną i ożywią zagubiony wymiar w człowieku. Użyją prostego piękna, by ukazać dobro...

Trzecie tysiąclecie woła o wzrost w człowieczeństwie. Trzeba nam poetów nadziei, aby pokonać psychozę lęku. Twórców, co sam na sam obcuja z tajemnicą życia i śmierci, którzy wskażą to, co najważniejsze... Pokażą, że warto i można pięknie w pełni żyć... Pomimo iż tematy takie jak *praca, miłość, Bóg, szczęście...* i *cierpienie* poruszane są w poezji od wieków. ✪



Marcin Smoliński

## Czy możliwa jest dobra poezja kapłańska?

Podjęmę akantową dyskusję poezji kapłańskiej („Akant” 2001, nr 11; nr 13; 2002, nr 1).

Tak jak możliwa jest artystycznie „słaba” i mało oryginalna poezja kapłańska, możliwa jest również liryka dobra i zasługująca na uznanie, której autorami są księża. Powołanie kapłańskie stać się może tyleż ograniczeniem możliwości i potencjału twórczego, co inspiracją i źródłem ich pogłębiania oraz poszerzenia twórczości o nowe, interesujące motywy i tematy. Bycie księdzem oprócz szczególnego wymiaru tego powołania, jest także pewną rolą społeczną, którą przecież pełni każdy artysta.

Analizując kapłańską twórczość „przebrnąłem” przez wiele poetyckich tomów, w których ową „bycie urzędnikiem i funkcjonariuszem Kościoła” staje się faktycznie barierą niemożliwą do przekroczenia. Poezja ta wówczas wydaje się być jeszcze jednym obszarem wąsko i schematycznie rozumianej, by tak powiedzieć, „działalności duszpasterskiej”. Poetyckie utwory zaś to swoiste „religijne laurki”. Jednak twórczość o takim charakterze pomijam. Zresztą nierzadko przecież u twórców świeckich mamy do czynienia z poezją pisaną według prostych schematów, w których „życiowe doświadczenia”, pełnienie społecznych ról i zadań, posiadanie określonych poglądów, wyznawanie takich a nie innych wartości, nie jest przekuwane w oryginalną artystyczną formę. Poezję taką można często określić mianem paraliterackiego ekszhibicjonizmu z wręcz obsesyjnie wyeksponowanym „ja” lirycznym. I cóż z tego, że twórczość ta odznacza się wysokim stopniem autentyczności, że myśli poety „biegną własną drogą”. To wszak warunek nie wystarczający, by już mówić o poezji artystycznie ambitnej, kreującej nowe światy i tym samym poruszającej czytelnika. Problemem nie jest zatem, według mnie, kapłańskie powołanie, fakt bycia poetą i księdzem równocześnie. To element ważny, kontekst „nieredukowalny”, lecz przecież nie decydujący o jakości poezji, choć często wpływający na jej kształt i charakter. Sam termin „poezja kapłańska” jest jedynie określeniem wspólnoty twórców zbliżonych tylko tym, że są kapłanami. Bowiem poezja poszczególnych księży-poetów bardziej niż do siebie podobna, różni się i to zarówno w zakresie poetyki, kontekstów, nawiązań jak i tematyki, motywów. Najważniejszy zdaje się być sam tekst literacki, sama poezja jakkolwiek byśmy jej nie dzielili, na dobrą i złą, artystycznie dojrzałą, oryginalną czy też literacko „szkolną”, epigońską. Podobnie jest z podziałem na poezję świecką i duchowną. To rozróżnienie niewiele mówiące o twórczości, to podział „techniczny”, sztuczny, być może jakoś klasyfikujący twórców, lecz nic ponad to. Nie wprowadza żadnych rozróżnień i kryteriów artystycznych, nie porządkuje nawet tematów i literackich wątków. Co gorsza, podział taki niebezpiecznie może determinować oraz określać drogi interpretowania poezji, może wprowadzać i budować pewne uprzedzenia i nastawienia przed lekturą.

Oczywiście trudno odnaleźć w rozległej przestrzeni kapłańskiej twórczości utworów obrazoburczych, bluźnierczych (Czy można z tego uczynić zarzut pod adresem tej liryki!?). Niewątpliwie tym samym poezja księży reprezentuje pewien określony typ i model liryki, jednak to obszar zbyt pojemny i uniwersalny, by mówić tu o jakimś hermetycznym, wewnętrznie spójnym, prostym i nie-

zróżnicowanym zjawisku literackim. Bezsprzeczny jest fakt, że twórczość ta obfituje w literackie obrazy z „teologicznym tłem”. Nie pozbawione są one jednak egzystencjalnych napięć. Przestrzeń *sacrum* nieustannie łączy się z płaszczyzną ludzkich wyborów, dramatów, wątpliwości i pytań. Liryka kapłańska często ukazuje poszukiwanie i drogę bez wyraźnego „horyzontu”, choć wydawać by się mogło, że ów „punkt dojścia” jest z góry nakreślony. Bóg nie jest odnaleziony i odkryty arbitralnie, „raz na zawsze”. Droga Jego poszukiwania to w poezji kapłańskiej nierzadko sytuacje literacko zdynamizowane, pełne oryginalnych symboli, metafor i twórczego poetyckiego myślenia, które stawia czytelnika w obliczu najróżniejszych dylematów. Chrześcijańskie dogmaty nie wydają się być tu przeszkodą. W wielu utworach są zapewne przestrzenią odniesień, podobnie zresztą jak sama Biblia, jednak to w równym stopniu może poezję ubogacić, co sprowadzić ją jedynie do prostej literackiej transpozycji pewnych wątków biblijnych, czy prawd dogmatycznych. Tak się przecież dzieje w przypadku nawiązań filozoficznych, odniesień do obszaru innych dziedzin sztuki i szeroko rozumianej kultury, gdzie, upraszczając, wyróżnić można odniesienia twórcze i odtwórcze. Dogmaty będące zasadami wiary są podstawą chrześcijańskiej religii, choć to przecież nie wyklucza tego, by człowiek religijny wątpli, by poszukiwał. Poszukiwać może zatem także kapłan. Na pytanie czy książd jak „osoba dogmatyczna” może być poetą autentycznym, odpowiedzieć można pytaniem: czy chrześcijanin traktujący swą religię „serio”, a tym samym uwzględniający chrześcijańskie dogmaty jest w stanie stworzyć „prawdziwą poezję”? To są chybotliwe pytania. Twórczość kapłańska nie jawi się jako syntetyczne traktaty teologiczne, czy religijne manifesty. To literacka próba pokazania wiary jako drogi jednak bardzo indywidualnej, osobistej. Choć przecież liryka ta przedstawia problematykę często bardzo uniwersalną, nie związaną z kwestią wiary.

Czy powołanie kapłańskie stanowi przeszkodę w byciu poetą, czy będąc poetą trzeba przestać być księdzem? Moim zdaniem nie jest możliwe takie rozdzielenie, choć wielu twórców nigdy nie przestając byciem kapłanem, nie jest w stanie być dobrym poetą. Powołanie staje się wówczas nie oryginalną perspektywą, lecz ciasnym „gorsetem” i dlatego sama poezja w swym charakterze wydaje się być wtedy jedynie jakimś dopełnieniem kapłańskich obowiązków i powinności. W przypadku ciekawej, poruszającej twórczości, odkrywamy tożsamość literacko spójną, pełną i stabilną. Artystycznie to osobowość w równym stopniu księdza jak i poety. Tworząc poezję nie wkracza się w jakiś abstrakcyjny, wymagowany świat poezji, będąc tam kimś innym niż w rzeczywistości. Poezja kapłańska to często doskonały przykład połączenia owej materii osobistych doświadczeń, przeżyć, wartości, uczuć i emocji ze sferą problemów natury filozoficznej i teologicznej. Jednak na gruncie tych kontekstów powstać może poezja różna, w zależności od indywidualności twórców, ich poetyckiej intuicji, umiejętności a także oczywiście pragnienia tworzenia literatury autentycznej, odważnej, nie cofającej się przed istotnymi pytaniami. Twórcą takiej literatury, jak sądzę, z powodzeniem stać się może również kapłan.✶

Stefan Pastuszewski

I-i

Trudno zgodzić się z sofistyką Marcina Smolińskiego, zawartą w stwierdzeniu, iż „powołanie kapłańskie stać się może tyleż ograniczeniem możliwości i potencjału twórczego, co inspiracją i źródłem ich pogłębiania oraz poszerzenia twórczości o nowe, interesujące motywy i tematy” („Akant” 2003, nr 8).

Tak, ale... „to i to... i-i... .

Panie Marcinie, w życiu, a szczególnie w sztuce, waga nie waha się bez ostatecznego wskazania! Albo coś ciąży albo coś uskrzydla. Widać to wyraźnie w twórczości najwyższego kapłana rzymskokatolickiego, w świecie i poezji znanego jako Karol Wojtyła, który usiłował w jedną oś zestrzelić trzy osie: teologiczną, filozoficzną i artystyczną, uzyskując w efekcie, czyli w „Tryptyku rzymskim”, wybitną, rozpoetyzowaną, choć tylko homiletykę, z wyjątkiem dwóch, trzech poetyckich olśnień, m.in. o *wędrówce pod górę do źródła*, tak namolnie przywoływane przez egzegetów („Akant” 2003, nr 5, s. 36).

Istotowe skrępowanie liryki kapłańskiej wynika nie tylko z faktu bycia funkcjonariuszem Kościoła Rzymskokatolickiego, ortodoksyjnego ze swej natury i wymagającego doktrynalnego sprawowania Urzędu Nauczycielskiego, ale i z posługiwania się określonym, sztywno skodyfikowanym jeśli idzie o pojęcia filozoficzne, językiem. A poezja to przecież *inwencja języka!* Tak więc, jeśli kapłan nie chce być herezjarchą, to ani nie może opuścić nawy doktryny ani też czółna eklezjalnego języka, z wyjątkiem dwóch, jakże chwalebnych przypadków, o wąskim jednak zakresie tematycznym: obyczajowości (bp Ignacy Krasicki) i potocznego, dziecięcego przeżywania życia oraz wiary (ks. Jan Twardowski). Skrępowanie językowe u wierszujących kapłanów podobne jest do skrępowania u wierszujących dziennikarzy (piętno reporterki, pogoni za nowością, potoczności, nowomowy).

M. Smoliński pisze, że szansą na poszerzenie horyzontów w poezji kapłańskiej jest fakt, że „Bóg nie jest odnaleziony i odkryty arbitralnie raz na zawsze”. Oczywiście, ale dla kapłana Bóg *zawsze jest*, a raczej powinien być, bo u unio-europejskich kapłanów różnie z tym bywa, podczas gdy dla poety świeckiego Bóg „*potrafi zniknąć*” i właśnie wtedy „*dramat*” w jego utworach jest potężniejszy. A poezja to – obok *inwencji języka* – *dramat egzystencjalny*.

Na marginesie, jako przymusowy czyli redakcyjny czytelnik wierszy od kapłanów, muszę wyznać, że odczytuję w nich czasem, niezbyt smaczne dla mnie jako członka Kościoła Rzymskokatolickiego, *dramaciki* związane z kobietą czy mężczyzną...

A więc ta kapłańska szala bardziej ciąży w poezjowaniu i nie można podczas jej obserwacji, przestępować z nogi na nogę, mówiąc: *i-i*. ✶

## KOMPUTEROWE DORABIANIE KLUCZY

Ryszard Kanjerski

- naprawa stacyjek i zamków samochodowych
- awaryjne otwieranie samochodów
- autoryzacja firm:
  - LOB, Gerda, Abloy, Cisa, Winkhaus
- klucze z immobilizerem

85-034 Bydgoszcz, ul. Długa 10  
tel./fax (052) 322-45-14, kom. 0501-635-705



**Joachim Ringlantz****Logika**

Chłodno było i gwieździe tej nocnej chwili,  
Gdy morzem dryfował obok Norderney  
Włos z wąsa jakiegoś Suahili-  
Zegar z łajby odmierzał trójki skraj.

Coś mi w tym jednak nie pasuje,  
Więc z mocą logiki pytam tak:  
Co robi włos jakiegoś Suahili  
Nocą o trzeciej koło Kattegatt?

Z niemieckiego przełożyła *Teresa Kowalska*

**Alicja Leśniak**

\*\*\*

a little bouquet...  
mały bukiet...  
pamiętam  
dostałam go  
od ciebie

mały bukietik

cierpienia.

\*\*\*

nikt nigdy  
nikt tak  
nikt bardziej  
nikt inny  
nikt nikogo

bo ty  
bo ja

\*\*\*

nie płacz

ja też  
żyję jakoś  
z tym  
sopelkiem lodu  
w sercu  
z zimnem  
w dłoniach  
i na wargach

proszę cię  
już nie płacz

jesteś

**Eryk Ostrowski****Dusza**

Nigdy nie zastanawiałem się nad duszą.  
Jeszcze jedno z tych słów pozbawionych znaczenia.  
Choć nie, przypominam sobie ten jeden raz, w dzieciństwie, na podwórku, kiedy  
koleżanka powiedziała, że trzyma duszę:  
była mała, ważyła tyle, co kamyk i jak kamyk z łatwością mieściła się w dłoni.  
Nie uwierzyłem jej.  
Dzisiaj nie mam tej pewności.

**Henryk Liszkiewicz**

\* \* \*

pytasz mnie co to jest czas  
cóż ci jednak powiem sam niewiele wiedząc  
spróbuj sobie jednak wyobrazić  
jednokrotność i skończoność  
rzeczy zjawisk i ludzi  
pomyśl o raz raz tylko zakwitającej wiśni  
o słowach nigdy nie wypowiedzianych  
i o tym że już nigdy nie dostaniesz drugiej szansy

bo czas to bezpowrotne wczoraj  
blaknące dziś  
i jak zawsze nazbyt niecierpliwie jutro  
to brak dzieci na które już za późno  
i tęsknota do smaku papierówek z dzieciństwa  
bo papierówki tak smakowały tylko raz

nie pytaj więc o czas póki w nim płyniesz  
wróć do rzeczy istotnych  
zasadź tulipany zbuduj dom pomyśl o dziecku

i spiesz się  
spiesz  
bo nie będziesz miał drugiej szansy

**Wojciech Sobecki****Praktykantka i poeta**

takie kontakty w tajemnicy przed  
prokuratorem K. praktykantka  
z drugiego piętra biurowca on nie  
bardzo jeszcze ceniony poeta

postanowiła zostać księgową  
może przemiłą sekretarką lub  
nieuprzejmą lalą z okienka na  
poczcie tymczasem zerkała bacznie

jej ciało nietknięte jak dopiero  
rozwinęty cukierek zaledwie  
śląd makijażu nie rozbudzona  
namiętność i proste sypkie włosy

konterfekt wrażliwej K. poety  
zaczyna spisywać pierwsze strofy  
i wszystkie otwarte przestrzenie tym  
wypełnia choć roi się od plotek

pocałunki kradzione jak gruszki  
z czarownego sadu rozpinana  
cieniutka bluzka wirująca świat  
słów skowronki jej siedemnaście lat

takie spotkania w tajemnicy przed  
życzliwymi wolna miłość niczym  
z kina nie bardzo jeszcze znanego  
poety i niewinnej dziewczyny

**Anna Zabacka****Zapis dnia**

*Jolancie Baziak*

Dzień pełen niepokoju.  
Słoneczny poranek zakłóciły chmury  
z ciemnym zapisem w zenicie,  
wiatru prosto w oczy  
wypłoszył z plaży najwytrwalszych.  
Na nic parawany, parasole,  
Ludzie odchodzili z żalem.

Tylko dzieci,  
kochające swobodę ponad wszystko,  
skakały na powietrznej poduszce.  
Krzyk beztroski  
jak dysonans Bałtyku  
z Marsowym obliczem.

Słońce ze spokojem opuszczało ziemię  
na podobieństwo człowieka  
czyniącego DOBRO,  
sytego swoich dni  
w oczekiwaniu zmartwychwstania.

*Pogorzelnica 9.06.2003*

**Marek Oktawian Bulanowski****SMS z wypiskiem z dowodu  
nazbyt osobistego**

Moja opowieść rozwija się od numeru 62,  
Co oznacza z pewnością tylko początek,  
O płci na razie nierozpoznanej.

Dalej był numer miesiąca (08) i dzień (17),  
O którym myślę tylko, że był dobrze  
Zapowiadającym się piątkiem.

Było ich później nie wiem ile, zresztą  
Ciężar właściwy nie zmienia się na zawołanie.  
Chciałbym, by koniec zdarzył się w niedzielę.

To dzień świąteczny, w sam raz by odpocząć.  
I wykrztusić z dowodu ten numer, dobry  
Do zaklejania powiek podczas dość przyziemnego

Rytuału.

**Zdzisław Drzewiecki****Wizyta**

Przyszedł do mnie nocą  
mój anioł  
utyka na jedną nogę  
bo but go uwiera  
więc ściągam mu buty  
i obmywam nogi

anioł w tym czasie pali  
i czyta gazetę  
daje się namówić  
na kieliszek wódki

pokazuje mi dłonie  
z pęcherzami od miecza  
i serce z cierniami trosk

sam napelnia kieliszek  
i wypija w milczeniu

zaparzam herbatę  
chcę z nim sobie pogadać  
lecz usnął mój anioł

taki ludzki  
że aż trudno uwierzyć

**Katarzyna Pilarczyk****Działanie**

Dzielę bochen chleba  
na 14 nierównych kawałków  
każdy na trzy posiłki  
których nie da się już dzielić  
na kęsy

Dzielę drogę  
na kroki stawiane pośpiesznie  
a wypadki  
na spojrzenia  
obiektywne subiektywne  
choć najczęściej  
nieważne

Dzielę autobus  
z panią  
z za krótkimi rękawami  
z panem  
z warkoczem na brodzie  
i z tłumem innych ludzi  
którzy dzielą się  
sami

Dzielę więc dni  
na te „z”  
i te „bez”

Dach dzielę  
na nas dwoje  
troje  
i na pozostałych także  
podzielę dachówki  
bo gdzieś między nimi  
zaplątała się suma

[12.03.2003.]

**Krzysztof Lutowski**

\*

Ptak ćwirka.  
Jakiś szum dochodzi.

Szczękanie, kwękanie, rzenie i opony.  
Jakiś duchy zagładają tu.

**Eryk Ostrowski****Drzewa szumią nad Joanną**

Drzewa szumią nad Joanną.  
Z okien sali wykładowej niewidoczna droga.  
Przez dwie pory roku ten sam powidok, a właściwa treść nadal umyka,  
tylko: *Drzewa szumią nad Joanną*.  
W tym zdaniu nie istnieje daleki sens, który echem powracałby najbliższym znaczeniem.  
Zdanie pozostaje obce, a temu, co miało nieść, jak bardzo daleko jeszcze do spełnienia.  
Słowa krzepną złudzeniem sensu.  
Ale we wszystkim, co powiedziano o tym, rozwiera się przestrzeń, której krajobraz nie zna powietrza;

zatem po co więcej;  
a jednak wciąż  
~ potrzeba?  
I nawet tego się nie wie.

Słowa, które między nami nigdy nie padły, nakazują milczeć o tym.  
Drzewa na dalekim wzgórzu ciągną soki, kołyszają się.  
Jeżeli i one pragnienie znają.  
I kto mi ten znak daje ~

**Edmund Pietryk****Sierpień**

Sierpień po śmierci mojego ojca  
długo nie mógł zasnąć  
Nikt tego miesiąca nie przeniósł  
w żalobę i dalej wilk objaśniał  
tajemnicę świata Gołąb  
włókl za sobą swoje małe  
życie Czerniały ptaki  
ze swoim posłusznym losem

Ojciec miał za sobą tyle  
nieprzeżytych dni że wątpił  
czy starczy dla niego nieba  
Dlatego w tej przezroczystej  
sekundzie spełnienia  
Bóg wynalazł dla niego  
czarną iskrę

**Marian Bednarek****Próba podróży**

*Brzydulce*

Księżycu,  
Właśnie do zatoki czereśni wpłynął jeź,  
A ja wpłynąłem w skoszoną trawę,  
Aż kot przystanął zdziwiony  
Niby duży liść palmy.

Piękna jest twoja noc, księżycu.  
Zewsząd patrzą na mnie owoce,  
Wzburzone i ciepłe.

W głębinach cienia,  
Na cienkich łożyskach  
Kołyszą się gwiazdy.

**Krzysztof Lutowski****Gdzieś na końcu świata**

Koniec świata to  
dwanaście kilometrów szosą,  
półtora polną drogą.

Na końcu świata jest zimno  
i nie palą się latarnie.

Papierosy palą się lepiej, niż gdzie indziej.  
Telewizor odbiera różne stacje.

**Arkadiusz Irek**

\* \* \*

Jest w was ogień  
twarze malowane popiołem  
taniec życia  
zaczepiający śmierć  
wszystko za nic  
nic za wszystko  
słońce szukające dłoni  
płonące słowa

jest w nas ziemia  
dokładnie spisana treść  
nagie ciało  
we własnym ogrodzie  
coś za coś  
pięknie ubrany świat  
słowa, które kłamią  
aby budować

jest w nas przestrzeń  
przylatujące  
i odlatujące ptaki  
nic i wszystko  
dzień  
wykorzystujący słońce  
noc przyzwyczajenia  
wschodzące i zachodzące słowa

jest w nas woda  
to co było  
przelewanie w to co jest  
to co jest  
kapiące lżą  
nic za nic  
wszystko za wszystko  
słowa które toną z nami

**Krzysztof Lutowski**

\*

Pusty dom, pusty.  
Pusty dom, pusty.  
Pusty dom, chory.  
Pusty dom, mroczny.

Cała kamienica trzeszczy.  
Drzwi, okna, podłogi.

Całe miasto tu jest.

Pusty dom, pusty.  
Pusty dom, pusty.  
Pusty dom, mroczny.  
Pusty dom, chory.

W sercu mam tylko miłość.

Ludwik Filip Czech

## Ktoś z przydomkiem „Obiecujący”

RADOSAW WIŚNIEWSKI rozpoczął swój debiutancki zbiór wierszy tekstem, przepowiadającym rychłą podróż. Istotnie, „Nikt z przydomkiem”, to tomik, układający się w jedną wielką wędrówkę: od pełnego obietnic chłopięcego świata po wiek męski, kraję „zamętu i niepewności”. R. Wiśniewski to ciekawy, zaskakujący poeta. Warto więc niektóre etapy tej wędrówki prześledzić. Wybrałem trzy, moim zdaniem, najciekawsze z całej książki.

W wierszu „Być albo nie być” odnajdujemy poetę w porcie, gdy patrzy na, sposobiącego się do żeglugi, Hamleta. Nie wiemy, czy to zjawia duńskiego księcia, czy okręt o takiej nazwie. Autor tego nie wyjaśnia, za co akurat jestem mu wdzięczny. Cokolwiek bowiem to jest, spełnia swoje zadanie – zachęca nieśmiałego chłopaka do podjęcia próby przekroczenia życiowego horyzontu. Wypłynięcia na spotkanie dorosłości:

skrzydła albatrosa  
przycięte według możliwości  
chowałem wstydliwie za plecami (...)

gdy zniknął na horyzoncie  
skrzydła zaczęły szeptać  
pióra odrastały

R. Wiśniewski, stawiając pierwszy samodzielny krok, różni się nieco od swoich rówieśników. Powoduje nim bardziej bunt niż chłopięca ciekawość. Czuje wyraźną dysproporcję między

sobą a światem. Chciałby „górować nad kotłina” – wyznaje w wierszu „Surcum corda”. I chociaż, stojąc na gzymsie wieżowca, przypomina bardziej niezrównoważonego młodzieńca niż Ikara, to jednak tym mitycznym marzycielem poniekąd jest. I, jak trafnie przepowiada na końcu tego utworu, jego los zapewne „wypełni się”.

Tym, co popycha podmiot liryczny do tak radykalnych rozwiązań, jest niezgoda na rzeczywistość. Jest dobrym obserwatorem współczesnych trendów i społecznych zachowań. Słusznie więc obawia się uwikłania w bylejaką. Nieco pochopnie w chwili rozpaczy pisze:

Widzę  
- ze zdobywcy stałem się kronikarzem  
zamętu  
 („Wiosna bliska powodzi”)

W wierszach „Gliwice. Życie jest cudem” i „Eliawbarbi” R. Wiśniewski opisuje ten zamęt: chłopaków z ogolonymi głowami, zaczadzonych faszyzowskimi ideami, lalkę Barbi jako medyczny fantom, prezentujący wszystkie współczesne plagi. Autor stara się unieważnić owe zjawiska celną ironią. Dobrze jednak wie, że udaje się to tylko w literaturze. Tymczasem świat realny obowiązuje wszystkich, stając się dla niektórych – bardziej wrażliwych – wyrokiem:

We mnie pługi znaczą  
coraz głębsze wąwozy  
 („Tam i tutaj”)

Żeby dobitniej podkreślić swoje tragiczne położenie, w następnych wierszach wybiega w przyszłość. Publikuje futurologiczne autoportrety. Domniemanie wizerunki siebie samego „w wieku czterdziestu kilku lat”.

Pisząc na wstępie, że poeta zaskakuje, miałem na myśli właśnie te utwory. Autor nie ma zwyczaju operować datami, dlatego trudno powiedzieć, kiedy co powstało. Pozostają domysły. Podejrzewam zatem, że teksty te są znacznie wcześniejsze od poprzednich. Są wyraźnym krokiem wstecz pod każdym względem. Widzę w nich poetę, którego od portu, gdzie widział Hamleta, dzieli jeszcze spora odległość. Być może pisze wiersze gdzieś na wydmach i zamierza wybrać się do portu w przyszłym tygodniu. I chociaż między *Autoportretem I* a *IV* (ostatnim) poezja wyraźnie zwyczajuje, to jednak umieściłbym te wiersze na samym wstępie książki, z dopiskiem „juwenilia”:

bądź cierpliwy  
za pięć dziesięć lat  
skończę studia dorobię się  
lodówki kuchenki pralki (...)

po czekają  
w wieku czterdziestu paru lat  
umrę pomimo ofiarnej akcji ratowniczej  
na zawal albo raka  
 („Rozmowa z autoportretem I”)

Po zestawie kilkunastu niezłych wierszy ich autor zaczyna pisać „na stolatkiem”. Powiela nieznane stereotypy, wydaje się być impregnowany na oczywistą w świecie różnorodność. Zupełnie, jakby spędzał życie wyłącznie w kręgu rówieśników. To prawda – trafnie wytyka zapotrzebowania społeczne: adresatem cytowanego wiersza jest niewidzialny demiurg, nakazujący „normalność”, nieodstawanie od stada pod groźbą wykluczenia. Trafny jest również motyw konsumpcjonizmu, tyle tylko, że chłopięco radykalny. Natomiast podejrzenie, że ludzie po czterdziestce nie mogą rano wstać bez reanimacji, a resztę dnia spędzają u onkologa, jest – delikatnie mówiąc – niemądre!

W „Rozmowie z autoportretem II” poeta dostrzega wyłącznie negatywne (i nieprawdziwe) strony dorosłości:

zostałem liniejącym wilkiem  
w stepach wieloznaczności (...)

sznurówki milczenia  
w poprzek warg świadczą  
że osiągnęły wiek męski

Bogu dzięki, dorosłemu autorowi – mimo jego obaw – „sznurówki milczenia” nie przeszkodziły w napisaniu kolejnych wierszy. A te okazują się być coraz lepsze. Zastanawiający jest dla mnie ten nagły zwrot w poezji. Niespodziewane odkrycie własnej „osobności” w języku i obrazowaniu. Wierszem przełomowym w tej książce jest, moim zdaniem, „Nikt z przydomkiem Jurodiwyj mówi”:

po moich zmarłych zostaną strzępy ziemi  
rozstępy powietrza dusza na ramieniu  
zatem zbadać strukturę arytmii przecinającą  
sen na wyłot skurcze powiek trzepot dzielający  
ciało od tchnienia

Gdy przeczytałem wcześniejsze liryczne próby autora („Listy Liście Przeczucie”) i porównałem je z późniejszymi („Tychy 1998”) widać przepaść jaka je dzieli. To pocieszające być świadkiem tak wyraźnie dostrzegającym w literaturze awansów.

Malkontenci, obcujący z poezją roczników 70. i 80. XX wieku, znajdują w tym zbiorze coś dla siebie. R. Wiśniewski bowiem, czując się pewnie w tym co robi, bywa czasami nonszalancki, lubi komplikować. Bawi się w słowne kalambury, stara się czarować czytelnika. Jest efektowny, ale nie efekciarski. Jak w wierszu „Ocalona” gdzie tylko po wnikliwej lekturze można zgadnąć, że bohaterką tekstu jest mysz. Nie zmienia to jednak faktu, że to obiecujący autor. Co do jego literackiej przyszłości – wróżyć nie zamierzam. Posłużę się nim samym, piszącym w wierszu „Surcum corda”:

Pożyjemy zobaczymy  
Zobaczymy polecimy

Książkę jednak szczerze polecam.✶

Radosław Wiśniewski, Nikt z przydomkiem, Biblioteka „Undergruntu”, Toruń 2003



Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby podarować książki Klubom Polskiej Książki, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie.

- KPK, Hotel „Centralny”, ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz, tel. (052) 379 67 89, trzeci wtorek każdego miesiąca godz. 18.00
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Pub „Żubr”, ul. Magdzińskiego 6, 85-005 Bydgoszcz
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Wojska Polskiego 3, 56-306 Milicz, woj. dolnośląskie, tel. 0606888407
- KPK-Podbrodzie, Pabrades Internatienia Mokykla, 4710 Pabrade, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK, Wacław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie
- KPK, Pub „Pamasik”, Bydgoszcz, ul. Parkowa 2
- KPK-Wielony, Felicja Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Łotwa – Latvija
- KPK – Malta, Jadwiga Okuniewicz, Malta, Reżeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa – Latvija
- KPK – Rzeżyca, Reżeknes polu vidusskola, Lubanas iela 49, LV – 4600 Reżekne, tel. 003714023552, Łotwa – Latvija
- KPK – Łohiszyn, Janina Bogdanowicz, 225740 Łohiszyn, Pinski rajon, Brestskaja obłast, Białoruś
- KPK – Klub „Zaułek 11”, 85-007 Bydgoszcz, tel. (052) 345 77 62 w. 258, pierwsza środa godz. 18.00
- KPK – Wępcbork, Liceum Ogólnokształcące, 89-410 Wępcbork, ul. Pocztowa 14
- KPK – Fordon, Klub „Pod Różą”, 85-790 Bydgoszcz-Fordon, ul. Rynek 6, tel. 3448376
- KPK, Osiedlowy Klub „Odnowa” Bydgoszcz-Kapuściska, tel. (052) 3631867

**AKADEMIA  
STYLIZACJI  
i URODY**

mgr Hanna Dolecka – kosmetolog  
zaprasza na:

- Fotoepilacja – usuwanie nadmiernego owłosienia energią świetlną i ciepłą
- Leczenie trądziku – fototerapia
- zabiegi pielęgnacyjne i oczyszczające skórę
- kosmetyczne leczenie trądziku młodzieńczego i różowatego
- głębokie złuszczenie naskórka
- koagulowanie rozszerzonych naczynek włosowatych
- zabiegi na ciało: ujędrniające, wyszczuplające, antycellulitowe
- makijaże dzienne, ślubne i wieczorowe
- makijaż permanentny, czyli trwałe na brwi, usta i powieki
- manikiur i pedikiur – korygowanie wrastających paznokci
- analiza kolorystyczna
- nieinwazyjne usuwanie zmarszczek
- leczenie nadpotliwości

85-066 Bydgoszcz  
ul. Konarskiego 7/2  
tel. (052) 345 40 87

e-mail: studio@dolecka.pl, www.dolecka.pl



Adam Mazurkiewicz

## Bedecker liryczny

W jaki sposób czytać *Pamiętki inflanckie* STEFANA PASTUSZEWSKIEGO? A raczej: od czego zacząć ich lekturę? Pytania te jedynie pozornie wyglądają na pozbawione sensu. Gdyby odpowiedzieć na nie, stosując tradycyjne kryteria, związane z lekturą tomiku poezji, Zubożyłoby to dzieło Pastuszeńskiego niepomiernie. Nie są bowiem *Pamiętki inflanckie* zbiorem poetyckim wypełnionym jedynie-li wierszami (a może poematem lirycznym, rozpisany na wspomnienia, szczególne „migawki z podróży”, o czym później). Nastrój współtworzą wszak dodane informacje o charakterze historyczno-etnograficzno-geograficznych ciekawostek oraz zamieszczone zdjęcia i ryciny. I niech czytelnika nie zmyli fakt, iż owe – niespotykane zazwyczaj w zbiorach poezji – treści, podane są mniejszą czcionką. Ich ranga może ujść czytelnikowi uwadze w trakcie pobieżnej lektury, jednak, gdy wczytamy się w owe marginalia, dostarczą nam one równie wielką satysfakcję poznawczą i estetyczną, co lektura poezji.

Jaka zachodzi jednakże relacja pomiędzy utworem poetyckim, a – nazwijmy go umownie – elementem faktograficznym? Co jest tu komentarzem, a co pretekstem do owego dopowiedzenia? Wielkość czcionki i usytuowanie na stronie sugerowałyby rangę wiersza. Czy jednak nie można (choć w niektórych przypadkach) traktować utworu poetyckiego jako impresji, na temat zapisanych prozą informacji?

Pozostawiając sygnalizowane powyżej wątpliwości interpretacyjne nierozwiązanymi, warto zwrócić uwagę na szczególną cechę poezji autora *Pamiętek inflanckich*: jest nią olbrzymi szacunek, jaki poeta żywi dla wielokulturowości i wzajemnego przenikania się różnych tradycji na terenach, które przemierza w trakcie lirycznej wędrówki. Ową estymę dla odmienności i docenienie jej, wyraża bodaj najlepiej wprowadzenie do zbioru, za jakie należy uznać *Bocianie*

*gniazdo*. Dystych rozpisany zostaje na różnojęzyczne wersje, z których każda jest równie uprawniona, co inne. Utwór ten, (by posłużyć się notką Pastuszeńskiego), napisany został w Medum – wsi, wyznaczającej początek, a zarazem kres *podróży realno-mistycznej* (s. 5). Uwaga o charakterze miejsca jego powstania jest nie bez znaczenia, dla pełniejszej interpretacji tomiku.

Owa kolistość ujęcia, charakterystyczna dla narracji mitycznych, wyznacza strategię odczytania *Pamiętek inflanckich* jako próby lirycznego powrotu do wyidealizowanej przestrzeni „małej ojczyzny”. Taką interpretację tomu zdaje się potwierdzać, sygnalizowany wcześniej, wiersz *Bocianie gniazdo*. Jego tytuł odnosi się wszak nie tylko do elementu konstrukcyjnego żaglowców, pozwalającego na obserwację horyzontu, lecz – w najprostszym wykładni – również do gniazda bociana. Ptak ten zaś, w ludowej mitologii, postrzegany jest jako ten, który zawsze powraca do miejsca, które obrał jako swą siedzibę. Czy wiersze Pastuszeńskiego są takimi właśnie bocianami powracającymi do duchowej ojczyzny – Inflanty? Autorowi *Pamiętek inflanckich* udało się wybronić przed kliwio-sentymentalnym tonem, który niejednokrotnie zastępować ma w kresowych nostalgii siłę poetyckiego wyrazu. Inflanty w wierszach to przestrzeń tyleż wyidealizowana, co odzieraana z owej idealizującej otoczki. Wiele jest w *Pamiętkach...* utworów, potwierdzających związek autora ze sferą sacrum, nie brak jednakże i takich, w których centrum stawiany jest człowiek – bezbronny wobec niezależnych odeń mechanizmów historii i społeczeństwa, a zarazem zasługujący na szacunek za cierpliwość, z jaką niesie swe brzemię (*Łotyszka przed końcem świata*).

Zawarte w *Pamiętkach inflanckich* utwory to przede wszystkim – jak się wydaje – prywatne rozliczenie się autora z przeszłością i pamięcią o niej. Nie jest to jednak pamięć Historii, zwraca

tu uwagę raczej perspektywa jednostkowa. Inflanty, widziane oczami wędrującego-pielgrzyma, to kraina czasu, który jednocześnie upływa i zatrzymuje pamięć o dniu wczorajszym. Wędrowiec to symbol człowieka, dla którego

nieważne kierunki  
ważne wędrowanie (...)  
czyli życie (Dalej, dalej, s. 24).

Wiersze Pastuszeńskiego wydają się zawieszane pomiędzy historią ziem, które przemierza, a jednostkowym doświadczeniem Boga. Nie oznacza to, że poezja ta jest „poezją religijną” – przynajmniej nie w takim sensie, w jakim zazwyczaj traktuje się przywołane tu określenie. W odniesieniu do twórcy *Pamiętek inflanckich* należałoby rozważyć, czy nie jest to liryka, obrazująca uobecnianie Boga w świecie, poprzez wykorzystywanie środków, charakterystycznych dla literackiego obrazowania sacrum. Największe uitożsamiane jest tu z najprostszym; to zaś, co najbliższe, okazuje się uniwersalne. Nawet Niemen, w swej zmienności rzeki, stanowi punkt orientacyjny w topografii wspomnień, do którego odnoszone są inne rzeki – wszak *a jeśli rzeka to Niemen* (*Księżyc i Stołce*, s. 20).

Wiersze Pastuszeńskiego to lektura trudna, wymagająca wyciszenia, ale też i dająca niezmierną satysfakcję czytelnikowi. Nie gubiąc się w labiryntach pustych gier językowych i panestyżu, *Pamiętki inflanckie* proponują odbiorcy poezję niespieszną, dającą wewnętrzne uspokojenie. Jest to poezja taka, do której warto powracać, ilekroć odczuwa się potrzebę ucieczki od świata i jego (wielekroć brudnych i dwuznacznych etycznie) spraw w – by powtórzyć za wieszczem:

kraj lat dziecinnych (...) On zawsze  
zostanie

Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,  
Nie zaburzony błędów przypomnieniem,  
Nie podkopany nadziei złudzeniem,  
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Stefan Pastuszeński, *Pamiętki inflanckie*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 100

Zdzisław Tadeusz Łączkowski

## Listy o dobroci

LUDWIK LIPNICKI prof. dr hab. nauk biologicznych - wydał do tej pory tomy prozy: „O tym ci powiem” (1991), „Zapięła się jesień” (1994). Obecnie otrzymujemy bardzo piękny tom prozy tego autora, choć właściwie są to listy pisane m.in.: do żony, do matki i o matce, do ojca i o ojcu, „o wiosenne rzecze”, „o lipach”, „o tym co na niebie i na ziemi”, „w obronie chwastów” itp.

Te listy – to kawał dobrej prozy, może nawet więcej, niż dobrej. Świętny język, a treść też niebagatelna, pełna wręcz franciszkańskiej miłości, zauroczenia naturą, zadziwienia człowiekiem. Jest to wysoce humanistyczna proza, której przesłanie stanowi przyroda i istota ludzka w całej swojej złożoności, obfitości, dobroci i ciepła. Człowiek ukazywany w związkach z przyrodą, a przyroda z człowiekiem. Człowiek współlistniejący z naturą, czerpiący od niej wręcz niezwykle bogactwo i naturą, która pokornie służy człowiekowi, jeśli ten obdarza ją miłością. Czystość przyrody i jej ocalanie. Jej błogosławiony wpływ na człowieka.

Nie często spotyka się książki, nazwałbym je pełne szczęśliwości, gdyż płyną z serca człowieka szczęśliwego, radosnego. Człowieka, który istnieje i rozwija się dzięki naturze. Ludwik

Lipnicki posiada dar intuicji. Potrafi intuicję badacza, naukowca, profesora – łączyć z intuicją poety i pisarza. Kierując się rozumem, wiedzą, nigdy nie zapomina o sercu. Jest pełen dobroci w tym co pisze, tak, jak jest pełen dobroci i życzliwości dla innych w swoim życiu. Ta dobroć wpływa u pisarza z miłości do natury. Patrzy na świat i człowieka przez naturę, często więc z serdecznym uśmiechem. Bo natura to radość. Nawet chwastów artysta nie jest w stanie niszczyć, staje w ich obronie, gdyż wszystko, co zostało stworzone jest potrzebne i spełnia ważną rolę. Wszystko jest stworzone poprzez piękno i powinno raczej budzić zdziwienie i zastanowienie się nad człowiekiem i światem, nigdy zaś pogardę.

Niektórzy krytycy poezję Ludwika Lipnickiego porównują z twórczością Jana Twardowskiego. Jest coś z tego! Jest nade wszystko wielki żar dobroci!

Pełne wzruszenia są w tej książce: „List majowy o Matce”, „Czerwcowy list o Ojcu”, „List z borowej wigilii”, „Wspomnienie wigilijne czyli list bożonarodzeniowy”, ale przecież nie tylko te listy wywołują łezkę w oku. Te listy są po prostu mądre, autentyczne i bardzo pouczające. Wzru-

szają swoim ciepłem. Mówią nam o czymś niezwykle drogim, wręcz świętym. Mówią o istocie człowieczeństwa, tego człowieczeństwa, za którym my, współcześnie żyjący, tak bardzo tęsknimy, gdyż obecnie człowiek i świat, wbrew temu co się pisze i pokazuje w środkach masowego przekazu, tęskni za wartościami, choć – paradoks – często odchodzi od wartości. Wszystko co godne, wielkie gubimy po drogach donikąd.

Dobrze, iż „Na niebie – na ziemi” mogło się ukazać. Że ktoś mądry tę książkę zdecydował się wydać.

Ludwik Lipnicki, *Na niebie – na ziemi*, Wydawnictwo „Arsenal”, Gorzów 2002

Uratuje każde auto  
szybko • uczciwie • elegancko

FIRMA USŁUGOWO-HANDLOWA

Jerzy Szreder

- blacharstwo samochodowe
- mechanika samochodowa
- sprzedaż części do różnych typów samochodów
- elektrotechnika

ul. Szajnochy 14, 85-738 Bydgoszcz  
tel. (052) 342 02 16

Stefan Pastuszewski

## Wygrała „chwile” z Szymborską

Tematem tej książki, o ile książka poetycka w ogóle może mieć temat, a raczej jej obsesją, jest starość. Starość zgodzona, od której nie ma odwrotu, i która ma swoją wartość, bo inaczej końcówka życia byłaby nieludzka. „Cudowne prawdopodobieństwo powrotów – życie” (s. 10), „Życie milczy, i czeka” (s. 18), „Życie jest miłością” (s. 72), „Życie śnisz” (s. 73), „Życie lubię” (s. 74), „Świętujmy życie” (s. 82) – zaklina co rusz DANUTA KOSTEWICZ, i jest w tym wmawianiu bardzo przekonująca, zarówno jeśli chodzi o czytelnika, jak i o siebie. A to „siebie” jest najważniejsze, bo przecież poezjowanie, pisanie i życie poezją, to stan ze wszech miar egotyczny. Oczywiście, że autorka „Pawany na śmierć wróbla” starannie i elegancko ukrywa tę przypadłość poetów i poetess, bo przecież z racji swego doświadczenia zdobyła odpowiedni zasób mądrości, a więc i dystans, ale ów – skrzętnie skrywany płomyk swojego „ja” – pod skórą słów ciągle trzepocze:

plomień świec  
ogrzany dotykiem rąk  
nie chwieje się  
ślad  
mojej  
tożsamości

Bardzo obszerny (76 wierszy) „Punkt” Danuty Kostewicz jest więc – jak to w każdej poezji bywa – zmaganiem się z nią samą (autorką) i z... czasem, a w ostatecznym rezultacie – z fascynującym zjawiskiem starości. Oczywiście, że można fenomen ten porozmieniać na drobne, jak to uczynił wybitny i drobiazgowy analityk Stefan Melkowski w recenzji („Akant” 2002, nr 1, s. 28-30) z tomu poetki „Anatomia chwili” (1999). Taka wiwisekcja, zamiast rozjaśniać kamufluje, lecz warto ją przytoczyć, aby wiedzieć, z jakich tkanek zbudowany jest ten twór: „Refleksje filozoficzno-egzystencjalne zawarte w tej poezji skupiają się wokół takich przede wszystkim zagadnień jak: zasada istnienia – nieokreśloność istnienia, Bóg – nicność, powszechność przyrody – indywidualna zasada ludzkiego istnienia, świat jako zagadka – świat jako zadanie, jedność świata – wielość istnienia poszczególnego, istnienie człowiecze – jego uzasadnienie czy brak, fatalizm losu – nadzieja ocalenia, tradycja i archetypy – potoczność codziennego bytowania, aradia – nowe ziemie i nowy czas, człowiek i przyroda – przyjaciele i wrogowie, pesymizm – optymizm jako postawa godna człowieka, kłopoty ze światem, szczególnie tym dzisiejszym, współczucie i miłość – poczucie obcości, i tak dalej, więc – zagadnienia z zakresu egzystencji metafizyki i eschatologii. Wszystkie te rozległe i ważne sprawy ogniskują się wokół sprawy scalającej problematykę tej poezji, jaką jest czas – walka z czasem, gra z czasem”.

„Punkt” jest zapisem wygranej Danuty Kostewicz w tej walce. Czas bowiem, a raczej przemijanie, zmiana, ruch, jako że w istocie czasu nie ma, a jest tylko wypadkowa ruchu i przestrzeni, został oswojony, niczym dziki pies lub koń pod postacią chwili.

Z różnych, najczęściej metaforycznych, użyć chwili przez autorkę „Anatomii chwili”, można by złożyć całkiem niezły poemacik.

Spróbujmy:

w absolut przemienia umykającą chwilę (s. 7)  
pulsuje nad przepaścią chwili (s. 10)  
na tym kruchym badylu chwili (s. 32)  
kamień opadnie na dno chwili (s. 47)  
na skraju zarośli znieruchomiła biel chwili (s. 48)  
pozostała tylko stromość chwili (s. 58)  
wystawieni na próbę chwili (s. 76)

Nie trzeba jednak martwić się tym, że W. Szymborska w 2002 roku wyprzedziła D. Kostewicz, publikując tom pt. „Chwila”, bo i tak D. Kostewicz była pierwsza, emitując w 1999 roku „Anatomie chwili”, a przede wszystkim poszła dalej, budując teorię punktu.

## Punkt

nie cofa się jeszcze  
złote oko słońca  
przed świtem  
wzmacnia brzęgi  
środek  
pulsuje  
nad przepaścią chwili  
p u n k t  
nie mający wymiarów  
cudowne prawdopodobieństwo  
powrotów  
życie

## Tylko ona

(...) na powierzchni zieleni  
punkt  
skupia się wielolistna  
tajemnica  
czule ostaną życie (...)

A więc punkt, to zarówno czas, jak i człowiek, jak i życie, no i oczywiście coś więcej, coś czego nie opisać ani nauka, ani teologia, tylko poezja, o czym przekonał się po raz kolejny Karol Wojtyła, „zmuszony” do szukania w poezji możliwości wyrażenia niewyraźnego („Tryptyk Rzymski”). Najważniejsze jednak, że ani człowiek, ani życie, ani chwila, ani ów mistyczny punkt nie są, jak u W. Szymborskiej kručze, marne i niewiele warte, („Akant” 2003, nr 7, s. 58-59), choć na pewno wobec kosmosu i wieczności, drobne. Staje więc D. Kostewicz w jawnej opozycji z W. Szymborską i ten bój wygrywa, dowodem czego jest choćby... obecne lato. To ono dowodzi, a także zbliżająca się jesień, że warto „projektować coraz to nowy strój ciała na ledwie przeczuwaną chwilę” (s. 25). Nawet, gdy nie zdąży się do „Humania – miejsca, które od zawsze leżało na trasie moich snów”, a „nad Horynią wzbije się złowróźbny kurz” (s. 69).

Zastanawiając się nad tym zwycięstwem autorki „Anatomii chwili” nad autorką „Chwili”, dochodzę do wniosku, że przyczyną jego jest wiara. Celnie zauważa w „Postowiu” do omawianego zbioru Stefan Jurkowski (dlaczego aż tyłu Stefanów zabrało się za jedną Danutę?), że wiara, a raczej uchwycona przez poetkę relacja, między Bogiem a człowiekiem, to „metafizyczna, niosąca wiele możliwości, przestrzeń, a nie jakiś dostawny religijny horror” (s. 89). Przytoczmy więc ten, najbardziej chyba radosny, w ewangelicznym i egzystencjalnym tego słowa znaczeniu, wiersz w całości:

## KIMKOLWIEK JESTES

rozmawiam z tobą  
każdego dnia  
nie odliczam słów  
koralikami na sznurze  
niczego nie wyłudzam  
nie zwałam na twoje ramiona  
żadnej winy  
ale też i nie zabiję dla ciebie  
kozy  
moja dusza  
nie pucuje się  
na twoje niedziele  
a mimo to  
odkąd zamieszkałaś  
w moim pobliżu  
jak śnieg  
wirujący na wietrze

pragnie trwać  
kimkolwiek jesteś  
dziękuję ci  
że i we mnie ukryłeś  
swoje cele  
że powoli odstąniesz  
systemy przybliżeń  
co będzie  
to będzie  
może już nie narodzi się  
żaden wąż  
może przebaczysz  
winowajcom

I jeszcze jedna cecha poezji D. Kostewicz: opisywanie świata, ze szczególnym uwzględnieniem przyrody, co z kolei jest specjalnością pozujących kobiet. A zaczęło się, przynajmniej dla mnie, od „Jestem spokojna” w tomie „Pawana na śmierć wróbla”:

(...) ogarnia mnie zachwyty  
widzę skrzydło biedronki  
nic złego stać się nie może  
spokojnie przeliczam  
kropeczki

W „Punkcie” natomiast poetka odczytuje z natury sens istnienia i ludzkiego losu w następujących utworach: „Jak to jest”, „Strych”, „Świećliki” (błędny tytuł w spisie treści!), „Dzień”, „Luty”, „Nie odlatuj”, „Mój ulubiony obraz”, „Le-wiston”, „Nikt nie tonie”, „Już wiem”, „Nie było lata”, „Dąb”, „Iluzja”, „Może zdążyć”, „Właśnie tak”, „Podaj wino”, „Mogą śpiewać”.

Przytaczam wszystkie tytuły, bowiem można ten blok wierszy czytać „pionowo” czyli odrębnie, niczym osobny tom, jako że „Punkt” przypomina swą konsystencją chałwę – każde włókienko osobno, ale w sumie całość i to słodka. Dziewczęca nawet, bo (s. 55)

po swojemu  
przyszywam guziczki  
do wiatru

Na zakończenie jednak kilka uwag warsztatowych:

W wierszach autorki „Anatomii chwili” czasem słowa wymykają się spod kontroli myśli; inne znów nie zbiegają się z myślami. Pozostaje więc coś ukrytego, coś co poetka zna, lecz nie jest w stanie wypowiedzieć. Urokliwe to jest niczym jankanie, ale niepokoi. Myślę, że to wielość znaczeń autorki jest przyczyną takiej sytuacji (D. Kostewicz pisze w języku polskim i niemieckim, na pewno mówi też po angielsku, bo mieszka w USA). Wtedy to, żaden język nie jest ujeżdżony do końca.

No i ta – coraz częściej spotykana w poezji współczesnej – maniera przerzutni, a raczej nie przerzutni, tylko dzielenia naturalnie zwartych części semantyczno-werbalnych, na wersy. Czasem uzasadnione jest to melodyką wiersza, a autorka „Punktu” ma przecież muzykę we krwi, lecz czasem też przypomina, dość typową dziś, ucieczkę od prozy w wiersz. Niepotrzebnie, bowiem mamy w tym przypadku do czynienia z klasycyzującą poetyką indywidualną, opartą na swoistym, bardzo spójnym wiodzie logicznym i retorycznym. Skromna liczba metafor kompensowana jest u D. Kostewicz obrazowością i przedziwnym klimatem, powstałym z ustawicznej walki pasji z dystansem. Właśnie – owa, podświadoma emocjonalność, najbardziej przyciąga do tej poezji. I autorki, z którą przynajmniej ja chciałbym przebywać...

I jeszcze jedna uwaga – szkoda, że „Punkt” został wydany jakby w „drugim obiegu”, bowiem przez...drukarnię pozostającą bez solidnego zakorzenienia edytorskiego. Martwię się więc o obieg tej znakomitej książki i o to, że maniera emitowania książek poza wydawnictwami, też zaczyna dręczyć nasz literacki świat. Byle wydać i już... A potem rozpacz, że nie znają i nie czytają.

Danuta Kostewicz, Punkt, Bydgoszcz 2003, Drukarnia „GraDar”, ss. 94

Janusz Orlikowski

## F jak fenomen

W języku polskim słowo to oznacza: rzadkie zjawisko, coś niezwykłego, osobliwego. Wszystkie te określenia znakomicie przystają do „Antologii Akantu 1998–2002” wydanej z okazji pięćdziesiątlatnia istnienia pisma. Przedstawienia charakterystyki, ale i z mocnymi elementami recenzji. Recenzji, nie laurki – a to rzadka możliwość, zwłaszcza, gdy chodzi o jubileusze.

A mam przed sobą dzieło szczególne. Zwieńczenie pięcioletniej pracy redaktorów miesięcznika, który bez wątpienia stał się najbardziej poczytnym czasopismem na mapie pism literackich naszego kraju. Najbardziej żywotnym i otwartym.

Ale po kolei.

Antologia, to zbiór lub wybór utworów literackich różnych autorów. W takim kontekście myślałem o niej, gdy dowiedziałem się, że ma powstać. Pomyślałem sobie – *wariaci!* Taka liczba autorów – i jak oni chcą to zrobić; kryteria doboru, itp.

Nic z tych rzeczy! Trzeba sięgnąć głębiej, ku pierwowzorowi. Z greckiego „anthologia” znaczy, ni mniej, ni więcej, jak zbieranie kwiatów. Zbieranie w okazały bukiet jakim jest niniejsza pozycja, którą stworzyli i są jej głównymi autorami redaktorzy „Akantu”. Myślę, że każda inna koncepcja byłaby gorsza. Któż więcej wie o autorach pisma (poza samymi autorami), niż redaktorzy, do których owi autorzy piszą? Zatem, moim zdaniem, pomysł doskonały. Teraz tylko pozostaje kwestia: *Jak oni to zrobili?* No i zrobili dobrze. Ba, wręcz bardzo dobrze, chociaż moim oczom zdawało się zauważyć kilka wpadek, ale o tym w trakcie.

Miesięcznik literacki „Akant” powstał na początku 1998 roku. Wstępniaku, do pierwszego numeru, jego redaktor naczelna, JOLANTA BAZIAK pisze: „Oddajemy do rąk Czytelników kolejne czasopismo literackie z idei, założenia i tytułu spokojne, stabilne tak jak akant – starożytny motyw zdobniczy – jest klasycznie zrównoważony. Należy to rozumieć nie tylko jako zapowiedź długiego istnienia, ale i uporządkowanych stosunków między redakcją, czytelnikami i autorami”. Takie słowa musiały przyciągnąć do siebie po pierwsze autorów, po drugie czytelników. Zapowiadały stabilność istnienia. I to już się udało. Słowo okazało się ciałem.

Również w sferze działań słowa czyta się wartości, które JOLANTA BAZIAK obiecywała przestrzegać: *prawda, dobro, piękno*. Nie znalazłem w czytanych numerach „Akantu” odstępstwa od znaczenia tych pojęć. Dotyczą autorów i czytelników z całej Polski, a także z zagranicy, ujawniają się w treściach pisma, m.in. w cyklach tematycznych i dyskusjach. Tu już wkraczamy w zagadnienia merytoryczne, czego kompendium odnajdujemy w „Alfabcie Akantu” pióra STEFANA PASTUSZEWSKIEGO. Nie sposób tu opisać wszystkie „litery alfabetu”, wybieram więc to co, moim zdaniem, najważniejsze.

Początkowo „Akant” miał wychodzić jako tzw. „ósemka”, czyli pismo ośmiostronicowe, jednak skład redakcji (JOLANTA BAZIAK, STEFAN PASTUSZEWSKI, LILIANA I TADEUSZ ZUBIŃSKI – zawsze warto wymienić protoplastów) od zamysłu pierwszego numeru – jak czytamy pod literą „O” – mieli o wiele bardziej ambitne plany. Wyszła więc „dwunastka”. A dziś – widzimy co mamy. Przeciętnie pismo to od 40 do 48 kolumn, a zdarzały się numery i bardziej obszerne. I to ukazujące się regularnie, co miesiąc w pierwszej jego dekadzie. Mało tego – w grudniu każdego roku, ku ucieście czytelników, a i przede wszystkim autorów, pojawia się numer 13, zawierający bibliografię. To znakomity przegląd, zarówno rocznej zawartości „Akantu” jak i, poprzez

zamieszczanie krótkich notek o autorach, przybliżanie ich Czytelnikom. Nie wspomnę o spisie recenzji i opracowań. Podobne zestawienie tworzy „Twórczość” w 12 numerze. Ale gdzie jej do „13”. bydgoskiego miesięcznika! Tam tylko alfabetyczny spis autorów i drukowanych tekstów!

A skoro już o ilości mowa. Zwraca uwagę mnogość twórców, którzy w ciągu pięciu lat drukowali. I tu mam pewien kłopot. STEFAN PASTUSZEWSKI (str. 18 Antologii...) wskazuje ich liczbę – 857, natomiast na stronie 151, po opracowaniu „Autorzy Akantu 1998–2002” widnieje liczba 1096. Teraz nie wiem, komu mam wierzyć. Tak czy inaczej liczba jest budująca i coś znaczy. Co? Przede wszystkim to, że redaktorzy „Akantu” nie mają tysiąca, czy ponad tysiąc bliskich przyjaciół, którym po kumotersku drukują teksty. Podejrzewam, że w większości nie znają autorów osobiście. Czyż to nie „F” – jak fenomen? Budujące przede wszystkim dla twórców i – czytelników.

Kilka słów o formie czasopisma. Podobnie jak mnie, także autorowi „Alfabetu...”, bardziej odpowiada jego wyraz gazetowy. Raz, że bardziej oszczędny, a dwa gazeta z sensu słowa mówi – *aktualność*. Dotykając spraw *tu i teraz*, co nie znaczy, że przedstawiane w niej artykuły często nie mają charakteru ponadczasowego. Są w niej rzeczy ulotne, które zaświadczać o energii życia literackiego w danym czasie, są w niej teksty, które ponad teraźniejszość z pewnością wykraczają. Choćby ostatnio publikowany tekst JOLANTY BAZIAK „Antychryt czy profetyzm”, czy wiele innych opracowań, których spis znajdujemy na stronach 236 – 241 omawianej antologii. Poza tym, jak pisze STEFAN PASTUSZEWSKI pod literą „G – jak gazeta”, można takie czasopismo jak „Akant”: „(...) zgiąć z zmiąć; schować do kieszeni marynarki, a nawet damskiej torebki. Można na nim jeść śniadanie, a nawet podłożyć je pod buty, gdy staje się na krześle, aby sięgnąć po książkę, znajdującą się na najwyższej półce. Świetnie też nadaje się na podpałkę do pieca, a w trudnej sytuacji – do innych, mniej szlachetnych celów”. Podobna mi się ten rodzaj humoru, świadczy o dystansie autora do jego dzieła. Lecz pozostałe słowa pod „G” w „Alfabcie Akantu” budzą moją dezaprobatę. STEFAN PASTUSZEWSKI bowiem stara się wykazać wyższość formy gazetowej nad zeszytowymi czasopismami. Pisze: „Czytając czasopisma gazetowe łatwiej wrócić do interesującego fragmentu, bo czytelnik to zazwyczaj wroko wiec i kontekst graficzny poszukiwanego wątku łatwiej mu się utrzuwa niż numer strony”. Przypomina mi to dowodzenie wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiej Nocy. A przynajmniej ja czegoś takiego u siebie nie zauważyłem.

Co do zszywek „Akantu”: to hasło pod literą „B – jak bogactwo” – osobiście ich nie czynię i czynić nie będę, chociaż z bogactwem się zgadzam. I się podpisuję. Zatem na wykrzykownik: „A więc wszyscy zszywkarze „Akantu” ręce do góry!”, nie wiem, czy mam podnieść rękę, czy dwie, czy w ogóle, bo pismo zbieram.

Autorytet „Akantu” wynika między innymi z tego – by tak określić – nie nastawionej na osobę formy. Wspomniałem już o około 1000 autorów, którzy przez 5 lat obecności pisma na literackiej scenie naszego kraju w nim publikowali. Wskazuje to jednoznacznie na otwartość. Około 1000 twórców zrzeszonych jest w ZLP, drugie tyle w SPP, podobna (jeśli nie większa) jest iniezzrzeszonych.

Pod literą „D – jak dzieła” STEFAN PASTUSZEWSKI pisze: „Udostępniamy łamy dziełom, które uważamy za wartościowe”, bez względu na to, co pisze „Gazeta Wyborcza”, kto otrzymał nagrodę „Nike”, bez całego tego bałaganiarskiego konfor-

mizmu. I co ważne: „Każdy czytelnik musi przyznać, że wprowadziliśmy w obieg wiele interesujących utworów, a także przypomnieliśmy wielu, zasypanych przez cywilizacyjny śmietnik, autorów”. Bezinteresowność i bezkompromisowość działania to rzeczywiste atuty „Akantu”.

I jeszcze podoba mi się jedno sformułowanie, które pojawiło się w „Alfabcie...”. To pod literą „N – jak nowość”: „Bo z czasopismem literackim jest trochę tak jak z Kościołem: przyciąga doń trwałość fundamentów, niezmiennność zarysu formy, wierność podstawowym ideom; podczas gdy wszystko inne winno pulsować bieżącym życiem, być otwarte na każdy nowy wyraz, może stawać na głowie, wciąż poszukiwać”.

Redakcja „Akantu” doskonale wie, jak tworzy się w literaturze czasopismo, jak go kreować, by było, po prostu, żywe. A zatem dyskusje. Przewinęło się ich lub przewijają przez łamy, w krótkim przeciętnie okresie 5 lat, aż pięć: „Jaka jesteś współczesna poezjo?”, „Kondycja literatury polskiej”, „Jaki teatr?”, „11 września – stan i perspektywy naszej cywilizacji”. Jest również rubryka „Mniej oświetlona strona Parnasu”, przedstawiająca mniej i najmniej znanych, a według czytelników głównie, chociaż i braci po piórze, godnych uwagi. Obszerne eseje, podsumowujące wspomniane dyskusje przedstawiają NATALIA ŚLESIŃSKA, ANNA THIESLER, STEFAN PASTUSZEWSKI i ANETA JAWORSKA.

Warto choćby w kilku słowach o nich, bowiem bogactwo myśli, jakie wspomniani autorzy opisują, jest naprawdę imponujące. Eseje mają charakter porządkujący starą się uchwylić poszczególne wątki w merytoryczną całość i stworzyć jakąś konkluzję. Szczególnie podoba mi się sposób prowadzenia eseju przez NATALIĘ ŚLESIŃSKĄ – „Jaka jesteś współczesna poezjo?”. Autorka opisuje czym, według dyskutantów jest poezja, przedstawia motywy pisania, a dalej stara się możliwie jak najbardziej obiektywnie opisać odpowiedzi na postawione w dyskusji pytanie. Tu zauważa ich dwie frakcje: brak odpowiedzi lub jej negacja (interesująca) i wypowiedzi – od zachwyty do oburzenia.

Apokaliptyczną wizję polskiej poezji końca XX wieku i początku XXI wieku mają częstokroć uczestnicy dyskusji. To zauważenie poprzedza NATALIA ŚLESIŃSKA opisem dywagacji: *poezja i internet*. Internet, zjawisko pewnego dobra i dużych śmieci stał się trybuną wszelkiej, a więc literackiej, głupoty. Czesław Miłosz, zapytany o jego stosunek do internetu, odpowiedział: *Tak, zamieszcza swoje teksty w internecie, ale jeśli chodzi o czytanie to interesuje go książka. Gdy trzyma książkę w dłoniach to wie co trzyma, ma ona swoją wagę (tu się uśmiecha na skojarzenie z ilością kilogramów), poza tym książka to coś namacalnego, konkret, który nie znika pod kliknięciem klawisza. Słowo pisane jest tym słowem, do którego mogę dopowiedzieć. Zostało zapisane, może podlegać osądowi. W internecie – nie. Wyobraźmy sobie, na przykład, działalność recenzentką. Autor, po złej recenzji, „naklika” szereg poprawek i zaraz stwierdzi, że było inaczej. I czego mnie się ten facet czepia?*

Tu wkraczamy już w rejony dyskusji „Kondycja literatury polskiej”, którą opisuje w swym eseju ANNA THIESLER. Od strony organizacyjno-politycznej, o tej działce literatury polskiej decydują niejednokrotnie tzw. działacze kulturalni, od dyrektora domu kultury po ministra włącznie. Tu jednak sprawa nie jest nowa. Przypomina mi się anegdota o Słonimskim i ówczesnym ministrowi kultury Sokorskim. Ten pierwszy, nie mogąc nic wskórać w zamierzonej sprawie (rzecz dotyczyła pieniędzy) zdenerwowany rzekł do ministra: *Wie pan kto był ministrem kultury za czasów Balzaka? – Nie wiem – odpowiada minister zdziwiony. – A widzi pan, a Balzaka wszyzyscy znają.*

Wróćmy do tematów poruszanych w dyskusji „Jaka jesteś współczesna poezjo?”. Ilość omawianych, lub choćby poruszanych tematów, jest naprawdę imponująca. Na uwagę zasługują rów-

Dokończenie na str. 52

Dokończenie ze str. 51

niez przedstawienia relacji: poeta-czytelnik, poeta-krytyk, próba odpowiedzi na pytanie, czy poezja winna mieć charakter elitarny, być przeznaczona dla niewielu czy też masowy. Na elitarność poezji stawiane są przede wszystkim ośrodki akademickie. One czują się władne do oceny każdej myśli literackiej. Swą domniemaną charyzmę postrzegają poprzez hermetyczność własnych kanonów. I sądzą, że zdają sobie z tego sprawę. Stąd ich, wspomniany wcześniej wybieg, w postaci głośnego hasła preferowanych przez nich młodych: „odmowa współdziałania”.

NATALIA ŚLESIŃSKA opisuje również ważny temat, który pojawił się w dyskusji: miejsce zamieszkania twórcy, czyli status tzw. twórcy prowincjonalnego oraz problem dogmatu w poezji, a więc: *Poezja a Kościół*, czy *poezja a ekologia*. Ogrom pytań i odpowiedzi.

Między innymi i te problemy leżą u podstaw, wspomnianej już przeze mnie, dyskusji: „Kondycja literatury polskiej” zapoczątkowanej przed dwoma laty przez LUCJANA ZUZIĘ i STEFANA PASTUSZEWSKIEGO. Pretekst w postaci tekstu L. Zuzi polega na dostrzeżeniu przyczyn czytelniczej zapaści w Polsce. Po pierwsze: dominacja w połowie ubiegłego wieku w świadomości czytelniczej „produkcjoniaków” (sorealizm w sztuce), drugie: obecna, prozachodnia dominacja literatury, mająca miejsce w latach dziewięćdziesiątych. Owe dwa bieguny stały się motorem wielu wypowiedzi, poruszających takie problemy jak: *popyt – podaż, rola stowarzyszeń, pedagog a czytelnik*.

Pozwolę sobie tylko wspomnieć o dwóch następnych dyskusjach. Nieco bardziej, moim zdaniem, marginalnych: „*Jaki teatr?*” oraz „*11 września – stan i perspektywy naszej cywilizacji*”. W pierwszym przypadku owocność dyskusji jest nieco mniejsza, w drugim publicystyka gra pierwsze skrzypce. Dyskusję „*Jaki teatr*” celnie pointuje autor eseju STEFAN PASTUSZEWSKI pisząc: „*Dyskusja (...) w pewien sposób sprobematyzowała sytuację polskiego teatru, ale chyba zbyt mało na nią nie wpłynęła, w odróżnieniu od dwóch innych akantowych dyskusji (...); bowiem rzeczywistość, jak zauważa Leszek Oświęcimski, chcemy być ministrami w państwie wyobraźni*”. Co to oznacza: odsyłam do „*Akantu*” 2001, nr 4, s. 48.

O wiele bardziej bogata jest dyskusja „*11 września – stan i perspektywy naszej cywilizacji*”, którą opisuje ANETA JAWORSKA. To zrozumiałe. Publicystyka polityczna jest o wiele łatwiejsza niż stricte poetycka, czy dotycząca literatury w ogóle. W dyskusji przewija się temat kryzysu ludzkości i – zazwyczaj, jak bywa w charakterze jakiegoś ważnego konfliktu, zauważalna, przynajmniej dla mnie – wygoda dla bogaczy. Kreowanie pewnych napięć w imię napędzania koniunktury jest w historii polityki nie od dziś znane.

Ale przejdźmy do spraw przyjemniejszych. „*Mniej oświetloną stroną Parnasu*” zainspirowała ARIANA NAGÓRSKA. Ależ tu mamy plejadę nazwisk! Bogactwo osób w większym, bądź mniejszym stopniu, parających się literaturą. Cóż o tym napisać? Zasada prezentacji twórców przez ich odbiorców sprawdza się w gruncie rzeczy w sensie ukazania ich: *To mi się podoba*. Bardzo rzadko pojawiały się głosy: *Dlaczego?*

„*Mniej oświetlona strona Parnasu*” to nieco intelektualnej pustki. Tym niemniej, ankieta (co jest usprawiedliwieniem) ujawniła 204 piszących. Dobry Czytelnik (tak mi się marzy) to poniekąd i dobry krytyk. Jest w nim to, co ten drugi jedynie ubiera w słowa. Spiera się z nim lub się zgadza.

Jest w „*Akancie*” szeroko rozbudowany dział recenzji. Pisze o nim pod literą „*W – jak wartość*” w swym „*Alfabecie...*” STEFAN PASTUSZEWSKI. Główną jego zaletą jest honorowanie recenzji negatywnych, o czym wspomina STANISŁAW CHYCZYŃSKI, w prezentowanych w niniejszej pozycji głosach pn. „*Krytycy o Akancie*”. O ich ilości i wartości wspomina również STEFAN MEL-

KOWSKI. Poza tym w głosach krytyków o 5-letnim miesięczniku pojawiają się spostrzeżenia dotyczące otwartości pisma (Marianna Bocian), wielości tematycznej (Jerzy Hłond), regularności i odwadze (Ariana Nagórska), dobrym kontakcie z czytelnikiem (Magdalena Wachowicz). Na właściwą naszymu czasowi eklektyczność zwraca uwagę TADEUSZ ŻÓŁCIŃSKI. Podobne są głosy czytelników, których wypowiedzi również cytuję antologia. Przy czym dopatryłem się tutaj pewnego uchybienia. MARIANNA BOCIAN pojawia się tu z tym samym cytatem, z jakim funkcjonuje w „*Krytycy o Akancie*”. No, i po co?

Osiągnięcia „*Akantu*” na rynku literacko-czytelniczym naszego kraju zauważają również biblioteki. W artykule „*Akant w bibliotekach*” STEFAN PASTUSZEWSKI pisze: „*Wielkim sukcesem (...) stało się wejście do Bibliografii Czasopism Biblioteki Narodowej*. Po raz pierwszy nasze artykuły zostały odnotowane w zeszycie 9 (rocznik 55) z roku 2001. BZC odnotowuje głównie publikacje naukowe, popularno-naukowe, z zakresu historii literatury i krytyki literackiej”. I tu warto wspomnieć o dwóch przydatnych, zarówno dla Czytelników jak i twórców, zestawieniach, zawartych w „*Antologii Akantu*”. Pierwsza z nich, to bibliografia pozycji wydawniczych Instytutu „*Świadectwo*”, które w 2002 roku obchodziło jubileusz 15-lecia istnienia, drugie: czasopism literackich i artystycznych na rok 2003, ukazujących się na terenie kraju. 127 pozycji poetyckich, 52 prozatorskie, poza tym biografie i analizy literackie, eseistyka i publicystyka, nauka, pamiętniki, dokumenty, to główne profile wydawnictwa, które z roku na rok coraz silniej zaznacza swą obecność na literackim rynku.

„*Akant*” bardzo wnikliwie rejestruje to, co dzieje się w rodzimym czasopiśmiennictwie. W „*Antologii...*” znajdziemy listę 100 czasopism, ze wskazaniem na częstotliwość i regularność wydawnicza. To swego rodzaju mapa i drogowskaz. Z kilkoma redakcją utrzymuje mniej lub bardziej ścisły kontakt. To znowu fenomen w naszej literaturze. Zazwyczaj bowiem pisma mają charakter w tym względzie hermetyczny. Twórcy i redaktorzy „*Akantu*” piszą natomiast o współpracy między czasopismami i – marzy im się forum czasopism.

„*Akant*” nie zapomina również o najmłodszych. Co jakiś czas pojawia się wkładka np. „*Cudne Manowce*” redagowana przez DARIĘ DANUTĘ LISIECKĄ, prezentującą dokonania tych, którzy znajdują się w swego rodzaju przedszkolu literackim.

Jeszcze warto wspomnieć o wierszach, fraszkach i aforyzmach, napisanych specjalnie na jubileusz „*Akantu*”, które z pewnością ubarwią i ożywią, swą zamierzoną lekkością, pomieszczone w „*Antologii...*” treści. Dzięki temu, podczas lektury, czytelnik ma pewien oddech przy analizie bogatych i ważnych treści w niej zawartych. Szczególnie dwie fraszki przypadły mi do gustu. Anna Blachucka na temat dyskusji „*Jaka jesteś współczesna poezjo?*” wypowiada się krótko:

*Szeleszczą i szumią liście akantowe,  
że trudno o godną do „Akantu” głowę!*

I po cóż była ta księga tylu wypowiedzi? Zmarnowane papier, atrament i pióro. Stękały maszyny do pisania, dziwiły się komputery. Od razu trzeba było krótko, a nie tak...

Również ARIANA NAGÓRSKA pisze świetną fraszkę pt. „*Konkurencja*”:

*W księgarni przy „Akancie”  
Złożono „Zeszyty  
Literackie”. Te rzekły:  
– To półka elity.  
Nam tutaj z tobą leżeć  
Raczej nie po drodze.  
– Leżeć będziecie same,  
bo ja się rozchodzę!*

Nic dodać nic ująć. Prawda, którą osądzi historia.

Ale już to co najważniejsze miesięcznik literacki „*Akant*” ma poza sobą: „*Non omnis moriar*”. Teraz tylko (aż) trzeba dbać o to, by słowa Horacego nabierały coraz większego znaczenia na bazie i, z pewnością w wielkim trudzie zbudowanego fundamentu. Liście akantu są wieczne. W wierszu „*Ogród botaniczny z Tobą*”, zamieszczonym w niniejszej antologii STEFAN PASTUSZEWSKI pisze:

*pozostał jedynie akant –  
oset zaschnięty  
w wieczny kamień  
a po ludzku: pamięć*

JOLANTA BAZIAK natomiast, w artykule otwierającym niniejszą pozycję, „*Akant po 5 latach*”: „*Nadal mamy zamiar łączyć i otwierać. Trwać na przekór trudnościom i niepogodom dla kultury, do ostatniego czytelnika*”.

Red. Stefan Pastuszewski, Antologia „*Akantu*” Instytut Wydawniczy „*Świadectwo*”, Bydgoszcz 2003, ss. 276

### Sprzedż „Akantu” W punktach Kolportażu Prasy „Rolkon”:

- ✓ Salon Prasowy, 86-100 Świecie, Rynek 7
- ✓ Kiosk, 86-100 Chełmno, ul. Grudziądzka 11
- ✓ Kiosk, Chełmno, ul. Osiedle Kopernika, tel. 0-56 686-25-15
- ✓ Market „Netto”, 78-100 Kołobrzeg, ul. Gryfitów 1
- ✓ Kiosk „Atut”, 75-200 Koszalin, Dworzec PKP
- ✓ Salon Prasowy, Koszalin, ul. Wenedów, tel. 604 060169
- ✓ „Viki” - Market, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej-Curie 29
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Kraśnińskiego 2, tel. 322-80-13
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Piłsudskiego 4, tel. 344-93-21
- ✓ Salon Prasowy, 85-411 Bydgoszcz, ul. Podwałe 11
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej 25, tel. 601 633343
- ✓ As Market, Bydgoszcz, ul. Chodkiewicza 17, tel. 321-00-51
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Kleeberga 2, tel. 344-23-23

### AKANT w kioskach „Ruchu”

- Bydgoszcz**
- ul. Gdańska 6
  - Rondo Jagiellonów
- Cieszyn**
- Dworzec PKS, ul. Korfałtego
- Inowrocław**
- Dworzec PKP
  - Rynek Główny
  - Księgarnia „MATRAS”, ul. Solankowa

### „Akant” w EMPiK-ach

Warszawa, ul. Grójecka 80/102, ul. Nowy Świat 15/17, ul. Marszałkowska 116/122, ul. Mickiewicza 27; Bydgoszcz, ul. Gdańska 15; Włocławek, ul. Miedziana 11/13; Elbląg, 1 Maja 37; Gdańsk „Megastore”, ul. Podwałe Grodzkie 8; ul. Długi Targ 28/29; Sopot, ul. Bohaterów Monte Cassino 57/59; Gdynia, ul. Świętojańska 68; Gorzów Wielkopolski, ul. Sikorskiego 126/128, tel. (095) 7226849; Olsztyn, ul. 1 Maja 18/19; Czeladź, ul. Będzińska 80; Kielce, ul. Warszawska 5; Kraków, Rynek Główny 5, ul. Bora Komorowskiego; Nowy Sącz, Rynek 17; Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 59, ul. Krakowskie Przedmieście 40; Łódź, ul. Piotrkowska 81, ul. Narutowicza 8/10; Gniezno, ul. Chrobrego 11; Poznań, ul. Ratajczaka 44; Słupsk, Stary Rynek 6; Szczecin, ul. Wojska Polskiego 2, ul. Niepodległości 60; Wrocław, Rynek 50, Pl. Kościuszki 21/23.

## Stefan Pastuszewski

## Starsza pani mówi...

Są to wiersze silne puentami. Nachylone w ich kierunku. A więc jakby aforystyczne.

Tak pisze albo twórca początkujący, w świadomości którego wiersz niczym wulkan wybuch, a słowa płyną lawą, i tylko puenta może je powstrzymać, albo człowiek pełen życiowej mądrości, który chce się tą mądrością podzielić i – aby z nią głębiej trafić – nadaje jej atrakcyjną oprawę.

Jeśli idzie o ANNĘ KAJTOCHOWĄ to mamy oczywiście do czynienia z tym drugim przypadkiem, i to nie wcale z uwagi na wiek autorki i jej doświadczenie twórcze (13 zbiorów wierszy). W jej nowym tomie pt. „Bezdrożem ścierniska”, aforystyczność poezji sprowadza się nawet do niby-wierszy, w formie przelamanych przerzutniami zdań, np.

## W Boże Ciało

Im wyżej  
wznosi się monstracja  
tym ciszej  
umierają pod stopami  
kwiaty

Ot, głęboka, bardzo osobista, wizjonerska myśl. Ale czy intelektualnie odkrywczą? Uniwersalna?

Nie, bo autorka „Urody tarniny” bardziej chce uchwytać emocję i chwilę (por. zbiór W. Szymborskiej pt. „Chwiła”), niż coś odkryć. Pisze sercem (autorka „Soli” do tej, typowo kobiecej, motywacji dodaje jeszcze ambicje filozoficzne). Dlatego też wiersze te są łagodne i proste. Uspokajają, o czym dość dużo napisał Eryk Ostrowski, w swoim wstępie do omawianego zbioru: „Tymczasem poza śmiercią istnieje coś jeszcze, co może nie jest tak jaskrawe, ale jest tą jedyną prawdą, na jaką nas stać. Lęk łagodny pewnością. Bo słońce zawsze wszędzie”.

Ta prawda nie jest – jak to w prawdziwej sztuce bywa – wypowiedziana wprost, lecz – obok wspomnianych już puent – w formie pastelowych obrazów, na których zawsze coś się dzieje. Bo ulubionym typem wiersza autorki „Stygnej kąpieli” jest wiersz-reportaż. Ostatnio – coraz częściej z przeszłości, z dzieciństwa:

byłam małą dziewczynką  
w gorzkiej wodzie brodziłam po kostki (...)  
jakże rozrósł się mirtł  
z okienka mojej Matki (...)  
kiedy grudniową nocą  
brnęłam w zaspach  
by zdążyć z Ojcem  
na wigilijną wieczerzę (...)

Starsza Pani wspomina, starsza pani przypomina... Sprawy najprostsze i najważniejsze. Mówi ciepło, ale bez łatwego sentymentalizmu. Mówi mądrze, ale bez narzucania swoich racji.

Szkoda tylko, że za dużo (8 zbiorów wierszy w 8 latach; połowę utworów omawianym tomie można by pominąć)...\*

Anna Kajtochowa, *Bezdrożem ścierniska*, Kraków 2003, Wydawnictwo i Reklama „Partner”, ss. 124

## Emil Biela

## Świątokrzyskie freski

Obserwując od wielu lat konsekwentną twórczość pisarską STANISŁAWA ROGALI, zwieńczoną paru dziesiątkami książek prozy i poezji, można mieć pretensje do naszej krytyki literackiej, że nie poświęciła kieleckiemu autorowi należytej uwagi. Przypomina się w tym miejscu fragment wiersza Cypriana Kamila Norwida *Spółcześni*.

Recenzent w natchnieniu częściej przypomina  
Podstarościego z zacnych czasów  
pańszczyźnianych,  
Gdy wesół jest i słowem samym upomina  
Lub trzonem bata z lekka krzepi zadyszanych.  
Jego żarty, głębokość uwag, prac ocena  
Są też same – i tylko odmieniona scena.

Ten mądry poeta polski opatrzył urywek następującym komentarzem: „Wszyscy krytycy i recenzenci estetyczni współcześni we wszystkich dziennikach europejskich drugiego rzędu i wszyscy polscy we wszystkich pismach periodycznych polskich są teź głębokości, teżoż tonu i teźe jowialnej dezynwoltury”. Nie straciły swej aktualności gorzkie uwagi Norwida. Krytyka zachwyca się tym, co zachwytu nie budzi, skąpi słów uznania pisarzom, którzy na nią zasługują. Ciągłe królują, sygnalizowana przed chwilą, dezynwoltura, a więc lekceważenie kogoś lub czegoś... Nie chodzi o honory i względy, chodzi po prostu o „literacką sprawiedliwość”!

Najnowsza książka Stanisława Rogali „Strzelcy i Sokoły” ma Żeromskiego w herbie, gdyż jej autor jest kontynuatorem świątokrzyskiej, kieleckiej części twórczości autora „Szyfowych prac”. Sygnalizowana powieść rozgrywa się u progu I wojny światowej, ale sięga również do wydarzeń 1905 roku. S. Rogala jest doskonałym dokumentalistą, co w połączeniu z umiejętnościami narracyjnymi tworzy interesujący duet epicki. Całość opowiada i uczy, jak stać w pierwszym szeregu narodu, jak nie chować głowy w piasek, jak nie zamykać się w sobkostwie i przysłowiowej wieży z kości słoniowej.

Autor „Piotrowego pola” dokonuje swoistego aktu reinkarnacji postaci i miejsc opisanych przez autora „Szyfowych prac”. W swych świątokrzyskich freskach opowiada, jak na Kielecczyźnie rodzi się wolność w drugim dziesięcioleciu dwudziestego wieku, jaką rolę odegrały niepodległościowe organizacje (owi tytułowi *Strzelcy i Sokoły*), czym była pierwsza kadrowa kompania Józefa Piłsudskiego, która wyruszyła z krakowskich Oleandrów w stronę niepodległości Polski właśnie przez świątokrzyskie dziedziny. Autor „Rodzinnej ballady” te chwile pełne historii ujmuje najtrafniej: „Nie bądź już Klerykowa ani Priwiślańska wo Kraja. Jednakowo Borowicz, jak Radek i Zygier zamieniają się w prawdziwych żołnierzy. Nie będzie już potajemnych czytań „na Górcie” ani skrytych recytacji Zygiera. Czas dorastania się skończył, nadszedł czas walki. Czas Rafała Olbromskiego i Krzysztofa Cedry. Ale nie na obczyźnie: we Włoszech, w Hiszpanii, na San Domingo dla ujarznienia wolnych ludów. Tutaj. Tutaj! Na różennej ziemi piastowskiej, w Królestwie, w walce o własną wolność. Dość sporów i waśni. Dość pustych hasel: pracy z ludem, oświecenia, rewolucji społecznej, równouprawnienia. Dość kolaboracji...”

Preferując – i słusznie – młode pokolenie, autor „Wolań za matką” tworzy całą plejadę swoich bohaterów. Młodzi potrafią, bez obciążenia przeszłości, bez pomyłek życiowych, walczyć o wymarzoną wolną ojczyznę, o serdeczne Kielce. Uczą się też, niejako równolegle, trudnej sztuki wzajemnej miłości. Strzelecko-sokoła dola miała laur niepodległości, złoty wawrzyn wawelskiego wzgórza, królującego nad zmartwychwstającą Polską.

Cztery lata (jak wynika z daty, zamykającej tekst powieści) pracował Stanisław Rogala nad *Strzelcami i Sokolami*. Pisarski trud pięknie zaowocował. Z pewnością przyczynił się do tego sukcesu duch Stefana Żeromskiego, unoszący się nad stronicami książki. I wcale nie dziw, bo przecież twórca *Popiołów* to ojciec duchowy całej twórczości kieleckiego pisarza.\*

Stanisław Rogala, *Strzelcy i Sokoły*, LSW, Warszawa 2002, s. 328

EN ISO 9001



DNV

Gwarantowany system jakości

## Najlepsi w usługach i doradztwie!

Viterra Energy Services jest światowym liderem wśród przedsiębiorstw zajmujących się rozliczaniem kosztów zużycia ciepła, wody i innych mediów.

## Już 10 lat w Polsce!

Największa w branży sieć dystrybucyjna obejmuje w Polsce 9 oddziałów, 30 biur pełnomocników handlowych oraz ponad 1000 firm instalacyjnych i odczytujących.

## Usługi:

- doradztwo techniczne, finansowe i prawne,
- dostawa i montaż podzielników kosztów ogrzewania, wodomierzy, ciepłomierzy i zaworów termostatycznych,
- inwentaryzacja grzejników,
- odczyty wskazań urządzeń pomiarowych,
- wprowadzanie i aktualizacja danych w systemie rozliczeniowym,
- rozliczanie indywidualnego zużycia ciepła, rozliczanie zużycia ciepłej i zimnej wody,
- rozliczanie dodatkowych kosztów budynku lub grupy nieruchomości,
- wystawianie indywidualnych i zbiorczych rachunków,
- prognozowanie przedpłat na kolejny okres rozliczeniowy,
- elektroniczna wymiana danych,
- dzierżawa urządzeń jako forma finansowania.

## Urządzenia:

- elektroniczne *doprImo®II* i wyparkowe *exemper®* podzielniki kosztów ogrzewania,
- ciepłomierze *sensonic®II*,
- ciepłomierze magnetoindukcyjne *combimeter®II*,
- przetworniki ultradźwiękowe *ultego®II*,
- radiowy system odczytu i rejestracji danych *symphonic®*,
- system zdalnego odczytu danych *symphonic®* mbus,
- wodomierze do wody ciepłej i zimnej,
- zawory termostatyczne.



Viterra Energy Services Sp. z o.o. 02-677 Warszawa, ul. Cybernetyki 7

Oddziały: 80-119 Gdańsk, ul. Asesora 88; Tel. (0 58) 305 54 86-9; 40-584 Katowice, ul. Śródkowa 5; Tel. (0 32) 609 97 17; 31-155 Kraków, ul. Ogrodowa 1; Tel. (0 12) 422 79 72; 20-207 Lublin, ul. Turystyczna 7; Tel./Fax: (0 81) 745 00 40; 90-046 Łódź, ul. Wodna 39; Tel. (0 42) 676 44 75; 62-529 Poznań, ul. Dąbrowskiego 81/85; Tel. (0 61) 847 36 76; 71-215 Szczecin, ul. Łukasieńskiego 110; Tel. (0 91) 487 96 61; 02-677 Warszawa, ul. Cybernetyki 7; Tel. (0 22) 549 27 30; 54-317 Wrocław, ul. Majakowskiego 7; Tel. (0 71) 376 98 70

www.viterra-es.pl

## Stanisław Chyczynski

## Jawa napisana jak sen

Jak z artysty plastyka przekwalifikować się na pisarza, opowiada JACEK DURSKI w trzeciej swej książce „Rok”. Rzecz, napisana językiem niezwykle manierycznym i pomysłowym, reprezentuje formę pośrednią między dziennikiem a powieścią. Narrator, o personaliach tożsamych z autorem, relacjonuje przebieg dwunastu miesięcy, które przyniosły mu sławę i społeczne uznanie, o jakie bezskutecznie zabiegał wcześniej jako malarz i rzeźbiarz. „To mój najlepszy rok” (str. 135) – dzieli się euforią z przyjacielem w okolicy Wigilii. Na kartach „Roku”, obok osób publicznych w rodzaju Henryka Wańka, Marii Jentys, Mieczysława Orskiego, Damiana Zimonia, Mariana Kisiela czy Kamila Witkowskiego, spotykamy postaci trywialne, po części wykreowane na użytek fabularyzacji tematu. Modelowym przykładem są oczywiście Zwierzakowie – rodzina alkoholików, zakłócająca naszemu artyście domowy spokój. Zresztą, skutecznie przyczyniają się do tego inni typowi mieszkańcy blokowiska: Zaguska, Pisiskowa, Waleriankowski. To swoiste panopticum uzupełniają bohaterowie poprzednich powieści Durskiego, będący jednocześnie kluczowymi osobami jego dzieciństwa. Ile w tej książce prawdy, a ile konfabulacji? – zastanawia się czytelnik niemal non stop...

„Chyba oszaleję wracając do Sosnowca, do szarych bloków, do tej klatki ze Zwierzakami, dudniło mi pod czaszką. Zerwałem głowę z karku i zacząłem kozłować w przedziale. Skakała w okularach. Założył łeb i narysuj granicę ekspresji, zawołał z odbijanej jakiś czytelnik” (str. 140). W taki sposób zwycięz-

ca konkursu im. Stanisława Grochowiaka uatrakcyjnia narrację, popisując się surrealistycznym poczuciem humoru. Celowo odrealnia rzeczywistość, nonszalancko zacierając granice między jawą a snem, co upodabnia jego prozę do dzieł Marca Chagalla. Przyglądając się wybranym fragmentom zapisków Jacka Durskiego, nietłówo odróżnić tzw. przeżycia heterogenne od autogennych fantasmagorii czy marzeń, gdyż oniryczny klimat przenika tutaj wszystko. Cytaty z innych książek Durskiego mieszają się ze strumieniem świadomości, treści majaków sennych przeplatane są ewokacjami, zaś ciągi narracyjne – uduziwniane pomysłami rodem z Güntera Grassa i Edwarda Stachury.

Z pewnością warto baczniej się przyjrzeć stricte zewnętrznej stronie dzieła. Oto bowiem, prawie na początku lektury, znajdujemy odautorskie założenie programu: „Nie chcę pisać jak wszyscy. Tak po staremu. (...) Czy tak stale musimy się powtarzać i powtarzać?” (str. 42). Zaiste, szczytny to cel, więc J. Durski namiętnie eksperymentuje, choćby poprzez rezygnację z tradycyjnej konwencji wyróżniania dialogów (przypomina to „Jesień patriarchy” lub – skądinąd jeszcze bardziej awangardową – „Duszyczkę”). Anakoluty, kadłubowe zdania, ich równoważniki upodobało sobie wielu naszych młodych prozaików – od Grzegorza Kociuby po Krzysztofa Vargę, od Halszki Przymiary po Dorotę Masłowską (z tą różnicą, że „Wojnę polsko-ruską” zostawiłem po dziesięciu stronach, a od „Roku” nie mogłem się oderwać!). W tym miejscu winienem przypomnieć Mirona Biało-

szewskiego, który przecież uwielbiał sztucznie skracaną frazę (por. np. „Szumy, zlepy, ciggi”). W takim kontekście należałoby zatem sytuować owe „spiętrzenia krótkich zdań” (str. 147) Jacka Durskiego. Jednak twórca „Mariackiej”, jakby za przykładem Magdaleny Samozwaniec lub Witkacego, dodatkowo zwykł narrację faszerować „na maxa” różnymi dowcipnymi igraszkami lingwistycznymi, semantycznymi, syntaktycznymi. Jeden przykład o psie: „Zawsze kogoś pogryzł. Albo ciotkę Donajską, albo ciotkę Donajską” (str. 59). Wszelako nie byłby artysta malarzem, gdyby jako pisarz obywatel się bez wszędobylskich barw. „Mimo czarnej czułem się niebiesko” (str. 93), „Na czarnej szybie błękitny wiersz” (str. 101), „Czarne nitki słów aż do niebieskiego” (str. 102). Pytanie: obsesja to, czy ulubione kolory mistrza?

„Rok” Durskiego czyta się naprawdę szybko, na krótkim oddechu, bez przerwy. Ślaski pisarz autentycznie postarał się, by jego „życiopisanie” przykuwało uwagę, wywoływało uśmiech, rozpraszało senność, stymulowało refleksję. Powtórzę: jest to zasługą silnie zmanierowanej swady. Natomiast od strony przesłania ideowego, mnie osobiście w tym pseudodzienniku zaimponowały trzy wątki: po primo – szczyry patriotyzm, delikatnie zarysowany gdzieś pomiędzy wiosną a jesienią lub między latem a zimą; po secundo – ostra, bezpardonowa próba rozliczenia naszej historii z czerwonych plam; po tertio – dojrzałe i jawne odwoływanie się nadawcy wypowiedzi do wiary chrześcijańskiej, i to przez okrągły rok. I zapomniałem może o najważniejszym, o fakcie najbardziej budującym: oto książka dowodząca niezbicie, iż przemiana niespełnionego artysty w poczytnego literata jest możliwa, acz „z niewielką pomocą jego przyjaciół” (J. Cocker).

Jack Durski, Rok, Wydawnictwo „Nowy Świat”, Warszawa 2003, ss. 152

## Józef Jacek Rojek

## Wiersze spod wulkanu

1.

Dawna chińska maksyma mówiła o artyście, iż jest jak drzewo – korzeniami wyrasta z ojczyznej ziemi, ale gałęziami obejmuje cały świat.

Nie bez kozery tę powyższą sentencję napisałem, bowiem mam przed sobą kolejny zbiór wierszy JANUSZA POŁOMA „Czas w Tepoztlanie”, czyli wiersze i fotografie, powstałe w Meksyku, a konkretnie w mieście oddalonym 70 km od stolicy tego kraju, nazywanym często miejscem magicznym: ponoć widuje się tu pojazdy UFO, ale przede wszystkim, spadają tu deszcze meteorytów. W pobliżu również jest czynny wulkan Popocatepetl, często przez autora utrwalony w tych wierszach.

I jak sam powiada w wywiadzie dla „Gazety Olsztyńskiej”: „To kraj wielu bogów, artystów i serdecznych ludzi”.

Aby zrozumieć zamysł artystyczny tych utworów dodajmy, że autor jest wychowankiem

łódzkiej „filmówki”, gdzie otrzymał dyplom wydziału operatorskiego w 1978 i był nawet przez kilka lat dziekanem tego wydziału. Następnie z żoną wyjechał do Kanady, aby przez osiemnaście lat wykładać w Narodowej Szkole Filmowej w Meksyku. Wrócił przed dwoma laty i obecnie jest adiunktem w Katedrze Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie.

2.

Tomik rozpoczyna wiersz „Śmierć w Tepoztlanie”, gdzie „Szczekają psy na rogach/ Swych ulic/ Szczekają ku dzwonom kościołów” tak, jakbyśmy byli w malej, polskiej i katolickiej mieścinie, gdzie pianiem koguty „Ostrzegają Świętego Piotra”, a „Wieki mijają na twarzach staruszek”. Jednym słowem: filozoficzna przypowieść o przemijaniu postaci jego świata – gdziekolwiek byśmy się znajdowali. Najwyżej: „Wulkaniczny popiół/ Pokryje moje ciało”, wszak przebywamy pod wulkanem Popocatepetl (tytuł innego wiersza), który może „Powtórzyć kaprys Wezuwiusza/ Wobec Pompei”, tyle że na innej półkuli świata.

Ot, zwyczajne życie, ale poetycko podane w szczegółach, gdzie historyczne fakty splatają się z trywialnością bytu powszedniego: „Kobieta/ Ukrywająca butelkę rumu/ Pod dawno przeczytaną gazetą”, zaś w pobliżu „Wychudły pies przeskakuje/ Trawniki/ W poszukiwaniu ochlapów/ Pod domem kochanki/ Corteza/ Któremu sprzedała/ Swoje Plemię („Coyoacan”).

W swych wierszach J. Połom jest oschły, niemal ascetyczny w posługiwaniu się atrybutami poezji (porównania, metafory, przenośnie etc.), za to w załączonych, kolorowych fotografiach widać wreszcie zmysłowy, oszalały kolorystycznie Meksyk: przyrody, ciała, architektury...

Wiersze te są zapisami egzystencjalnymi: zwyczajnej codzienności, ale wiódącej do filozoficznych zadumań.

Jest w tym tomie znamieny wiersz „Testament”, gdzie w podtytule autor składa dedykację „Amazońskiej rybie”. I myślę, że znajdziemy tu credo jego twórczości: jako poety i jako artysty w ogóle. Artysty, który nie emigrował, ale po prostu wyjechał na jakiś czas z Polski w świat. I stał się „półkosmopolitą” – jak powiada w innym wywiadzie. Mimo tego, jednak bezimienna ryba z Amazonki dziwi się, iż on, ten obywatel i półkosmopolita, w „Dalekich od mojej tropikalnej wilgotności” światach, będzie uporczywie dążył i płynął w swym czasie do tej „Którą ku mojemu zdumieniu/ Uparcie nazywasz/ Ojczyznę”.

Bardzo znamieny to wiersz, bardzo poetycki i po prostu bardzo ludzki w wymowie: bez szlagonowej, tromtadackiej czy łzawo-emigracyjnej tęsknoty.

Na ten sposób pozwalają sobie pisać twórcy niby zewnętrznie oschli, wstrzemięźliwi, ale wewnętrznie „rozedrgani” poezją i wiedzący, że trzeba „Odpowiednie dać rzeczy – słowo!” (C. K. Norwid „Ogólniki”).

3.

Oczywiście w tomiku mamy wiele wierszy o innej tematyce, wątkach i tropach intelektualnych, ale i te są naznaczone upływem czasu.

Janusz Połom, Czas w Tepoztlanie, Edytor „Wers”, Olsztyn 2003



## Stanisław Chyczyński

## Ktoś contra nikt

Spore wrażenie wywarła na mnie książka pt. „Ktoś” GRZEGORZA KOCIUBY, tarnobrzeskiego pisarza, współredagującego rzeszowską NOP. Przyobleczona w pomysłową szatę graficzną publikacja, stawia autora w jednym szeregu z Edwardem Stachurą, Markiem Hłasko czy Andrzejem Pastuszkiem.

„Ktoś” jest konstrukcją afabularną, chociaż opartą na swoistej chronologii, wyznaczonej przez konwencjonalne wektory: przeszłość – terażniejszość – przyszłość. W pierwszej części (pt. *Tam*) Kociuba dociekliwie poszukuje – metodą ewokacji i reminiscencji – siebie w przeżytej i zapamiętanej przeszłości. Jego wnikliwe analizy psychologiczne, i quasi-fenomenologiczne momentami przypominają subtelne roztrząsania mistrza Gombrowicza. W drugim rozdziale (*Tu*) autor żażarcie tropi swoje autentyczne hic et nunc, doświadczane holistycznie i maksymalnie głęboko. Systematyczna eksploracja podmiotowej rzeczywistości zahacza wręcz o metafizykę: oto narrator-bohater wpada na ślad świadomościowego „pasażu” czy też „szczeliny”, prowadzącej jakby na wyższy poziom psychoprzestrzeni. „Znowu otworzył się pasaż i ja w nim się otworzyłem. On mnie otworzył, gdy znalazłem się w nim. I znów poczułem, że jestem zrośnięty. Miarowy, regularny puls wszystkiego we mnie. Zanik granic. Bez lęku, że zanik granic. Nawet nie przyszło mi do głowy, by powiedzieć (ja). A to przecież od (ja) zaczęło się wytyczanie granic, wbijanie pali, rozwijanie drutu” (str.

37). Poznawczo-mentalne penetracje ocierają się tutaj niemal o buddyzm Zen...

Jest więc „Ktoś” artystyczną próbą odnalezienia własnej tożsamości w coraz bardziej dezintegrującym się świecie III tysiąclecia. Bohater Kociuby jawi się jako egzystencjalna negacja Się Stachury. O ile bowiem Michał Kątny, czyli Nikt, a później Się – byli analogonami jakiegoś bodhisattwy, dążącego do wyzbycia się wszelkich indywidualnych obciążeń, o tyle Ktoś usiłuje zrekonstruować swoje Ego w samym jądrze osoby jako osoby. – To ego, które w naszej zatimizowanej codzienności ulega totalnej dekompozycji. Oczywiście, dotyczy to wąskiej grupy ludzi, załóżmy, że introwertycznych artystów i neurotycznych intelektualistów, bo cała reszta żyje sobie błogo, jak stado baranów. Tego G. Kociuba bynajmniej nie twierdzi, to już są moje uproszczenia (jako rezultat obserwacji istotnych...).

Największe wrażenie robi część trzecia (*„Gdzieś”*), a zrealizowana „w formie poematów prozą, urywków, widzeń, zgęszczeń obrazów” (str. 63). Bowiem przemówił wreszcie Kociuba-poeta, windując swoje zapisy na poziom najwyższych rejestrów językowych. „Ilekoć idę ulicą ludnych miast, rozłaznienie wznieca we mnie dzikie karnawały. Moje oczy – sploszone stada antylop rozbiegające się na wszystkie strony. Moje nozdrza – watahy głodnych wilków, szukające ciepła i żeru. Moje serce – strudzony lotem ptak, który nie może znaleźć gałęzi, gdzie mógłby odpocząć. Nigdy nie rozumiałem zmierzwionej mowy miast. Zbyt długo wsłuchiwałem się w baśnie starych puszczy, zbyt często zaszywałem się w litaniach jaskiń, zbyt mocno przywieriałem do strzelistego aktu wieczornego nieba, bym mógł pojąć szalone poematy ulic” (str. 81). Analogicznych sformułowań nie powstydziliby się sam Bruno Schulz. Lingwistyczne igraszki Kociuby przy-

wołują na myśl narracyjne harce Stachury, natomiast predylekcja do posługiwania się równoważnikami zdań lub celowo skracaną frazą kojarzy się z prozą Mirona Białoszewskiego. Język „Ktoś” jest zatem fuzją kolokwializmów, czy środowiskowego żargonu, ze stylem poetycko-estetycznym. Czyni to z Grzegorza Kociuby prawdziwego mistrza żonglerki literackiej.

Nie byłbym jednak sobą, gdybym nie podkreślił głównego waloru książki – jej wymiaru etyczno-metafizycznego. W rozdziale II znajdujemy bowiem jawne potępienie pornosów, aborcji czy degradacji przyrody (por. str. 99 – 100). Moralne zaangażowanie pisarza jest dzisiaj rzadkością. Autor kończy swoje dzieło nowotestamentową aluzją: „Jest gdzieś to ucho igielne, które czeka tylko na mnie” (str. 102).

Czyż to nie budzi nadziei?\*

Grzegorz Kociuba, *Ktoś*, Biblioteka „NOP”, Tarnobrzeg 2003, ss. 104

## Pracownia plastyczna

Ingi Iwińskiej  
Marka Iwińskiego

oferuje usługi w zakresie

grafiki użytkowej

i malarstwa portretowego

85-047 Bydgoszcz, ul. Chrobrego 24/4  
tel. (052) 3214718

## Jan Tomaszewicz

## Rura

O ile, stylistycznie ledwo poprawne, prozatorskie wynurzenia MILENY HRYCENKO w miniopowieści „Jak to wszystko się skończy?” (*„Akant”* 2003, nr 7, s. 48) są, przynajmniej w pewnej mierze możliwe do przelknięcia, o tyle jej produkcje poetyckie – jeśli nie są zwykłą pomyłką – robią, mimo najlepszych chęci czytającego, wrażenie kiepskiego żartu. Skądinąd jednak wiadomo, że rzeczywistość w swoich kapryśnych kształtach, zwykłe z łatwością przerasta nasze wyobrażenia o niej i dlatego, z dużą dozą prawdopodobieństwa, możemy przyjąć, że wiersze te są całkowicie serio traktowanymi twórcami osoby, która zgodnie ze swoją wewnętrzną potrzebą bycia postacią publiczną, skwapliwie skorzysta z każdego, nawet niezbyt pewnego sposobu, aby choć przez chwilę zatrzymać na sobie uwagę bezkrytycznych kłakierów i otrzeć się o – często wątpliwą – sławę. Nawet do monstrowych rozmiarów rozbudowane ambicje, żeby głośno zaistnieć w medialnym świecie, nikogo już nie dziwią ani nie gorszą. Wyraźnie przeceniając swoje talenty i predyspozycje, młodzi, naiwni entuzjaści estrady – i literatury, niestety – zapłacą każdą cenę za szansę wyjścia z mroków anonimowości i możliwość zaprezentowania – bez względu na jakość widowni – zazwyczaj problematycznych, jak to ma miejsce w tym przypadku, umiejętności.

Sledząc heroiczne zmagania autorki zbioru wierszowanych twórców pt. *„Dla Ciebie”* z oporem materii słownej, trudno nie zauważyć, że walkę tę ewidentnie przegrywa i to na wszystkich frontach. Płaskie, nie posiadające za grosz wdzięku a jednocześnie całkowicie pozbawione, tak niezbędnej w tej kategorii, finezji i dowcipu, za to

bez żadnego umiaru trywialne w obscenicznym kształcie erotyki, poza uczuciem głębokiego niesmaku i zażenowania, budzą przede wszystkim zdziwienie, że mogły powstać w kulturowym kręgu języka polskiego bogatego w ponadczasowe, ze wszech miar zasługujące na wieczną pamięć, osiągnięcia Fredry, Boya czy Zegadłowicza. Mając w historycznym tle, znane i podziwiane bon moty Kochanowskiego „Daj, czegoś nie ubędzie, byś najwięcej dała...” albo „...im kot starszy, tym... ogon jego tuwarszy i dąb... choć list na nim płowy, stoi potężnie bo ma korzeń zdrowy...”, nie można, mając pretensje do bycia mistrzynią słowa, pisać, bez poniesienia przykrych konsekwencji: „Ty wstrętna ruro... lachociągu... pudernico... szlajusko wredna...”

Wierząc, z uporem godnym lepszej sprawy, w swój sztuczny, na użytek, zawsze erotycznej sensacji żadnej gawiedzi, skonstruowany wizerunek kobiety seksualnie wyrafinowanej, z pewnością nie zrezygnuje z uprawiania pisarskiego procederu i prób uzyskania pozycji żeńskiego guru rozwiązań. Osobiście jestem szczerze przekonany, że M. Hrycenko, spełniając swoje najgłębsze marzenie, by zaśpiewać „...niektóre wiersze w wersji polskiej, angielskiej i hiszpańskiej...”, autentycznie, tak jak to było dotąd, zadziwi świat sztuki. Jerzy Stuhr wielokrotnie powtarzał, że „nie ma takiej rury, której nie można odetkać”, a więc, konsumenci kultury – wiele jeszcze przed wami.\*

Milena Hrycenko, *Dla Ciebie*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 52

## Maria Hołyńska-Sawicka

## Operacja z wyobraźnią

dr Załęckiemu  
z Kliniki Okulistycznej  
w Poznaniu

Ostatnie przygotowania do zabiegu prześcieradła, instrumenty, tlen proszę patrzeć na światło niezwyklej tonacja głosu –

angaż całego działania wirujące świetlane koła gdzieś drgające morze uspijony bezkresny ocean

wysięk – precyzja chirurga spływające strugi wodne na wydmach bieją muszle wyrzucone sztormową falą

teraz nie poruszać okiem wewnątrz umieszczone narzędzia operacja dobiega końca słyszę oddalanie kroków

zapytuję – kto operował najbardziej przystojny w zespole doprowadza o zawrót głowy – śmiałość tuszowana śmiechem

uświadamiam powagę chwili umiejętność wykonania zabiegu kojące działanie głosu czas co pochłania pamięć.

Stefan Pastuszewski

## W stylu organizacyjno-mądrościowym

To już dobrze. Chciało się ten zbiór czytać, choć drażnił. Rzucaniem się, niczym z motyką na słońce, na tematy wielkie (czas, sens życia, miłość) i nazbyt ambicjonalnym chęcią niepokodzeniem się z porażką w tej walce, efektem czego były blade puenty, np. „*bo każdy, chce mieć tyle i aż tyle ile może na swój czas*” (s. 55). Pod tym względem tom wierszy LUDMIŁY JANUSEWICZ „*Rozmowa z Tobą w czasie*” przypomniał Anny Kajtochowej („*Akant*” 2003, nr 8, s. ), zaś z uwagi na znaczny rozrzut tematów Teresy Januchty („*Akant*” 2003, nr 7, s. 47). Podczas lektury niepokoiła też, mała chęć organizacji „*przestrzeni zewnętrznej*”, a nie – typowe dla poestess emanowanie światłem olśnienia, które niesie świat – zewnętrzny i wewnętrzny (nie darmo symbolem kosmicznym kobiety jest Księżyc). Pod tym względem twórczość autorki „*Mszy żalobnej zawieszanej między drzewami*” lokuje się na antypodach coraz wyraźniejszego dorobku Jolanty Baziak. Chociaż w pewnym momencie ta mocna „*animatorka życia*” też wykazała słabość wyznając, mądrościowo czyli w swoim stylu: „*Wystarczy odrzucić fałszywą troskę aby zacząć żyć akceptacją / wszak nie jesteśmy bogami*” (s. 50). Słabość ta przyszła po miłosnej klęsce (podzielony na trzy części tomu wyraźnie opowiada „*pewną historię*”), mimo, że oczekiwania żeńskiego podmiotu lirycznego nie były wcale wygórowane jak to, przybierając już patologiczne rozmiary, bywa u Joanny Jędrzejewskiej-Baldygi („*Akant*” 2003, nr 2, s. 44). W ogóle sam opis miłości, w dynamicznej, przełamanej („*ledwie przyszedłeś a już pojawił się ból*”, s. 31), zdaje się być najpełniejszym i najmądrzejszym zarazem (przypomnijmy: autorka „*Oskarżam słowa*” płynie przez świat stylem organizacyjno-mądrościowym). Rzadko można spotkać tak jasny i przekonujący wizerunek miłości, sporządzony oczami kobiety, która dobrze wie, że mężczyzna to wzrokowiec a kobieta to dotyko- wiec, jak i pojawił się w tym jednym z dwóch tylko (na 50) wierszy bez tytułu, co zważywszy na, przyjęty przez poetkę, styl (*ona wszystko wie*), jest doprawdy heroizmem:

\*\*\*

zjawili się przede mną nagle  
Jak kupiec wenecki wytrwale przyglądałeś się  
materii i koloru

Dotykałeś wzrokiem detali  
od ściegu słów po barwę

Ogarniałeś przestrzeń w której byłam  
Nie targowaliśmy się wcale  
przede mną nagle

Jakże to przepyszny, jakby klasycznie nienderlandzki obraz! W ogóle, autorka „*Jest sowa oczekiwania*” powinna rozwijać swą urokliwą umiejętność malowania subtelnymi szczegółami (omawiamy tom ilustrują jej niezłe, chyba pastele).

Przytoczmy takie perełeczki wizualne: „*mały relief wyrzeźbionego przez trzmiela powietrza*” (s. 4), „*strzyżenie liści w kierunku muzyki Kilara*” (s. 6), „*półcień w obfitym, przez rzeźbę szkła karafki czerwonym winie*” (s. 35), „*falujący spokój letniego powietrza*” (s. 45). Wróćmy jednak do największego – póki co, osiągnięcia poetki, czyli sygnalizowania miłości. Podniosła, a równocześnie świeża, jest pochwała kochanka („*Jesteś sejsmografem który w nizinym krajobrazie dostrzega studnie artezyjskie*, s. 26; nie wiem jednak, czy to stwierdzenie jest zgodne z regulami techniki), szczere oddanie się kochanki („*posiadłeś moją myśl ledwo dłoni dotknąłeś*”, s. 26; „*nie mówiliś słuchaj a we mnie gra kwartet smyczkowy*”, s. 28), przekonujące tym razem „*mądrością*” (liczy się tylko ta chwila gdy nadszedł ich czas w sobie”, s. 25; miłość przychodzi w najmniej oczekiwanym momencie i ma się nijak do etyki i moralności, no i potrafi nieźle utuczyć, s. 24). Zupełnie jednak nie polecam bardzo licznych rozstrzygnięć, powstałych w wyniku badania czasu (gdy byłem tak młody, jak L. Janusewicz też się tym problemem obsesyjnie pasjonowałem), bowiem co rusz potknijemy się o tak niestrawny kamień jak: „*nie przywiążuj się zanadto / limit czasu obowiązuje wszystkich*, s. 12. Nieco lepiej jest z dywagacjami na temat „*mojego czasu*” („*Czas II*”, „*Czas III*”, „*Aż tyle*”), bowiem tam pojawiła się taka perełka:

## Czas III

W oknie przyszłość  
i to co minęło

Siedzę  
smutkiem przywiązana do krzesła

Najuciążliwszy z czasów  
teraźniejszość

Temat „*Sens życia*” przyniósł takie odkrycie: „*Trzeba po prostu żyć a odpowiedzi przychodzą same*” (s. 18), zaś społeczno-polityczny („*A gołębi coraz więcej*”, „*Polska*”, „*Nasz czas*”) zanudził niestety prowincjonalną gazetą. Nie lepiej też było z „*reportażami z podróży*” („*Południe*”, „*To nieprawda*”). A w ogóle, w całym tomie za dużo takich suchych, niepoetyckich pojęć jak: *agresywny wzrok* (s. 44), *zdyszana wściekłość* (s. 45), *cele wypaczone, erzace* (s. 49), *akceptacja* (s. 50), *wznoszenie przybytków cywilizacji* (s. 54). Warto więc, od czasu do czasu, parafrazując atmosferę „*ciepła kuchni z rozgrzanym piekarnikiem, burczącej pod przykrywką garnka zupy*” (s. 47) odłożyć długopis, a wziąć do ręki cedzak...<sup>10</sup>

Ludmiła Janusewicz, *Rozmowa z Tobą w czasie*, Toruń 2002, Wydawnictwo Adam Marszałek, ss. 58

Andrzej Sikorski

## Poznańskie Koziolki

Trzecie wydanie książki STANISŁAWA LEONA MACHOWIAKA, wzbogacone o nowe wiersze i ilustracje dzieci (z poznańskich SP 33 i 90) na pewno wzbudzi wiele emocji. Ten swowisty przewodnik poetycki adresowany jest nie tylko do najmłodszych. Starszy Czytelnik znajdzie także wiele ciekawostek i informacji o starzych i nowych dziejach miasta, które, od ponad tysiąca lat, wsłuchuje się w szepty Warty. Dwa rogate urwisy widziały i widzą najwięcej z wysokości wieży ratuszowej i dlatego... poeta „*wprzągł*” je do wierszy i popędziły – a my z nimi – dookoła Starego Rynku (nawet kilka razy!), wpadły do muzeów (nie wycierając kopytek), do zabytkowych kościołów, pałaców, na Międzynarodowe Targi, do ZOO i innych dzielnic Poznania. Trudno uwierzyć, ale były w Szkole Baletowej i w Teatrze Polskim (nie rozrabiały!) i u Mistrza Nowaka, który.../ przy ulicy Woźnej/ pod numerem dziesiątym,/ nad piekarnią... oddaje salon artystom, dzieląc się pieczywem i dobrym słowem.

Kolorowa książeczka uczy i wyjaśnia legendy, przypomina wydarzenia, zwyczaje i ludzi, którzy przez wieki budowali świetność wielkopolskiego grodu. Pałac i kaplica pierwszych władców Polski (pod kościołem NMP, na Ostrowie Tumskim). Joannici, król Jagiełło (po zwycięstwie na polach Grunwaldu przyjechał do Poznania), dyrektor Łukaszewicz (pierwszy szef Biblioteki Raczyńskich), Ignacy Paderewski i Jan Kiepura („*mieszkańcy*” Hotelu Bazar); Henryk Dąbrowski, Józef Wybicki, Feliks Nowowiejski (pochowani w podziemiach kościoła św. Wojciecha); Helena Modrzejewska, Ludwik Solski (występowali w Teatrze Polskim) czy Fryderyk Chopin (grał w gmachu przy pl. Kolegiackim). A obrazki z poznańskich rynków? Piękne!

W pierwszym wierszu czytamy: ...*Koziolki skaczą z nami wszędzie,/ poznamy całe miasto./ A kiedy nam już sił ubędzie/ i neony pogasną/ Siądziemy sobie przy stoliku/ i poczytamy wiersze...!*

Spacer lub zwiedzanie Grodu Przemysła z rytmicznymi utworami jest przyjemne i poruczające. Dziecięce rysunki dodają kolorytu za- kątcom znanym i nie znanym, dawnym i najnowszym. Zakończmy wierszem, bo inaczej się nie godzi: ...*Duża wieża nad wszystkim/ w dawnym stylu stoi,/ są Koziolki, których dzisiaj/ nikt się już nie boi/*

No cóż. Poeta sprowadził do miasta wystraszone koziolki i - nie po raz pierwszy - uraczył nas ucztą królewską. A rogate urwisy? Pasą się na trawniku przy pl. Kolegiackim lub harczą na wieży Ratusza. O resztę spytajcie Stanisława L. Machowiaka - na pewno dopowie jeszcze jedną historijkę.<sup>10</sup>

Stanisław Leon Machowiak, *W mieście ratuszowych koziolków*, Dom Wydawniczy „Medial”, Poznań 2003, ss. 40.

## XII TYSKIE LATO POETYCKIE

Miejskie Centrum Kultury w Tychach ogłasza konkurs poetycki, adresowany do wszystkich piszących, którzy nie opublikowali jeszcze samodzielnej książki poetyckiej.

## Warunki uczestnictwa:

- nadesłanie zestawu trzech nigdzie niepublikowanych ani nagradzanych w innych konkursach utworów
- utwory muszą być opatrzone godłem (wyrazowym nie rysunkowym) i powielone w trzech egzemplarzach każdy
- w zamkniętej kopercie wewnątrz przesyłki, opatrzonej tym samym godłem, należy umieścić następujące dane: imię, nazwisko, adres zamieszkania, telefon, krótka notka biograficzna
- utwory należy nadesłać do 20 września 2003 roku (decyduje data stempla pocztowego) na adres:

Miejskie Centrum Kultury, ul. Szkolna 94, 43-100 Tychy z dopiskiem na kopercie: XII Tyskie Lato Poetyckie.



Janusz Orlikowski

## Dobrze, że są

Poezja w Polsce ma zazwyczaj wymiar środowiskowy.

„Czas utrwalony” to pozycja wydana z okazji XX-lecia grupy twórczej „Cumulus” z Chrzanowa. Rodzi się pytanie: - co też tam u nich się dzieje?

Jak wynika z artykułu wstępnego organizacyjno-duchowego przywódcy grupy LUCYNY SZUBEL, objętościowo zajmującego aż jedną trzecią książki, dzieje się sporo. Niekoniecznie są to działania stricte artystyczne, bardziej kulturotwórcze, a o nich też warto i trzeba w kilku słowach napisać. Poeci *na fali*, notabene – mający częstokroć rodowody akademickie lub z akademikami związane, nazywają tego typu twórczość-działanie: *miłym sposobem spędzania wolnego czasu*. W ten sposób grzecznościowo są z nią, ale równocześnie od niej się odcinają. I milczą. Trudno...

Odciać się więc nie mam zamiaru, a i rodowody moje inne.

Lucyna Szubel, w tekście „XX lat grupy twórczej „Cumulus”, przedstawia jej historię. Zwraca przede wszystkim uwagę na interdyscyplinarność grupy. Są więc w niej oprócz literatów, czy osób piszących, malarze, rzeźbiarze, jest teatr ze szczególnie uwzględnieniem pantomimy, recytatorzy i muzycy. Autorka opisuje współpracę z młodzieżą, dziećmi, ukazuje szereg inicjatyw lokal-

nych i ponadlokalnych. To dobrze, to bardzo dobrze. Zwłaszcza gdy ma za sobą lokalne władze, które działaniami są zainteresowane. To wzór do naśladowania.

Teraz warto przyjrzeć się zbiorowi „Czas utrwalony” nieco bliżej i krytycznie.

Sledząc kolejne strony nie byłem pewien, czy mam do czynienia z 20-leciem czy 15-leciem, zrzeszonych w Chrzanowie twórców. Otóż, na okładce widnieje lat dwadzieścia, natomiast ze stron 2 i 3 artykułu, wspomnianej Lucyny Szubel, wynika, że 15. Po czym na stronie 18 znów, że 20. Teraz jestem głupi, ale podejrzewam, że o całe 20 lat chodzi. Poza tym, zastanawiają mnie słowa poetki, dotyczące ewentualnej przyszłej sławy twórców najbardziej w grupie znaczących. Pisze o nich tak: „Pozostają najwytrwalsi, ci, którzy potrafią nie tylko czekać, co oczekiwać – nie czekając”. Mam wrażenie, że coś tu ze zmysłem postrzegania znaczenia i pojemności słów jest nie tak. Zupełnie odwrotnie! *Czekać* – owszem, ale *oczekiwać* – to co, to nie. *Oczekiwać* bowiem znaczy tyle, co mieć – w marzeniach wyobraźni swych literackich działań duchowe bądź, o mój Boże, materialne profity. I po co tak młodzież oszukiwać, uczyć interesowności? A fe!

Poza tym budzi trochę moich wątpliwości forma wypowiedzi Lucyny Szubel. To jest tak i, co zazwyczaj zdarza się w przypadku tzw. provin-

cji (sam na niej mieszkam), że pojawia się pewien gest usłużności wobec person z wielkiego miasta. Tego tonu nie pozbywa się autorka, a wręcz odwrotnie. Rekompensuje sobie jednak; to drugi biegun tej przywary: *chwalmy pod niebiosy swoje*.

Kolejne – by tak określić – działy książki, to dwa wykazy osób: „Byli z nami” i „Są z nami”. Jak rozumiem pierwszy tytuł, byli, czyli już nie są; zabrał ich czas, odeszli w siną lub inną dal, co najwyżej. A tu w jednym i drugim wykazie te same imiona i nazwiska: Helena Chłopek, Władysław Bialik, Mirosław Janik i inni. A może się czeplił? A może nie.

Do pozycji dołączona jest bogata errata do strony 32 – „Są z nami”. Ot, komputerowy chichlik, uciął prawą stronę tekstu i amen.

Do pełnowartościowych zestawień zaliczyć należy kalendarium konkursu „O herb grodu Chrzanowa” (już 27 edycji).

Poza tym są jeszcze poeci i ich wiersze, przy czym częstokroć notki biograficzne jakby objętościowo przekraczają prezentowane utwory. Stąd nie będę się do nich wnikliwiej ustosunkowywał. Przeczytałem. Są formalnie dobre. Pojawiają się poetyckie perełki. Z pewnością są w Chrzanowie twórcy.

Po lekturze „Czas utrwalony” mam mieszane uczucia. Pojawia się wrażenie, że w rzeczywistości dzieje się tam lepiej, niż w książce o tym. ▶

Red. Lucyna Szubel, *Czas utrwalony. XX lat grupy twórczej Cumulus*, Firma Usługowo-Wydawnicza „Studio 2000”, Chrzanów 2003, ss. 90

Stanisław Chyczyński

## Liryczny Dębowiec

STANISŁAW DŁUSKI, wódarz „Nowej Okolicy Poetów”, wydał właśnie kolejny tomik autorski – „Elegie dębowieckie”. Publikacja nawiązuje do, modnego obecnie, trendu promowania tzw. małych ojczyzn, czyli lokalnych społeczności, prowincjonalnych walorów, kulturowego partykularyzmu (ale bez pejoratywnych obciążień). W obliczu eskalującej globalizacji uważam to za nader zdrową tendencję obronną, chociaż, zapewne, skazaną na niepowodzenie. Tym bardziej należałoby pochwalić rzeszowskiego poetę za otwarte przyznawanie się do swoich małomiasteczkowych korzeni.

Autor „Starego domu”, przeplatając nowe wiersze starymi, tym razem skomponował zbiorek tematycznie zwarty, zasługujący na miano osobliwej, lirycznej monografii Dębowca, królewskiego miasteczka z XIII w. (nota bene miast wstępu przytoczył „Opis powiatu jasielskiego” z 1908 r. - fragment nie pozbawiony specyficznych walorów poetyckich!). Wiersze, dedykowane rodzinie Dłuskich, żyjącym i zmarłym mieszkańcom Dębowca, jego ulicom i zaułkom - składają się na jakże subiektywną historię „małej ojczyzny” pisarza. Jak sugeruje motto z Józefa Mackiewiczza, patriotyzm lokalny obejmuje tutaj pełnię krajobrazu: lasy i pola, piachy i błota, powietrze i wodę, i „człowieka jako część składową pejzażu”. Natomiast centralną osią wykreowanego zaścianka okazuje się studwudziestoletni dom rodzinny, uutożsamiony z Universum i analogicznie do niego zagrożony entropią. Celna personifikacja pozwala dostrzec ludzki wymiar w pozornie martwym obiekcie, przeto w oczach poety dom staje się jakby analogonem człowieka, zyskując twarz, trzewia, plecy, nawet - duszę.

Wracam do starego domu, pochylonego jak  
mój ojciec, który przekroczył próg  
ostatniego dnia.

Lubię dotknąć skóry pachnącej przemijaniem,  
rumiankiem snu i cichym losem myszy,  
dotknąć  
sercem ścian białych jak Ojciec nasz.  
(s. 9)

Etymologiczna klamra, spinając ojcowiznę z ojcem, umożliwia przejście od archetypu domu do archetypu jego gospodarza, do głowy rodziny, przynajmniej w tradycyjnym jej modelu. Co ciekawe – w twórczości Dłuskiego postać ojca (naczelnego mierniczego gminy) pojawia się bodaj częściej od matki, nabierając wręcz patriarchalnej symboliki. Wprawdzie syn wspomina zmarłego rodzica z estymą, miłością i tęsknotą, ale nie bez ironizujących podtekstów („Świat wg Kłaputa”), a nawet – ewokowanych wynurzeń, dających do myślenia („Elegia na śmierć Józefa Dłuskiego”)...

Liryczny Dębowiec – niczym prastary Świętowi – objawia zatem różne swoje oblicza: relacje z wiejskiego (vel małomiasteczkowego) życia oscylują od sielankowości („Sierpień”) po wizję już apokaliptyczną („Ptaki napadają świt”). Wszystko to świadczy o mocnym i głębokim zakotwiczeniu wyobraźni poety w podmiejskich klimatach, co upodabnia jego propozycje literackie do dorobku Tadeusza Nowaka, Ernesta Brylla, Jalu Kurka czy Jana Bolesława Ożoga.

Marcin Przewoźniak napisał kiedyś, iż „wiersze Dłuskiego są prywatne jak modlitwa”, co jest szczególnie adekwatne do „Elegii dębowieckich”, czyli utworów – zgodnie z tytułem – hojnie podlanych melancholią i zaprawionych powagą. Mnożone przez autora lamentsy, psalmy, suplikacje czy epitafia są pisane niezwykle serio, są intymne i familijne, więc zasługują na miano osobistych wyznań. Oto w „Rachunku sumienia” czytamy:

Wszystkie moje mocne postanowienia  
zamieniły się w popiół

(...)

wszystkie moje pokuty odeszły do ciemnej  
sieni domu

(...)

wszystkie moje grzechy rozkwitły jak dłonie  
młodych dziewcząt

(...)

powalony pień leży na łące i żębrze o opłatek  
miłosierdzia

(s. 29)

Ten, niemal patetyczny, fragment świetnie ilustruje niebagatelny, od lat przybierający na sile, rys poezji Stanisława Dłuskiego, mianowicie – mniej lub bardziej bezpośrednio, odwoływanie się do wartości chrześcijańskich. Twórca „Samotnego zielonego krawata” zwykł czynić to na ogół w sposób subtelny i nienachalny, słusznie obawiając się, że nazbyt donośne, ostentacyjne deklaracje mogłyby zniechęcić potencjalnych neofitów do samej sprawy. Świątopogładowe (ale nie tylko) zbieżności lokują autora „Elegii...” pośród takich pisarzy pokolenia „Bruilionu” jak Cezary Michalski, Krzysztof Koehler, Anna Piwkowska, Wojciech Bonowicz czy (nieco młodszy) Wojciech Wencel. Nazywam ich „sprzymierzonymi”, gdyż łączy ich troska, niekiedy zakamuflowana, o uniwersalną aksjologię i godność człowieka. ▶

Stanisław Dłuski, *Elegie dębowieckie*, Biblioteka „Nowej Okolicy Poetów”, Rzeszów 2003, ss. 42

## Sprostowanie

Przepraszamy p. Jana Tomkowskiego za przekłamanie, które znalazło się w tekście autoryzowanego wywiadu z nim („Akant” 7 (72) 2003). Znalazło się w nim nieautoryzowane zdanie: „Niemniej po części rolę taką spełnia „Akant”.

Redakcja

Tadeusz Lira-Słiwa

## Szarość świata

W latach dziewięćdziesiątych krytycy pisali na łamach czasopism kulturalnych (m.in. Janusz Sławiński w „Kresach”) o charakterystycznej sytuacji, w jakiej znalazła się wówczas literatura: zniknęło geograficzne i artystyczne „centrum”. Literackie „szkoły wyższe” (warszawska i krakowska) zamieniły się w placówki muzealne, natomiast „na prowincji” uaktywniły się „małe instytucje” kulturalne.

Niezwykle jest to, że „prowincjonalne placówki” jakoś wiążą koniec z końcem... Mało tego! Organizują konkursy literackie, wydają książki i czasopisma. Szczególną aktywność wykazują instytucje kulturalne na Pomorzu i Kujawach, m.in. w Bydgoszczy (czasopisma literackie „Akant”, Kwartalnik Artystyczny „Metafora”, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”) i w Sopocie (dwumiesięcznik „Topos”, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu). Natomiast w Aleksandrowie Kujawskim działa Miejskie Centrum Kultury. To „regionalne centrum” znane jest z wielu inicjatyw kulturalnych i literackich, m.in. organizuje Ogólnopolski

Konkurs dla Dzieci i Młodzieży „OTWÓRZMY OKNA”.

Na rozstrzygniętą w grudniu 2002 roku szóstą edycję konkursu, napłynęło 260 zestawów, liczących w sumie 750 wierszy. Do pokonkursowej antologii pt. „Otwórzmy okna” zakwalifikowano 76 wierszy, autorstwa 61 młodych poetów. Poszczególne działy antologii odpowiadają kategoriom wiekowym, według których rozpatrywano wiersze nadesłane na konkurs:

I – „Głosy najmłodszych” (dzieci w wieku 6 – 12 lat, uczniowie szkół podstawowych);

II – „Strofy nastolatków” (młodzież w wieku 13 – 15 lat, uczniowie gimnazjów);

III – „Młodzieńcze światy” (młodzież w wieku 16 – 19 lat, uczniowie szkół ponadgimnazjalnych).

Kierownikiem artystycznym i organizacyjnym Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „OTWÓRZMY OKNA” jest jego pomysłodawczyni – Daria Danuta Lisiecka.

Zdobywcami I miejsc zostali następujący autorzy: ANTONINA LISIECKA („Głosy najmłodszych”), ALICJA WĄTROBA („Strofy nastolatków”), NATALIA DROZDAŁSKA, ALICJA LISZKA („Młodzieńcze światy”).

Pokonkursową antologię otwierają utwory najmłodszych poetów. Najmłodszy wysuwają na pierwszy plan – rodzinę. Artur Skonieczny (6 lat) ma „kochającą rodzinę/ mamę tatę i siostrę” (\*\*\*) „mam kochającą rodzinę...”, s. 5). Dla Emilii Wolskiej (10 lat) oazą szczęścia jest dom „Rodzinny i ciepły/ Pachnący chlebem” („Dom”, s. 4).

Optymistyczne „Głosy najmłodszych” kłócą się z poglądami niektórych socjologów, np. z opinią Marcela Gaucheta: „Rodzina przestaje być wspólnotą znaczącą z punktu widzenia stanowienia i podtrzymywania więzi społecznej” („Nowy wiek osobowości”, pismo „Le Debat” 1988, nr 99). Młody bohater wiersza A. Skoniecznego docenia wartość „wspólnoty domowej”: „ktoś poświęca mi/ dużo czasu” (s. 5). Nawet Pan Cogito, sceptyczny bohater utworów Zbigniewa Herberta, uważał, że „W domu zawsze Bezpiecznie” („Przepaść Pana Cogito”, tom „Pan Cogito”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993, s. 19). – Jaki jest „ciąg dalszy” wiersza A. Skoniecznego?... Młody poeta wybrał się z rodziną na jesienny spacer... Nie była to relaksująca przechadzka. Podmiot-poeta zauważył, że liście spadły z drzew... Do jego dziecięcej duszy wkraśl się niepokój:

to nic, że liście  
spadły z drzew  
bez liści też są ładne  
(s. 5)

Pan Cogito też wychodził na spacer... „ale zaraz za progiem/ gdy rankiem Pan Cogito/ wychodzi na spacer/ napotyka przepaść” (s. 19). – Ta przepaść nie ma „znaków szczególnych”; jest to przepaść „na miarę Pana Cogito” (s. 19). Natomiast Paulina Frankowska (12 lat) zobaczyła „za progiem” – szarą przepaść:

Szare chmury zastoniły niebo.  
szare chmury przysłoniły słońce.  
Szary dzień.  
Szara noc bez końca.  
(„Egzystencja”, s. 6)

Młoda poetka ma poczucie niższej (szarej) wartości:

To ja! – szara myszka.  
To ja! – szary człowiek.  
To ja! – wołam głośno.  
Niestety, nikt mnie nie słyszy.  
Szara egzystencja.  
(s. 6)

Znamienne jest to, że „Głosy najmłodszych” (i starszych uczestników konkursu) brzmią zgodnie z głosem... Tadeusza Różewicza. Nestor polskiej opublikował w 2002 roku kolejną książkę pt. „Szara strefa” (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław); w tytułowym wierszu (s. 12) pisze o obecności bieli, czerni, szroci i kolorów w poezji, malarstwie i rysunku. T. Różewicz uważa, że „szare” ciągle istnieje, także pod postacią depresji, której jedynymi „barwami” są – „szarość lub całkowita ciemność” („szara strefa”, s. 12; cytaty nawiązują do poglądu profesora Antoniego Kępińskiego).

W antologii „Otwórzmy okna” młodzi poeci pokazują nam rzeczywistość pełną przemocy i „rozwrzaskliwych czasu przechwałek” (określenie Cypriana Kamila Norwida). Antonina Lisiecka (11 lat) idzie ulicą i... widzi „mury”, które „krzyżą napisami”:

Zabij Żyda!  
Zabij Czarnego!  
Żółtego  
- nieważne –  
Zabij!  
(„Poszukiwanie”, s. 9)

Moda poetka idzie dalej i dostrzega, że z billboardów „uśmiechają się/ (...) sztuczne twarze/ obiecając najbielszą biel/ i nigdy nie kończącą się młodość” (s. 9–10). A. Lisiecka „pomiędzy zgrozą” a „iluzją szczęścia” szuka

przewodnika  
Boga  
który poprowadzi  
wyttumaczy


ocali.  
(s. 10)

Młodzi autorzy szukają autorytetów. Iwona Ilecka (15 lat) ma skromne marzenia:

Choć raz,  
pod białym niebem  
pobiec po zielonych łąkach,  
stąpać po brunatnej ziemi  
i wpatrywać się  
w blask wschodzącego słońca.  
Chcę tak niewiele (...)  
(„Tylko tyle”, s. 15)

Tylko tyle... pragnie otrzymać od „rodu ludzkiego” – młoda poetka. Niestety, ludzie „tamią kości i serca/ (...) wygrywają z ludźmi w życie” (Alicja Wątroba, 15 lat; „Bez tytułu”, s. 13). Antologię zamyka wiersz-przestroga Katarzyny Węglarskiej (19 lat): „Jeśli nie jesteś ubezpieczony/ Nie patrz w górę/ Bo się przerazisz, że nie ma schodów”. – Zamiast schodów są „cienkie linki/ Po których masz się piąć do Nieba” („Rada przed dalszą drogą”, s. 45).

Red. Daria Danuta Lisiecka, Otwórzmy okna. Wybór wierszy laureatów VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego dla Dzieci i Młodzieży, Miejskie Centrum Kultury i Urząd Miejski, Aleksandrów Kujawski 2002, ss. 48



## Tulipan „Akantu”

KUPON PLEBISCYTOWY

---

AUTOR

---

TYTUŁ UTWORU

---

ROK I MIESIĄC DRUKU

---

IMIĘ I NAZWISKO TYPUJĄCEGO

---

ADRES

Podsumowując II kwartał 2003 roku plebiscytu Tulipan „Akantu” trzeba stwierdzić, że najwięcej głosów zdobył Jacek Tabisz za dwa utwory: „Pieśń twojego anioła” oraz „Requiem dla drzew II” („Akant” 2003, nr 7). Ponadto wyróżniono następujących autorów: Ryszard Biberstajn „Zdziwił ludzi”, Michał Bukowski „Wciąż tyle do zrobienia”, Robert Czempiński „Jutrznia”, Janusz Garlicki „Radość nad kałużami”, Katarzyna Karbowniczek „Ślimakowatość”, Wojciech Kawiński „Topnienie”, Ryszard Kornacki „Gdy”, Janusz Piczak „Pęta Kanibala”, Clemens Conrad Rössler „Nad Kanalem Bydgoskim”, Włodzimierz Rutkowski „Z pamiętnika wariata”, Joanna Salamon „Na obczyźnie”, Jerzy Stążka „Przeprowadza”, Jerzy Lucjan Woźniak „Finał”.

Wyróżnionym gratulujemy. Liczymy na dalsze zgłoszenia. Co kwartał!

Stanisław Chyczyński

## Życie jest piękne

„Na krawędzi tęczy” to debiutancki tomik zakopiańskiej malarki, stypendystki Ministerstwa Kultury, ANNY BOGUCKIEJ. Autorka pisze wiersze ponoć od 10 lat, odnosząc – dopinające do dalszej pracy – sukcesy na ogólnopolskich konkursach (np. wyróżnienie w Ludzmięskich nagrodach za wiersz o tematyce góralskiej w Zakopanem).

Kiedyś Czesław Miłosz użył kokieterijnego określenia „poema naiwne”, próbując adekwatnie oddać charakter swoich wierszy o zakłęciach ojca, trwodze, wierze, nadziei i miłości. To właśnie autoironiczne sformułowanie przywołują na myśl poezje Anny Boguckiej, pełne niewyszukanych, romantycznych rekwizytów w postaci słońca, księżycy, gwiazd, tęczy, paproci, brylantów, świerszczy, pajaków i krasnoludków. Wielką pasją zakopiańskiej artystki jest ludowe malarstwo na szkle, stąd barwne reprodukcje jej obrazów stanowią ciekawe plastyczne dopełnienie zestawu tekstów. Niezwykle kolorowy świat tegoż malarstwa znajduje wyraźne odzwierciedlenie w tradycyjnie zorientowanych lirykach, pozostających werbalnym refleksem podhalańskiego folkloru.

W epoce hegemonii wiersza wolnego autorka „Na krawędzi tęczy” ma na szczęście odwagę pisać stroficzne, rymowane „pieśničky”, czerpiąc z ludowej poetyki. Niebagatelny ich walorem jest właśnie melodyjność frazy, słusznie zatem zauważa Emil Biela, że „aż proszą się, aby w ich tle stanęła góral-

ska muzyka” (vide komentarz na IV stronie okładki). Chrome rytmy czy ewentualne nieporadności słowne dodają tym zapisom autentyczności, tudzież spontanicznego – typowego dla samouków – artyzmu.

Anna Bogucka jest – jako się rzekło – przede wszystkim malarką, dlatego ubogaca swoje słowne obrazy wyrażeniami apelującymi do zmysłu wzroku: „czarne myśli”, „różowe okulary”, „niebieskie oczka”, „złoty październik”, „czerwiec turkusowy”, „dzień z zimnego błękitu”, „wieczór w kolorze różowym”. Jej bogata wyobraźnia zaludnia świat przedstawiony wieloma fantastycznymi postaciami – aniołków, diablików, wiedźm, skrzatów, orawskich duchów, zbójników i świętych na szkle malowanych. Wszystko to pozwala doszukiwać się analogii, łączących twórczość Anny Boguckiej z dziełami słynnych prymitywistów w rodzaju Felicji Głowackiej (bajkowy koloryt) czy Teofila Ociepki (baśniowość). Nie skażona profesjonalizmem poezja stanowi tutaj rzadki obecnie rezerwuar szczerości, prostoty i optymizmu. „Życie jest piękne” – jakże prostolinijny zachwyt znajdujemy w „Spacerze (I)”.

„Dobry jest świat” – kolejny powód do euforii z miniatury „Frasobliwy”. „Pełno jest radości w naszym domku malutkim” – finalne wyznanie, ignorujące przestrożę o kuszeniu czuwającego licha. W sumie – godny pozazdrosczenia, szlachetny stoicyzm, wyrażany za pomocą wersetów

zasługujących na miano „poezji niedzielnej”.

A propos – zagadką dla mnie pozostanie, dlaczego autorka, ujawniająca predykcję do celnej metafory i błyskotliwych ozdobników („księżyc potykający się o chmury”, „skalne wąwozu krużganki”, „w azurową noc ulatująca ćma”) zbyt często zatapia te zgrabne figury w rozwodnionej, zbanalizowanej retoryce. Jeden przykład: „poszliśmy nazbierać liści noc/ ale zastała nas noc” (str. 25). W tym kontekście zakopiańskiej artystce należałoby życzyć więcej tak udanych, bezpretensjonalnych kompozycji jak „Moja ziemia”, „Zakopiański pejzaż” czy „Skołowanie”.

Tatry i Podhale  
dwie moje tęsknoty  
na waszej urodzie  
widzę Boga dotyk

Zacytowanie tej prostej, ale pięknej strofy, pozwala jeszcze raz podkreślić rolę „małej ojczyzny” w sztuce Anny Boguckiej, która – obok Wandy Łomnickiej-Dulak – zapracowała na tytuł piewczyny rodzinnych stron – od Czarnej Orawy po Rysy, od Trzech Koron po Babią Górę. Rozległy to obszar, ale wyjątkowo doniosły dla wielu zasłużonych Polaków. Na przykład dla Tytusa Chałubińskiego, Jana Krzeptowskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Stanisława Marusarza, Antoniego Kenara, Władysława Hasiara, Józefa Tischnera czy Antoniego Rzaśy. Znajdujemy ich również w wierszach „Na krawędzi tęczy”, czyli – zgodnie z chrześcijańską symboliką – na moście łączącym doczesność z wiecznością...\*

Anna Bogucka, *Na krawędzi tęczy*, Zakład Poligraficzny „MK”, Nowy Targ 2002, ss. 60

Tadeusz Zubiński

## Ze wskazaniem na nie...

Już na samym wstępie potencjalny czytelnik jest poddany rozterce, gdyż musi zmierzyć się z kwestią, czym jest tak naprawdę, ostatnio wydana, książka JERZEGO ADALBERTA JUCEWICZA, opatrzona tytułem jak z folderu „W krainie rzek, pól i lasów”. Najłatwiej przyjąć, iż jest modnym od zawsze reportażem z historii, wszak takim reportażem post factum, była *Iliada*.

Wydaje się, że jest takim reportażem niejako po drodze, gdyż książka J. A. Jucewicza jest również zapisem własnych, bardzo konwencjonalnych przemyśleń autora, zajmującego się nie tyle twórczością co efektownymi (przy pobieżnym oglądzie) epizodami z życia Wieszcza. Oczywiście, można i tak, gdyż ma to jakiś sens terapeutyczny. Niestety, zbiór szkiców autora „*Lotów nad orlim gniazdem*” stał się czym więcej; wyraźną próbą popisu papuziej erudycji. O takich badaczach, których największa zaletą jest twarde siedzenie wyznawców gładkiej, a nic ożywczej nie wnosiącej niby- wszechwiedzy (która ani ziębi, ani co gorsza – nie parzy), w Krakowie powiadają „*dłubocę*”. Jerzy Adalbert Jucewicz prezentuje się takim *dłubocem*, tyle że dosyć leniwym, gdyż ogranicza się do penetracji zaledwie kilku pozycji odnoszących się do omawianego przedmiotu, a przecież temat-Mickiewicz to ocean, wręcz kosmos.

W tym, przede wszystkim, dotyczy to jednej pozycji o obecności Mickiewicza w Wielkopolsce. Mam tu na myśli pracę Janusza Maciejewskiego z roku 1972 pt. „*Mickiewicza wielkopolskie drogi*”. Książka bydgoskiego pisarza sucha (ach, te obce języki!!!), wstępującym na łamy pism literackich mickiewiczologom szczególnie polecam Białoruski: wiele ciekawego wokół autora „*Pana Tadeusza*” dzieje się na Białorusi) przybliży się, całymi partiami tekstu, do działań podejrzanie

zanadto kompilacyjnych. Zważywszy, że epizod wielkopolski, przecież nic więcej niż epizod w życiorysie wieszca, zaś w samej jego twórczości tak naprawdę zaowocował obecnością chartów i buków w „*Panu Tadeuszu*”. Trudno więc odkryć w tej materii coś rewelacyjnego. Tym bardziej, że tok narracji stosowany przez autora „*Przez krajobrazy*” jest rwany, a jednocześnie przegadany. Popelnia on pospolity grzech wszystkich dygresistów: daje upust potrzebie wypisania się. A przecież, wobec tematów tak ogromnych jak: pisarstwo Mickiewicza, Dostojewskiego, Szekspira, niezbędna jest pokora, a najmniej pożądane bywają kompleksy.

Jeśli już przysmyczymy się pomocować z Mickiewiczem, to mocujmy się twórczo, a choćby ryzykownie. Być może są jeszcze sfery życia Wieszcza dotąd nie zbadane, albo odnotowane pobieżnie. Choćby taka: podczas ostatniego pobytu na Kresach zetknąłem się z paniami podnoszącymi swoje rodzinne parantele z Wieszczem, w jednym przypadku w Wielonach na Łotwie, a w drugim w Podbrodziu na Litwie.

Podstawowe partie zbioru szkiców, dotyczących zagadnienia: Mickiewicz i Wielkopolska, niczego dla czytelnika, nawet średnio interesującego się autorem „*Dziadów*”, w nic korzystnie nie ubogacają, jakby to ujął aktualny Ksiądz Prymas. W swoich fiskach, opatrzonych sygnaturą „*Mickiewicz*” odnalazłem dosyć leciwe wycinki z „*Gazety Poznańskiej*” i z „*Tygodnika Powszechnego*”. Te szkice(raczej rozszerzone teksty popularyzatorskie, napisane po Bożemu) a traktujące o pobycie Wieszcza na wielkopolskiej ziemi, są przystępne i dostępne. Ile tych tekstów jest w sumie? Jakies góra pięć kolumn w „*Akancie*”, i w tych pięciu kolumnach znalazłyby się prawie( zdecydowanie prawie) wszystkie dane pomieszczone na aż 79. stronach omawianej książki omawianego autora. Zatem rada: *Znaj proporcje, Mocium Panie!*

Autor, wyraźnie odczuwając nadmiar twórczej weny, podłączył do głównego trzonu książki dosyć swobodnie teksty: pierwszy o daleko idących filiacjach utworów Mickiewicza z wówczas głośnymi nie tyle dziełami, co zjawiskami w lite-

raturze europejskiej. Ani ta konstatacja nie jest odkrywcza, ani bym bardziej pogłębiona refleksją; ot, bywało tak w owych latach, iż w Europie ludzie wykształceni czytali na bieżąco w obcych językach wartościowe pisma innych ludzi i w tym tkwi cała tajemnica.

Drugi z dołączonych tekstów został marketingowo opatrzony sensacyjnym tytułem „*Misja na Wschodzie*”. Ten tekst można zakwalifikować jako, co najwyżej, poprawny. Zdecydowanie w tej mierze korzystniej wygląda krwista powieść Lesława Bartelskiego „*Mickiewicz na Wschodzie*”: zaznaczmy: powieść sprzed lat wielu. Ostatni szkic, stricte literacki, z inkryminowanej książki, odnosi się do osoby sekretarza Mickiewicza – Armada Levy’ ego, uroczego człowieka, Żyda z urodzenia, a nie tylko, jak sugeruje Jucewicz, z konfesji.

Kończymy akordem, koniecznym, abyśmy mówili o książce a nie broszurze, dowartościowującym jedynie samą osobę autora, jest gazeta-wa relacja z odbytej(odfajkowej?) sesji naukowej, jednej z tysiąca podobnych, aby nie powiedzieć identycznych w Grodnie i Nowogródku. Jedno, co irytuje ponad miarę, to fakt, że autor ma przeświadczenie konieczności, aby uzmysłowić czytelnikowi, iż w Grodnie i w Nowogródku, to znaczy na Białorusi, a gdzież by indziej?

A, ugrzecznione, wyliczanki-dyrzymałki gombrowiczowsko-bizantyjskie, czolobitne zachwyty wobec władzy, tytułu, czyjejs posiwiąłej głowy, trudno strawić w tak zaprezentowanej obfitości, a jednocześnie przytomnie nie odczytać jako kpnie, choć nie sądzę, aby w tym przypadku taki był zamiar autora. Mamy więc najpierw oficjalni w rodzaju: który czcigodny profesor i skąd przybyły, czy fatygował się tylko z Siedlec czy już raczył z samej Warszawy, a następnie *zostają podane do ogólnej wiadomości* michaiki – w jakiej kolejności i po kim ktoś odczytał kolejny referat. To już nawet nie dokument, tylko gładzenie. \*

Jerzy Adalbert Jucewicz, *W krainie rzek, pól i lasów*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2002, ss. 110

Tadeusz Zubiński

## Kiedy wszyscy wiedzą, że Kichote to nazwa konia...

Księga Portugalczyka-maga objawień, ironicznych i onirycznych, smakowity patchwork literacki, suma doświadczeń i przypadków narodu *pracowników morza*, cyrograf ran i objawień, jakby kamień runiczny spisany na falach oceanów. Dla tych, którzy powracają z Afryki albo z kolejnych Indii macierz portugalska jawi się wymarzoną i mitycznym rajem a jednocześnie jest miarą wszystkich cnót i godności.

Nova terra-Portugalia, ta młodsza bujna postkolonialna spoza mórz i oceanów do macierzy powraca obolała, poobijana, wymięta, ociekająca wszelką fizjologią. Główny bohater-przypadek sika, wypróżnia się, oddaje mocz, *odcedza kartofelki i osusza jaszczura*, nie opuszczając panoramicznego ciągu swoich profetycznych wizji. I tak się dzieje kiedy inni kładą z mozołem dokerów oślinione asy w zajadłym kartograjstwie a stary żołnierz-awanturник-kaleka a jednocześnie obsesyjny gaduła, kto by inny jak nie sam Don Miguel de Cervantes Saaverda, prychając oblesnie w kryzys hidalga, dla samej zasady zły, urażony, częściej obrażony, paskający jak koń dręczony wędzidłem, nieustannie rezonuje, iż on, szlachcic, tak się pospolituje z tą jazgotliwą tłuszcą. Tym niemniej mozolnie spisuje na luźnych kartach przypadki innego szaleńca-rycerza o posępnym obliczu. Bohaterowie jako całość zagubienia i złudy, jako strzaskane zwierciadło minionej chwały okazują się galerią robinsonów z tytułowych karawel. W ostatecznym rozrachunku staczą się do poziomu tuzinkowych ludzioków. Jeden z nich, to ten dla którego sensem życia stała się trumna ze zwłokami ojca. A on posiadał misję narodową jako poeta, więcej – on już wieszcz,

zatem śmiało pozwala sobie, aby stać się nudziarzem. Nawet wtedy nie przestaje go trawić duma i zżerać kaznodziejski ogień przepowiadania. Identycznie wysokich doznań doświadcza pospolity spekulant operujący tyleż efektywnymi co pustymi frazesami.

Dokąd płyną karawele? Gdzie zarzucają kotwice?

Otóż w miejscach mało romantycznych ani bogobojnych :w spelunach, podłych szynkach, w burdelach pomiędzy alfonsami i dziwkami. Dumni konkwistadorzy, ongiś zdobywcy oceanów, po podniesieniu zmuśniętej rycerskiej przyłbicy okazują się nędznikami, co najwyżej widmami minionej chwały.

Ta powieść zaprogramowana na zmysłową, wręcz kipi, gotuje się jak karnawał w Rio de Janeiro. Czytając ją czujemy się jakbyśmy się zanurzyli w kipieli czasów, przypadków, prowokacji, aluzji i cytatów. Sami podajemy się i zaczynamy marzyć o nocnych pieszczołach *nieobecnych Murzynek*. Realizm wprost naturalistyczny miesza się z elementami nadrealistycznymi, kpina z patosem, ból z szyderstwem. Spotkania myśli następują przypadkowo i w najmniej spodziewanych okolicznościach. Ten realizm, niechaj będzie że realizm magiczny, jest też realizmem kanonicznym, ponieważ uwagi autora nie uchodzi żadna załamanie, żadne piętno własnego narodu, czym przybliży się on do Gombrowicza. Obaj twórcy: Polak i Portugalczyk mocują się z tanimi mitami narodowymi, z tą nieznosną gładką, lukrowaną *ładnością* w jaką lubują stroić swoje kompleksy narody peryferyjne.

W powieści ANTONIO LOBO ANTUNES'A pt. *„Karawele wracają”* czas, ten ostateczny sędzia, zostaje sprasowany do rozmiaru jednej chwili. Czas jest niczym więcej jak tylko ilustracją. *„Czasem się kupczy, czas ma się w pogardzie, czas jest nikczemny”* – powiada jeden z bohaterów. Czas się cytuje jak slogan reklamowy: *„To były czasy upadku a wtedy kraj jarzył się największą chwałą a ludzie pławili się w bezdennym dobrobycie”*.

Ci wywyższeni ukazani są jako ludzie, tak – ludzie mali, ułomni, okaleczeni, wyzuci, miotający się, odorzeni zapachami korzeni, afrykańskiego piasku, słonej wody wszechoceanów. Wytatuowani niczym Maorysi grają w karty o absurdalne stawki, pragną śmierci bardziej niż miłości. Jednocześnie nieznośnie i uparcie uwięzieni w ciablach, zmuszani byle gdzie ale jakże często, oddawać mocz; raz scenerią owych czynności fizjologicznych staje się stara Lizbona, na następnej stronie następuje obrót stuleci i mil morskich i znów dopada nas parna afrykańska Luanda.

Z konsekwencją autor buduje opozycję wobec portugalskiego mitu *„kraju na krańcach”*, krańcach całej Europy. Wzmocnienie toku równoległych narracji następuje wyrażone językami, przy czym jeden jest potocznym, inny parodią wzniosłej akademickiej mowy sprawia, że lektura tej powieści zbliża nas do obcowania z czymś barokowym, dusznym.

Tak przy okazji, może to nic nie zapowiada, a może przeciwnie wiele tłumaczy: *Lobo* znaczy po portugalsku wilk. *Lobo* może oznaczać coś drobnego, ale znaczącego, jak skrzydło ucha, ucho od śledzia? Dlaczego za właściwe w tym przypadku nie przyjąć to drugie, żartem poczynione objaśnienie? ■

Antonio Lobo Antunes, *Karawele wracają*, z portugalskiego przełożyła Anna Kalewska, Warszawa 2003, Wydawnictwo W.A.B. ss 286.

Lucjan Zuzia

## Wkraczanie do literatury

Mam przed sobą teksty literackie jedenastu młodych twórców (sześciu kobiet i pięciu mężczyzn), słuchaczy Studium Literacko-Artystycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, zamieszczone na 150 stronach książki *„WYMÓWIENIA”*.

*„Wymówienia”* zostały określone jako *antologia*, choć właściwie trudno nazwać ten zestaw antologią. Ta nazwa, według powszechnie stosowanych określeń, powinna dotyczyć zbioru utworów powiązanych wspólną tematyką lub należących do jednego gatunku literackiego, bądź też nawiązujących do jednego okresu literackiego. Tymczasem w *„Wymówieniach”* nie znajdujemy tego rodzaju związku. Od biedy można byłoby jedynie powiedzieć, że są w nich utwory autorów mieszczących się w mniej więcej w zblizonym przedziale czasowym, jeżeli chodzi o lata urodzeń. Myślę więc, że bardziej adekwatne byłoby określenie tej książki jako *„wybór tekstów literackich”*.

W wydanym tomie, nie ma żadnej wzmianki, czym kierowało się wydawnictwo, przy doborze autorów i tekstów w nim zamieszczonych. Redaktor Karol Maliszewski dał autorom w końcowym fragmencie swojej wstępnej wypowiedzi (str. 11) pewnego rodzaju *„błogosławieństwo”*: *„Kij na drogę, plecak i buty zostały Wam dane”*.

Potwierdzenie trudu redakcyjnego znajdujemy w wypowiedzi K. Maliszewskiego, który zaznacza na tej samej stronie: *„Taryfa ulgowa dotyczyła tylko niektórych autorów”*.

W tej sytuacji, spojrzenie na przedstawione w tomie dokonania pisarskie wybranych jedenastu adeptów *„Studium”* nie może stanowić ani pełnej oceny ich osobistych osiągnięć literackich, ani też oceny korzyści warsztatowych wyniesio-

nych przez słuchaczy. Mam tu na myśli zdobywanie przez nich doświadczeń i umiejętności pisarskich oraz rozwój własnej osobowości.

Potwierdzają to w pewnym stopniu zamieszczone w książce wypowiedzi pięciu wykładowców, którzy prowadzili zajęcia ze słuchaczami. Ich wypowiedzi nie są jednomyślne w ocenie. Wypływają bowiem z różnych punktów widzenia obecnej literatury i różnej oceny tych samych zjawisk zachodzących w życiu społecznym, a także sposobów ich ujmowania.

Moje pole oceny *„Wymówień”* jako całości, zostało nieco uszczuplone z uwagi na różnorodność wypowiedzi wykładowców. Ograniczę się więc do poruszenia tych problemów, które zostały pominięte.

Z pewnym zdziwieniem zauważyłem, że w tych wypowiedziach nie znalazłem nawet krótkiego odniesienia do sensu istnienia owej *„Szkoły Pisania”*, czy też odpowiedzi na pytanie nurtujące każdego czytelnika i każdego początkującego pisarza: *„Czy słuchacze „Studium” wynieśli z niego wiadomości dotyczące tylko podstawowych reguł pisania, czy również bodźce inspirujące do wytyżonej pracy nad samym sobą i do nieustannego poddawania się interakcji w celu wzbogacenia własnego wnętrza niezbędnego do właściwego przenoszenia do swoich utworów literackich, myśli, doznań, działań i uczuć innych ludzi, w różnych sytuacjach społecznych?”*

Zatem próba oceny twórczości autorów powstała w okresie dwuletniego uczestnictwa w *„Studium”* a prezentowanych w *„Wymówieniach”*, powinna w zasadzie objąć wszystkich uczestników, ale w ramach krótkiej recenzji nie sposób tego zrobić. Mógłbym uczynić to tylko wybiórczo, podobnie jak zrobili to niektórzy wykładowcy w swoich wypowiedziach. Wydaje mi się jednak, że byłoby to krzywdzące w stosunku do pominiętych.

Doszedłem więc do wniosku, że raczej wspomnę o sprawie istotnej dla wszystkich młodych autorów, a są nią odpowiedzi na postawione sobie pytanie (choć w różnej formie) umiesz-

czone w krótkim biogramie przed własnymi tekstami.

Dlaczego piszę?

Odpowiedzi są różne. Niektóre banalne, niektóre górnolotne, a jeszcze inne niezbyt przekonujące. Dla mnie prawdziwe wydają się być odpowiedzi BEATY ANNY POKORSKIEJ i MARIOLI ZIELIŃSKIEJ. Pierwsza z nich oznajmia krótko: (...) *„Piszę, bo muszę. To wyższy imperatyw, którego nie umiem wytłumaczyć. Jak siadam przed kartką, ogarnia mnie nastrój święta i dziwna radość, choć wiem, że za chwilę będzie ciężko”* (...).

Druga natomiast nie udziela bezpośredniej odpowiedzi, ale mówi czym jest dla niej pisanie: (...) *„Pisanie pozwala mi zatrzymać się i dostrzec istotę tego, co dzieje się wokół. Pozwala mi zejść głębiej, pozwala dotknąć tego, co każdy z nas głęboko skrywa w sobie: bólu, samotności, wiary, nadziei”* (...).

Pierwsza i druga odpowiedź zawiera w sobie pewne prawdy; jedne mówiące o głodzie doznań w akcie tworzenia, a inne o kształtowaniu wrażliwości pisarskiej. A jeśli będą stanowić drogowskaz dla obu autorek (i nie tylko dla nich), śmiało można powiedzieć, że sprostały one wymogom stawianym przed nimi przez literaturę.

W tym miejscu muszę się przyznać, że z dystansem zabierałem się do czytania *„Wymówień”*, które przecież są zbiorowiskiem różnych gatunków literackich, a na dodatek napisanych przez młodych twórców. Bałem się, że na styku odległych od siebie pokoleń, natknę się na mur, który uniemożliwi mi rzeczowe i spokojne ustosunkowanie się do przeczytanych tekstów. *„Ci autorzy są inni niż ja; patrzy i piszą inaczej”* – pomyślałem – *„Ale przecież odczuwają podobnie”* – tłumaczyłem sobie zaraz.

Ostatecznie nawet znalazłem w ich twórczości te same tematy pisarskie, które nadal nurtują moje pokolenie. Więc nie jest źle! ■

Red. Karol Maliszewski, *Wymówienia. Antologia, Kraków 2003, Wydawnictwo „Mamiko”, Nowa Ruda 2003, ss. 164*

## Tadeusz Lira-Słiwa

## Labirynt kultury



Kto rozdaje „liryczne karty” we współczesnej poezji polskiej? – Klasycyści? barbarzyńcy?... Moim zdaniem, rynek literacki został opanowany przez poetki i przez księży-poetów.

Liczba publikujących księży ciągle rośnie... Czytelnicy wykazują szczególne zainteresowanie twórczością literacką dwóch duchownych: Jana Twardowskiego i Karola Wojtyły. Rzecz jasna, wyciszona poetyka księdza „Jana od biedronki” różni się zasadniczo od wielkich wizji filozoficznych, teologicznych i artystycznych – papieża Jana Pawła II.

Czytelnicy-esteci szukają tomów poetyckich księży-estetów, m.in. książek Waława Oszejcy, Janusza Pasierba i Jana Pomina.

O zbiorach wierszy JANA POMINA pisali znani krytycy, m.in. Emil Biela, Bożena Budzińska, Stanisław Chyczyński, Zbigniew Rudziński, Stefan Pastuszewski, Barbara Witucka, Liliana Zubińska (wielu poetów nie dostąpiło takich zaszczytów recenzenckich).

Jan Pomin wydał w 2003 roku kolejny tom poetycki pt. „Labirynt wyobraźni” (IW „Świadectwo”, Bydgoszcz). Tytuł tej książki jest kulturowy. Autor stwarza w swojej wyobraźni mit harmonii helleńskiej. Dlatego szukałem w „Labiryncie...” szerokiego spectrum znaków i mitów kultury. Już w pierwszym (tytułowym) wierszu znalazłem klasyczną budowlę; natomiast w drugim utworze („Akropol”) ujrzałem starożytne kolumny (o takich „rekwizytach” pisali księży-esteci, m.in. W. Oszejca i J. Pasierb). Na „Akropolu”

(...)  
nagiej kolumny prawda  
przeraza złamana jak włócznia  
drży agonią potęga  
- kruchości człowieka  
(s. 6)

W tytułowym wierszu mamy do czynienia z sytuacją wyznania wobec kogoś (wobec czytelnika-estety?), realizowaną w formie monologu lirycznego:

Kiedy napętnię zmysły  
barwami wrażeń dni  
przechodzących przeze mnie  
schodzę w głąb  
w labirynt wyobraźni  
(s. 6)

Podmiot-esteta schodzi do „swojego ja”... po klasycznej „nitce Ariadny”:

rozświetlam Światłem  
i Światłem nasycony idę  
schodami korytarzami  
w zawilej budowli  
swojego ja

Podmiot staje pod ścianą „czystą jasną białą” i zapisuje „kolejną przygodę”; później wychodzi z labiryntu i... ściga na nowo

czas zdarzeń  
z pojmanym za rogi  
Minotaurem  
zduszonym w sobie

Podmiot liryczny jest niezmordowany, niezłomny, grecki heros. Ponownie schodzi „(...) w głąb w labirynt wyobraźni”, by znów zapisać „ten poruszony/ stały/ moment”.

Podziwiam, że duch czasu jest ironiczny, ponieważ stary marksistowski dogmat: „Był okre-

śla świadomość” – znajduje potwierdzenie w świadomym bytowaniu księży. Rozumie się, że mają oni doskonałe warunki do duchowego i intelektualnego rozwoju... Piszą wiersze i dramaty; czytają książki i czasopisma literackie; zwiedzają muzea i zabytki architektury. Ważna rzecz, duchowni-literaci nie zapominają o tym, że „Pisanie jest formą modlitwy” (pogląd Franza Kafki!).

Ksiądz Jan Pomin jest historykiem i literaturoznawcą, specjalizującym się w problematyce sacrum w literaturze. Wydał kilkanaście zbiorów wierszy oraz kilka dramatów. Ponadto pisze eseje, m.in. o mitach w kulturze europejskiej.

Nie ulega wątpliwości, że kulturowe i historyczne zainteresowania autora „Cieni hamady” (IW „Świadectwo”, Bydgoszcz 1999) mają wpływ na tematykę jego wierszy i dramatów. Oczywiście, książka-historik pamięta o płaszczyźnie transcendentnej, na której jawi się Bóg. W liryce księdza J. Pomina można znaleźć kilka punktów stycznych z poetyką... papieża Jana Pawła II, autora przejmującego „Tryptyku rzymskiego” (Wydawnictwo Świętego Stanisława, Kraków 2003).

Czytelnicy czasopism literackich wiedzą, że teraz prawie wszyscy poeci i krytycy pragną ustosunkować się do „Tryptyku rzymskiego”. W ogólnopolskim „Akancie” (2003, nr 5) znalazłem obszerną recenzję wspomnianej książki („Ucieczka z katedry”, s. 36). Autorem tego tekstu jest Stefan Pastuszewski – znany poeta i krytyk. Pisze on, że twórczość poetycka papieża Jana Pawła II ma dość rzadką, jakby mało literacką w ogólnym rozumieniu, formę i treść: „Zarówno jego wiersze jak i dramaty zestawiały w jedną trzy osie: filozoficzną, teologiczną i artystyczną. W istocie swojej raczej wyraz tych utworów był artystyczny, w dość tradycyjnej, czasem może nazbyt konwencjonalnej formie, a treść filozoficzna i religijna. Często przekazywana idea dominowała nad kształtem, treść rozsądzała formę. Giovanni Reale nazywa to połączeniem trzech wielkich sił duchowych człowieka: wiary filozofii i sztuki (...)” (s. 36).

W zbiorach poetyckich ks. J. Pomina wiersze zestawiają w jedną trzy osie: kulturową, filozoficzną i religijną. W tomie „Labirynt wyobraźni” na pierwszy plan wysuwają się odwieczne mity (oś kulturowa); natomiast pozostałe treści – filozoficzna i religijna – schodzą na drugi plan.

S. Pastuszewski pisze w recenzji „Tryptyku rzymskiego”, że forma utworów poetyckich Papieża jest tradycyjna, „czasem nazbyt konwencjonalna”. – Jaka jest forma utworów księży-este-

tów?... W książkach poetyckich W. Oszejcy, J. Pasierba, J. Pomina (i innych księży) możemy znaleźć „mutowane wiersze wolne” (określenie S. Chyczyńskiego). W tych współczesnych utworach obowiązuje oszczędna wizja rzeczywistości. Myślę, że księży poeci są zbyt klasycyści (poważni). – Czy cierpią na melancholię?... Poezja nie jest układem zamkniętym, niedostępnym dla humoru i autoironii.

Rozpocząłem analizę utworów poetyckich ks. J. Pomina od krótkiego przedstawienia wiersza pt. „Akropol” (s. 6–7). Pragnę powrócić do tego utworu, ponieważ jest on klasycznym przykładem wysunięcia na pierwszy plan – osi kulturowej:

Święte wzgórze  
w ogniu słońca  
Sława i chwała Peryklesa  
odarta z ciała  
stoi szkieletem rzeźby  
cud świata

W trzeciej strofie pojawia się „nagiej kolumny prawda (...)”. Piękno starożytnej architektury nie pozwala podmiotowi lirycznemu

spuścić oka  
wbitego dotykami  
w pion  
dzielący przestrzeni  
i czas powstania

Tak, podmiot-poeta jest pełen podziwu dla kultury śródziemnomorskiej czasów starożytnych:

tu rozum wzniosł się  
i stanął  
ponad wszystkie wzgórza  
wielkość myśli  
trwa niezatarta  
w istocie niezmienna  
modyfikowana  
- demokracja

I o ten modyfikowany (!) system „jest nieustanna walka”. Poeta uważa, że lepszej formy ustroju państwa, w którym oficjalnie (!) uznaje się wolę większości obywateli jako źródło władzy – „nie wymyślono/ pod światem słońca/ mimo upływu/ mileniów” (wiersz „Akropol” jest datowany: 20 XI 2000).

Jak wygląda walka o demokrację na początku XXI wieku? – To już inna historia... I „dobry materiał” na obszerny artykuł publicystyczny.

Jan Pomin, Labirynt wyobraźni, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2003, ss. 80.

#### IV Ogólnopolski Konkurs na Tomik Wierszy „TYSKA ZIMA POETYCKA” - po debiucie -

1. W konkursie mogą brać udział wszyscy autorzy (zrzeszeni i niezrzeszeni w związkach twórczych), którzy wydali samodzielną książkę poetycką.

2. **Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie do 30 grudnia 2003 roku** (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Teatr Mały, „Tyska Zima Poetycka”, ul. kard. A. Hłonda 1, 43-100 Tychy, **znormalizowanego maszynopisu (do 50 stron) tomiku wierszy w układzie graficznym przewidzianym do druku**. Opatrzony godłem maszynopisu należy nadesłać w czterech egzemplarzach. W osobnej kopercie – opatrzonej tym samym godłem – należy zamieścić dane: imię i nazwisko, adres, telefon kontaktowy, krótką notę biograficzną oraz tytuły wydanych dotąd książek z rokiem wydania i nazwą wydawcy. Warunki regulaminu będą ściśle przestrzegane.

3. Tematyka prac jest dowolna

4. Jury powołane przez organizatora przyzna tylko jedną nagrodę.

5. Nagrodą będzie profesjonalne wydanie zgłoszonego do konkursu tomiku wierszy oraz kwota pieniężna w wysokości 2 500 złotych.

## Teresa Januchta

## Emilki

„Iskry pod brwiami” to debiutancki tomik poetycki WITOLDA STAWSKIEGO (ur.1959), nauczyciela-ekonomisty, społecznego działacza kultury i turystyki z Piotrkowa Trybunalskiego. Jest on autorem wielu publikacji prasowych – czytamy w nocy biograficznej – członkiem redakcji piotrkowskiego kwartalnika „Forum Nauczycielskie”, wydawcą książek zbiorowych z twórczością uczniów oraz współorganizatorem konkursu literackiego dla młodzieży pn. „I Ty bywasz poetą”. Należy do grupy literackiej „Pomosty”.

Jest w wierszach Witolda Stawskiego jakaś odrobina dziecięcej naiwności, widoczna w sposobie patrzenia na świat i w ogromnej ciekawości tego świata. Dowodem na to są fascynacje pod różną: *Deskorolka pod wieżą Eiffla, Na Placu Pigalle, Nad Sekwaną po północy, Na wyspach szczęśliwych, Kadr z Hamburga, Toledo, Przystanek na Saharze, Emigracja mimo woli, Chorwacio!* Co ciekawe, nie są to wcale sielankowe widokówki, lecz obrazki, pokazane przez pryzmat np. paryskiego czy hamburskiego kloszarda, albo ziaren piasku zabranych z Sahary. Wstrząsający jest obraz wojennej Chorwacji:

Rozstrzelane domy  
patrzą oczodolami

pełnymi łez niewyptakanych.  
Schody do nikąd,  
balkon bez ściany.  
Czy kiedyś siądzie tu gołąb?  
W zmiażdżonych ceglach  
cienie szepczące modlitwy  
do Boga.  
Tego samego?

Rana na murze –  
gangrena.

Chciałabym jednak, przede wszystkim, zwrócić uwagę czytelnika na wiersze, będące poetycką interpretacją obrazów Marty Węgrzynowskiej, wystawionych w lutym 2003r. w Tomaszowie Mazowieckim, o której Stawski pisze: *Byłem tam – z moimi najbliższymi i wśród bliskich. We wnętrzach ram znalazłem kawałek siebie („Wnętrza ram” – s.17).* Wiersze, które narodziły się pod wrażeniem wystawy, noszą takie same tytuły jak obrazy: *Pociapany las, Ulewa, Wsteczne lustro, Wracające, Żywiot, Emilki.* Nie znam tych obrazów (w tomiku zamieszczono kilka reprodukcji, lecz bez tytułów), więc trudno mi ocenić, na ile ich poetyckie odczytanie jest wierne treściom malarskim, a na ile je poszerza, wzbogaca (a może odwrotnie?). Stanowią one niewątpliwie poetycko – malarskie impresje, oddziałujące na wyobraźnię czytelnika i budzące osobiste refleksje:

Wracające  
Przez szachownice pól,

Z torbami trosk.

Przez rozłamany czas,  
Szukając oparcia.

Przez zakręt codzienny,  
Z nadzieją na jutro.

Przez łękę pachnącą –  
Z miłością?...

Przez ramy do wnętrza,  
Z pamięci na płótno...

Witold Stawski szuka. Poszukuje właściwej formy. Najczęściej jest to wiersz biały, czasem zabarwiony subtelnym rymem, a niekiedy proza poetycka lub aforyzm. Nie wszystkie utwory prezentują jednakowo poziom artystyczny, lecz każdy z nich zawiera duży ładunek emocjonalny od zachwytu, wzruszenia i radości przez zamyślenie, niepokój aż po lęk, ból i bunt. Podmiot liryczny „Iskier pod brwiami” żyje pełnią życia, gdyż wedle aforyzmu samego W. Stawskiego „Życie można przeżyć, przespać albo przebiec”. Autor też preferuje pierwszą formę aktywności, a przeżywając ma szansę wzbogacać wciąż swoje wiersze o nowe zauroczenia i fascynacje.

Witold Stawski, *Iskry pod brwiami, Grupa Literacka „Pomosty” Nauczycielskiego Stowarzyszenia Oświatowo-Kulturalnego „Nastok”, Piotrków Trybunalski 2002, ss. 68*

## Zygmunt Jan Prusiński

## Wiecznie czuwający myszołów

JAN TOWARNICKI, to starszy gość, trochę schorowany – może nie wiekiem, a sytuacją w ludzkim krajobrazie.

Poeta, nie może być wciąż *Sumieniem Narodu*, bo nie on wytwarza zachowania korsarzy w dwudziestym pierwszym wieku. Niedługo J. Towarnicki, w trakcie spotkań literackich słupskiego oddziału ZLP, przyznał się, iż w Polsce Ludowej był czynnym członkiem PZPR, gdy pracował na kierowniczym stanowisku w PKP w Słupsku. Powiedział to z wyrafinowaniem, wiedząc, że gardzę niewolnikami tamtego systemu. Dziś, poeta, eseista i krytyk *inaczej* na to patrzy. Wstydy się swojej poddańczej roli wobec sekretarzy. Bo był to świat absurdów.

W wydanym niedawno zbiorze wierszy pt. „*Pieśń myszołowa*” jest kilka zapisów o tej części polskiego piekła – które, nie zmienia się w raj, bo ci sami, co budowali *śliczną PRL*, teraz budują *śliczną RP!* A jak budują, to widać... Byli komuniści – poeta ma ogromny żal do tych samych, którzy byli komunistami, a teraz mają wielkie serce *lewicowej szlachetności*:

Po co maska  
kiedy słowo zatrute  
spada z ust niemych?

Rozgorączony, acz *sprawiedliwy* teraz autor zapisuje w wierszu „*Syn Sierpnia*”: „*Z pokusami ziemskimi stopieni/ snujemy wspólne dokonania/ zapisane w furkocącym powietrzu/ trwamy w czterech stronach/ pijanego od sukcesów/ z pętlą na szyi wolnego/ demokratycznego świata/ (...) Stara władza obleśna i zgnila/ bez odwoagi na wyjście z Egiptu/ nie ma prawa na rudej pustyni/ budowania kłamstwami szczęśliwych dróg/ Cierniem historii przebic/ w objęciu światowych graczy -/ Jesteśmy martwą trawą/ Bez dostępu do sztandarów/ I marszowej pieśni*”

Jest to wiersz ważny. Powiem więcej, nie zawsze płynność w zaangażowanej poezji dochodzi do takiego obiektywizmu, i to u człowieka z bagażem przeszłości. I za tę skruchę dziękuję poecie. Tak mógłby napisać sam Zbigniew Herbert..., a o dziwo, pisze człowiek z układu.

W wierszu bez tytułu na stronie 18 poeta dotknął agresywnej polityki w RP. Mógł śmiało ten wiersz zatytułować „*Falszywy Anioł*”, bo cóż wiersz jest wart, gdy nie ma tytułu: „*Falszywy Anioł, czerpiący profity/ Z żywotności wielkich słów/ Poszukuje zatopionej Arki Noego/ Na falach wielkiego potopu/ W więzieniu stołu sięga po cylinder/ Świata sprzedanej polityki*”.

Nieporozumieniem jest natomiast wiersz bez tytułu, poświęcony Juliuszowi Słowackiemu na 190 urodziny. Ten wiersz na stronie 24 niefortunnie buduje składowisko hasel historii, które są pozrywane jak sieć. Nie ma ten wiersz płynności i składni. Wyczuwa się, że był pisany z jakimś trudem duchowym.

Takie chwile w każdej twórczości się miewa. Po prostu trzeba wtedy zamienić czas pisania na inne czynności. Jeśli się jest urodzonym poetą i ma się talent, to sam czas wezwie poetę do działania. Mógłbym się też przyczepić do ostatniej części tomiku, do tłumaczenia z języka ukraińskiego Olega Guculaka, Olega Korotosza, Marii Mukuckiej. Pytanie: *Po co wprowadzać innych autorów do autorskiej propozycji? To rozbarwia całość...*

Jan Towarnicki pochodzi z Dublan, z byłego województwa lwowskiego. Dlatego dużo wierszy jest poświęconych tamtym stronom, członkom rodziny, jak i o samym sobie z okresu dzieciństwa. Takim przykładem jest „*Wiośniaka ukraińska*”, ballada poetycka. I choć jest dziś mieszczuchem, lecz często wtapia w swe wiersze pejzaż wsi, jakby chciał zaznaczyć, że wiejskie życie jest zawsze bogatsze. Oto wiersz „*Cyganie*”: „*Widzę namioty w środku wsi rozwiane/ w marcowe dni na błoniu za ogrodami/ obóz wśród ognisk krzyk życia wydaje/ Topniejące śniegi ciepłem buchają/ budzą zieleni wierzby i pastwisk/ kowadła dźwięk ostry a miły/ pulsującego do mnie wydzwania*”.

W wierszu bez tytułu na stronie 3, który to otwiera „*Pieśń myszołowa*”, mówi tak: „*Płynie horyzont rozsztelany krzywizną pól/ z łoskotem przegląda się w lustrze Słupi -/ wyjawia moją małość przed chżyżością Myszołowa*”. I dalej: „*w uczynkach nieustannie szukam odpowiedzi:/ czym jest miłość – ile w niej spłynie na moją głowę?/ Kilka pokłonów więcej do ludzi – wciąż się łamię/ podobne moim drogom na których jakiś kłamca poodwraca/ drogowskazy z misternie wypisanym napisem „do nieba”/*

Kilka modlitw więcej wciąż brzmią *małożarliwie/ pod podmokłymi powiekami nie mogą obudzić duszy/ słodko we śnie delektującej się pieśnią Myszołowa*”

Według autora „*ludzkie czarne zamysły*” są zawsze rozpędzone i dlatego nie potrafią zastanowić się nad losem nie tylko swoim, ale i innych... Tak mało mamy na to czasu, albo tylko udajemy, że czyjś ból, cierpienie jest nam też bliższe.

Spostrzegawczość jest domeną poetów. To już takowe dary przy narodzeniu, gdzieś z tajemnic boskich, czy innych kosmosów we wszechświecie. Oto autor „*Pejzażu polamanego*” pisze wiersz „*Kłozetowy kapitalizm*”:

„*Babka kłozetowa z przydworcowej/ wewnątrz swoje łzawo wypala/ (...) człowieczej służy sprawie -/ układa szlifuje błękitny/ by się ludzie nie żarli/ i w tym miejscu byli pewni/ że na obraz są ulepiani/ łzawi biedna/ czarna chmura/ z posłannictwem przychodzi/ słońce jasne skarpeta zastania/ rozpaczy ostrze przytępią*”.

Myszołów jest dla podmiotu lirycznego zdrowym kierunkowskazem. A może sam poeta jest tym myszołowem? Skarbnica człowieka ma wiele w sobie połączeń. W wierszu bez tytułu na stronie 25 poeta pisze: „*Obudziliśmy się w popiołach/ Zimnym wystędem zaszczepiony/ W lustrzanych piórach Myszołowa*”.

Dobitność tej poetyki świadczy o subtelnym smaku i wyczuciu słowa. To jest sztuka odnaleźć z kilku tysięcy słów akurat te, które będą zgodne.

Wiersz bez tytułu na stronie 21: „*W polu kamieni/ z naszej młodości/ ubrany w czarne welony/ (...) ...sukienka w niebieskie grochy/ wesoło spadnie na polny kamień*”. Autor zauważa, iż ten kamień istnieje, jest nadal w tym samym miejscu, gdzie siadywała jego ulubienica. Wmawia sobie, albo i wierzy, że kiedy ona usiądzie „*lata wrócą i wiosny*”.

A „*Na urodziny wnuka*”: „*Z płomienia świętości wyrwany/ oddychasz życiodajnym tlenem/ bez pewności że niesie/ odżywczą prawdę w sobie/ trwałą od ludzkiego słowa*”. Talent talentem, ale kiedy poeta ma już swoje lata, to każde jego słowo za pewne jest wyważone.

Jan Towarnicki, *Pieśń myszołowa, Wydawnictwo AGORA, Słupsk 2002*

Antoni Siemianowski

## Drogi wiary filozofów

Uroczystości kanonizacyjne Edyty Stein w Rzymie w 1998 roku Jan Paweł II zakończył słowami: „Dziękuję Bogu za to i cieszę się, że w naszej Ojczyźnie kult tej świętej rośnie i rozszerza się”. Nie tylko kult, pojawiają się także liczne publikacje, które przybliżają postać Edyty Stein jako człowieka i filozofa. W Polsce Edyta Stein jest znana jako uczennica i współpracownica Edmunda Husserla, jako poszukujący filozof, jako patronka Europy, a nade wszystko jako świadek wiary. Spośród licznych nowych publikacji poświęconych życiu i myśli Edyty Stein na uwagę zasługuje wydana niedawno książka bpa MARKA JĘDRASZEWSKIEGO „Edyta Stein. Filozof i taska wiary” (Poznań 2003), poświęcona w całości zagadnieniu wiary w życiu Edyty Stein. A więc jej drodze od judaizmu do ateizmu, jej osobistym poszukiwaniom prawdy w filozofii, jej nawróceniu na katolicyzm, duchowej przemianie człowieka i uczoney w głęboko wierzącego filozofa i mądrego nauczyciela, jej wstąpieniu do zakonu karmelitańskiego, gdzie – nie zaprzestając pracy naukowej – ostatecznie przygotowywała się na przeżycie tajemnicy krzyża Chrystusowego w Oświęcimiu-Brzezince. Do tego aktu przygotowywała się już w 1939 roku, gdy pisała swój testament: „Już teraz przyjmuję śmierć taką, jaką Bóg mi przeznaczył, z doskonałym poddaniem się Jego woli i z radością. Proszę Pana, by zechciał przyjąć moje życie i śmierć na swoją chwałę, za wszystkie sprawy Najświętszego Serca Jezusowego i Maryi, za św. Kościół, szczególnie za zachowanie, uświęcenie i doskonałość naszego świętego zakonu, za karmel w Kolonii i Echt, w duchu ekspiacji za niewiarę ludu żydowskiego, aby został przez swoich przyjęty, aby nadeszło Jego królestwo w chwale, na uproszenie ratunku dla Niemiec, za pokój świata, wreszcie za moich bliskich żywych i umarłych, za wszystkich, których mi Bóg dał, aby nikt z nich nie zginął” (s. 152–153). Bóg przyjął ofiarę jej życia: pozwolił jej umrzeć w największym poniżeniu. Z ostatnich dni jej życia zapamiętano, że podczas transportu do obozu „aż do głębi duszy była zasmucona, (...) wyglądała jakby dźwigała na sobie (...) beżmiar cierpienia” (s. 148). W obozie zaśpiewała: „Jej krzyk łączy się z krzykiem wszystkich

ofiar tej straszliwej tragedii, ale jest zarazem zjednoczony z krzykiem Chrystusa, który nadał ludzkiemu cierpieniu tajemniczą i trwałą owocność. Wizerunek jej świętości pozostanie na zawsze związany z dramatem jej męczeńskiej śmierci, którą poniosła wraz z wieloma innymi” (s. 155). Uwierzywszy Chrystusowi, naśladowała Go aż do końca.

Książka bpa Marka Jędraszewskiego nie jest jednak monotematyczna, wręcz przeciwnie, ukazuje drogę wiary Edyty Stein na tle czasów i w konkretnym środowisku uniwersyteckim pierwszej połowy XX wieku. Wiara jej kształtowała się w atmosferze „intelektualnej rzetelności” w szkole badań filozoficznych Husserla i gronie jego uczniów. Co prawda sam Husserl o religii nic nie mówił, poruszał jedynie oderwane problemy nauki i filozofii, budził jednak u swych uczniów umiłowanie prawdy ponad wszystko.

Na sprawy wiary Edyta Stein otwierała się stopniowo, w wyniku osobistych poszukiwań i spotkań z ludźmi, w atmosferze miłości i przyjaźni, wzajemnego zrozumienia, ale i sporów o sens wiary, a czasem nawet jej lekceważenia. Raz podczas spaceru z Pauliną Reinach po Heidelbergu weszły do katedry; tam ujrzała modlącą się kobietę. Ta „naoczność wiary” w życiu drugiego człowieka dała jej dużo do myślenia. Podobnie życie duchowe postrzegane u drugich i dobroć serca były bardzo silnymi „argumentami”. Tą drogą przybliżyła ją do Boga m.in. Adolf Reinach, który ją zachwycał jako człowieka i nauczyciela. „...podszedł do mnie z taką bezinteresowną dobrocią serca. Świadczył miłość bliskim i znanym od lat przyjaciółom – to jeszcze mogłam zrozumieć. Tu jednak zachodziło coś zupełnie innego; jakbym po raz pierwszy ujrzała całkiem nowy świat. ...jego życzliwość dla mnie nie wyphywała ze zwykłej miłości bliźniego, ale z sympatii i osobistej przyjaźni” (s. 17 i 18). W czasie wojny Reinach przeszedł z judaizmu na chrześcijaństwo „i we wszystkich listach pisał, że będzie filozofował tylko po to, by ludziom wskazywać drogę wiary” (s. 20). W świat wiary Edyta Stein wchodziła także za pośrednictwem żony Reinacha, u której „widziała naocznie” moc wiary po stracie męża, czy za pośrednictwem swej przyja-

ciółki Hedwig Conrad-Martius. Ale gdy w roku 1921 napisała do swego przyjaciela Romana Ingardena, że jest bliska przejścia na katolicyzm, ten zdawał się jej w ogóle nie rozumieć, mimo że bardzo ją cenił. Posądzal ją o ustępstwo na rzecz irracjonalnych spraw. Podjęła z nim dyskusję na temat doświadczenia religijnego i związku wiary z filozoficznym dociekaniami. Lecz Ingarden wówczas, daleki od żywej praktyki religijnej, był całkowicie oddany sprawom bezstronnych analiz filozoficznych i czystej nauki, nie interesował się sprawami metafizyki, a Edyta Stein wtedy „więcej żyła niż filozofowała”. Nie znaczyło to wcale, że nie myślała racjonalnie. „Moje prace są jedynie odzwierciedleniem tego – pisała do Ingardena – czym się zajmowałam w życiu, bo jestem tak skonstruowana, że nie mogę się obejść bez refleksji” (s. 28). W korespondencji starała się zrozumieć przyjaciela. „Pańskie postępowanie jest przecież całkiem typowe dla intelektualistów, którzy nie wychowali się w atmosferze Kościoła, a ja sama jeszcze kilka lat temu nie ujęłabym tej sprawy inaczej” (s. 33). Z powodu różnic na temat wiary nigdy jednak ich drogi się nie rozeszły. Ingarden cenił Edytę Stein i darzył wielką przyjaźnią do końca życia, co poświadcza jego syn, Roman Stanisław Ingarden w książce *Roman Witold Ingarden. Życie filozofa w okresie toruńskim 1921-1926* (Toruń 2000, s. 43–51).

Bp Marek Jędraszewski podkreśla, że wiara jest darem łaski, a próba jej zrozumienia osobistym dziełem tego, kto uwierzy. Łaska wiary i jej zrozumienie stają się jednak udziałem człowieka wtedy, gdy ten nie lekceważy prawdy w życiu, gdy jest otwarty na doświadczenie, w tym także na doświadczenie religijne; gdy poszukując pewności rozmawia z innymi, dyskutuje, ale nade wszystko gdy wyrzeka się uprzedzeń, gdy jako człowiek oczyszcza się z egoizmu i ciasnoty intelektualnej, słowem „gdy zamiast na zewnątrz, zaczyna wreszcie żyć do wewnątrz” (słowa Edyty Stein, s. 59).

Zastanawia, dlaczego intelektualiści do Boga idą jakoś z oporami, jakby pod górę. Czy wiedza i praca intelektualna są przeciw wierze? Prawda, intelektualiści rzadko słuchają nabożnie kazań czy uczonych konferencji (także Edytę Stein denerwowało w kazaniach pomieszanie polityki i religii). Potępiać ich za to? Może jednak mają swoje uzasadnione powody czy nawet uprzedzenia wobec pewnych form pobożności lub uproszczonych sposobów argumentacji religijnej. Na to uczuleni są zwłaszcza filozofowie, oni chcieliby wszystko zrozumieć, w tym także samego Boga. Czy Bóg ma im to za złe? Czy poskapi im swej łaski? W książce jest kilka pod tym względem wymownych i pouczających fragmentów. M.in. te, które mówią o śmierci Husserla i Edyty Stein. W kwietniu 1938 roku Husserl umierał, a Edyta Stein przygotowywała się w tym czasie do złożenia ślubów wieczystych w klasztorze karmelitańskim. Czuwająca przy Husserlu siostra Adelgundis Jaegerschmid zapamiętała jego najgłębsze zwierzenia. M.in. mówił: „Bóg jest dobry, tak, Bóg jest dobry, ale bardzo niezrozumiały.” (...) Ponieważ szuka słów i widocznie dręczy go, iż nie może ich znaleźć, próbuje znowu do końca wątek myśli zaczętej przez niego: «Tak, Jezus stał się analogią między Bogiem i między nami. To jest Wielki Piątek, zbawienie i zarazem Wielkanoc». Husserl (jak gdyby czuł ulgę i wyzwolenie, z głębokim przekonaniem, przejmującym mnie do głębi spojrzeniem wewnętrznego zrozumienia): «Tak, tak jest». Po jakimś czasie (...) na moje pytanie, co widzi, odpowiada w zadumie głębokiej jak sen, głosem całkowicie mi nieznanym, który wydaje się, że dochodzi z tamtego świata: «Światłość i mrok, tak, wielki mrok i znowu światłość». Od tej chwili już tylko leżał, milcząc, i długo drzemał” (s. 186). Czyż Bóg nie okazał wielkiemu filozofowi miłosierdzia? I na pewno okazał je wielu innym, gdyż dróg zbawienia jest wiele.■

Marek Jędraszewski, *Edyta Stein. Filozof i taska wiary*, Poznań 2003

Zbigniew Krajnik

## Marianna Bocian o Dorocie Masłowskiej

W lutym 2003r. odbyło się kolejne spotkanie Konwersatorium Psychologii Humanistycznej we Wrocławiu. Wypowiadała się być może największa polska poetka - Marianna Bocian, współautorka demaskatorskiej książki o Miłoszu. Zachęcony bezkrytycznymi tekstami licznych redaktorów na temat twórczości Doroty Masłowskiej, przytaczam fragmenty wypowiedzi Marianny Bocian, tak jak je zanotowałem, w celu zrównoważenia „wolnych” i „obiektywnych” mediów:

„Przeczytałam nagradzaną książkę „Wojnę polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną” Doroty Masłowskiej. Widać jak na dłoni, że są to czasy lansowania deprawacji, mrocznego żalnego rytuału nijakości, rozlądnej atomistyki epistemolarniej konfabulacji. Kto nagrody zebrał w latach 90. – jest z wielkim prawdopodobieństwem wynajętym lokajem epoki kapitalizmu, tak tak, o kapitalizmie nie wolno nawet mówić, jest lokajem epoki niszczenia polskości. Kapitał jest ponadnarodowy. Wystarczy przejrzeć spisy nagrodzonych po r.

1989. Ostrzegam: Są to czasy darwinizmu, antyanalizy, tandety – wielkim świętem jest „Dzień Bez Ruska”, a szkoda że wprost nie amfetaminy, która by lepiej pasowała do taniej prowokacji Doroty Masłowskiej, do jej klasy zaklęć (np. „jedna rasa, polska rasa”). Czytając tę „powieść” - ewidentnie zideologizowaną, pod dyktando epoki korzyści – zanotowałam: Mamy kolejno pochwałę: halucynacji transformacyjnej metanoi, gwałtu na ludzkiej duchowości dla zysku, mozaikowości charakterów. Dalej, mamy tu pochwałę: antyjęzyka, przede wszystkim - typowego dla kapitalizmu - chaosu, groteskowej miernoty, nudy i antyhumoru, podświadomościowego napuszczania metodą półzdań, przebąkiwań. Ostrzegam: Oto eon lansowania umysłowego synkretyzmu, wszelkiego niedorozwoju - przez „wolne” (od piękna) media, niedorozwoju odczucia rozwijanego i nieustannie nagradzanego w mediach. Wyrosła ta powieść na ideologii lansowanej od r. 89, ludzkiej mizerii, brzydocie. Media tę powieść wydzwignęły - z duchowego niebytu epoki segregacji, epoki ekonomicznej pałki.”■

## Nowe tytuły

- Maksymilian Bart-Kozłowski**, Oratio recta, Kielce 2003, Oficyna Wydawnicza „Ston-2”, ss. 88
- Wojciech Brzoska**, Wiersze podejrzane, Nowa Ruda 2003, Wydawnictwo „Mamiko”, ss. 58
- Kazimierz Burnat**, Cichnące, Wrocław 2003, Oficyna Wydawnicza „Atut”, ss. 64
- Bożena Dalkowska**, Listy do córki 1943-1945, Gdańsk 2002, Wydawnictwo Autorskie, ss. 118
- Grzegorz Grzmot-Bilski**, Z powrotem do życia, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 44
- Ludmiła Janusewicz**, Rozmowa z Tobą w czasie, Toruń 2002, Wydawnictwo Adam Marszałek, ss. 58
- Anna Kapusta**, Biały ptak, Kraków 2003, Oficyna Krakowska, ss. 48
- Janusz Adam Kobierski**, Ku Itace, Warszawa 2003, LSW, ss. 122
- Janusz Adam Kobierski**, Poezje wybrane, Warszawa 2003, LSW, ss. 176
- Danuta Kostewicz**, Punkt, Bydgoszcz 2003, Drukarnia „GraDar”, ss. 94
- Mieczysław Łojek**, To i owo – przemysł głowo, Bydgoszcz 2002, Wydawnictwo Autorskie, ss. 46
- Agnieszka Mickiewicz**, Иисусе, уповаю на Тебя! (Jezu, ufam Tobie), Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 8
- Piotr Oprzędek**, Słowa, Kraków 2003, Towarzystwo Słowaków w Polsce, ss. 76
- Janusz Orlikowski**, Wiersze wybrane, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 196
- Stefan Pastuszewski**, Bydgoszcz w literaturze. Wypisy, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 132
- Wacław Ratyński**, Z pszczołami po zdrowie, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 92
- Danuta Maria Sułkowska**, Dojrzeła światła dnia, Kraków 2003, Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, ss. 58
- Eugeniusz Szulborski**, Błuszcz, Białystok 2001, Nauczycielski Klub Literacki, ss. 66
- Eugeniusz Szulborski**, Jak wiatr, Białystok 1998, Nauczycielski Klub Literacki, ss. 64
- Jerzy Lucjan Woźniak**, Z oczu bielmo, z serca strach, Sosnowiec 1998, Miejska Galeria Sztuki „Extravaganca”, ss. 60
- Bożena Woźniakowska-Klich**, Wieczna kochanka, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 44
- Dionizy Zabłocki**, Zbiór pokoleń rodziny Jana i Zofii Zabłockich, Bydgoszcz 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 24

## Dzień dobry, Redakcjo

„Akant” wciąż jest mi bliski, uważam że może szybciej młodsze niż przybywa mu wieku, ale dobrze być au courant z wszystkimi, szczególnie młodymi, zjawiskami literatury polskiej. Piszę to nie tylko od siebie; słyszałem od pewnego warszawskiego krytyka, że „Akant” jest najlepszym pismem literackim w Polsce.

Stanisław Stanik

Mam nadzieję, że „Akant” utrzyma się na tle tego hermetycznego badziewia.

Eryk Ostrowski

Udało mi się zdobyć przypadkowo Wasze wspaniałe pismo „Akant” i po zapoznaniu się z jego treścią, z wielką satysfakcją postanowiłem wziąć udział w konkursie poetyckim „O wieniec Akantu”.

Lech Budny

Z przerażeniem czytałam recenzję pióra Anety Jaworskiej pt. „Poezja mocnej kobiety” („Akant” 2003, nr 4, s. 29) mającą wyraźny posmak urabiania opinii, wzbogaconą o protekcyjne traktowanie. A cio to takiego, cio to?

Omawiają poetka pisze o miłości, która jest energią silniejszą od śmierci. Obok ludzi napiętnowanych, kręci się zawsze ten sam Bóg. Jest obojętny na ich cierpienia, bo rozdał już wszystko.

Istnieją jednak relikty (tradycja? kulturowo?) nie pozwalające używać słowa „świnia”, bo mówi się „wiśnia”. Ten odłam populacji, to kobiety inteligentne, wykształcone, mające wyłącznie zdolne dzieci, kobiety uwielbiane przez mężów

– czyli „nasze panie”. O „naszych paniach” jeszcze będzie, bo na to draństwo nie ma lekarstwa.

I jak Was uczyć miłości? Wielkiej i mocnej, silniejszej od śmierci?

Hanna Sobolewska-Kurowska

Szczerze gratuluję Antologii „Akantu”; przyjemnie wziąć do ręki i po pozytywnej lekturze można z satysfakcją postawić, nie odstawić! na półkę, dokładnie tak, aby stale mieć tę cenną publikację „na oczach i pod ręką”. Choć są i błędy, str. 12-nie Izabela a Olga Tokarczuk a adres, str. 259- Redakcja a nie wydawcy „Twórczości” to ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa.

Tadeusz Zubiński

Nasz „Akant” to taka głęboka ogromna przestrzeń z czytym powietrzem. Tu można odychać i żyć. Napisano o Was wiele, pochwał. Podpisuję się pod nimi.

Mają Państwo, jako jedyni znakomite „serie” tematyczne! To jest dużo lepsze, dużo lepszy pomysł niż numery monograficzne. Te tematy się rozwijają, dojrzewają, pogłębiają i ewoluują; dochodzą do antologii.

Brawo dla S. Pastuszewskiego za omówienie „O ukrytych nurtach w literaturze polskiej” autorstwa M. Bocian, E. Ostropolskiego, J. Salamon.

Lechosław Trzciniński

Uważam, że „Akant” – jedyne pismo literackie w kraju, reszta – z wyjątkiem może „Metafory”, ale oni tak rzadko wychodzą! – jawi się żałośnie. Kiedy biorę do ręki inne pisma literackie od razu myślę jakimi drogami i dlaczego ktoś się tam dostał, i jest drukowany. Niestety, poznałem te drogi i z tą świadomością, i wiedzą nie sposób dokonać innej oceny i inaczej to widzieć.

A „Akant” jest ponad tym wszystkim, no i zawsze aktualny.

Eryk Ostrowski

## Restauracja „Kolumnowa”

zaprasza codziennie w godz. 7.00-23.00



Hotel „Pod Orłem”, ul. Gdańska 14, 85-006 Bydgoszcz  
tel. (052) 583 05 30, fax (052) 584 02 24



Szef kuchni oferuje  
dania kuchni polskiej i międzynarodowej.  
Receptury niektórych dań sięgają stuletniej tradycji.

Organizujemy:

- ✓ bankiety ✓ przyjęcia ✓ szkolenia
- ✓ konferencje ✓ imprezy cateringowe

### FUNDATORZY „AKANTU”

- |                                   |                                      |
|-----------------------------------|--------------------------------------|
| Tomasz Agatowski                  | Młosż Kamil Manasterski              |
| Jadwiga Badowska                  | Anna Mickiewicz                      |
| Piotr Baranowski                  | Hanna Mierzwa                        |
| Maksymilian Bart-Kozłowski        | Bernard Najdek                       |
| Teresa Borkowska                  | Daniela Niespodziana                 |
| Wacław Buryła                     | Kazimierz Obłój                      |
| Honorata i Tadeusz Chróścielewscy | Anna Oduchowicz                      |
| Renata Cieszyńska                 | Kaliks Piechoci                      |
| Sławomir Stanisław Czarniecki     | Edmund Pietryk                       |
| Ryszard Danecki                   | Wiercystaw Polaczek                  |
| Małgorzata Dobkowska              | Zbigniew Przybyliński                |
| Jaśiek Durski                     | Wojciech Reszka                      |
| Zdzisław Dywiski                  | Józef Jaśiek Rojek                   |
| Elfom                             | Antoni Skibiński                     |
| Sławomir Fetter                   | Jan Adam Tomaszewski                 |
| Irena Gąszcz                      | Krzysztof Stanisławski               |
| Andrzej Giersz                    | Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów |
| Monika Gładysz                    | – Zielona Góra                       |
| Robert Gotowski                   | Danuta Sułkowska                     |
| Jerzy Grupiński                   | Mańa Szyszowska                      |
| Krystyna Grys                     | Natalia Tadych                       |
| Miłostawa Gumpert-Hause           | Jan Adam Tomaszewski                 |
| Krystian Hadasz                   | Daromita Tomawska                    |
| Danuta i Aleksander Kaczmarkowie  | Mirosław Tryczyk                     |
| Antoni Kaniasty                   | Szczepan Warmiak                     |
| Jaśiek Karolak                    | Ireneusz Wieczorek                   |
| Eugenia Klak                      | Małgorzata Wojciechowicz-Lewicka     |
| Janusz Kobierski                  | Mieczysław Wojtasik                  |
| Danuta Kostewicz                  | Włodzimierz Zieliński                |
| Hanna i Włodzimierz Krzemkowsy    | Andrzej Zobrowski                    |
| Zbigniew Kwieciński               | Lucjan Zuza                          |
| Ryszard Lisowski                  | Jan Zejmo                            |
| Ryszard Liszka                    | Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów |
| Zdzisław Łączkowski               | i Kanalizacji w Bydgoszczy           |

## poligrafia MAGENTA

85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2  
tel./fax (0-52) 328 72 77  
e-mail: magenta48@wp.pl

### Oferujemy druk:

- książek,
- folderów, katalogów, wizytówek,
- listowników, ulotek reklamowych,
- kalendarzy, itp.

### Rzadkie techniki:

- zanikający, ale szlachetny druk typograficzny,
- tłoczenie, wykrawanie, zlocenie,
- unikatowe introligatorstwo.

Zapewniamy  
wysoką jakość naszych wyrobów!

## MIESIĘCZNIK LITERACKI AKANT

Redaguje kolegium:

- Jolanta Baziak – redaktor naczelny  
Marek Dobucki – red. wyd. internetowego  
Artur Kubasik – redaktor  
Jolanta Papała – korektorka  
Beata Anna Pokorska – redaktor  
Katarzyna Wodecka – redaktor techniczny  
Grzegorz Misiewicz – kierownik marketingu  
Konto: PKO BP SA I/O Bydgoszcz  
10201462-73033-270-11  
Adres redakcji: ul. Dworcowa 51B/4  
85-009 Bydgoszcz, tel. 052/321 33 71  
tel./fax 052/371 40 90

✉ e-mail: akant@akant.telvintet.pl

Naświetlanie: „TANGRAM”, ul. Jaskółcza 42, Bydgoszcz  
Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77  
85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

### RADA REDAKCYJNA:

Marek Pietrzak – przewodniczący  
Michał Krzemkowski, Grzegorz Misiewicz, Wojciech Reszka,  
Zdzisław Rozwada-Rutkiewicz, Mieczysław Wojtasik, Włodzimierz Zieliński

